



PIEKŁO

Legacy of the Force 6. Inferno

TROY DENNING

Przekład

Andrzej Syrzycki



*Dla Jeffrey'a Olsena
sąsiada i przyjaciela*

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Alema Rar - rycerz Jedi, Twi'lekanka

Ben Skywalker - młodszy oficer SGS (mężczyzna)

Cal Omas - były przywódca Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Jacen Solo - Lord Sithów Darth Caedus (mężczyzna)

Jae Juun - agent wywiadu (Sullustanin)

Jagged Fel - łowca nagród (mężczyzna)

Jaina Solo - rycerz Jedi (kobieta)

Kyp Durrón - rycerz Jedi (mężczyzna)

Leia Organa Solo - rycerz Jedi (kobieta)

Luke Skywalker - wielki mistrz Jedi (mężczyzna)

Saba Sebatyne - mistrzyni Jedi (Barabelka)

Salle Serpa - major SGS (mężczyzna)

Tahiri Veila - rycerz Jedi (kobieta)

Tarfang - arcyszpieg (Ewok)

Tenel Ka - hapańska królowa matka (kobieta)

Zekk - rycerz Jedi (mężczyzna)

PROLOG

W pustym grashalu rozległy się jęki i odgłosy bitwy, a w zielonych promieniach lamp hełmów pojawiły się pasemka dymu. Jacen - przypomniał sobie, że obecnie nazywa się Darth Caedus - zapuszczał się coraz głębiej w przeszłość. Jedną ukrytą w rękawicy dłonią trzymał rękaw próznioszczelnego skafandra Tahiri, a palce drugiej zaciskał na krawędzi hodowlanej donicy, upstrzonej śladami blasterowych strzałów. Zauważył, że brązowe plamy na zewnętrznej powierzchni donicy zaczynają się robić mokre i coraz bardziej czerwone, a w panującej wokół ciemności pojawiają się skulone postacie.

Im więcej energii czerpał z Mocy, tym wyraźniej przez gęstniejące kłęby dymu przebijało się blade światło luminescencyjnych porostów. W końcu Jacen zobaczył laboratorium do klonowania voxynów, to, w którym zginął jego młodszy brat, Anakin. Tam, gdzie jeszcze kilka chwil wcześniej panowała tylko ciemność, pojawiła się pulsująca dżungla poskręcanych, białych, odżywczych pędów, których końce ginęły w rzędach donic na podłodze grashala. W obie strony zaczęły przelatywać barwne i ciemne smugi, w powietrzu zaroiło się od brzytwożuków, a podłoga zadrżała od eksplozji granatów.

- Mam nadzieję, że okażę się na to przygotowana - odezwała się Tahiri. Jej głos, zniekształcony przez aparaturę akustyczną skafandra, brzmiał cicho i niepewnie. - Może podczas pierwszego spaceru po nurcie nie powinnam się zapuszczać w sam środek bitwy?

Jacen wiedział, że Tahiri jest zdenerwowana nie dlatego, że znalazła się na polu walki, ale uważał, że nie ma sensu zmuszać jej do wyznania prawdy.

- Nic nam się nie stanie - zapewnił. - Jesteśmy tu jak duchy. Nawet jeżeli nas zobaczy jakiś Yuuzhanin, nie da rady zrobić nam żadnej krzywdy.

- Martwi mnie, że to my możemy wyrządzić komuś krzywdę - odparła Tahiri. - Co się stanie, jeżeli zmienimy coś, czego nie powinniśmy... a to wywrze wpływ na teraźniejszość?

- To mało prawdopodobne - stwierdził Jacen. Powinien był powiedzieć, że to niemożliwe, bo każda zmiana, jakiej mogliby dokonać w przeszłości, została by i tak skorygowana przez Moc, dzięki czemu nurt by wrócił do poprzedniej postaci. Postanowił jednak nie wyjaśniać tego Tahiri. Chciał, aby wierzyła, że oboje bardzo ryzykują... że naprawdę mogą spowodować temporalną katastrofę. Zależało mu na tym, żeby młoda Jedi uporała się w końcu z dręczącym ją cały czas smutkiem. - Nie pozwolę, żeby stało ci się coś

złego. Po prostu się odpręż.

- Mało prawdopodobne, mówisz... ale to nie wystarczy, żebym się odprężyła - zauważyła Tahiri. - Nie w sytuacji, w której waży się los galaktyki.

- Zaufaj mi - odparł Jacen. - Chodzę po nurcie od wielu lat, a galaktyka nadal istnieje.

- O ile nam wiadomo - mruknęła Tahiri.

Odwróciła się w stronę położonej w głębi części grashala, gdzie Anakin i pozostali członkowie grupy szturmowej wdzierali się przez otwór w ścianie. Ich brązowe kombinezony były poplamione krwią i podarte, a na twarzach malowały się strach i wyczerpanie... ale także zdecydowanie i odwaga. Dotarli do celu wyprawy - do laboratorium z urządzeniami Yuuzhan Vongów przeznaczonymi do klonowania voxynów, które zabiły tylu Jedi - i nie zamierzali odejść, dopóki go nie zniszczą.

W Mocy rozległ się jęk gniewu i smutku Tahiri, która opuściła rękę do rękojęści świetlnego miecza. Jacen wyczuwał, jak bardzo chciałaby zrobić coś więcej, niż tylko dać Anakinowi pożegnalny pocałunek, którego mu wówczas odmówiła... jak bardzo pragnie zapalić klingę świetlnego miecza, żeby nie dopuścić do jego śmierci.

Nad głowami obojga eksplodowały trzy termiczne granaty. Kopuła grashala wypełniła się pomarańczowym światłem, a we wszystkie strony strzeliły fontanny rozżarzonych odłamków. Odżywcze pędy stanęły w ogniu i zwiędły, a Yuuzhan Vongowie padli na podłogę, wijąc się z bólu. Tahiri skuliła się i rozejrzała za jakąś osłoną, ale Jacen szarpnął ją za rękę i odwrócił. Obok nich przelatywały odłamki, nie robiły im jednak żadnej krzywdy, a płomienie, które lizaly ich próznioszczelne skafandry, nie mogły ich stopić.

- Powiedziałem ci, że nic nam się tu nie stanie - przypomniał Jacen.

- Mówiłeś też, że tylko przypadkiem natknęliśmy się na siebie w rocznicę urodzin Anakina - odparła Tahiri. - To jeszcze nie oznacza, że mam ci uwierzyć.

Jacen zmarszczył brwi.

- Myślisz, że zaaranżowałem tamto spotkanie? - zapytał.

- Daj spokój, Jacenie - powiedziała Jedi. - Jestem mądrą dziewczyną.

Jacen się zawahał. Ciekaw był, czy Tahiri wie, co zrobił tydzień wcześniej, i czy wiąże ich obecną wyprawę z zamordowaniem ciotki Mary na Kavanie. Głupotą byłoby się spodziewać, że może zabić żonę kogoś takiego jak Luke Skywalker, i mieć nadzieję, że nikt się o tym nigdy nie dowie, ale musiał tak myśleć. Przewidział, że dzięki śmiałości Konfederatów Sojusz wkrótce zwycięży... ale pod warunkiem, że Jedi nie pokrzyżują jego planów.

Milczał jeszcze chwilę, po czym spojrzał na Tahiri.

- No dobrze, powiedzmy, że rzeczywiście to zaaranżowałem - przyznał w końcu. - Dlaczego się więc zgodziłaś mi towarzyszyć?

- Nie mogłam się powstrzymać - wyjaśniła Jedi. - No i chciałam się dowiedzieć, czego właściwie ode mnie potrzebujesz.

- Niczego, naprawdę - skłamał Jacen. - Myślałem tylko, że to ci pomoże pogodzić się z tym, co się stało.

- Spodziewasz się, że w to uwierzę?

- Zrobiłem to także dla Anakina - dodał Jacen. - Chyba mój brat na to zasługiwał... Nie uważasz?

Przez Moc przeniknęła zmarszczka poczucia winy.

- To niesprawiedliwe! - zaprotestowała Tahiri. - A ja nadal ci nie wierzę.

Jacen uniósł ramiona w próżnieszczelnym skafandrze i nieporadnie nimi wzruszył.

- Czy to znaczy, że nie chcesz przez to przechodzić? - zapytał.

Tahiri westchnęła.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że chcę - powiedziała.

- A więc musisz postępować zgodnie z moimi wskazówkami - oznajmił Jacen. - Nie możesz reagować, jakbyś żyła w przeszłości. Im bardziej będziesz usiłowała stać się jej elementem, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś cię zauważy... i większa szansa, że stanie ci się jakaś krzywda.

- W porządku, rozumiem - mruknęła Tahiri. Słyszając ją przez komunikator, Jacen nie mógł ocenić, czy w jej głosie brzmi oburzenie, czy zakłopotanie. - To się już więcej nie powtórzy.

- Całe szczęście.

Jacen zwrócił uwagę na przebieg bitwy. Po huku granatów zapadła chwila ciszy, ale zaraz dał się słyszeć skowyt blasterowych strzałów i brzęczenie brzytwożuków. W odległej części grashala Anakin właśnie się podnosił, a pozostali członkowie grupy szturmowej wykorzystywali zamieszanie w szeregach nieprzyjaciół, żeby otoczyć laboratorium do klonowania voxynów. Kiedy Jacen zobaczył sam siebie, jak wykonuje uniki podczas bitwy, przypomniał sobie rozpacz, kiedy brat został ranny, i rozgoryczenie, jakie go ogarnęło na myśl, że wojna może zabrać jego szlachetne, młode życie. Czuł się tak, jakby oglądał siebie na holofilmie. Zastanowił się, jakim cudem mógł być wówczas tak naiwny. Pomyślał też, że kiedy w końcu zjednoczy galaktykę, podobny idealizm może przestanie mu się wydawać taki głupi.

Nagle w grashalu rozległ się grzmot strzału z długiego blastera i do środka wskoczyło

troje Jedi. Na ich czele biegła młoda, wówczas piętnastoletnia Tahiri, z rozwianymi długimi blond włosami. Na jej czole widniały wyraźne czerwone blizny po ranach, jakie odniosła podczas pobytu w niewoli Yuuzhan Vongów. Jak tylko wszyscy troje znaleźli się w grashalu, przez otwór wpadła kula pomarańczowożółtego ognia i pojawił się oślepiający błysk eksplozji.

Fala udarowa posłała trójkę Jedi w różne strony, ale wszyscy posłużyli się Mocą i bezpiecznie wylądowali na podłodze grashala. Młoda Tahiri przetoczyła się za hodowlaną donicę i wyskoczyła zza niej po drugiej stronie. Anakin wyraźnie chciał pospieszyć jej na pomoc. Wolną ręką trzymał się za brzuch. Zmagając się z bólem, jaki sprawiała mu straszna rana, z całej siły zaciskał zęby.

W głośniku komunikatora skafandra Jacena rozległ się głos dzisiejszej Tahiri:

- Musimy podejść bliżej.

- Dobrze, ale pozostań ze mną w kontakcie, bo inaczej poniesie cię nurt. - Nie puszczając rękawa skafandra swojej towarzyszki, Jacen ruszył w kierunku brata i tamtej Tahiri. - I bez względu na to, co zrobisz, nie rozszczelniaj skafandra. W rzeczywistości przebywamy nadal w terażniejszości, więc naraziłabyś się na dekompresję.

- Dzięki za ostrzeżenie - odparła oschle Tahiri. - Sama się tego domyśliłam.

Anakin i młoda Tahiri kulili się obok siebie za jedną z donic. Gdyby młodszy brat Jacena przeżył tę bitwę, on i ta dziewczyna niemal na pewno zostaliby kochankami, może nawet by się pobrali. Jacen czasem się zastanawiał, jaki wpływ mogłoby to wyrzucić na terażniejszość. Czy dodatkowa porcja szczęścia i spokoju mogłaby w jakiś sposób powstrzymać galaktykę przed pogrążeniem się w chaosie?

Kiedy Jacen omijał parę kulących się Jedi, młoda Tahiri uniosła nagle rękę i pokazała stojącą po drugiej stronie przejścia zwęgloną donicę, wypełnioną po brzegi trupami Yuuzhan Vongów. Obok donicy stała Tekli, licząca zaledwie metr wzrostu uzdrowicielka grupy szturmowej. Chadra-Fanka pochylała się nad pokrytym łuskami ciałem Tesara Sebatyne i posypując jego rozdwojony język trzeźwiącymi solami, usiłowała przywrócić mu świadomość... Bezskutecznie.

Poruszając się bardzo ostrożnie i powoli, Jacen zaczął się do nich zbliżać. Osoby spacerujące po nurcie wywoływały w Mocy rozmyte plamy, które otaczały także ich samych. Im wolniej wędrowcy się poruszali, tym plamy stawały się mniej widoczne.

Podeszli całkiem blisko. Anakin wskazał właśnie Tekli rannego Barabela.

- Zabierz go... i ruszaj w drogę - rozkazał młodej Tahiri. - Postaraj się przedrzeć do nich.

- A ty? - zapytała dziewczyna. - Nigdzie się nie ruszę...

- Wykonaj rozkaz - uciał Anakin.

Tahiri posmutniała, a w Mocy dało się wyczuć zaskoczenie i przerażenie starszej Tahiri.

- Musisz... pomóc Tekli - odezwał się łagodniejszym tonem Anakin. - Niedługo... postaram się... dołączyć do was.

Jego głos, zniekształcony przez aparaturę akustyczną próżnioszczelnego skafandra, brzmiał cicho i niepewnie, jakby młody Solo przeczuwał, że wkrótce umrze. Jacena coś dławiło w gardle i młody Solo z zaskoczeniem stwierdził, ile wysiłku go kosztuje, żeby się pozbyć tego uczucia. Kochał młodszego brata i chyba nigdy nie przestał go kochać, ale nie mógł pozwolić, żeby emocje ściągnęły go do przeszłości. Jak powiedział Tahiri, jakakolwiek reakcja z ich strony mogłaby ich zdemaskować. Gdyby pozostali przy życiu członkowie grupy szturmowej nagle sobie przypomnieli, że widzieli parę ubranych w próżnioszczelne skafandry, niewyraźnych postaci, które pojawiły się nagle podczas bitwy... ktoś mógłby odgadnąć, że to Jacen, spacerując po nurcie, powrócił w tamto miejsce w towarzystwie Tahiri. A w takim wypadku nie mógłby jej wykorzystać do swoich celów.

Ledwo Jacen zdławił emocje, jego młodszy brat znów wstał. Łagodnie popchnął młodą Tahiri w kierunku Tekli, która klęczała nad nieprzytomnym Tesarem i klepiąc go po policzkach, starała się zmusić Barabela, żeby oprzytomniał. W Mocy dał się wyraźnie odczuć smutek starszej Tahiri, ale tym razem Jacen nie przypominał jej o niebezpieczeństwach reagowania na wydarzenia z przeszłości. Od samego początku wiedział, że jego towarzyszka nie będzie umiała zapanować nad emocjami, a w gruncie rzeczy na to właśnie liczył. Miał nadzieję, że Tahiri i pozostali przy życiu członkowie grupy szturmowej będą zbyt zajęci, aby zauważyć poruszające się po nurcie czasu zjawy.

- Tesar nie reaguje - odezwała się Tekli, unosząc głowę. - Wciąż jeszcze jest nieprzytomny. Nie zdołam go nieść i cucić jednocześnie.

Młoda Tahiri nie wyglądała na przekonaną. Podejrzewała, że Chadra-Fanka usiłuje ją odciągnąć od Anakina, ale nie mogła odmówić prośbie o pomoc. Zamrugła, żeby powstrzymać łzy, wspięła się na palce, by pocałować Anakina... ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą i pokręciła głową.

Cofnęła się teraz; zaraz powie Anakinowi, że jeżeli chce dostać pocałunek, musi przeżyć i do niej wrócić. Moc o mało nie eksplodowała od udreki dzisiejszej Tahiri, która szybko podeszła do młodszej i lekko ją pchnęła w objęcia Anakina.

Tamta Tahiri otworzyła usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Anakin pochylił się i

złożył na jej wargach pocałunek. Z twarzy dziewczyny szybko zniknęło zaskoczenie. Stali tak przytuleni do siebie i nawet Jacen, który często się stykał z wiecznością w swoich wizjach, doszedł do wniosku, że ich pocałunek trwa bez końca.

Poczuł ponury ciężar w Mocy i ból własnego rozdzieranego serca. Uświadomił sobie, że zapada coraz głębiej w przeszłość, i przyciągnął do siebie starszą Tahiri. Gdyby pozostali w tym samym miejscu po zakończeniu pocałunku, Tekli na pewno by ich zauważyła. No i trzynastcie lat później, kiedy Jacen i Tahiri wrócą do swojego czasu, Chadra-Fanka mogłaby sobie przypomnieć, że widziała ich wówczas w próżnioszczelnych skafandrach. Gdyby zameldowała o tych przeblyskach wspomnień członkom Rady, mistrzowie z pewnością by się domyślili, że Jacen odbył z Tahiri spacer po nurcie do czasu tamtej bitwy. Zaczęliby się zastanawiać nad powodami takiej wyprawy, co pokrzyżowałoby jego plany.

Ciągnąc za sobą Tahiri, Jacen zaczął się wycofywać. Powoli osłabiał więź, jaka łączyła ich z przeszłością. Odgłosy bitwy ścichły, a słabe światło luminescencyjnych porostów w grashalu zbladło i w końcu zgasło. Wkrótce mogli dostrzec tylko dwie przytulone do siebie sylwetki. Ich obecność rozjaśniała czas i rozświetlała zimną ciemność. Później nawet ten blask zniknął.

W głośnikach skafandrów rozległ się rozdzierający serce, pojedynczy dźwięk. Tahiri chwyciła rękaw kombinezonu Jacena.

- Musieliśmy ich zostawić? - zapytała. - Chciałam zostać, żeby się przekonać, czy dzięki temu pocałunkowi śmierć Anakina stała się chociaż trochę... łatwiejsza do zniesienia.

- Przykro mi - odparł Jacen. - Nie mogłem dopuścić, żeby nas zobaczono. - W głębi duszy przestał się czuć jak tamten Jacen. Wykorzystał śmierć brata do manipulowania Tahiri, ale sam poczuł się po tym... zbrukany. Nie miał jednak wyboru. Jedi poświęcali wszystkie siły i środki na ściganie zabójcy Mary, a on musiał jakoś śledzić ich postępy. Musiał ich kontrolować, nie ustając w staraniach ocalenia Sojuszu. - Zaczynała cię wciągać przeszłość. Mnie zresztą także.

Tahiri rozluźniła uchwyt, ale nie puściła rękawa.

- Wiem - powiedziała. - Tylko że byłam... tak bardzo...

- Urwała i odwróciła czołową płytę hełmu w jego stronę. Jacen zobaczył w niej jedynie anonimowe odbicie własnego hełmu.

- Sądziłam, że ten pocałunek wystarczy, ale się myliłam. Nie wystarczył, Jacenie. Muszę...

- Tahiri, nie. - Tym razem powiedział to nie Jacen, ale jego nowa osobowość, która się narodziła, kiedy zabił Marę. - Nasze emocje sprawiły, że ta wyprawa stawała się zbyt

ryzykowna. Nie możemy tam wrócić.

- Wiem, Jacenie. - Tahiri odwróciła się do niego tyłem i ruszyła do wyjścia. - Żałuję tylko, że musieliśmy ich opuścić w taki sposób. Chciałam się upewnić, że Anakin umarł ze świadomością, jak bardzo go kochałam.

Darth Caedus uśmiechnął się ponuro za przesłoną swojego hełmu.

- Jestem pewny, że to wiedział. - Ruszył za nią. Zdał sobie sprawę, że właśnie tak postępują Sithowie. Bez wahania wykorzystują przyjaciół, cenią wyżej przeznaczenie niż rodzinę i żyją ze splugawioną duszą. - Przecież mu powiedziałaś, prawda?

ROZDZIAŁ 1

Zaledwie Tenel Ka przekroczyła próg sypialni, wyczuła pustkę w Mocy, czającą się w najdalszym, ciemnym kącie komnaty. Pustka była ledwo zauważalna, a Hapanka zwróciła na nią uwagę tylko dzięki otaczającemu ją spokojowi. Poczowała na karku lekkie świerzbie. Zwiastowało niebezpieczeństwo, więc krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Tenel Ka weszła szybko do sypialni.

Zanim jej dama dworu zdążyła zrobić to samo, Hapanka obejrzała się i powiedziała:

- To byłoby wszystko, Lady Aros. Poproś DeDeToo, żeby zamknął na klucz pokój dziecienny.

- Na klucz, Wasza Wysokość? - Aros znieruchomiała na progu. Szczupła dwórka wciąż jeszcze niosła wieczorową suknię, którą Tenel Ka przed chwilą zdjęła. - Jeżeli jest coś, co muszę...

- To tylko środek ostrożności - przerwała Hapanka. Jej szlafrok wisiał w łazience, więc stała tylko w bieliźnie. - Wiem, że nasza ambasada powinna być bezpieczna, ale mimo wszystko znajdujemy się na Coruscant.

- Naturalnie... - Aros spuściła głowę. - Terrorysty. Ta planeta to istna wylegarnia łajdaków. Wszędzie się od nich roi.

- Postarajmy się nie obrażać Coruscant, dobrze? - skarciła ją Tenel Ka. Od niechcenia opuściła rękę i rozwiązała rzemyk przywiązanej na biodrze kabury ze świetlnym mieczem. - Całkiem niedawno musieliśmy wezwać na pomoc pułkownika Solo, żeby pozbył się kilku naszych łajdaków.

- Nie miałam na myśli niczego złego, a już na pewno nie chciałam ubliżyć panu pułkownikowi - zapewniła Lady Aros przymilnym tonem. Miała na myśli Jacena. W końcu pułkownik Solo wykazał się nie tak dawno niezwykłą odwagą, broniąc Tenel Ka przed zdrajcami, którzy usiłowali ją zdetronizować, więc chyba z połowa kobiet w Konsorcjum Hapes, nie wyłączając samej Tenel Ka, uznała go za kogoś w rodzaju symbolu prawdziwego mężczyzny. - Wręcz przeciwnie. Gdyby nie pułkownik Solo, do tej pory na Coruscant zapanowałaby anarchia.

- Bez wątplenia - przyznała Tenel Ka. Pozornie niedbałym ruchem zacisnęła palce wokół rękojeści świetlnego miecza. - A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym

sama udać się na spoczynek.

Aros skinęła głową, ukłoniła się i wycofała do przedpokoju. Tenel Ka nacisnęła łokciem włącznik oświetlenia na ścianie. Kiedy do życia obudziło się sześć ściennych kinkietów, Hapanka powiodła spojrzeniem po komnacie. Urządzono ją z równie przesadnym luksusem jak całą resztę Królewskiego Skrzydła ambasady. Znajdowały się tu trzy zestawy kanap i foteli oraz aparatura HoloNetu do oglądania naturalnej wielkości obrazów, a także wielkie hamogoniowe biurko, zarzucone stosami arkuszy flimsiplastu z królewskim herbem Konsorcjum Hapes. Pod przeciwległą do wejścia ścianą komnaty stało zwieńczone sennojedwabnym baldachimem łóżko - tak wielkie, że mogłaby w nim sypiać nie tylko Tenel Ka, ale także dziesięć jej najwierniejszych przyjaciółek.

Po obu stronach łóżka umieszczono ozdobne świeczniki, mimo to najbardziej odległy od drzwi kąt sypialni, w pobliżu wejścia do łazienki, był pogrążony w złowieszczym mroku. Tenel Ka nie zauważyła jednak, żeby działało tam jakieś optyczne pole. Wyczuwała tylko... no cóż, właściwie nie wyczuwała niczego. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, wysłała je do przedpokoju, żeby sprawdzić, czy Aros nie podsłuchuje pod drzwiami. Zapaliła klingę świetlnego miecza i zrobiła kilka kroków w stronę mrocznego kąta sypialni.

- Jeżeli masz odrobinę rozsądku, to się pokażesz - powiedziała. - Nie znoszę podglądaczy... do tej pory powinienś być się tego domyślić.

- Jestem mało pojętym uczniem. - Ciemność w kącie zaczęła się rozpraszać i Hapanka zobaczyła wysokiego mężczyznę o podkrążonych oczach i z cieniem słynnego przekornego uśmiechu swojego ojca na twarzy. Mężczyzna był ubrany w czarny kombinezon Straży Galaktycznego Sojuszu i roztaczał słabą woń paliwa do silników napędu nadświetlnego, jakby przyszedł tu prosto z hangaru dla gwiazdnych statków. - I zazwyczaj nie dają się przyłapać. Widocznie tracę umiejętność maskowania.

- To nie to, Jacenie - odparła Tenel Ka. - Po prostu coraz lepiej umiem cię wyczuwać. - Wyłączyła klingę świetlnego miecza i niedbale rzuciła rękojeść na łóżko. Ciepło się uśmiechnęła i wyciągnęła ramiona, żeby go uściskać. - Miałam nadzieję, że znajdziesz trochę czasu, aby się ze mną skontaktować.

Jaceni uniósł brew i zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Rozumiem - powiedział.

- No i co? - zagadnęła Hapanka. - Zamierzasz tak stać i gapić się na mnie? A może jednak się na coś zdecydujesz?

Jaceni zachichotał, wyszedł z kąta i ruszył w jej stronę. Cały czas pozostawał jednak niewidzialny w Mocy... do tego stopnia weszło mu to w nawyk, że ukrywał się w Mocy nawet

w obecności Tenel Ka. Błysk w jego oczach dowodził jednak, jak bardzo się cieszy na jej widok. Kiedy podszedł bliżej, Hapanka objęła go za szyję i przycisnęła wargi do jego ust.

Jacen oddał pocałunek, ale jego wargi były zaledwie ciepłe, nie gorące. Tenel Ka zorientowała się, że tego wieczoru coś jeszcze zaprzęta jego myśli. Cofnęła się z zakłopotaniem, uświadamiając sobie, jak bardzo jest samolubna.

- Wybacz mi, że okazałam radość - powiedziała, dopiero w tej chwili dostrzegając w jego zimnych oczach smutek. Zauważyła także, że ma mocno zaciśnięte zęby. - Jutro pogrzeb Mary. Nic dziwnego, że myślisz tylko o tym.

Jacen prychnął prawie niedosłyszalnie.

- Nic nie szkodzi. - Ujął ją za rękę, ale uśmiech zniknął z jego twarzy. Miał teraz kamienny, niemożliwy do odczytania wyraz, który Tenel Ka często widywała od czasu jego ucieczki z niewoli Yuuzhan Vongów. - Nie myślałem o Marze.

Tenel Ka obrzuciła go zdezorientowanym spojrzeniem.

- No cóż, przynajmniej nie tylko o niej - sprostował Solo.

- Cieszę się, że cię widzę.

- Dziękuję, ale nie poczułam się urażona - odparła Hapanka.

- Dzisiaj wieczorem powinniśmy wspominać twoją ciotkę. Czy znalazłeś już jej zabójcę?

Na twarzy Jacena pojawił się błysk emocji trudno powiedzieć, gniewu czy z żalu, a w Mocy rozbłysnęło coś podobnego do wyrzutów sumienia. Trwało to jednak tak krótko, że Tenel Ka nie zdążyła zidentyfikować jego uczuć, bo Jacen znów wycofał z Mocy swoją obecność.

- Cały czas nad tym pracujemy - oznajmił niepewnie, jakby się tłumaczył. - Odwrócił głowę i spojrzał w bok... czyżby to miał być wstyd? - Nie mamy wielu śladów, a mnie się nie podoba kierunek, w jakim prowadzą.

- Mówisz zagadkami - stwierdziła Tenel Ka. - Czy nie mógłbyś...

- Na razie nie - uciął Solo, kręcąc głową. - Śledztwo trwa jeszcze zbyt krótko, a ja nie chcę szargać niczyjej opinii.

Tenel Ka zmarszczyła brwi, kiedy usłyszała jego słowa.

- Przypuszczasz, że to robota kogoś z Galaktycznego Sojuszu? - zapytała.

Jacen popatrzył na nią z udawanym gniewem.

- Czyżbym dał to do zrozumienia? - zapytał.

- Owszem. - Tenel Ka chwyciła go za ramię i postanowiła zmienić temat rozmowy. - Jakaż ja jestem samolubna! Wypytyj cię o postępy dochodzenia, chociaż jutro pogrzeb

Mary. Mam nadzieję, że zechcesz...

- Nie masz mnie za co przepraszać. - Jacen uwolnił rękę z uścisku jej palców i usiadł na poręczy kanapy. - Prawda wygląda tak, że istotnie zrobiłem bardzo niewiele, żeby odnaleźć jej zabójcę. W tej chwili Sojusz ma ważniejsze sprawy.

- Wojnę? - domyśliła się Hapanka.

Jacen kiwnął głową.

- Na pewno dostajesz wojskowe hologramy informacyjne - powiedział.

- Naturalnie - przyznała Tenel Ka. Prawdę mówiąc, hologramy docierały do niej dwa razy dziennie od prawie tygodnia, a wraz z nimi usilne prośby o hapańskie posiłki, których Tenel Ka nie mogła zapewnić. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że admirał Niathal poleciła ci, żebyś poprosił mnie o przekazanie floty pod jej rozkazy?

Jacen nie odpowiedział. Zjechał z poręczy na siedzenie kanapy i wpatrywał się bez ruchu w płomienistą rurę pośrodku tej części komnaty.

- Rozumiem cię - odezwała się wreszcie Tenel Ka, zdumiona, że Jacen się zgodził choćby tylko rozważyć taką możliwość. Podobnie jak ona, doskonale wiedział, że spełnienie prośby Sojuszowi mogłoby narazić jej tron i ich córeczkę na ogromne niebezpieczeństwo. - Niczego nie mogłabym wysłać, Jacenie. Flota Obronna Hapes ledwo wystarczy do zapewnienia bezpieczeństwa Konsorcjum... przed moimi dostojnikami.

- Muszę ci to powiedzieć. - Jacen nie przestał się wpatrywać w wirujące płomyki niebieskiego ognia w ognistej rurze. - Wiesz chyba, że Korelia i Bothawui zamierzają się zwrócić przeciwko Kuatowi, prawda?

Hapanka pokiwała głową.

- W tym samym czasie Huttowie i Commenorianie przygotowują się do ataku na Balmorę - powiedziała. Otworzyła drzwi do łazienki i sięgnęła po szlafrok. - Naprawdę przeglądam te hologramy, które mi cały czas przesyłają.

- Przykro mi... chciałem się tylko upewnić - stwierdził Solo.

- Raporty nie mówią jednak, bo to niedozwolone, że po wygraniu bitwy w przestworzach Balmorry Konfederacja zgromadzi wszystkie siły i środki do ataku na Kuata. Kto wygra tamtą bitwę, wygra całą wojnę.

- Wojskowi stratedzy zawsze uważają, że jeszcze jedna duża bitwa w przestworzach zakończy całą wojnę. - Tenel Ka narzuciła szlafrok na ramiona i wróciła na poprzednie miejsce. - Ale przeważnie się mylą.

- Tym razem informacja nie pochodzi od strategów - wyjaśnił Jacen. - Mówię ci, co sam zobaczyłem... w Mocy.

- Och... - Zaskoczona Tenel Ka usiadła na fotelu obok kanapy. Jakie wnioski powinna wyciągnąć z tego, co właśnie usłyszała? Gdyby przekazana Jacenowi przez Moc wizja przyszłości miała się spełnić - a ona wiedziała wystarczająco dużo o jego władzy nad Mocą, żeby w to nie wątpić - Konfederacja mogła wkrótce zgromadzić siły wystarczająco duże do ataku na samą Coruscant.

- Rozumiem teraz, dlaczego jesteś taki zmartwiony.

- Zmartwiony to za mało powiedziane - odparł Jacen. - Jestem po prostu przerażony. Sojusz nie ma jeszcze wystarczająco dużej siły, żeby powstrzymać nieprzyjaciół.

- Jeszcze? - podchwyciła Tenel Ka. - Chcesz powiedzieć, że nie tylko Thrackan Sal-Solo budował tajne floty?

Jacen pokręcił głową.

- Nie w tym rzecz - powiedział. Chodzi mi o Wookiech. Kashyyyk na pewno odda swoją flotę szturmową pod nasze rozkazy i dopiero to może przechylić na naszą stronę szalę zwycięstwa w tej wojnie.

- Wątpię, żeby Konfederacja zamierzała czekać tak długo - stwierdziła z lekką goryczą Tenel Ka. W holokanałach bez przerwy snuto przypuszczenia na temat przyczyn niekończących się dyskusji na kashyyyku. Komentatorzy polityczni wyciągali z tego różne wnioski. Z większości komentarzy przebijało zniecierpliwienie, w niektórych nawet oskarżano Wookiech o tchórzostwo. - Chcesz powiedzieć, że oficjalne raporty to zwyczajne mydlenie oczu opinii publicznej?

- Niezły pomysł, ale nie - odparł Solo. - Chcę powiedzieć, że zdaniem naszych agentów to tylko kwestia czasu.

- W takiej sytuacji kwestia czasu jest zarazem kwestią rozstrzygającą, kto odniesie zwycięstwo - odparła Tenel Ka. - Wookie są bardzo uparci. Zanim zdążą zakończyć swoje debaty, Konfederacja zaatakuje Coruscant.

- Mam nadzieję, że się mylisz. - Jacen w końcu oderwał spojrzenie od płomienistej rury i przeniósł je na twarz Tenel Ka. Tym razem Hapanka wyczuła jego emocje w Mocy i uświadomiła sobie, jak bardzo jest przerażony i zaniepokojony. - Bo ja po prostu tego nie wiem.

- Rozumiem - powiedziała cicho Tenel Ka. Domyśliła się w końcu, co Jacen stara się jej powiedzieć. - A więc nie przyszedłeś tu po to, żeby poprosić mnie o Flotę Obronną Hapes, prawda?

Jacen pokręcił głową.

- Właściwie nie - powiedział.

- Tego się obawiałam. - Tenel Ka rozsiadła się wygodniej na fotelu i wezwała Moc, żeby spowolnić tempo bicia serca i lepiej się skupić. - Czyli przyszedłeś tylko po to, aby mnie ostrzec, że Galaktyczny Sojusz wkrótce się rozpadnie.

- No cóż, to nie był jedyny powód. - Jacen wyszczerzył zęby w uśmiechu i uniósł brew.

Tenel Ka jęknęła.

- To nie pora na żarty, Jacenie - powiedziała. - Zupełnie nie masz wycucia czasu.

- Cóż, może więc poproszę cię o radę - powiedział Solo, przyjmując reprimendę równie pogodnie jak wówczas, kiedy oboje byli młodszy. - Co mi poradzisz?

- Jedi mogliby coś zrobić - odparła natychmiast Hapanka.

- Chyba dałoby się ich namówić, żeby przeprowadzili atak myśliwcami typu StealthX. A może Mistrz Skywalker zechciałby porozmawiać...

- Prosiłem o radę, nie o pobożne życzenia. - Jacen przerwał jej niespodziewanie ostrym tonem. - Jedi nie kiwną palcem, żeby nam pomóc. Tak naprawdę to zdrajcy.

- Nieprawda, Jacenie - zachnęła się Tenel Ka, która nie pozwoliła się zastraszyć. - Jedi popierali Galaktyczny Sojusz od samego początku, a Mistrz Skywalker stoi po tej samej stronie co ty. Jeżeli Sojusz ma ocaleć, obaj musicie zasypać dzielącą was przepaść i zacząć współpracować.

W oczach Jacena pojawił się błysk strachu, ale zaraz zniknął. Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał w bok. W oczach Tenel Ka wyglądał jak rozgniewany dworzanin, który nie może się pogodzić z naganą.

- A jeżeli tego nie zrobimy? - zapytał.

- A dasz radę powstrzymać nieprzyjaciół bez pomocy Jedi? - odpowiedziała pytaniem Hapanka.

Jacen pokręcił głową.

- W tej chwili nie - przyznał ponuro. - Kto wie, może nie powstrzymamy ich nawet z pomocą Jedi.

- A zatem czy istnieje inne wyjście? - powiedziała Tenel Ka kategorięcznym tonem. - Rada Jedi nie jest zachwycona sprawą twojego przewrotu, ale kiedy Sojusz się rozsypuje, mistrzowie nie będą siedzieli z założonymi rękami... zwłaszcza jeżeli pójdziesz na ustępstwa.

Jacen siedział jakiś czas w milczeniu. W końcu odwrócił się i spojrzał znów na Tenel Ka.

- Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż myślisz - powiedział. - Od czasu śmierci Mary Luke nie jest już sobą. - Ściągnął ciemne brwi, jakby chciał dać do zrozumienia, że

bardzo go to niepokoi. - Nie odzywa się właściwie do nikogo. Zamknął się w sobie tak skutecznie, że praktycznie odciął się od Mocy.

- Chyba się nie spodziewałeś, że nie przejmie się śmiercią żony? - zdziwiła się Tenel Ka.

- To coś więcej niż rozpacz - odparł Solo. - Słyszałaś o Lumiyi?

- Słyszałam, że tym razem załatwił ją na dobre - oznajmiła ostrożnie Tenel Ka. W HoloNecie pełno było raportów, w których wiązano śmierć Lumiyi ze śmiercią Mary... dopóki Rada Jedi nie wydała lakonicznego oświadczenia, z którego wynikało, że śmierć Lady Sithów nie miała nic wspólnego z zabiciem mistrzyni Jedi. - Trudno uwierzyć, żeby śmierć jednej i drugiej była dziełem zwykłego przypadku.

- Nie była - stwierdził Jacen. - Obawiam się, że motywem zabicia Lumiyi była zwykła zemsta.

- Zabójstwo z zemsty? - Tenel Ka z niedowierzaniem pokręciła głową. - Nawet gdyby Mistrz Skywalker mógł się na to zdobyć, to nie miałoby sensu. Sama Rada Jedi zapewniała, że Lumiya nie miała nic wspólnego ze śmiercią Mary.

- Luke tego nie wiedział, kiedy zabijał Lumiye... i właśnie od tamtego czasu zaczął się zamykać w sobie. - Jacen pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i wbił spojrzenie w wypolerowane płytki z kamienia larmal pod nogami. - Odnoszę wrażenie, że przestał wierzyć we wszystko, w co dotąd wierzył, Tenel Ka - podjął w końcu. - Przestał ufać samemu sobie... i Mocy.

Hapanka zmarszczyła brwi. Miała wrażenie, że Jacen wpływa na jej emocje... że tylko udaje zaniepokojonego, a w rzeczywistości cieszy się z sytuacji wuja. Z drugiej strony, kto mógłby mieć mu to za złe? Mistrz Skywalker ostatnio oskarżył go o straszne rzeczy... o współpracę z Sithami i dokonanie nielegalnego zamachu stanu. Nie byłoby więc nic dziwnego, gdyby Jacen odczuwał przewrotną satysfakcję z tego, że jego oskarżyciel zrobił coś jeszcze gorszego.

- Możliwe, że masz rację, Jacenie - przemówiła po chwili Tenel Ka. - To by wyjaśniało, dlaczego Mistrzynie Sebatyne odprawiła mnie z kwitkiem, kiedy chciałam się skontaktować z twoim wujem.

- Luke nie chciał się z tobą zobaczyć? - W pytaniu Jacena zabrzmiało niedowierzanie. - A zatem sytuacja wygląda gorzej, niż przypuszczałem. Mój wuj nie jest w stanie dłużej pełnić swoich obowiązków.

- To całkiem zrozumiałe. - Tenel Ka myślała ze smutkiem o tym, jak musi cierpieć Mistrz Skywalker... i Ben, i podobnie jak Jacen, była w najwyższym stopniu zaniepokojona.

Sytuacja Sojuszu wyglądałaby katastrofalnie, gdyby wojskowi nie mogli liczyć na pomoc swoich Jedi. - Mistrz Skywalker nie jest jednak jedynym członkiem Rady Jedi. Nadal możesz poprosić ich o pomoc.

- Mogę spróbować - poprawił ją Jacen. - Prawdę mówiąc, już próbowałem skontaktować się z poszczególnymi mistrzami.

- Z jakim rezultatem?

- Wszyscy są przeciwko mnie - odpowiedział rzeczowo Jacen, jakby tylko przedstawiał stan faktyczny. - Podejrzewają, że staram się wykorzystać obecną sytuację. Dopóki nie będę mógł liczyć na poparcie Luke'a, mogę zagadać się na śmierć. Jedi nie zamierzają współpracować.

Tenel Ka poczuła się nagle tak, jakby opuściły ją wszystkie siły, bo dotarło do niej, że Jacen mówi prawdę. W czasach tak trudnych jak obecne mistrzowie zwierali szeregi, a pogłębiająca się przepaść podejrzeń i złej woli między Mistrzem Skywalkerem a Jacenem nie była tajemnicą dla nikogo. Nic dziwnego, że mistrzowie traktowali podejrzliwie wszystkie próby wciągnięcia Jedi do czynnej służby... zwłaszcza kiedy ich przywódca stracił kontakt z rzeczywistością.

- Rozumiem. - Tenel Ka wstała i wbiła spojrzenie w płomienistą rurę. - Może gdybym to ja porozmawiała z członkami Rady...

- I co, przekonałabyś ich, że także jesteś częścią mojego planu? - Jacen wstał i stanął za nią. - Członków Rady zaślepiła podejrzliwość. Nie chcą widzieć, że robię tylko to, co najlepsze dla Sojuszu. Cokolwiek im powiesz, potraktują to jako wezwanie do spłacenia długu wdzięczności, jaki zaciągnęli, kiedy pomogłem pokonać Lady AlGray i Korelian.

Tenel Ka kiwnęła głową.

- Masz rację - przyznała. Prawdziwa natura ich związku pozostawała ściśle strzeżoną tajemnicą. Tylko oni wiedzieli, że Jacen jest ojcem ich córeczki. Prawdą było jednak, że ocalił tron Tenel Ka, a mistrzowie Jedi nie byli głupcami. Nawet gdyby uwierzyli, że Tenel Ka mówi szczerze, mogli podejrzewać, że chodzi o wdzięczność. Zmartwiona Hapanka pokręciła głową i odwróciła się do Jacena. - W takim razie, co zamierzasz zrobić?

- Powierzyliśmy admirałowi Bwua'tu dowództwo nad flotami Pierwszą i Szóstą - zaczął Solo. - Liczę na to, że wymyśli coś błyskotliwego, żeby powstrzymać Korelian i Bothan, zanim dotrą do przestworzy Kuata. - Urwał i zacisnął wargi. - Prawdę mówiąc, najbardziej liczymy na Wookiech... ale to chyba płonna nadzieja.

Tenel Ka znów kiwnęła głową.

- Z informacyjnych hologramów wynika, że do tej pory sprzeciwiali się wszystkim

próbom ponaglania - przypomniała.

- To prawda - przyznał Solo. Odwrócił głowę i dopiero po długim czasie znów spojrzął na Tenel Ka. - Co się stanie z tobą, jeżeli nie damy rady powstrzymać Konfederacji? - zapytał.

- Pozostanę władczynią, dopóki rebelianci nie staną się jeszcze silniejsi i nie zwrócą uwagi na Hapes - odparła bez namysłu Tenel Ka, bo często sama zadawała sobie to pytanie. - Będę się im opierała, jak długo zdołam, a później postaram się ich zmusić do zawarcia traktatu pokojowego. Nie pozwolę, żeby moi poddani zostali pokonani w walce, w której nie będzie nadziei na zwycięstwo.

- Wiem, że zrobisz, co najlepsze dla Hapes - zapewnił lekkim tonem Jacen. - Pytałem, co się stanie z tobą i z Allaną.

- Z nami? - Tenel Ka wyglądała na zaskoczoną jego pytaniem, bo odpowiedź była równie oczywista, co bolesna. - Do tej pory musiałeś się sam tego domyślić, prawda?

Jacen zbladł jak ściana.

- Nie myślałaś o tym, żeby się gdzieś ukryć? - zapytał. - Mógłbym poprosić Fallanassich, żeby ci pomogli.

Tenel Ka uśmiechnęła się bez radości.

- Takie rozwiązanie mogłoby odnieść zamierzony skutek, ale tylko na pewien czas, Jacenie - zaczęła. - Może nawet do momentu, aż Konfederacja się zmęczy szukaniem nas. Żaden najeźdźca nie zdoła jednak zasiąść na hapańskim tronie bez przelewu krwi... i nieważne, kogo Konfederacja wybierze na swoją marionetkę, ta osoba nie przestanie nas nigdy szukać. Uzurpatorka, przerażona perspektywą naszego powrotu, nie ustanie w wysiłkach, dopóki nas nie zgładzi.

Jacen przygarbił się i ukrył twarz w dłoniach.

- A więc nie mamy wyboru - zdecydował.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zaniepokoiła się Tenel Ka, słysząc desperację w jego głosie. - Jacenie, jeżeli rozważasz użycie czegoś w rodzaju Alphy Red...

- Niczego takiego nie mamy - uspokoił ją Solo. - A przynajmniej niczego, co przy okazji i nas by nie zabiło. - Oderwał dłonie od twarzy i spojrzął na Tenel Ka. - Miałem na myśli coś innego... musisz mi przekazać dowództwo nad swoją Flotą Obronną.

Tenel Ka otworzyła usta ze zdumienia.

- Jacenie, dobrze wiesz, co się stanie... - zaczęła.

- Nawet hapańscy magnaci muszą poświęcić trochę czasu na zorganizowanie rebelii - uciął Solo. - A Sojusz będzie potrzebował twojej floty tylko do czasu, aż Wookie podejmą

decyzję i opowiedzą się po naszej stronie.

Tenel Ka pokręciła głową.

- Jacenie, nie mogę ryzykować, że dojdzie do buntu - powiedziała.

- Możesz... i musisz. - Jacen wstał i ujął ją za rękę. - Sama powiedziałaś, że żadna uzurpatorka na twoim tronie nie spocznie, dopóki cię nie znajdzie.

- Tu nie chodzi o mnie - zachnęła się Tenel Ka. Jacen ścisnął jej ramię tak mocno, że czuła ból, ale gdyby usiłowała uwolnić rękę, mógłby dojść do wniosku, że jest rozgniewana albo przerażona. - Nie narażę poddanych na kolejną wojnę domową.

- Nie obchodzą mnie twoi poddani - burknął Solo. - Obchodzisz mnie ty i Allana. - Przyciągnął ją do siebie. - I nie zamierzam narażać was na niebezpieczeństwo.

- To nie ty podejmiesz decyzję w tej sprawie. - Tenel Ka zastanawiała się, jaką część tej rozmowy Jacen zaplanował, zanim tu przyszedł, i czy świadomie powiązał los jej i Allany z losem Galaktycznego Sojuszu, żeby nakłonić ją do pozbycia się ostatniej floty. - Najpierw muszę się zatroszczyć o poddanych, a dopiero później będę mogła zadbać o rodzinę.

- Zatroszczysz się o poddanych, to oczywiste - stwierdził Solo. - Konfederatów nie interesuje zgodne władanie galaktyką. Jak ci się wydaje, co z nią zrobią, jeżeli naprawdę zwyciężą w tej wojnie?

Tenel Ka doszła do wniosku, że Jacen rzeczywiście zawczasu zaplanował przebieg tej rozmowy, i z bólem serca uświadomiła sobie, jak starannie wszystko przemyślał. Zwycięstwo Konfederacji oznaczało poważną zmianę na mapie galaktyki. Istniało duże prawdopodobieństwo, że władzę nad Hapes będą próbowali przejąć Korelianie albo Huttowie. Popatrzyła znacząco na rękę Jacena i nie odwróciła spojrzenia, dopóki jej nie puścił.

- Na pewno się w tej sprawie nie mylę - powiedział Solo i cofnął się o krok. - Konfederacja zrobi to, co zawsze robią zwycięscy barbarzyńcy... Podzieli się łupami.

Tenel Ka skinęła głową, ale odeszła od fotela i utkwiała spojrzenie w ścianie. Jacen wyczuwał jej emocje dzięki Mocy, ale ona nie zamierzała kompromitować swojego tronu, pozwalając mu dostrzec łzy w oczach hapańskiej królowej matki.

- Naturalnie masz rację - przyznała.

- Przykro mi, Tenel Ka - odezwał się Jacen, ruszając w jej stronę. - Jeżeli jednak nie przekazesz mi tej floty, to jak myślisz, co zrobią Korelianie z twoim Konsorcjum? Co zrobią z nim Huttowie?

Tenel Ka wyciągnęła rękę, dając mu do zrozumienia, by się do niej nie zbliżał. Jacen miał rację... nie miała wyboru. Musiała mu przekazać dowództwo nad tą flotą. Była jednak królową na tyle długo, aby wiedzieć, że chociaż nie ma innego wyjścia, może wykorzystać

okazję.

- Przekażę ci dowództwo nad tą flotą, Jacenie - oznajmiła.

Jacen stanął dwa kroki za nią.

- Dziękuję ci, Tenel Ka - powiedział. Był na tyle przyzwoity, że w jego głosie rzeczywiście brzmiała wdzięczność. - Ratujesz...

- Nie spiesz się tak, Jacenie - przerwała Hapanka. - Stawiam jeden warunek.

- To oczywiste - odparł Solo. - Moja sytuacja nie pozwala mi protestować.

- Co racja, to racja. Nie pozwala. - Tenel Ka zamrugła, żeby powstrzymać łzy.

Opanowała się i odwróciła do Jacena. - Masz się pojednać z Mistrzem Skywalkerem.

Jacen sposepniał.

- Nie musisz się martwić o Jedi - powiedział. - Nie będą dłużej przeszkadzali... możesz być tego pewna.

- Nie chodzi o to, że mogą przeszkadzać - stwierdziła Hapanka. - Powinno ci zależeć na tym, żeby z tobą współpracowali.

Jacen cofnął się o krok, jakby go odepchnęła.

- Nie mam pojęcia, czy mi się uda ich do tego namówić - powiedział. - Do zawarcia pokoju potrzeba dwóch stron, a Luke...

- Pokój, Jacenie - przerwała z naciskiem Tenel Ka. - Tak brzmi mój warunek. Pojednaj się ze swoim wujem. - Podeszła do niego, ujęła go za rękę i skierowała w stronę drzwi. - Proponuję, żebyś na początek zaczął go tytułować Mistrzem Skywalkerem.

ROZDZIAŁ 2

Pięć pięter niżej znajdował się Poranny Dziedziniec nowej Świątyni Jedi - duże okrągłe atrium, którego posadzkę porastały krzepakomchy, a zamiast ścian zainstalowano panele z lustrzanej transpastali. Tego ranka membranę dachu złożono, a wszystkie wolne miejsca zajmowali dostojnicy Sojuszu, ubrani w ponure, szare albo czarne stroje. Po drugiej stronie tłumu, przed wysokim stosem, klęczało kilka rzędów rycerzy Jedi w białych płaszczach. Na stosie spoczywało owinięte w cienki biały całun ciało szczupłej kobiety. Zmarła miała złożone na piersi ręce, a jej złocistorude włosy spływały kaskadami na bierwiona.

Odległość była zbyt duża, żeby zauważyć szczegóły, ale Leia wiedziała, że bez

względu na to, jak zręcznie przedsiębiorca pogrzebowy wykonał swoją pracę, na twarzy zmarłej pozostały ślady gniewu, niepokoju, wrogości i strachu. Mara Jade Skywalker zginęła, czując gniew. I martwiąc się losem Bena i Luke'a.

Han stanął obok Leii i spojrzał przez transpastałową ścianę.

- Nie podoba mi się to - powiedział. - Dlaczego Mara nie połączyła się z Mocą?

- Nie zawsze tak się dzieje - wyjaśniła żona. - Tresina Lobi też nie powróciła do Mocy.

- Ciało Mary było dowodem - przypomniał Solo. - Mara chciała, żeby Luke zobaczył jej rany. Miał się dowiedzieć, że Lumiya usiłuje zamordować Bena.

- Nie mam pojęcia, czy Mara właśnie tego chciała. - Leia obserwowwała, jak z drzwi po drugiej stronie Porannego Dziedzińca wyłania się Saba Sebatyne w towarzystwie grupy mistrzów Jedi w brązowych płaszczach.

- Ale mogła tego chcieć - nie dawał za wygraną Han. - Może nawet w tej chwili stara się nam powiedzieć...

- Hanie - ucięła ostro Leia. - Na pewno mistrzowie zastanowili się już nad taką możliwością. Jeżeli się nie pospieszymy, możemy się spóźnić.

Wskazała na drugą stronę dziedzińca, gdzie Saba i pozostali mistrzowie prowadzili Luke'a i Bena do stosu pogrzebowego. Obaj Skywalkerowie byli ubrani w szare płaszcze, obaj mieli kaptury na głowach, ale ojciec i syn nie mogliby się bardziej różnić od siebie. Ben szedł sztywno wyprostowany i stawał stopy pewnie jak żołnierz. Odczuwał gniew, ale panował nad emocjami, jakby pogrzeb jego matki zogniskował energię młodego mężczyzny. W przeciwieństwie do niego Luke szedł przygarbiony i od czasu do czasu się potykał. Wyglądał, jakby potrzebował wszystkich sił, żeby wziąć udział w ceremonii pogrzebowej.

Leia uwolniła myśli i posłużyła się Mocą, aby powiadomić brata, że przybyła. Luke był jednak tak głęboko zatopiony we własnych myślach, że niemal zupełnie nie zaznaczał swojej obecności w Mocy... i zmniejszył ją jeszcze bardziej, kiedy siostra usiłowała przekazać mu swoje myśli.

Księżniczka poczuła ból w piersiach.

- Powinniśmy byli tu być, Hanie - powiedziała. - Może trzymałby się lepiej, gdybyśmy...

- Przecież jesteśmy. - Han ujął żonę za łokieć. - A nawet gdybyśmy tu byli, kiedy to się wydarzyło, niczego by to nie zmieniło. Trudno przynieść komuś ulgę, jeżeli się siedzi w celi tajnego ośrodka odosobnienia Straży Galaktycznego Sojuszu.

- Wiem, wiem - prychnęła Leia.

Pozwoliła, żeby Han poprowadził ją korytarzem. Była zarazem zirytowana i

zasmucona, że mąż musiał jej przypomnieć o nakazie aresztowania, jaki ich syn wydał na własnych rodziców. Jacen stał się ostatnio taki mroczny... Jego matka czasami się zastanawiała, dlaczego tego nie przewidziała. Nie potrafiła odgadnąć, dlaczego tak bardzo się zmienił. Czyżby to spóźnione skutki niewoli u Yuuzhan Vongów? A może zablądził podczas pięcioletniego okresu podróży pośród gwiazd?

Cóż, teraz to i tak nie miało znaczenia. Leia nie umiałaby wskazać chwili, w której mogłaby go jeszcze ocalić. Pewnego dnia, kiedy spuściła go z oka, jej syn po prostu ześlizgnął się w objęcia ciemności, a teraz było za późno, żeby go stamtąd zawrócić.

Oboje Solo pokonali zakręt korytarza i znaleźli się przed turbowindami. Han dotknął przycisku na kontrolnym panelu, żeby przywołać kabinę i zjechać nią na poziom dziedzińca, ale nic się nie stało.

Han uderzył w przycisk jeszcze raz, tym razem pięścią, ale kontrolna lampka nie zapłonęła na zielono.

- Coś wspaniałego - mruknął zdesperowany Solo. Ruszył dalej, w głąb korytarza, żeby poszukać innej windy. - Masz wygłosić mowę pożegnalną, a tymczasem nie możemy nawet...

- Zaczekaj. - Leia chwyciła go za rękę i szarpnęła do tyłu. Poczowała na karku świerzbie, które zawsze uprzedzało ją o grożącym niebezpieczeństwie. - Chyba jesteśmy obserwowani.

- To oczywiste, że jesteśmy obserwowani. - Han wskazał kciukiem w kierunku Porannego Dziedzińca w dole, jakby chciał jej pokazać zgromadzonych za transpasterowymi panelami dostojników. - Widziałaś, ilu ich tam jest? Na pewno wszyscy uczniowie Świątyni oglądają w tej chwili hologramy z kamer systemu bezpieczeństwa.

- I właśnie dlatego jestem zdumiony, kapitanie Solo, że pan i księżniczka Leia zdecydowaliście się mimo wszystko tu pojawić. - Głos mówiącego miał basowe, stanowcze brzmienie i dobiegał zza pleców obojga Solo. - Nie powinienem był wątpić w słowa pułkownika. Przewidział, że przybędziecie.

Leia odwróciła się i zobaczyła porucznika. Młodszy oficer, z gładko ogoloną głową, stał na zakręcie korytarza na czele niewielkiego oddziału żołnierzy w czarnych mundurach Straży Galaktycznego Sojuszu. Nie od razu uświadomiła sobie, kim są, bo w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie mieściło się jej w głowie, że Jacen mógł zastawić pułapkę na swoich rodziców podczas ceremonii pogrzebowej własnej ciotki. Miała przed sobą sześciu żołnierzy SGS, najwyraźniej przekonanych, że za chwilę zaarrestują ją i Hana.

Solo spiorunował ich spojrzeniem.

- Skąd się tu wzięliście? - zapytał. - Jesteście w Świątyni Jedi.

- A Jedi służą Sojuszowi. - Porucznik podszedł bliżej, ale zatrzymał się w odległości pięciu metrów od obojga Solo. Żołnierze za jego plecami ustawili się tak, żeby zająć całą szerokość korytarza. Oficer spojrzał groźnie na Leię. - A przynajmniej powinni - dodał cierpko.

- Popelnia pan poważny błąd, poruczniku - przemówiła księżniczka lodowatym tonem. Ona i Han przedsięwzięli wszystkie możliwe środki ostrożności, żeby nikt ich nie rozpoznał po drodze, ale wysłanie żołnierzy do samej Świątyni było nieprawdopodobnym afrontem, którego Luke nigdy by nie puścił płazem, gdyby nie był tak bardzo pogrążony w żałobie. - Rada Jedi nie przymknie oczu na to wtargnięcie. Jeżeli pan się natychmiast wycofa, może pan jeszcze uratować swoją karierę.

- Rada Jedi zrobi to, co każe jej pułkownik... a ja również - odparł oficer SGS. Pstryknął palcami i żołnierze wymierzili w małżonków Solo lufy samopowtarzalnych blasterów typu T-21.

- Mam nadzieję, że się poddacie i nie będziecie stawiali oporu. Na pewno nie chcielibyście zakłócić ceremonii pogrzebowej Mistrzynie Skywalker. To byłby brak szacunku.

- To prawda. - Leia wzmocniła swoje słowa energią Mocy i wykonała dyskretny ruch dwoma palcami, żeby porucznik nie zwrócił uwagi na sugestywne brzmienie jej głosu. - Właśnie dlatego mój syn nas zapewnił, że możemy się tu czuć bezpieczni.

Porucznik zmarszczył brwi i chwilę się zastanawiał.

- Musiała zajść jakaś pomyłka - odezwał się w końcu, nakazując gestem podwładnym, żeby opuścili broń. - Pułkownik ich zapewnił, że mogą się tu czuć bezpieczni.

Żołnierze jednak nadal mierzyli z blasterów do obojga Solo, a należący do ich oddziału kapral powiedział:

- Panie poruczniku! Ona próbuje pana zwieść sztuczkami Mocy!

Oficer zamrugał, ale po chwili odzyskał przytomność umysłu i ostrość spojrzenia.

- Jeżeli spróbuje pani tego jeszcze raz, otworzymy ogień - zagroził. - Chyba się pani orientuje, że nie jestem kimś słabym na umyśle.

- Nie? - podchwycił Han. - W takim razie jak to się dzieje, że słucha pan rozkazów mojego syna?

Porucznik się zarumienił.

- Pułkownik Solo jest wielkim patriotą, a może nawet wybawicielem!

Porucznik niespodziewanie zacharczał, a potem wrzasnął, kiedy Leia, posługując się Mocą, poderwała go w powietrze i cisnęła na stojących za nim żołnierzy. Trzech runęło na posadzkę, a pozostali z trudem zachowali równowagę. Księżniczka odpięła od pasa rękojeść

światlnego miecza, odwróciła się i pobiegła korytarzem w przeciwnym kierunku. Han, który wyprzedził ją o trzy kroki, jedną ręką wyszarpnął blaster z kabury, a drugą wyciągnął do tyłu, żeby pomóc żonie.

- Gdzieś przed nami musi być szyb następnej turbowindy - powiedział. - Jeżeli się pospieszymy, zjawimy się w samą porę, żebyś mogła wygłosić swoją...

- Wykluczone! - Leia była wzruszona jego poświęceniem, ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była strzelanina podczas pogrzebu Mary... chociaż jej samej mogłoby to się nawet spodobać. - Nie możemy się tam pojawić.

- Musimy - naciskał Solo. - Jak myślisz, dlaczego Jacen usiłuje nas schwytać właśnie teraz, zamiast po pogrzebie? Jeżeli cały czas zamierzał nas aresztować, czy nie byłoby mu łatwiej nas dopaść, kiedy bylibyśmy załamani i nie zwracalibyśmy uwagi na to, co się wokół nas dzieje?

Leia z wrażenia aż zwolniła.

- On nie chce, żebyśmy się zobaczyli z Lukiem - odgadła.

- Mogę się o to założyć - mruknął Han. - Na pewno się obawia, że pokrzepimy go na duchu albo coś w tym rodzaju.

Jego sugestia miała sens. Krótko po dokonanych przez Jacena przewrocie kilku mistrzów z Rady Jedi publicznie potępiło ten akt... a to potępienie niewątpliwie kosztowało Jacena i panią admirał Niathal sporo tak ważnego w początkowym okresie poparcia. Od czasu śmierci Mary cała Rada jednak zachowywała milczenie. Prawdopodobnie jej członkowie byli zbyt zajęci sprawami Jedi, żeby się wtrącać do polityki. Takie milczenie musiało być bardzo na rękę obojgu nowym przywódcom Sojuszu.

Zanim Leia zdążyła przyznać mężowi rację, pokonali następny zakręt korytarza i zobaczyli przed sobą stojące w poprzek postacie w czarnych mundurach. Zdążyli rozpoznać drugi oddział żołnierzy SGS, kiedy rozległ się stłumiony odgłos wystrzałów i w powietrzu poszybowały ku nim trzy energetyczne sieci ogłuszające.

Leia machnęła ręką i wykorzystując Moc, skierowała dwie sieci na ścianę. Trzecia, skwiercząc od nadmiaru energii i pozostawiając w powietrzu krople lepkiej mazi, przeleciała obok nich wzdłuż przeciwległej ściany korytarza.

Han padł na posadzkę i otworzył ogień do żołnierzy. Jeden z nich, porażony blasterową błyskawicą ogłuszającego strzału, przewrócił się i zaczął wić z bólu. Leia wyciągnęła rękę w kierunku napastników. Kiedy usłyszała cichy odgłos kolejnego strzału, posłużyła się Mocą i skierowała naelektryzowaną sieć z powrotem w kierunku żołnierza, który ją wystrzelił. Szeregowiec runął na wznak, zakrztusił się i drgał w konwulsjach, kiedy

naładowane sploty sieci zaciskały się na jego ciele.

Zza zakrętu korytarza za plecami obojga Solo rozległ się tupot podkutych butów. To żołnierze pierwszego oddziału spieszyli, żeby odciąć im drogę ucieczki.

- Tym razem Jacen posunął się za daleko - warknął Han, cały czas strzelając w kierunku żołnierzy z drugiego oddziału. - Będziemy musieli coś zrobić w sprawie tego chłopaka.

- Lepiej się najpierw z tego wyplączmy, zgoda?

- Dobry pomysł - przytaknął mąż. - Masz jakiś plan?

Leia nie miała, ale zapaliła klingę świetlnego miecza i rzuciła się do ataku.

- Za mną! - wykrzyknęła.

Czterej pozostali żołnierze drugiego oddziału odrzucili na bok wyrzutnie sieci i wyciągnęli karabiny blasterowe, ale zanim zdążyli dać ognia, księżniczka znalazła się przy nich. Powaliła jednego kopnięciem w głowę, a drugiego posłała na ścianę ciosem z półobrotu. Kiedy uniosła głowę, spojrzała w wylot lufy blastera typu E-11. Przed nią stał młodziutki rekrut, najwyżej parę lat starszy niż jej syn Anakin, kiedy stracił życie.

Chłopak patrzył na nią otwartymi szeroko oczami i Leia zrozumiała, że zaraz ją zastrzeli. Użyła świetlnego miecza i odcięła mu rękę na wysokości łokcia. Czując smutek i mdłości, minęła go i pobiegła dalej w głąb korytarza. Walka w dniu pogrzebu Mary wydawała się jej czymś bardzo niestosownym, podobnie jak przelewanie krwi w Świątyni Jedi i okaleczanie podwładnych jej syna.

Ostatni żołnierz drugiego oddziału runął na posadzkę i zaczął się skręcać z bólu. Po jego mundurze i wyposażeniu wciąż jeszcze pełzały nitki elektrostatycznych wyładowań po ogłuszającym strzale Hana. Leia spojrzała na dziedziniec i zauważyła, że kilku mistrzów Jedi uniosło brwi w niemym zaskoczeniu. Niewątpliwie wyczuli dzięki Mocy to, czego przybyli na uroczystość dostojnicy nie mogli zobaczyć przez okalające Poranny Dziedziniec lustrzane panele. Luke chyba nie wyczuł zakłócenia w Mocy, a Ben zwracał całą uwagę na mistrzów Jedi. Mimo to Leia była pewna, że syn Luke'a wkrótce się zorientuje, co się dzieje.

Han podbiegł i oderwał granat udarowy od pasa jęczącego chłopaka, któremu żona amputowała rękę. Wyprostował się i chwycił ją za łokieć.

- To nie twoja wina - powiedział, ciągnąc ją w głąb korytarza. - To wina Jacena.

Leia chciała powiedzieć, że to bez znaczenia, ale dała spokój, bo żołnierze z pierwszego oddziału wybiegli z zakrętu i otworzyli ogień z blasterów. Wycofując się z Hanem w głąb korytarza, zaczęła odbijać błyskawice nadlatujących strzałów z powrotem w kierunku napastników. Niestety, porucznik i jego podwładni nie popełnili błędu żołnierzy z

drugiego oddziału i nie odsunęli się od ściany korytarza. Wykorzystując transpastalowe panele jako osłonę, starali się zajmować jak najmniej miejsca.

Jedna z błyskawic odbiła się od ściany nad głowami małżonków Solo i wyorała w transpastali dymiącą bruzdę.

- Hej, te strzały niosą maksymalną energię! - przeraził się Han. Odbezpieczył granat zabrany okaleczonemu młodzikowi i odwrócił się do żołnierzy. - No dobrze, skoro chcecie pogrywać z nami nieczysto...

Leia chwyciła go za rękę.

- Nie, Hanie - powiedziała. - Nie możemy tego zrobić... Nie tutaj. Nie dzisiaj.

Zabezpieczyła z powrotem granat w dłoni męża, wyłuskała śmiertelnie kulę z jego palców i rzuciła w stronę prześladowców. Kiedy granat upadł na posadzkę, posłużyła się Mocą, żeby pchnąć go jeszcze dalej, w sam środek grupy.

Ulewa blasterowych błyskawic od razu się skończyła. W korytarzu rozległy się okrzyki:

- Granat!

- Kryć się!

Porucznik i jego podwładni odwrócili się i szybko zniknęli za zakrętem korytarza.

Leia chwyciła Hana za rękę i pociągnęła korytarzem do najbliższego skrzyżowania. Kiedy skręcili w stronę przeciwną do Porannego Dziedzińca, Solo obejrzał się za siebie i stanął jak wryty.

- Pomyliłaś drogę! - zawołał. Szarpnął ją w przeciwnym kierunku, w stronę dziedzińca. - W ten sposób nigdy nie zdążysz...

- Wiem, Hanie. - Leia nie dała się zawrócić, ale musiała pomóc sobie Mocą, bo inaczej buty ślizgałyby się jej po posadzce. - Nasza obecność wywołała i tak za dużo zamieszania. Nie możemy zmienić pogrzebu Mary w blasterowy pojedynek.

- To nie nasza wina - zaprotestował Solo. - To Jacen przysłał tu tych siepaczy.

- Co to za różnica? - zapytała księżniczka. - Jeżeli tam pójdziemy, znów podążą za nami, żeby nas aresztować, i czym to się skończy?

Rozważając taką alternatywę, Han sposepniał. Gdyby się poddali, wyładowałiby w więzieniu SGS, a jeśli postanowią stawić opór, oskarżą ich o sprowokowanie walki na blastery podczas pogrzebu Mary. Tak czy owak, nie przydadzą się na nic Luke'owi ani Benowi. Puścił Leię.

- Czymś fatalnym - przyznał ponuro. - Wygląda na to, że Jacen jest znów górą.

- Na razie - syknęła Leia. Ruszyła dalej korytarzem, ciągnąc męża w stronę wyjścia ze

Świątyni. - Ale masz rację, Hanie - dodała po chwili. - Rzeczywiście nadeszła pora, żeby coś zrobić w sprawie tego chłopca.

ROZDZIAŁ 3

Saba Sebatyne żyła pośród ludzi grubo ponad dziesięć standardowych lat, a mimo to wciąż nie całkiem ich rozumiała. Nie miała pojęcia, dlaczego po stracie żony Mistrz Skywalker wydaje się tak zagubiony, dlaczego przestał rozmawiać z przyjaciółmi i zamknął się w sobie. Przecież musiał wiedzieć, że Marze by się to nie spodobało. Jego żona wolałaby, żeby pozostał sobą i stojąc na czele Jedi, wskazywał im drogę wyjścia z tego kryzysu.

A teraz stał wpatrzony w pogrzebowy stos, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że leży na nim jego towarzyszka życia. Czyżby się spodziewał, że lada chwila Mara się obudzi i stanie obok niego? Może tylko starał się zrozumieć, dlaczego ciało Mary nie powróciło do Mocy. Na pewno się zastanawiał, podobnie jak wielu innych mistrzów, czy ciało żony nie przekaze mu jakiejś wskazówki o swoim zabójcy... wskazówki, którą przeoczono podczas autopsji.

Może też podejrzewał, że przyczyn należy szukać w przeszłości żony, kiedy była Ręką Imperatora. Czy popełniła wówczas coś tak strasznego, że Moc nie chciała przyjąć jej ciała?

Saba wiedziała tyle, że nic nie wie. Mistrz Skywalker został zraniony i zachowywał się w sposób, którego nie potrafiła zrozumieć. Obawiała się, że jeżeli Luke nie wróci szybko do formy, wydarzy się coś strasznego. Wyczuwała to dzięki Mocy.

Nagle zorientowała się, że ktoś na nią patrzy. Odwróciła się i spojrzała prosto w zielone oczy Corrana Horna. Korelianin stał mniej więcej trzy metry od niej, rozmawiając z Kypem Durrinem i Kenthem Hamnerem. Cilghal, Kyle Katarn i pozostali mistrzowie dotrzymywali towarzystwa Mistrzowi Skywalkerowi i jego synowi. Kiedy Corran zauważył, że Barabelka na niego patrzy, skinął na nią, żeby podeszła.

Saba pokiwała głową, ale zanim się ruszyła, spojrzała za siebie. Chciała się upewnić, czy stłoczeni na dziedzińcu dostojnicy nie zaczynają się niecierpliwic z powodu opóźnienia. Pograżona w medytacji Tenel Ka klęczała w pierwszym rzędzie obok Tesara, Lowiego, Tahiri i większości pozostałych rycerzy Jedi. Brakowało właściwie tylko Jai i Zekki, którym polecono nadal ścigać Alemę Rar. Na krzesłach za rycerzami Jedi Saba zobaczyła admirał Niathal i członków jej naczelnego dowództwa. Wszyscy siedzieli prosto i sztywno, zbyt zdyscyplinowani, żeby się kręcić, obojętne jak długo miałyby to trwać. Za nimi zajmowała

miejsca większość członków Senatu i sekretarzy każdego głównego departamentu. Dostojnicy wykorzystywali czas, rozmawiając dyskretnym szeptem z innymi dostojnikami. Saba stwierdziła, że nie ma osoby, która powinna siedzieć na pustym krześle po prawej stronie admirała Niathal... - drugiego uczestnika przewrotu i współprzywódcy Galaktycznego Sojuszu, Jacena Solo.

Zadowolona, że zniecierpliwieni dygnitarze nie okazują chęci opuszczenia Porannego Dziedzińca, przeprosiła Bena i zmienionego nie do poznania Mistrza Skywalkera, żeby podejść do Corrana i pozostałych Jedi. Kyp Durrone miał jak zwykle długie, rozwichrzone włosy, ale przynajmniej starannie się ogolił. Kenth Hamner, który mógłby uchodzić za ojca Kypa, wyglądał równie schludnie i dostojnie jak zawsze.

- O co chodzi? - zjeżyła się Barabelka. - Nie widzicie, jak ta zwłoka wpływa na Mistrza Skywalkera? Kiedy wreszcie zaczniemy?

Corran i Kyp wymienili nerwowe spojrzenia.

- Kiedy tylko będziesz gotowa, Mistrzynie Sebatyne - odparł Durrone.

Saba przesunęła językiem po wargach. Nie bardzo rozumiała, dlaczego wszyscy mieliby czekać na nią.

- Ona ma być gotowa? - postanowiła się upewnić.

- Właśnie - odparł Corran. Spojrzał ponad jej ramieniem na Bena i Mistrza Skywalkera i dodał ledwo słyszalny szeptem: - Chyba wyczułaś to zakłócenie w Mocy kilka minut temu, kiedy doszło do zamieszania na górnym poziomie? - zapytał.

- Ona je wyczuła - potwierdziła Saba. - Co to było? Ekipa holowizyjna ssstarająca się ukradkiem zarejssstrować przebieg ceremonii pogrzebowej?

- Niezupełnie - wyjaśnił Kyp równie cicho jak Horn. - To był oddział żołnierzy Straży Galaktycznego Sojuszu.

Saba aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Oddział SGS? - zapytała. - Tu, na terenie Śśświątyni?

- Obawiam się, że tak - przyznał Durrone. - Próbowali aresztować Leię i Hana Solo.

Zastanawiając się nad tym, co usłyszała, Saba chlasnęła ogonem w kamienną posadzkę. Wciąż jeszcze oszołomiona, pokręciła głową.

- Jeden oddział? - zapytała. - To nie wysstarczy.

- Naturalnie, że nie - zgodził się z nią Kyp. - Ale porozmawiamy o tym później. Pogoń za Solo przeniosła się na zewnątrz Świątyni, a my mamy w tej chwili inne zmartwienia.

Barabelka pokiwała głową.

- Naturalnie - stwierdziła. - Ona zaraz poinformuje o tym Mistrza Sssskywalkera.

Kiedy zaczęła się odwracać, Corran wyciągnął rękę, żeby chwycić ją za ramię... ale przypomniał sobie, co może się stać, kiedy ktoś szarpie istotę tej rasy, i szybko cofnął rękę. Saba zasyczała z ulgą - byłaby bardzo zażenowana, gdyby musiała go ugryźć na oczach tylu dostojników - i uniosła brwi.

- Dlaczego myślisz, że Mistrz Skywalker musi o tym wiedzieć? - zagadnął Corran. - Ma na głowie mnóstwo innych spraw.

- Ona uważa, że Mistrz Sskywalker ma za mało spraw - sprzeciwiła się Barabelka. - Mara na pewno by nie chciała, żeby jej mąż do tego sstopnia zamykał się w sobie.

- Ale by to zrozumiała - stwierdził Kenth. - Istoty ludzkie muszą mieć czas, żeby się oswoić ze śmiercią ukochanej osoby, Sabo. W tej chwili Mistrz Skywalker jest pogrążony w smutku, a my musimy dopilnować, żeby nic nie zakłóciło jego spokoju podczas tego pogrzebu.

- To jedyny sposób, żeby przyszedł do siebie - dodał Horn.

Saba nastroszyła łuski i spojrzała w inną stronę. Znów usłyszała to słowo: smutek. Nie rozumiała, jaki z niego pożytek. Nie miała pojęcia, dlaczego po stracie bliskiej osoby ludzie muszą rozpaczać. Czy nie wystarczyło im, że zachowają jej obraz w sercu i w pamięci? Wyglądało na to, że istoty ludzkie mają za słabą pamięć, żeby utrwalić w niej wspomnienia o zmarłych, zupełnie jakby uważały, że osoba odchodzi tylko dlatego, bo jej życie się skończyło.

Odwróciła się i spojrzała na Corrana.

- Nie możemy dopuścić, żeby takie wtargnięcie uszło na sucho - oznajmiła. - Jacen manipuluje nami równie łatwo jak Barabel wymachuje ogonem.

- Nie pozostawimy tego bez kary - zapewnił Kyp. - Podejmiemy odpowiednie kroki, ale po pogrzebie.

Saba kiwnęła głową.

- W porządku - zgodziła się. - Ona jednak nie sssądzi, byście powiedzieli jej o tym wtargnięciu tylko po to, żeby ona nie powiedziała nic Mistrzowi Sskywalkerowi.

Corran pokręcił głową.

- Właściwie nie o to chodzi - powiedział. - Widzisz, księżniczka Leia miała wygłosić mowę pogrzebową.

- Ach, teraz ona rozumie, dlaczego Jacen się tu nie pojawił.

- Jacen o tym nie wiedział - odezwał się Kenth. - Ale nie na tym polega problem.

- Naturalnie, że nie. - Saba brała udział w wielu ceremoniach pogrzebowych istot ludzkich i wiedziała, że zawsze podczas nich ktoś wygłasza mowę. Widocznie takie

przemówienie stanowiło ważny element pochówku istoty ludzkiej, bo pomagało w wyciśnięciu łez, które powinny wówczas popłynąć. Powiodła spojrzeniem po tłumie dostojników, po czym przeniosła je na Bena i na jego ojca. - To co teraz trzeba zrobić, żeby Mistrz Ssskywalker mógł się pogрузić w rozpacz?

Corran i Kenth spojrzeli po sobie.

- Mieliliśmy nadzieję, że ty wygłosisz przemówienie - odezwał się Hamner.

- Ona? - Saba zasyczała cicho, ale zaraz sobie przypomniała, że istoty ludzkie nie znoszą wesołości podczas swoich pogrzebów, i ugryzła się w język. - Mówicie poważnie?

Kenth pokiwał głową.

- Byłaś przyjaciółką Mary - powiedział. - Chyba najlepiej rozumiesz, co znaczyła dla Luke'a i dla nas wszystkich.

- Ale ona nie jest nawet człowiekiem - sprzeciwiła się Barabelka. - Ona nie rozumie pojęcia żałoba.

- Nic nie szkodzi - zapewnił ją Kyp. Spojrzał na nią z wyzwaniem. - Zrozumiemy, jeżeli się przestraszysz. Mogę wygłosić tę mowę zamiast ciebie.

- Ona się wcale nie boi! - Saba rozumiała, że Kyp ją podpuszcza, ale wiedziała także, że Durrone ma rację. Gdyby odmówiła, sprzeniewierzyłaby się pamięci Mary. - Ona prosto nie ma pojęcia, co powiedzieć.

Kyp pokiwał współczująco głową.

- To co, chcesz, żebym ja to zrobił? - zapytał.

- Nie! - Mara na pewno by nie chciała, żeby Kyp przemawiał na jej pogrzebie. Wprawdzie ostatnio Durrone wspierał Mistrza Skywalkera jako przywódcę Zakonu Jedi, ale nie zawsze uważał go za odpowiednią osobę na tym stanowisku, a Mara miała doskonałą pamięć. - Ona to robi - zdecydowała Barabelka, po czym odwróciła się do Kentha: - Co ona ma powiedzieć?

- To, co ci podpowie serce. - Hamner pchnął ją lekko w kierunku mównicy. - Poradzisz sobie doskonale.

Saba przełknęła z wysiłkiem ślinę i podeszła do Mistrza Skywalkera.

- Leia i Han się spóźniają - szepnęła mu do ucha. - Ona teraz rozpocznie tę ceremonię.

Luke utkwił spojrzenie w twarzy Mary i nic nie odpowiedział. Jego twarz w kapturze była pogrążona w tak głębokim cieniu, że nie było widać nawet czerwonych worków pod oczami. Mistrz Jedi zamknął się w sobie, ale z jego aury w Mocy promieniowała udreka.

Ben wychylił się zza pleców ojca i skinął głową.

- To dobrze - powiedział. - Mamie by się to podobało.

Saba poczuła w sercu ciepło, które rozproszyło wątpliwości, jakie ją ogarnęły na myśl o tym, że musi wygłosić przemówienie do tyłu dostojników. Odwróciła się w ich stronę, wygładziła fałdy płaszcza i wstąpiła na podwyższenie. Kiedy stanęła na mównicy, do jej ust podpłynął srebrzysty latający mikrofon, ale Barabelka wyłączyła go machnięciem pazura i umieściła ponownie w gnieździe ładowarki. Nie musiała korzystać ze wzmacniacza głosu, żeby ją wszyscy usłyszeli.

Na dziedzińcu zapanowała cisza. Saba poświęciła chwilę, żeby spojrzeć na Tenel Ka, admirał Niathal i innych dostojników. Potem, pomagając sobie Mocą, żeby poniosła jej głos do najdalszych zakątków wielkiej sali, zaczęła przemówienie:

- Przybyliśmy do tego śśświątego miejsca, żeby pożegnać naszą drogą przyjaciółkę, dzielną wojowniczkę i szlachetną szafarkę sprawiedliwości - powiedziała. - Mara Jade Skywalker była jedną z najjaśśniejszych gwiazd Zakonu Jedi. Wszystkim nam będzie jej bardzo brakowało. - Przeniosła spojrzenie na klęczących w pierwszym rzędzie rycerzy Jedi. - Jej śśświatło znikło wprawdzie z galaktyki, ale nie zgasło. Nadal płonie w nas, podobnie jak płonęło w czasach, kiedy wyruszyliśmy razem na polowania i sssłuchaliśmy nauk, które przekazywała nam jako mistrzyni Jedi. - Odwróciła się, by popatrzeć na Mistrza Skywalkera i na jego syna. - Mara żyje nadal w miłości i w radach, które dawała nam jako towarzyszka życia, a także w poświęceniach, których nie szczędziła jako matka. Dopóki biją nasze sserca, będzie w nich lśniło jej śśświatło.

Mistrz Skywalker w końcu oderwał spojrzenie od pogrzebowego stosu. Na jego twarzy nie było wprawdzie spokoju, ale przynajmniej w oczach pojawił się cień wdzięczności. Saba zauważyła, że jej słowa do niego przemówiły. Trudno byłoby jednak stwierdzić, czy przyniosły ulgę Benowi. Młody Skywalker wbił wzrok w kamienne płyty pod stopami. Jego ściągnięte brwi dowodziły skupienia, a z aury w Mocy promieniowały smutek, dezorientacja i wściekłość, która przeraziłaby Marę.

Saba zastanawiała się, co powinna powiedzieć, żeby uśmierzyć tę wściekłość, kiedy usłyszała szmer zdumienia wśród zgromadzonych dostojników. Szmer powoli się do niej zbliżał, z każdą chwilą głośniejszy. Saba odwróciła się do słuchaczy, dobrze wiedząc, że jej słowa nie mogły wywołać takiego zamieszania. Zauważyła, że wszyscy wyciągają szyje i gapią się na okolice wejścia.

Szerokim środkowym przejściem kroczyła ubrana w czerń postać w wysokich do kolan butach. Z jej szerokich ramion spływała długa błyszczojedwabna peleryna. Mężczyzna miał ponurą twarz i zapadnięte oczy. Kroczył pewnie, jakby nie liczył się z nikim i z niczym. Kiedy się zorientował, że wszyscy go obserwują, uniósł rękę i dłoń w czarnej rękawicy

zrobił gest, który miał oznaczać przeprosiny, a może pozdrowienie.

- Mam nadzieję, że wybaczycie mi opóźnienie - odezwał się Jacen Solo. - Zatrzymały mnie sprawy wagi państwowej. Na pewno wszyscy to zrozumiecie.

Zebrani dostojnicy skwitowali jego słowa potakującymi pomrukami, ale Jacen wyczuł w Mocy irytację Saby. Udał jednak, że nie zauważył jej oburzenia, i szedł dalej. Starał się ukrywać swoją obecność w Mocy, żeby nikt się nie zorientował, jak bardzo jest zdenerwowany. Mistrzowie nie mieli pojęcia, że to on jest zabójcą Mary, ale najbliższe potknięcie z jego strony mogło im to szybko uświadomić.

Nie mógł sobie jednak pozwolić na to, żeby nie wziąć udziału w ceremonii pogrzebowej własnej ciotki. Gdyby się nie pojawił, wywołałoby to lawinę komentarzy. Zbyt wiele osób zaczęłoby sobie zadawać pytania, a Tenel Ka od razu by zrozumiała, że Jacen ani myśli się pogodzić z Mistrzem Skywalkerem. Solo nie tylko musiał tu przyjść, ale także powinien zrobić wszystko, żeby wyglądało, że naprawdę pragnie się pojednać z mężczyzną, którego żonę zabił zaledwie tydzień temu.

Przeszedł przez tłum, nawet nie spojrzawszy na zarezerwowane dla niego miejsce obok admirała Niathal. Zbliżył się do rzędu kłęczących rycerzy Jedi i skłonił się przed Tenel Ka.

- Dziękuję, że zechciałaś przybyć, królowo matko - powiedział, nie zdradzając żadnym gestem, że już się z nią widział po jej przylocie na Coruscant. - Rozumiem, że w tych trudnych czasach twoja podróż była bardzo niebezpieczna.

- Mistrzynie Skywalker była niezwykłą Jedi i wyjątkową przyjaciółką - odparła Hapanka. Jej szare oczy nie zdradzały niczego.

- Chętnie narazilibyśmy się na więcej niebezpieczeństw, byleby uczestniczyć w jej pogrzebie.

- Twoja obecność na pewno sprawi wielką ulgę Benowi i... - Jacen się zawahał, zanim dokończył: - ...i Mistrzowi Skywalkerowi.

Tenel Ka skinęła głową tak nieznacznie, że nie zauważył tego chyba nikt oprócz Jacena.

- Mogę tylko mieć taką nadzieję - powiedziała.

Jacen przeprosił ją, po czym ruszył dalej i zatrzymał się dopiero obok Luke'a. W Mocy zagotowało się od wściekłości mistrzów Jedi, ale Solo udał, że tego nie wyczuwa. Pogrzeb Mary był doskonałą okazją, żeby dać wszystkim do zrozumienia, jaką pozycję zajmuje wśród Jedi... i żeby zasiać w umysłach dygnitarzy przekonanie, że jest kimś równym swojemu wujowi. Jacen nie mógł i nie zamierzał przegapić takiej okazji. A jeśli będzie dobrze udawał

chęć pogodzenia się z wujem, to może Tenel Ka przekaze mu dowództwo nad swoją flotą.

Luke nie zwrócił uwagi na siostrzeńca. Kenth Hamner podszedł do młodego Solo i odezwał się tonem ojcowskiej nagany:

- Jacenie, pamiętaj, że nie jesteś mistrzem. - Gestem wskazał szereg kłęczących rycerzy Jedi. - Twoje miejsce jest pośród nich... zajmij je, proszę, Jedi Solo.

- Chyba się nie rozumiemy, Mistrzu Hamner. - Jacen odchylił połę płaszcza i pokazał pusty haczyk do przyczepiania rękojeści świetlnego miecza. - Nie przyszedłem tu jako Jedi.

- Tym bardziej znajdujesz się w niewłaściwym miejscu - oznajmił Kyle Katarn, który stanął przy nim. - To pogrzeb Jedi.

- Biorę w nim udział jako członek rodziny. - Jacen świadomie mówił spokojnym, rzeczowym tonem. Starał się sprawiać wrażenie, że to nie on, lecz mistrzowie robią niepotrzebne zamieszanie. - Jestem tu tylko po to, żeby pocieszyć mojego kuzyna i wuja.

- Pocieszyć ich? - Do mistrzów dołączył Kyp Durrón. - Spodziewasz się, że w to uwierzemy?

- Tak, bo to prawda - stwierdził łagodnie Jacen.

Kyp zignorował jego słowa i chwycił go za ramię, a wtedy Luke zaskoczył wszystkich, unosząc rękę.

- Zaczekaj - powiedział. Oprócz rozpaczony w jego głosie brzmiała dziwna stanowczość. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby Jacen stał obok mnie i Bena.

Kyp wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Mistrzu Skywalker - zaczął. - Jacen tylko próbuje wykorzystać pogrzeb, żeby...

- Wszystko w porządku. - Luke gestem posłał Kypa, Kentha i Kyle'a na poprzednie miejsce. - Chcę, żeby Jacen mi towarzyszył.

Kyp spochmurniał, ale wszyscy trzej bez słowa usłuchali.

Jacen obserwował, jak odchodzą. Wyglądał na zdezorientowanego, dopóki Luke nie odwrócił się i nie wyciągnął do niego ręki.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Jacenie - powiedział.

- Mara była wspianiałą Jedi i kochającą ciotką. - Ściskając dłoń wuja, Jacen pilnował bardziej niż kiedykolwiek, aby jego uczucia nie ujawniły się w Mocy. Wprawdzie trudno byłoby przypuszczać, że w takiej chwili wuj będzie miał dość siły, by zbadać, czy siostrzeniec odczuwa wyrzuty sumienia, ale galaktyka była pełna szczątków osób, które nie doceniały Luke'a Skywalkera.

- Nie darowałbym sobie, gdybym przepuścił okazję okazania jej mojego szacunku.

- Cieszę się - stwierdził Luke. - Najwyższy czas, żebyśmy zasypali dzielącą nas

przepaść. - Przeniósł spojrzenie na ciało Mary.

- Myślę, że Mara właśnie stara się nam to powiedzieć.

- Powiedzieć? - powtórzył jak echo Jacen.

Spojrzał na stos pogrzebowy i uznał, że wuj traci kontakt z rzeczywistością. Mara leżała równie nieruchomo jak poprzednio. Nie poruszała ustami ani żadną inną częścią ciała. Wokół panowała cisza.

Ale w tej samej chwili zauważył, że owinięte w wiotki biały całun ciało ciotki staje się przezroczyste i jarzy się energią Mocy. Zdumiona Saba zasyczała, kilkoro innych mistrzów westchnęło z ulgą, za to Jacen o mało się nie udławił z przerażenia. Jeżeli Mara naprawdę chciała komuś coś powiedzieć, to z pewnością nie chodziło jej o pojednanie. Zamierzała wskazać swojego zabójcę.

Luke chwycił siostrzeńca za ramię.

- Czekala z tym, dopóki nie będziemy razem - powiedział.

- Moim zdaniem chciała nam przekazać jakąś wiadomość, nie uważasz?

- Uhm, tak... naturalnie - bąknął Solo. Ku jego zaskoczeniu, w głosie wuja nie brzmiał nawet cień fałszu. O niczym takim nie świadczyła także aura Luke'a w Mocy. Najwyraźniej Mistrz Skywalker wyciągnął fałszywe wnioski z tego, co Mara chciała mu powiedzieć... może dlatego, że nie wiedział, co robiła tuż przed śmiercią. Jacen zdecydował, że musi wykorzystać tę niezwykle sprzyjającą okoliczność. - Chyba wiem, co Mara stara się nam powiedzieć. Że nie ocalimy Sojuszu, jeżeli nie nauczymy się współpracować.

- Słuszna uwaga - podchwycił Luke. - Tym razem postaram się o tym pamiętać.

- Ja także. - Jacen spojrzał ukradkiem na Tenel Ka i zauważył, że hapańska królowa matka ledwo zauważalnie skinęła głową, jakby z aprobatą. - Obiecuję.

Luke skinął głową na dowód zgody, a może nawet wdzięczności, a Jacen ze wszystkich sił próbował nie dopuścić, żeby w Mocy dała się wyczuć jego ulga, a nawet uniesienie. Tak, dostanie flotę, której tak bardzo potrzebował. Hapańska flota zapewni mu siłę potrzebną do zwabienia Konfederacji w pułapkę, odniesienia nad nią druzgoczącego zwycięstwa i zjednoczenia galaktyki w sprawiedliwości i w pokoju.

Kiedy Jacen usiłował zapanować nad emocjami, Luke spojrzał na mównicę, z której Saba Sebatyne cały czas ich obserwowała. Wpatrywała się w Jacena, jakby zaglądała w głąb jego duszy. Może widziała nie tę twarz, którą Jacen demonstrował w miejscach publicznych, ale inną, starannie ukrywaną... twarz Dartha Caedusa.

- Sabo? - zagadnął cicho Luke.

W jego głosie brzmiało ożywienie i nuta nowej pewności siebie. Słyszac to, Jacen

mógłby poczuć niepokój, ale Caedus wiedział, że ożywienie wuja będzie trwało równie długo jak ich „pojednanie”.

- Saaabo!

W końcu Barabelka przeniosła spojrzenie na mistrza Jedi.

- Tak? - zapytała.

Luke wskazał dostojników.

- Może powinnaś mówić dalej? - zasugerował. Spojrzał na świetliste ciało żony, które stało się tak przezroczyste, że zobaczył przez nie przeciwną lustrzaną ścianę dziedzińca. - Chciałbym, żebyś skończyła, zanim Mara całkowicie zniknie.

- Tak, tak, oczywiście... wybac mi - odparła Saba. - Ona była... rozszargana.

Rozejrzała się po zebranych, ale nie od razu podjęła przerwana mowę. Na zmianę strosząc i przyglądając łuski, wodziła spojrzeniem po wielkiej sali. Popatrzyła na Luke'a, potem na Jacena i w końcu jeszcze raz na dostojników. Jacen wyczuł, że Barabelka ma trudności z podjęciem decyzji. Wyraźnie zmagала się ze sobą, żeby zapanować nad oburzeniem z powodu tego, w jaki sposób wykorzystał cierpienie wuja. Odgadł, co postanowiła: ta ceremonia ma się okazać dla niego bardzo nieprzyjemna.

- Z pewnością ona będzie wyrazicielką wszystkich, kiedy powie, jak bardzo się cieszy, że pułkownik Solo znalazł kilka minut, aby uczcić pamięć ssswojej szlachetnej ciotki - przemówiła w końcu Saba.

Jej uwaga była na tyle zaskakująca, że większość zebranych oderwała spojrzenie od szybko niknącego ciała Mary. Z tłumu dał się słyszeć pomruk dezorientacji i oburzenia, ale Jacen zachował kamienną twarz i cały czas patrzył z uprzejmą miną na mównicę. Nieważne, co Saba powie, i tak nie nakłoni Tenel Ka do zmiany zdania.

Zaczął się nawet zastanawiać, czy rzeczywiście nie dotrzymać danej obietnicy, nie pogodzić się z Lukiem na dobre i dla dobra Sojuszu nie zacząć z nim współpracować... ale to było nierealne. Wcześniej czy później ktoś musi odkryć tożsamość zabójcy Mary. Do tej pory Jedi powinni się znaleźć pod całkowitą kontrolą Dartha Caedusa... albo zginąć.

Saba pozwoliła sobie na króciutką przerwę.

- To dobrze, że pułkownik Solo pojawił się w naszych wspomnieniach właśnie w tej chwili - podjęła w końcu. - Największym darem, jaki Mara Jade Ssskywalker nam zostawiła, jest lekcja jej życia... życia, które zaczęło się w najmroczniejszym spośród wszystkich cieni. - Odwróciła się, kierując jedno oko na Jacena, Luke'a i Bena. - Za młodu Marę zabrano od rodziców i zmieniono w szpiega i zabójcę. Jej władca kazał jej robić ssstrasliwe rzeczy, chociaż była właściwie zbyt młoda, żeby brać udział w polowaniach. Uczestniczyła w nich,

bo wierzyła, że postępuje sssłusznie. Snuła marzenia o zjednoczonej galaktyce, w której będzie panowała ta sama sssprawiedliwość... galaktyce pokojowej, rządzonej pięścią jednej osoby. Ta pięść należała do Imperatora Palpatine'a, ale jego marzenia były samą ciemnością. - Dopiero w tej chwili Saba spojrziała prosto na Jacena i nastroszyła łuski, jakby chciała nadać swojej dezaprobachie większą siłę. - Ssskończyło to się śśśmiercią miliardów i zniewoleniem bilionów, końcem wolności i uciszeniem wszystkich, którzy się sssprzeciwiali woli Palpatine'a. W sssercach tych, których Mara miała chronić, zagościł strach, a ci, którym miała służyć, żyli w ciągłej udręce.

Wykonując kolejne zadania, Mara grzęzła coraz głębiej, ale zarazem zaczynała dostrzegać zło w marzeniu ssswojego władcy.

Jeszcze jakiś czas wykonywała jego rozkazy, wmawiając sobie, że zło jest konieczne dla osiągnięcia pokoju... że ktoś musi cierpieć, zanim wszyscy będą mogli żyć w harmonii. - Jacen nie odrywał od niej oczu, a Saba w końcu powiodła spojrzeniem po twarzach dostojników. - Wszyssscy dobrze wiemy, jak się to zakończyło.

Od strony tłumu rozległy się stłumione chichoty. Jacen wyczuł dzięki Mocy, że nastrój dostojników ulega zmianie. Nawet niektórzy jego zwolennicy zaczęli żywić wątpliwości. Zmierzył Barabelkę mrocznym spojrzeniem. Nie zamierzał jej grozić, ale pragnął uzewnętrznić oburzenie z powodu takiego porównania.

Saba go zignorowała.

- Po śmierci Imperatora niektórzy nie ssstracili wiary w jego mroczne marzenie - ciągnęła. - Ssstarając się ożywić Imperium, usiłowali przywrócić do władzy klony Palpatine'a. Mara nie zaliczała się do grona tych ssszaleńców. Po śmierci obłąkanego władcy wiele lat przemierzała galaktykę w poszukiwaniu nowego celu w życiu. Zobaczyła wyraźnie, kim dotąd była i jak bardzo ssstała się zdeprawowana. W końcu los złożył jej życie w ręce mężczyzny, którego uważała kiedyś za wroga... mężczyzny, którego cały czas zamierzała zgładzić. Dopiero podczas ich trudnej wsspólnej podróży zrozumiała, że może pójść inną drogą... drogą wolności, miłości i zaufania.

Mara kiedyś powiedziała jej, że bielmo, jakim zaśślepił jej oczy Imperator, ssspadło tylko dzięki długiemu ssspacerowi w lesie z tym mężczyzną. - Saba wskazała mistrza Jedi. - Powiedziała jej, że dopiero poznanie Luke'a Skywalker'a umożliwiło jej powrót do śśświatłości.

W oczach Luke'a i jego syna zakreśliły się łzy. Ben był zbyt dumny, żeby okazać słabość, więc się odwrócił i ukradkiem otarł twarz, ale Luke pozwolił łzom płynąć, nie odrywając wzroku od stosu. Ciało Mary zamieniło się już w świetlistą mgiełkę.

Kiedy zupełnie zniknęło, mistrz Jedi zamknął oczy, głęboko odetchnął i położył dłoń na ramieniu Bena.

- Połączyła się w końcu z Mocą, synu - szepnął. - Od tej pory będzie zawsze z nami.

- Tak, tato. - Głos Bena się nie załamał i jego starszy kuzyn był z tego powodu bardzo dumny. - Wiem.

Jacen wyciągnął rękę, żeby ucisnąć ramię wuja, ale poczuł ciężar wzroku Saby. Uniósł głowę i napotkał jej chmurne spojrzenie.

W oczach Barabelki malowały się gniew i ból, ale także zawołowana groźba.

- Właściwie na tym polega lekcja życia Mary - podjęła Saba.

Jeżeli pragniemy być dobrzy, musimy tylko otworzyć nasze sserce. Jeżeli w galaktyce mają zapanować pokój i sssprawiedliwość, wysstarczy kroczyć ścieżką światłości.

Jacen opuścił rękę i wymuszonym uśmiechem skwitował piorunujące spojrzenie Saby. Jej słowa wprawiły go w lekkie zakłopotanie, które jednak nie miało żadnego znaczenia. Wygrał flotę Tenel Ka, więc wystarczy mu sił, żeby zastawić pułapkę na Konfederację i ją zmiażdżyć... A kiedy to zrobi, opinii publicznej nie będzie obchodziło to, co sądzi o nim Saba czy jakkolwiek inny mistrz Jedi. Wszyscy uświadomią sobie, że to Caedus, nie Jedi, jest prawdziwym strażnikiem Galaktycznego Sojuszu.

Saba ześlizgnęła się z mównicy i zeszła z podium. Ignorując Jacena, skłoniła się przed Lukiem i przed Benem, po czym stanęła obok pustego stosu. Zamiast podłożyć ogień, jak z pewnością by zrobiła, gdyby nadal leżało tam ciało Mary, spojrzała na pozostałych mistrzów Jedi, którzy zaczęli chórem recytować słowa kodeksu Jedi:

NIE MA EMOCJI - JEST SPOKÓJ.

NIE MA IGNORANCJI - JEST WIEDZA.

NIE MA PASJI - JEST POGODA DUCHA.

NIE MA ŚMIERCI - JEST MOC.

Kiedy skończyli, Jacen podszedł do Saby.

- Wzruszająca mowa pogrzebowa, Mistrzynie Sebatyne - powiedział. W jego głosie brzmiała nuta gniewu, ale nie groźby. - Bardzo pouczająca. Zapamiętam ją na długo. Na bardzo długo.

- To dobrze - odparła spokojnie Barabelka. - Ona ma tylko nadzieję, że zrozumiesz, co chciała ci powiedzieć.

Z pierwszych rzędów osób, które musiały podsłuchać ich rozmowę, dobiegły chichoty

i pokastywania. Do Jacena dotarło, że mogą go uznać za słabeusza. Postanowił zrezygnować z pozorów grzeczności i zmierzył Sabę jawnie wrogim spojrzeniem.

- Twoje poczucie humoru zawsze mnie zaskakiwało, Mistrzynie Sebatyne - powiedział.

- To prawdziwy cud, że do tej pory się nie obraziłem.

- Sabo, zechcesz nam teraz wybaczyć? - Luke podszedł do siostrzeńca. - Nikt z nas nie jest dzisiaj sobą, Jacenie. Mam nadzieję, że mimo wszystko przyłączysz się do Bena i do mnie po zakończeniu tej ceremonii. Naprawdę zależy mi, żebyśmy zasypali dzielącą nas przepaść.

- To byłoby najlepsze dla wszystkich - odparł Solo. Przyjrzał się uważnie Benowi. - Musimy myśleć o przyszłości.

Ben tylko wzruszył ramionami i spojrzał w inną stronę.

Potraktował go jak wroga, ale trudno było mu się dziwić. Po śmierci Mary Jacen zaczął się domyślać, że ryzykuje oddanie, jakim młodszy kuzyn go darzył do tej pory... ale Ben nie powinien zniechęcić go wcześniej, niż kiedy pozna tożsamość zabójcy. Mogło to oznaczać, że chłopak cierpi po stracie matki bardziej, niż Jacen sobie wyobrażał... albo domyśla się prawdy, ale nie wyjawia jej nikomu.

Caedus się zastanowił. Czy będzie musiał zabić Bena, żeby tożsamość zabójcy Mary mogła pozostać jeszcze kilka dni dłużej tajemnicą? Jacen miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo wciąż widział potencjał młodszego kuzyna. Liczył na to, że zrobi z niego godnego ucznia.

Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie pozwolić, żeby Ben opłakiwał śmierć matki w samotności... na razie. Posłał Sabie lodowate spojrzenie i odwrócił się znów do wuja.

- Obawiam się, Mistrzu Skywalker, że nie będę mógł dzisiaj dotrzymać towarzystwa tobie i Benowi - powiedział. - Powinienem wrócić na górę tak szybko, jak to tylko możliwe.

Zdezorientowany Luke uniósł brew.

- Ćwiczenia? - zapytał.

- Nie, towarzyszę Czwartej Flocie w akcji. - Jacen posłał oskarżycielskie spojrzenie Kenthowi, Kyle'owi i pozostałym mistrzom Jedi. - Jestem zdumiony, że Rada ci o tym nie powiedziała. Poprosiłem o pomoc Jedi, którzy mają latać myśliwcami typu StealthX.

Luke zmarszczył brwi i zerknął na Sabę, która mogła tylko przytaknąć.

- Doszliśmy do wniosku, że nie powinniśmy ci zawracać tym głowy - powiedziała.

Irytacja w spojrzeniu Luke'a ustąpiła miejsca zrozumieniu, a po jego twarzy przemknęła chmura... może ze wstydu. Po chwili mistrz Jedi spojrzał znów na Sabę i pozostałych mistrzów Jedi.

- Powiecie mi o tym później - zdecydował.

- Z prawdziwą radością - odparł Kenth Hamner. Zerknął kątem oka na Jacena, ale zaraz zwrócił się znów do Skywalkera i dodał: - Mam ci naprawdę dużo do powiedzenia.

Luke zmrużył oczy i popatrzył na Jacena.

- Rozumiem... wzywają cię obowiązki - powiedział. - Mam nadzieję, że się zastanowisz nad tym, co tu się dzisiaj wydarzyło.

- Będę o tym myślał - obiecał Solo. - Możesz być tego pewny.

- To dobrze. Niech Moc będzie z tobą.

- Z tobą także.

Jacen odwrócił się i ruszył przejściem, wbijając w krzepkomech obcasy wojskowych butów. Posługując się Mocą, łagodnie odpychał na boki stojących wokół ludzi. Luke obserwował go z mieszaniną nadziei i przerażenia. Jeżeli coś jeszcze zostało z chłopca o wrażliwym sercu, którego pamiętał z czasów nauki w Akademii Jedi na Yavinie Cztery, nie potrafił tego odnaleźć. Jacen był otulony ciemnością głębszą, niż Luke kiedykolwiek wyczuwał... to znaczy, od czasów Dartha Vadera i Imperatora. Nie było wcale oczywiste, że uda się go przeciągnąć z powrotem na jasną stronę. Luke musiał jednak spróbować... jeżeli nie dla dobra Jacena, to dla Leii i Sojuszu, ale przede wszystkim dla samego siebie. Odkąd zrobił błąd, zabijając z zemsty Lumię, nie mógł znieść myśli, że może popełnić taki sam błąd w przypadku siostrzeńca. Jeżeli istniał jakiś sposób dotarcia do niego, musiał go wykorzystać.

Na mównicę wstąpił Kenth Hamner, żeby podziękować wszystkim za pomoc w uczczeniu pamięci Mary Jade Skywalker. Poprosił, żeby w nadchodzących trudnych czasach kierowali się jej przykładem, i zaprosił ich na ucztę w Auli Pokoju, gdzie miano wspominać jej życie. Tłum wstał, Luke zaś odwrócił się i ruszył do tylnego wyjścia z sali. Gestem polecił, żeby Ben, Saba i pozostali mistrzowie podążyli za nim.

Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, było zajmowanie się sprawami Zakonu. W sercu, które kiedyś wypełniała Mara, miał bolesną pustkę, zupełnie jakby mu je wyrwano. W tej rozpaczycy jego myśli obracały się tylko wokół wspomnień o śmierci żony... o niespodziewanym, okropnym zerwaniu łączącej ich więzi Mocą. Odczuł to tak, jakby Mara zapadała się w głąb gwiazdy, a on nie mógł dotrzeć do niej, żeby wyciągnąć ją na bezpieczny brzeg. Więź z nią po prostu się zerwała, a Luke pozostał załamany, zagubiony i zraniony.

Cóż, teraz, kiedy Jacen wykonał pierwszy niepewny krok na drodze do przejęcia władzy nad Jedi, Zakon potrzebował Luke'a bardziej niż kiedykolwiek. Mara połączyła w końcu swoje ciało z Mocą, ale z pewnością liczyła na to, że jej mąż będzie silny w chwili tak

ciężkiej próby... że weźmie się w garść i nie dopuści, aby Jacen wykorzystał jej śmierć do zniszczenia czegoś ważnego.

Kiedy cała grupa znalazła się w porośniętym paprociami korytarzu, w którym odbywały się próby ceremonii pogrzebowej, Luke odwrócił się do Saby Sebatyne.

- Czy to naprawdę było konieczne? - zapytał z lekką urazą. - Nie zawrócimy Jacena ze złej drogi, jeżeli będziemy mu dokuczać w miejscu publicznym.

- Nie wierzę, żebyśmy w ogóle dali radę go zawrócić - odparła Barabelka. - Teraz już nikt i nic go nie ocali.

- Nie tobie o tym wyrokować - burknął mistrz Jedi. - Mara nie bez powodu pozostawiła swoje ciało. Starła się nam powiedzieć, że jeżeli chcemy ocalić Sojusz, musimy nakłonić Jacena do współpracy. Nie możemy w nim widzieć przeciwnika.

- Ja tak nie uważam - odezwał się Kyp, kręcąc głową - Saba ma rację. Jacen po prostu wykorzystał pogrzeb Mary, żeby Zakon zaczął go uważać za kogoś ważniejszego.

- Wydaje ci się, że o tym nie wiem? - zapytał Luke. - Mimo to nadal uważam, że mamy szansę. Dla Sojuszu, Zakonu i całej galaktyki lepiej będzie, jeżeli spróbujemy mu wskazywać właściwą drogę, zamiast z nim walczyć.

- Nie, tato, nie będzie lepiej - włączył się nagle Ben. - Prawdę mówiąc, nie sędzę, żeby mama chciała nam przekazać właśnie taką wiadomość... jeżeli w ogóle chciała nam coś powiedzieć.

- Naturalnie, że chciała - zapewnił syna lekko zdeorientowany Luke. - A niby dlaczego twoja matka czekała z przyłączeniem swojego ciała do Mocy, gdyby jej nie chodziło o to, żeby Jacen pojawił się na jej ceremonii pogrzebowej?

Ben wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Nie wiem, ale moim zdaniem zamierzała nam powiedzieć, żebyśmy nie ufali Jacenowi - odparł.

Luke spiorunował go spojrzeniem.

- Benie, co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

Chłopak spuścił głowę.

- Nic - powiedział.

Jeżeli syn kłamał, Luke nie wyczuwał tego w Mocy. Zastanowił się, czy nie pociągnąć go za język, ale ktoś, kto był naocznym świadkiem tylu przesłuchań, jakim funkcjonariusze SGS poddawali schwytanych więźniów, nie dałby się zwieść równie prymitywnym taktykom. Zrezygnował z zamiaru i odwrócił się do Corrana Horna.

- Czy ktoś mi w końcu powie, o co chodzi? - zapytał.

Corran spojrział na Kypa, a ten z kolei na Kyle'a. Kyle wyduł wargi i zerknął w bok, jakby się zastanawiał, czy Mistrz Skywalker jest wystarczająco silny, żeby usłyszeć prawdę. Mistrz Jedi popatrzył na Kentha.

- Podobno masz mi wiele do powiedzenia - przypomniał. - Możesz zaczynać.

- Nie chcieliśmy cię denerwować podczas pogrzebu, ale musisz wiedzieć, że oddział żołnierzy SGS usiłował zaaresztować Hana i Leię - powiedział Hamner. - To właśnie dlatego Solo nie pojawili się na pogrzebie.

- Dali się złapać żołnierzom SGS? - zdziwił się mistrz Jedi.

- Solo?

- To wydarzyło się na terenie Świątyni, gdzie mogli się czuć bezpieczni - wyjaśnił Kenth. - Niespełna godzinę temu.

Luke zdziwił się jeszcze bardziej.

- Oddział SGS tu, w Świątyni? - zapytał.

- Na poziomie szóstym - potwierdził Kyp. - Han i Leia trafili tu spod Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? - zapytał Luke.

Zauważył zakłopotanie na twarzach mistrzów. Domyślił się, że nadal mają wątpliwości, czy powinni mu o tym mówić. Nie mógł za to winić nikogo oprócz siebie. Jak mieli się zachować, skoro tak bardzo zamknął się w sobie? Zwątpił w siebie, w Moc, a nawet w Zakon Jedi. Odseparował się od wszystkich oprócz syna, a w tej chwili zachowywał się tak, jakby trzymał stronę siostrzeńca... jakby praktycznie zapraszał go do przejęcia władzy nad Zakonem.

- Zapomnijcie, że w ogóle o to zapytałem - odezwał się, bo nie usłyszał odpowiedzi. - Na czym stoimy w tej chwili?

Wszyscy odwrócili się do Corrana, który mógł odbierać sygnały z aparatury systemu bezpieczeństwa Świątyni dzięki słuchawce w uchu.

- Nie wiemy - powiedział. - Solo uciekli na Plac Wspólnoty, a Leia oślepiea błyskami Mocy kamery systemu bezpieczeństwa.

- Nie chodzi mi o nich - odparł Luke. - Chodzi mi o żołnierzy SGS.

Corran zmarszczył brwi.

- Opuścili teren Świątyni i ruszyli w pościg za Hanem i Leią - zameldował.

- Na pewno? - zapytał mistrz Jedi. - Jeżeli nie wiemy, gdzie w tej chwili są Leia i Han...

- ...to ssskąd możemy wiedzieć, że oddział SGS nadal ich śśściga? - dokończyła Saba.

- Ssądzisz, że próba aresztowania ich w Świątyni miała na celu tylko odwrócenie naszej uwagi?

- Uważam to za możliwe - przyznał Luke. - Ostatnio do tego stopnia zaniedbałem swoje obowiązki...

- Niczego nie zaniedbałeś - wpadł mu w słowo Kenth. - Twoja rozpacz jest bardziej niż uzasadniona.

- Dziękuję, ale prawda wygląda tak, że naraziłem nas wszystkich - odparł mistrz Jedi. - Staraliście się znaleźć zabójcę Mary i martwiliście się o mnie. To by była doskonała okazja do zadania ostatecznego ciosu Zakonowi Jedi.

- Lepiej odszukajmy tych żołnierzy - zaproponował Kyp. Odwrócił się w stronę szybu turbowindy w końcu korytarza. - Jeżeli się nie pospieszymy, wkrótce będziemy tu mieli cały batalion...

- Wszystko w porządku - włączył się nagle Corran, chwytając Kypa za ramię. - Zauważyły ich kamery systemu bezpieczeństwa Świątyni. Są teraz na zewnątrz. Eskortują Jacena, który przecina Plac Wspólnoty.

Zdezorientowana i chyba lekko rozczarowana Saba zgrzytnęła kłami.

- Czyżby Jacen zrezygnował z zamiaru przejęcia kontroli nad Śśświątynią? - zapytała. Horn wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć? - powiedział. - Z raportów wynika, że ze Świątyni wyleciało wiele ciężkich sań repulsorowych, ale to jeszcze nie oznacza, że podróżowali nimi żołnierze SGS.

W korytarzu zapadła nagle cisza. Mistrzowie spoglądali po sobie niezupełnie przekonani, czy powinni odczuwać ulgę. Luke czuł, jak bardzo wszyscy są zaniepokojeni... i jak mało brakowało, żeby pozwolili Jacenowi przejąć kontrolę nad Świątynią. Albo zrobić coś jeszcze gorszego.

Pierwszy przerwał ciszę Ben.

- No to co zamierzamy z tym zrobić? - zapytał. - Nie może mu ujść na sucho, że usiłował nas wszystkich aresztować.

Zaskoczony Luke spojrzał na syna.

- My mamy z tym coś zrobić, Benie? - zapytał. - Podobno chciałeś, żeby Jacen był twoim mistrzem.

Zakłopotany chłopak zaczerwienił się po same uszy.

- Możliwe, że zrobiłem błąd - przyznał niechętnie. - Mam tylko czternaście lat, więc mam do tego prawo.

Kiedy indziej Luke może by się roześmiał. Zamiast tego powiedział:

- Nie tylko czternastolatki popełniają błędy. Ja sam popełniłem ich co niemiara.

- Jeżeli tak twierdzisz - odparł syn, wzruszając ramionami. - Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Nie zamierzasz mu puścić tego płazem, prawda?

Luke zastanawiał się długą chwilę nad odpowiedzią.

- Prawdę mówiąc, chyba nie mam innego wyjścia - odezwał się w końcu.

- Co takiego? - zapytali chórem mistrzowie.

- To kiepska pora na żarty, Mistrzu Skywalker - dodała całkiem serio Saba. - Mamy poważny kłopot.

Luke kiwnął głową.

- To prawda, i właśnie dlatego namawiałem Jacena na współpracę - odparł z taką samą powagą. - Ktoś musi zrobić pierwszy krok.

- Który zaprowadzi nas prosto w jedną z jego pułapek - mruknął Ben.

- To możliwe... ale pamiętaj, że nie tylko Jacen potrafi je zastawiać - stwierdził mistrz Jedi. Położył dłoń na ramieniu syna i poczuł pewność siebie po raz pierwszy od czasu śmierci Mary. Odwrócił się i ruszył w stronę sali biesiadnej. - Może być całkiem zabawnie, kiedy dla odmiany to my go zaskoczymy.

ROZDZIAŁ 4

Nawet oglądana z wysokości tysiąca metrów, Akademia Jedi na Ossusie wyglądała majestatycznie i imponująco. Zajmowała porośnięty zielenią płaskowyż między pasmem gór a ponurą, głęboką jak wąwóz doliną. Wokół Akademii rozpościerały się zielone trawniki, otoczone bujną roślinnością i przedzielone wijącymi się, szarymi wstęgami brukowanych ścieżek. Ku swojemu zaskoczeniu, Jaina nigdzie nie zauważyła ciemnych plamek przemykających między roziskrzonymi iglicami czy po eleganckich dziedzińcach. Gdyby nie obecność w Mocy uczniów, których wyczuwała pod dachami budowli, mogłaby pomyśleć, że Akademia została opuszczona.

Możliwe, że Solusarowie ogłosili tydzień medytacji dla uczczenia pamięci Mary. Podobnie jak Jaina, na pewno żalowali, że nie mogą uczestniczyć w ceremonii pogrzebowej, a dzieciom przyda się udział w takim rytuale, aby łatwiej się pogodziły ze stratą tak wybitnej mistrzyni Jedi.

Jaina ubolewała, że ani ona, ani Zekk i Jag nie mogą przyłączyć się do tych medytacji. Dręczył ją smutek tak głęboki, jakiego nie odczuwała od czasu wojny z Yuuzhan Vongami, kiedy straciła Chewiego, Anakina oraz setkę kolegów i koleżanek. Musiała zebrać wszystkie siły, żeby nie pogrążyć się w rozpacz i nie zamknąć w sobie, jak zrobiła podczas tamtej wojny.

Z głośnika interkomu Dactyla rendiliańskiej firmy StarDrive, którym w tym tygodniu latała grupa polująca na Aleme, rozległ się szorstki głos Jaggeda Fela:

- Wyczuwacie coś?

- Zaprzeczam - odparł Zekk, który siedział kilka metrów za plecami Jaina, po drugiej stronie kabiny niezgrabnego statku. Rycerz Jedi wyglądał przez obserwacyjny bąbel, taki sam jak ten, przez który obserwowała teren w dole Jaina. - Może nie powinniśmy byli ślepo ufać odczytom parametrów wektora lotu? Nie wiemy nic o nowym statku Alemy, którym teraz lata... A zresztą dlaczego miałyby się tu kręcić?

- Bo to Alema Rar, szalona Jedi - odparła Jaina. - A jeżeli będziemy nadal tracili czas, zastanawiając się nad motywami jej postępowania, staniemy się jeszcze bardziej pomyleni niż ona.

Jag zachichotał - jak zwykle, kiedy Jaina sprzeczała się z Zeckiem.

- Co prawda, to prawda - powiedział. - Czy to znaczy, że ty coś wyczuwasz?

- Daj mi szansę - zachnęła się Jaina. - Dopiero co tu przylecieliśmy.

- Musimy mieć czas, żeby się dostroić do miejscowych prądów - wyjaśnił Zekk. - Nowy statek Alemy nie jest nadajnikiem sygnału namiarowego Ciemnej Strony. Już przedtem emanowała od niego bardzo słaba aura.

- Chcesz powiedzieć, że powinniśmy zawrócić i przelecieć nad tym terenem drugi raz?
- domyślił się Jag.

- A także prawdopodobnie trzeci i siódmy - odparła Jaina. - Odnalezienie jej może kosztować nas sporo wysiłku, ale założę się o moją bluzkę, że Alema tu przyleciała.

- Przyjmuję zakład! - palnął Jag w tej samej chwili, kiedy Zekk powiedział:

- Zgoda!

Jaina zmarszczyła brwi, zdezorientowana ich entuzjazmem.

- O co wam chodzi! - zapytała.

Rycerz Jedi spojrzał na nią z miejsca po przeciwnej stronie kadłuba.

- O ten zakład - wyjaśnił. - Przyjmuję go.

- Hej! - zaperzył się Jag. - Ja pierwszy to zrobiłem! - Jak zwykle, trudno było wywnioskować z jego tonu, czy żartuje, ale Jaina doszła do wniosku, że chyba jednak tak. Do

tej pory zakładał się najwyżej o wszystko, co miało związek z myśliwcami albo szansami przeżycia. - To ja przyjmuję ten zakład!

- Ha, ha... bardzo zabawne - mruknęła Solo. - Którego słowa zwrotu „nie jestem zainteresowana” nie rozumiecie?

Nawet się specjalnie nie zirytowała. Jeszcze przed śmiercią Mary miała serdecznie dość tego, że obaj starali się zdobyć jej względy, a teraz ich rywalizacja doprowadzała ją do szału. To przecież nie miało sensu. Zekk zapewnił jeszcze na Terephonie, że mu na niej nie zależy, a kiedy znów się pojawił Jag, był na nią tak zły za całą historię podczas kryzysu Mrocznego Gniazda, że trudno było myśleć o romansie między nimi.

Niestety, taka miła sytuacja trwała równie krótko jak bańka mydlana w otwartej śluzie. Kiedy dwaj mężczyźni uświadomili sobie, że ktoś inny usiłuje zająć ich miejsce na rodzinnym hologramie, zaczęli się zachowywać jak dwa byczki ronto. Jaina miała w końcu tego dość i po śmierci Mary powiedziała obu, żeby dali jej spokój.

W pewnej chwili pod kadłubem Dactyla mignął wlot hangaru Akademii Jedi, ale zaraz w obserwacyjnym błęku Jainya pojawiło się niebo, bo Jag wykonał ciasny skręt i zaczął zawracać, żeby przelecieć jeszcze raz nad przeszukiwanym obszarem. Dactyl był statkiem o wiele mniej zwrotnym niż YT-2400, który kilka dni temu wykorzystywali jako jednostkę macierzystą, ale Jag nalegał na częste zmiany statków. Liczył na to, że dzięki temu Alema nie zwróci na nich uwagi. Dobrze chociaż, że na pokładzie tego Dactyla każde z nich miało własną kabinę, a w ładowni znalazło się dość miejsca dla myśliwców StealthX.

Po nawrocie Jag nie przeleciał nad samą Akademią, ale obniżył pułap lotu i skierował statek nad sąsiadujące z nią pasmo gór. Jaina otworzyła usta, aby powiedzieć, że bardziej prawdopodobną kryjówką statku Alemy byłaby głęboka dolina, ale przypomniała sobie, ile czasu Jag poluje na szaloną Jedi, i zrezygnowała z tego zamiaru. Zresztą szalona Twi'lekanka była częściowo sparaliżowana, więc trudno byłoby się spodziewać, że ukryje statek na dnie kanionu i zechce się wspinać po stromej ścianie dwa kilometry na poziom Akademii Jedi.

- To może być nasz ostatni przelot - odezwał się przez interkom Jag. - Kontrola ruchu powietrznego Akademii zaczyna zadawać nam pytania.

- Zaniepokoił się tym, że zawróciliśmy - domyślił się Zekk. - Powiedz im, że to wszystko dla ich bezpieczeństwa.

- Powiedziałem - odparł Jag. - Operatorka kontroli chciała wiedzieć, czego właściwie brakuje ich systemowi bezpieczeństwa.

Jaina zachichotała.

- W takim razie wyjaśnij jej, że obserwujemy ptaki - zaproponowała.

Jag na chwilę umilkł.

- Operatorka kontroli życzy nam powodzenia - zameldował w końcu. - Wkrótce powinniśmy zobaczyć na wierzchołkach drzew majestatyczne gokoby.

Jaina i Zekk wybuchnęli śmiechem.

- Co was tak rozbawiło? - zaniepokoił się Jag.

- Za chwilę sam się przekonasz - odparła Solo. Gokoby były bezwłosymi gryzoniami, które spędzały życie, szukając pożywienia wokół kuchni Akademii. Stworzenia nie były groźne, ale kiedy ktoś je przestraszył, miały paskudny zwyczaj wydzielania cuchnącej cieczy.

- Tylko pamiętaj, jeżeli rzeczywiście zauważysz na drzewach coś dużego i barwnego, nie obniżaj pułapu lotu, żeby się temu lepiej przyjrzeć.

- To nie będzie gokob? - domyślił się Jag.

- Nie będzie gokob - potwierdził Zekk. - Na Ossusie żyją piękne, wielkie nadrzewne żaby. Słyszą z tego, że zmusiły do lądowania kilka ćwiczebnych Tee-sześćdziesiątek piątek. Językami.

- Mają tak silne języki? - Jag o mało się nie zachłysnął z wrażenia.

- Tak lepkie - wyjaśniła. - Jeżeli do spodu kadłuba przyklei się setka takich żab, statek traci sporo swojej siły nośnej.

Dactyl leciał jeszcze jakieś pół kilometra nad górami, zanim Jaina zauważyła niewielkie wklęsnięcie wśród koron porastającego zbocza lasu, mniej więcej na wysokości kilometra nad poziomem płaskowyżu. Nie wyczuła energii Ciemnej Strony, która mogłaby sugerować, że odnaleźli kryjówkę dziwnego statku Alemy Rar, ale wgłębienie miało odpowiedni kształt i rozmiar.

- Zaznacz to miejsce - poleciła.

- Załatwione - zameldował Jag, kiedy już zarejestrował współrzędne w systemie nawigacyjnym Dactyla. - Coś wyczułaś?

- Chyba tak. - Jaina sama nie była pewna. - To prawdopodobnie nic... - zaczęła.

- ...ale i tak powinniśmy to sprawdzić - odezwał się Zekk, kończąc jej myśl. - Jeżeli wcześniej się nie natkniemy na coś ciekawszego.

Jag milczał, a z pokładu lotniczego zaczął promieniować w Mocy dziwny chłód. Wprawdzie więź Dwumyślnych, jaka łączyła Jainę i Zekka, dawno zanikła, ale jak wszyscy dobrzy partnerzy, potrafili sporo wyczytać nawzajem w swoich myślach. Kłopot w tym, że Jag nie znosił Killików i na samą myśl o dzieleniu się myślami dostawał gęsiej skórki. Gdyby Jaina chciała go zniechęcić do zalotów, musiałaby tylko otrzeć rękę o ramię Zekka.

Tylko że Zekk mógłby wyciągnąć z tego niewłaściwe wnioski...

Zakończyli przelot nad wybranym terenem, ale nie zauważyli żadnego śladu Alemy czy jej dziwnego statku, więc powrócili nad łąsinę, którą dostrzegła Jaina. Tak nisko na zboczu góry rosły głównie majestatyczne monarchodrzewa o prostych pniach i rozłożystych koronach składających się z ogromnych liści w kształcie serca. Jaina zauważyła, że drzewa w obrębie zapadliny mają mniej liści niż te poza nią. Kilka konarów złamało się i odpadło.

Przez luki było widać miejsca, w których inne nadłamane konary ktoś później wyprostował, tak że lekko zwisały. To stąd się wzięło niewielkie wklęsnięcie w kształcie misy, które przyciągnęło jej uwagę.

- Idę o zakład, że coś tu wylądowało - stwierdziła Jaina.

- I to z niewielką prędkością - zgodził się z nią Zekk. - To było lądowanie, nie katastrofa.

- A więc znaleźliśmy to, czego szukamy? - zapytał Jag.

- Możliwe - odparł niezbyt przekonująco rycerz Jedi.

Jaina sięgnęła po elektrolornetkę i wykorzystując funkcję zbierania światła, spojrzała w dół, na korony drzew. Z początku widziała tylko gałęzie i konary; wreszcie dostrzegła pod nimi grunt, a na nim poszycie i zeschnięte liście. Omiotła teren Mocą, żeby wykryć choćby najsłabszy ślad energii Ciemnej Strony, ale nic nie znalazła. Prawdę mówiąc, sytuacja była niezwykła, bo Jaina nie wyczuła żadnego przejawu oddziaływania jakiegokolwiek energii Mocy.

Oderwała elektrolornetkę od oczu i odwróciła się do Zekka. Siedzący po drugiej stronie kadłuba rycerz Jedi skierował na nią ciemne oczy. Wyglądał na zaskoczonego i zmartwionego.

- I jak? - zapytał. - Chcesz powiedzieć, że niczego nie wyczułaś?

Jaina skinęła głową.

- Ukrywa się przed nami - oznajmiła.

- Myślicie, że statek jest gdzieś tam, na dole? - zagadnął zdezorientowany Jag. - Jesteście pewni?

- Coś tam jest - mruknęła Solo. - Coś, co nie chce pozwolić się odnaleźć. Ukrywa swoją obecność w Mocy.

- Statek ukrywa swoją obecność? - zapytał z niedowierzaniem Jag. - Czy statki potrafią to robić?

- Ten potrafi - wyjaśniła zwięźle Jaina.

Zekk rozpiął klamry pasów ochronnej uprząży.

- Utrzymuj nas nieruchomo - powiedział. - Wskoczę z dolnego wjazdu i dopadnę ten

statek.

Zamiast usłuchać jego polecenia, Jag odleciał znad kryjówki i udał, że zaczyna poszukiwania na nowo.

- Ej, Jag, nie słyszałeś? - zapytał rycerz Jedi. - Powiedziałem, że dopadnę statek Alemy.

- Słyszałem, ale chcę, żebyś dał sobie spokój - odparł Jag. - Nie wiemy o tym statku właściwie nic, a jeżeli ostrzeże Aleme, że go znaleźliśmy, jego właścicielka zniknie, zanim zdołamy ją znaleźć.

- No i dobrze - stwierdziła Jaina. - Im szybciej ją spłoszymy, tym lepiej. Obojętne, co tu robi, nie powinna się kręcić koło tych dzieciaków.

- Dlaczego ci się wydaje, że możemy ją spłoszyć? - zdziwił się Jag. - Mamy do czynienia z Alemą Rar. Gdyby tak łatwo się poddawała, nie przeżyłaby tej awantury na Tenupe.

- Słuszna uwaga - poparł go Zekk. - Tylko byśmy ją uprzedzili o naszej obecności i przynaglili do działania. Mogłaby zabić bez powodu wiele dzieci.

Jaina westchnęła, bo zrozumiała, że obaj mają rację. Tym razem trafili na ślad Alemy tylko dlatego, że usłyszeli o zamieszeniu, jakiego narobiła w magazynach Roqoo, bazie zaopatrzeniowej na obrzeżach Konsorcjum Hapes. Podobno kapitan jakiegoś frachtowca popełnił błąd i pozwolił sobie na niestosowną uwagę na temat jej okaleczeń. Alema zareagowała, okaleczając w ten sam sposób nie tylko samego kapitana, ale także wszystkich członków załogi frachtowca. Ci, którzy przeżyli, nie pamiętali żadnego szczegółu walki ani samej napastniczki, ale Zekk zapoznał się z zarejestrowanymi przez kamery systemu bezpieczeństwa holonagraniami, które potwierdziły, że rzezi dokonała Alema.

Jag uznał wahanie Jainy za oznakę sprzeciwu.

- Nie będziemy mieli drugiej takiej szansy - zauważył. - Jeżeli pozwolimy, żeby Alema nam się wymknęła, kogo weźmie na cel następnym razem? Twojego ojca? Twoją matkę?

- A może mojego brata? - podsunęła z nadzieją w głosie Jaina. Jag i Zekk zareagowali nerwowym milczeniem, więc przewróciła oczami i powiedziała: - Nieważne... Na pewno nie będziemy mieli tyle szczęścia.

- A zatem postanowione - stwierdził Jag. Nie zamierzał wydawać rozkazów, chociaż jako formalny dowódca grupy miał do tego prawo, tylko wyrażał opinię, że doszli do porozumienia.

- Spróbujemy zastawić pułapkę na Aleme i wszystko zakończyć tu i teraz.

- Pod warunkiem, że nie narazimy na niebezpieczeństwo najmłodszych uczniów Jedi -

dodała Jaina. - Jeżeli coś im będzie grozić...

- Trzeba będzie pozwolić jej uciec - zgodził się z nią Jag.

- Kłopot w tym, że mamy do czynienia z Alemą Rar. Alema nie pozostawi nam wyboru.

Zatoczył łuk w stronę góry i milczał, dopóki jej maszyn nie znalazł się między Dactylem a Akademią Jedi.

- Zekk, poleć myśliwcem StealthX i zajmij pozycję nad tym statkiem - odezwał się i tym razem zabrzmiało to jak rozkaz. - Jeżeli Jaina i ja jej nie znajdziemy, to może chociaż wpędzimy ją w zasadzkę.

Zekk jednak się nie ruszył.

- Sam to zrób - powiedział uprzejmie, ale stanowczo. - Ja polecę z Jainą. Znam teren Akademii o wiele lepiej niż ty.

- A ja znam Alemę. - Jag był wyraźnie urażony. - A poza tym to ja jestem dowódcą tej wyprawy, więc zrobisz to, co ci...

- Zrobię to, co ma sens - odciął się Zekk. - Jestem rycerzem Jedi, nie zwariowanym żołnierzem, który...

- Chłopcy! - wykrzyknęła zniesmaczona Jaina. Czy oni w ogóle nie słuchali, kiedy tłumaczyła, jak śmierć Mary otworzyła jej oczy i dlaczego musi za wszelką cenę stać się dobrą Jedi?

- Mam nadzieję, że tym razem nie chodzi wam o mnie. Nie zrobilibyście tego... nie w takiej chwili.

Zekk poczerwieniał ze wstydu, a zakłopotanie Jaga dało się wyraźnie wyczuć w Mocy.

- Może to Jaina powinna zająć pozycję nad tym statkiem - zasugerował pojednawczo Jag. - Jest lepszą pilotką niż my obaj, a my równie dobrze damy sobie radę na powierzchni gruntu.

- Lepiej nie. Jeśli ty zaczniesz się przechadzać z Jainą po terenie Akademii, Alema nie nabierze żadnych podejrzeń na wasz widok - stwierdził Zekk, kierując się na rufę. - Za to na pewno się zaniepokoi, jeżeli zobaczy mnie z tobą. Od razu zacznie się zastanawiać, gdzie podziała się Jaina.

- Masz rację - odparł Jag. - Dziękuję.

- Nie ma za co.

Zekk przeszedł przez próg wjazdu i zniknął w rufowej ładowni. Kilka minut później Jaina wyczuła, że rycerz Jedi otwiera umysł i łączy się z jej umysłem za pomocą bitwowiezi, dzięki której Jedi porozumiewali się podczas lotu myśliwcami StealthX. Dactyl zadrżał, kiedy

wrota rufowej ładowni się rozsunęły, co zmieniło aerodynamiczny profil statku. Jaina odwróciła się i spojrzała przez obserwacyjny bąbel. Po chwili dostrzegła, że pilotowany przez Zekka myśliwiec StealthX opada i zawraca.

Uwolniła myśli i posługując się Mocą, życzyła mu pomyślnych łowów. Potem rozpięła klamry ochronnej uprząży, poszła na rufę i zamknęła wrota ładowni, żeby przygotować Dactyla do lądowania. Kiedy wróciła, Jag właśnie przelatywał przez otwór tunelu w niemal pionowym zboczu góry, w której mieścił się główny hangar Akademii Jedi.

Jaina poczuła na plecach świerzbienie i domyśliła się, że coś im zagraża. Przeszła na pokład lotniczy i usiadła obok Jaga.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Jasne - odparł pilot. Zgodnie z przepisami siedział sztywno wyprostowany, trzymał drążek sterowniczy oburącz i patrzył prosto przed siebie. Zawisnął niezgrabnym Dactylem nad wskazanym miejscem, oznaczonym zielonymi światełkami na płycie lądowiska, i nie spojrzał na Jainę, dopóki statek nie osiadł na wspornikach lądowniczych. - Dlaczego pytasz?

Jaina spojrzała na lądowisko przez dziobowy iluminator.

- Wyczuwam niebezpieczeństwo - zawiadomiła go.

Jag zmarszczył brwi, aż blizna na jego czole ustawiła się w pionie i zaczęła wyglądać jak błyskawica.

- Jakiego rodzaju? - zapytał.

Jaina tylko wzruszyła ramionami i rozejrzała się po hangarze. Podobnie jak reszta Akademii, wydał się jej dziwnie opustoszały, chociaż stało w nim kilka transportowców, skiffów i ćwiczebnych statków. Jeżeli nie liczyć pełniących zwykłe obowiązki robotów, w głębokim półmroku nie zobaczyła nikogo, kto by się troszczył o zaparkowane jednostki. Uwolniła myśli i wysłała je dzięki Mocy w najdalsze zakątki hangaru, ale w sklepionym jak pieczara pomieszczeniu nie wyczuła obecności żadnej żywej istoty. Odwróciła się do Jaga.

- Zupełnie pusty - odezwała się. - Słyszałeś kiedy, żeby w jakimś hangarze panowała tak absolutna cisza?

- Nie w takim, który byłby czynny - odparł pilot. Rozpiął ochronną uprząż, wstał z fotela i przyczepił do pasa kaburę z blasterem. - Uważasz, że Alema mogła tu zacząć działać?

Wszystko było możliwe, ale Jaina nie dostrzegła nigdzie oznak przemocy. Nie sądziła także, żeby władająca Mocą samotna osoba - nawet tak pomyłona jak Alema - mogła opanować całą Akademię Jedi.

Z zadumy wyrwał ją trzask z głośnika w kabinie. Za chwilę usłyszeli gardłowy, kobiecy głos:

- Ile czasu jeszcze zamierzacie tak stać i szukać gokobów? - zapytała cierpko operatorka kontroli ruchu powietrznego. - Chciałabym się dowiedzieć, co znaleźliście podczas rekonesansu.

Zdziwiony Jag uniósł brew i bez słowa spojrział na Jainę.

- Chyba istnieje tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć - mruknęła Jedi Solo. Pochyliła się i przełączyła aparaturę pokładową na nadawanie.

- Przepraszam, kontrolo - powiedziała. - Zaraz do was przyjdziemy.

- Bardzo dobrze - odparła udobruchana operatorka, Durosjanka Orame. - Tylko uważajcie na gokoby... ich fetor tu, na górze, jest naprawdę odrażający.

- Jasna sprawa. - Jaina wyłączyła zasilanie mikrofonu i wyraźnie zdezorientowana, zmarszczyła brwi. - Co ją dzisiaj napadło z tymi gokobami? - zapytała.

- Czym właściwie są gokoby? - zainteresował się Jag.

- Wyjaśnię ci to po drodze. - Jaina odwróciła się, żeby zejść z pokładu lotniczego.

Kiedy dotarli do szybu turbowindy, którą mieli wjechać na poziom bunkra kontroli, Jag wiedział więcej o gokobach, niż miał na to ochotę.

- Czyli Orame chciała ci powiedzieć, żebyś uważała na zanadto przyjazne szkodniki, tak? - zagadnął.

- Mniej więcej. - Jaina odpięła rękojeść świetlnego miecza od pasa, weszła do kabiny turbowindy i kiwnęła na partnera. - Idziesz?

- Oczywiście. - Jag odbezpieczył blaster i spojrział na nią. - Na ogłuszanie czy na zabijanie? - zapytał rzeczowo.

- Na razie na ogłuszanie, dopóki się nie dowiemy, o co chodzi - zdecydowała Solo. - Jeżeli to Alema, zawsze będziemy mogli przełączyć na zabijanie i wykończyć ją, kiedy już będzie ogłuszona.

Jag spojrział na nią zezem.

- Żartujesz, prawda? - zapytał.

Jaina pokręciła głową.

- Ani trochę, zwłaszcza jeżeli zrobiła jakąś krzywdę najmłodszym uczniom - powiedziała. Zbliżyła kciuk do płytki na kontrolnym panelu. - Gotów?

Jag kiwnął głową. Kilka sekund później kabina turbowindy zatrzymała się na poziomie bunkra kontroli ruchu powietrznego. Jaina nie wyczuła czegoś złego w korytarzu za drzwiami... ale jeżeli rzeczywiście czekała tam Alema, nie było w tym nic dziwnego. Kiedy płyty drzwi się rozsunęły, Jaina wyskoczyła na korytarz, przetoczyła się po posadzce, wstała z gotowym do zapalenia świetlnym mieczem i rozejrzała się w obie strony.

Zobaczyła tylko Jaga, który stał przed nią, trzymając oburącz blaster. Pilot wyglądał na rozbawionego.

- Gokoby? - zapytał.

- Bardzo śmieszne - mruknęła Solo.

Jag ruszył korytarzem w stronę bunkra kontroli. Jaina wyczuła w Mocy, że w środku przebywa, jak zwykle, kilkanaście osób. Wszystkie były najwyraźniej spokojne i zajęte pełnieniem normalnych obowiązków. Kiedy jednak skrzydła drzwi rozsunęły się z sykiem, chwyciła mocniej rękojeść świetlnego miecza. Zobaczyła otoczony indywidualnymi stanowiskami kontrolnymi ogromny holowyświetlacz, nad którym unosił się wizerunek planety Ossus i jej naturalnych księżyców, a także zestawy wyświetlanych cyfr współrzędnych kilkudziesięciu sztucznych satelitów.

Wysoka durosjańska operatorka kontroli ruchu powietrznego - Orame - pomachała do Jaina zza holowyświetlacza.

- Podejź tu, dobrze? - poprosiła. - Muszę ci coś...

Jaina poczuła na karku mrowienie, które uprzedziło ją o grożącym niebezpieczeństwie. Pomagając sobie Mocą, wyskoczyła wysoko pod sufit i wykonała w powietrzu salto w samym środku planetarnego hologramu. Kilku przerażonych pracowników krzyknęło i zerwało się na nogi. Wszyscy byli uzbrojeni w blasterowe pistolety, których nie wyciągnęli teraz z kabur, więc widocznie musieli je dotąd trzymać na kolanach. Jaina zapaliła klingę świetlnego miecza i odbiła sześć blasterowych błyskawic z powrotem w kierunku tych, którzy je wystrzelili. Wylądowała na posadzce i stanęła obok Orame.

- Jajno, nie! - krzyknęła Durosjanka. - Nie rozumiesz...

- Rozumiem... - Jaina urwała, żeby odbić kolejną błyskawicę ogłuszającego strzału prosto w pierś rzekomego pracownika ośrodka kontroli ruchu powietrznego. - Rozumiem, że strzelają do mnie.

Po drugiej stronie holowyświetlacza na posadzkę padli dwaj następni mężczyźni, wijąc się w konwulsjach. Wokół snuł się dym po ogłuszających strzałach Jaga, który trafił ich w plecy. Posługując się Mocą, Jaina pozbawiła równowagi następnego napastnika, po czym wymierzyła palec w kolejnego i pchnięciem Mocy posłała go nad dwoma stanowiskami kontrolnymi na ostatniego uzbrojonego mężczyznę, który mierzył do niej z blastera.

Skierowała szpic klingi świetlnego miecza w stronę dwóch najpóźniej obezwładnionych napastników.

- Nie ruszać się - zagroziła.

Ani drgnęli, podobnie jak wszyscy inni w wielkim pomieszczeniu. Jag zablokował

zamek drzwi za swoimi plecami i zajął się zbieraniem rozrzuconych pistoletów blasterowych. Jaina nie zgasiła klingi świetlnego miecza. Chciała, żeby ten widok wywierał wrażenie i lepiej uświadamiał napastnikom, co im zagraża. Pomogła sobie Mocą, żeby odepchnąć blastery spoza zasięgu rąk kilku półprzytomnych napastników.

Nie patrząc na mężczyzn - nieważne, kim byli - kiwnęła głową w stronę Orame.

- Gokoby? - zapytała.

- Można tak powiedzieć. - Durosjancka westchnęła. - Próbowałam ci wyjaśnić, że sytuacja jest śmierzcząca, ale nasi goście byli przyjaźnie nastawieni.

- Nic na to nie wskazuje - stwierdził Jag. Wcisnął kolano w plecy jednego z ogłuszonych mężczyzn i skuwał mu ręce z tyłu kajdankami. Chciał się upewnić, że jeniec go nie zaatakuje. - Przyjaciele nie strzelają z blasterów.

Za plecami Jaina, z prawej strony, rozległ się nagle niski głos:

- Wszystkie blastery były nastawione na ogłuszanie... a kiedy Jedi Solo niespodziewanie wyskoczyła w powietrze, mogliśmy ją wziąć za napastniczkę.

Jaina obejrzała się w kierunku, skąd dobiegał głos. Za drzwiami gabinetu Orame krył się wysoki mężczyzna. Miał pociągłą twarz, zapadnięte oczy, spiczasty nos, a na sobie czarny mundur majora Straży Galaktycznego Sojuszu. Wyłonił się zza framugi, ale zrobił tylko krok. Stał i rozłożył ręce na boki, aby pokazać, że nie jest uzbrojony.

- A teraz byłbym wdzięczny, gdybyście pozwolili moim ludziom dalej pełnić swoje obowiązki - powiedział.

Jaina opuściła rękojeść świetlnego miecza, ale ustawiła ją w taki sposób, by klinga chroniła jej ciało.

- Nie ma mowy - odparła i zerknęła na Orame. - Powiedz mi, co się tu dzieje - zażądała.

Durosjancka machnęła niebieską dłonią z długimi palcami w stronę oficera SGS.

- Pozwól, że ci przedstawię majora Serpę - oznajmiła. - Podobno przyleciał tu, żeby nas chronić.

Serpa zaszczycił Jainę uśmiechem, przy którym lód mógłby się wydać ciepły.

- Nigdy nie wiadomo, co ci paskudni terroryści zechcą zaatakować następnym razem - powiedział.

Jainie krew zawrzała w żyłach. Z najwyższym wysiłkiem się powstrzymała, taką miała ochotę posłużyć się Mocą i rzucić dwulicowego majora na najbliższą durastalową ścianę.

- To Jacen kazał panu przejąć kontrolę nad Akademią, prawda? - zapytała. - Chce mieć zakładników.

Serpa cały czas się uśmiechał.

- Nie należy patrzeć w ten sposób na moje obowiązki - wycedził, wyciągając rękę w stronę jej świetlnego miecza. - Byłoby dobrze, gdybyś oddała mi broń, zanim dojdzie między nami do nowych... uhm... nieporozumień.

- Niech pan na to nie liczy - odparła stanowczo Solo. - Dam wam godzinę, żebyście mogli się stąd wynieść.

Serpa przestał się uśmiechać.

- Nie licz na to - powiedział. - Pułkownik kazał zapewnić bezpieczeństwo tej placówki mnie i wszystkim żołnierzom mojego batalionu, a ja zamierzam wykonać to zadanie bez względu na to, ile osób może zginąć, jeżeli dojdzie do przypadkowej strzelaniny.

Jag zmrużył oczy. Najwyraźniej był równie wściekły jak Jaina. Bez słowa ruszył w kierunku Serpy, przechodząc po drugiej stronie holowyświetlacza, z daleka od Jainy. Widocznie chciał zaatakować Serpę z innej strony.

Major SGS obserwował go bez słowa, a z jego aury w Mocy promieniowało więcej podniecenia niż strachu. Jaina zrozumiała nagle, dlaczego jej brat wybrał właśnie tego oficera do wykonania tak odrażającego zadania.

- Zaczekaj, Jagu - powiedziała. - Moim zdaniem pan major ma nierówno pod sufitem.

Serpa odwrócił się do niej z ponurą miną.

- To zależy od tego, jak kto rozumie słowo „nierówno”, ale jeżeli chciałaś przez to powiedzieć, że zniszczenie tej placówki sprawi mi większą radość niż pozwolenie, żeby wpadła w ręce, uhm... nieprzyjaciół... - zaczął.

Podszedł do podwładnego, któremu Jag skrepował ręce za plecami. Z rękawa munduru wysunął mały, używany podczas napadów blaster i wystrzelił z niego prosto w twarz mężczyzny. Orame i żołnierze SGS krzyknęli z przerażenia. Serpa przeniósł spojrzenie na Jainę i posłał jej lodowaty uśmiech.

- ...to miałaś całkowitą rację - dokończył z satysfakcją. - Z radością zabiję każdego, kto nawinie mi się pod lufę.

Jag spojrział na niego z odrazą jak na robaka, którego trzeba zgnieść, ale Jaina wyłączyła klingę świetlnego miecza i gestem poleciła Jagowi opuścić lufę blastera. Sądząc po aurze Serpy w Mocy, domyślała się, że major jest gotów wydać rozkaz zniszczenia Akademii... a w dodatku liczy na to, że ktoś da mu do tego pretekst.

- Zdumiewające, jak nisko upadł Jacen - powiedziała. - Jak może posługiwać się kimś takim jak pan!

- Wiesz, co się mówi w takich sytuacjach... trudne czasy i tak dalej. - Serpa zgiął rękę

w łokciu i jego mały blaster ukrył się w rękawie bluzy. - To jak, oddacie broń?

- Raczej nie - odparła Jaina. Doszła do wniosku, że woli pertraktować z tym socjopata, niż zrezygnować z możliwości schwytania Alemy. - Pewnie nawet by pan nie chciał, żebyśmy to zrobili, gdyby pan wiedział, po co tu jesteśmy - dodała.

Serpa zmarszczył brwi.

- To ja o tym zdecyduję - powiedział.

- Świetnie - ucieszył się Jag. - Czy pan wie, kim jest Alema Rar?

- Oczywiście. Rycerzem Jedi, który wypowiedział posłuszeństwo Zakonowi. - Oficer złośliwie się uśmiechnął. - A co, macie do niej sprawę?

- Coś w tym rodzaju - przyznała spokojnie Jaina, chociaż w środku aż się gotowała. - Alema Rar się ukrywa gdzieś w tej okolicy. Nie wiemy, co zamierza, ale idę o zakład, że to nic dobrego.

Serpa zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Od jak dawna tu jest? - zapytał.

- Prawdopodobnie wylądowała wczoraj wieczorem - odparł Jag. - Kierowaliśmy się zestawem współrzędnych, które mają swój początek w Konsorcjum Hapes, więc możemy być pewni...

- Przyleciała tu aż z Konsorcjum? - przerwała Orame. - A konkretnie skąd?

- Z okolic Terephona na obrzeżach Ulotnych Mgieł - wyjaśniła Jaina. - Z miejsca zwanego magazynami Roqoo. Dlaczego pytasz?

Durosjancka opuściła kąciki cienkich warg.

- Zastanawiam się, czy magazyny Roqoo nie znajdują się między nami a Kavanem - powiedziała.

Jaina poczuła się niepewnie. Nie znała hapańskiej astrometrii na tyle dobrze, żeby znać odpowiedź, ale słyszała, że to na Kavanie odnaleziono ciało Mary.

- Sama chciałabym znać odpowiedź na to pytanie. - Westchnęła.

Zanim Serpa zdążył się sprzeciwić, Orame postukała w klawiaturę kontrolnej konsoli i nad płytką wyświetlacza hologramów pojawiła się trójwymiarowa mapa Konsorcjum Hapes. Orientacyjny punkt, w którym znajdowały się magazyny Roqoo, zaznaczono na obrzeżach holomapy, najbliżej Ossusa. Kilkadziesiąt lat świetlnych dalej, w tym samym systemie gwiazdowym Hapes, w oddalonym miejscu nadprzestrzennego szlaku, który biegł obok magazynów Roqoo, widniała planeta Kavan.

- Prosto jak strzelił! - Jaina aż się zachłysnęła z wrażenia.

- Sądząc z tego, co mówią dane kartoteki astrometrycznej, tak - przyznała Orame. -

Ale jeżeli Alema Rar była w magazynach Roqoo...

- To nie może być zwykły zbieg okoliczności - zgodziła się z nią Solo. - Jeżeli sama tego nie zrobiła, to na pewno maczała w tym palce.

- Nie możesz wyciągnąć takiego wniosku - ostrzegł Jag. - Pamiętaj, że Alema zmasakrowała członków załogi tamtego frachtowca dopiero po śmierci Mary. Myślisz, że gdyby to ona ją zabiła, chciałaby tak szybko zwracać na siebie uwagę?

Jaina nie odpowiedziała, ale posłała mu spojrzenie mówiące „nie bądź głupi”.

- No dobrze. - Jag westchnął. - Zakładamy, że maczała w tym palce.

- Co najmniej - zgodziła się z nim Jaina. Bojąc się coraz bardziej o los najmłodszych uczniów Akademii Jedi, odwróciła się do Serpy. - Czy nadal każe nam pan oddać broń? - zapytała.

- Oczywiście - odparł oficer. - Wasza wymiana zdań była bardzo przekonująca, ale Alema Rar nie ma na Ossusie. Moi podwładni sprawują kontrolę nad tą placówką od...

- Czy odkrylibyście ją, gdyby wylądowała tu myśliwcem StealthX? - wpadła mu w słowo Jaina.

Nie zadała sobie trudu, aby wyjaśnić, że Alema lata całkiem innym statkiem, o nierozpracowanych do końca możliwościach, ale równie niewidzialnym dla promieni skanerów jak StealthX.

Serpa zastanowił się chwilę nad odpowiedzią. Wyjął komunikator z kieszeni na rękawie bluzy, włączył urządzenie i wybrał kanał.

- Pani kapitan Tong, proszę o raport na temat stanu wszystkich stanowisk - rozkazał. - Interesuje mnie zwłaszcza, czy nie zauważono czegoś niezwykłego... czegokolwiek.

- Jak pan sobie życzy, panie majorze - usłyszał w odpowiedzi dźwięczny kobiecy głos. - Za chwilę zgłoszę się do pana z raportem.

Zamiast wyłączyć komunikator i zaczekać na nowe połączenie, Serpa wyciągnął przed siebie rękę i gapił się na urządzenie. Kiedy pani kapitan zaczęła meldować, że wszystko w porządku, uśmiechał się tylko i kiwał głową. Jaina utwierdziła się w swoich podejrzeniach. Muszą bardzo uważać, żeby nie dać temu szaleńcowi pretekstu do zrobienia czegoś nieprzewidzianego.

Korzystając z tego, że Serpa słucha składanych meldunków, odwróciła się do Orame i zapytała szeptem:

- Co na to instruktorzy Akademii? Dlaczego nie starali się go powstrzymać?

Durosjancka pokręciła głową.

- Tutaj przebywają tylko mistrzowie Solusarowie i sześcioro młodych rycerzy Jedi,

których wysyłamy na patrole - odparła tak samo cicho. - Wszyscy inni udali się na Coruscant, żeby wziąć udział w ceremonii pogrzebowej.

- Coś takiego, coś takiego - wtrącił się Serpa, który w końcu oderwał spojrzenie od komunikatora. - Akademia pozbawiona opieki Jedi, kiedy po galaktyce szaleją terroryści. Jakie to szczęście, że przylecieliśmy w takiej chwili.

Niebieska twarz Orame przybrała odcień fioletowy.

- Wasz wahadłowiec wylądował tu w jednym kawałku tylko dlatego, że zameldowaliście o alarmie na pokładzie i poprosiliście o pomoc medyczną - przypomniała Durosjancka.

- Zważywszy na okoliczności, zbombardowanie planety z orbity wydawało się nam lekką przesadą - stwierdził przyjaznym tonem Serpa. - Na razie Jedi i Straż Galaktycznego Sojuszu walczą po tej samej stronie.

- A przynajmniej powinni. - Jaina nie była specjalnie zaskoczona zdradą Jacena, ale wciąż jeszcze nie mogła się z nią pogodzić. Pamiętała, że jako kilkunastoletni chłopiec jej brat bliźniak miał bardzo łagodne usposobienie. Był taki troskliwy i opiekuńczy... Nie przyszłoby jej do głowy, kim się stanie, kiedy dorośnie, i jak wielką krzywdę wyrządzi nie tylko jej, ale także całemu Zakonowi Jedi. - Bo coraz bardziej w to wątpię.

- A widzisz? - podchwycił Serpa. - Właśnie dlatego pułkownik mnie tu przysłał... mam dopilnować, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

- Nigdy nie marzyłem, żeby Jacen był moim przyjacielem - mruknął Jag. - Czego się pan dowiedział na temat Alemy?

- Dobrze wiesz, czego się dowiedziałem. - Serpa posłał mu szelmowski uśmiech. - Nie wiemy, gdzie w tej chwili się podziewa, ale na pewno nie ma jej na Ossusie.

- Nie może pan być tego pewny - zaprotestowała Jaina. - Żadna placówka waszego systemu bezpieczeństwa nie zameldowała o niczym niezwykłym, ale to jeszcze nie oznacza...

- Mamy wiele takich placówek - przerwał jej Serpa. - Mogę ci zdradzić, ile gokobów wykrada potamy z waszych kuchni.

- Alema nie jest gokobem - odparła Jaina. - Potrafi przejść tuż obok strażnika, a on w ogóle nie będzie pamiętał, że ją widział.

- Moi strażnicy mieliby nie pamiętać, że ją widzieli? - powtórzył Serpa, naśladując monotony głos, jakim mówiły ofiary myślowych nacisków Jedi. - Daj spo-o-okój - wycedził pogardliwie i przewrócił oczami. - Pułkownik Solo uodpornił nas na wasze sztuczki, więc niczego nie próbujcie.

- To nie żadna sztuczka - sprzeciwił się Jag. - Alema Rar potrafi kasować wspomnienia

nawet z umysłów rycerzy Jedi. Bez trudu poradziłaby sobie z oszukaniem tępych żołdaków, którymi pan dowodzi.

- Tępych żołdaków? - powtórzył Serpa i umilkł. Widocznie przemyślał sprawę, bo wreszcie kiwnął głową i wyciągnął rękę do Jainy. - Prawdopodobnie masz rację - powiedział. - Z tego wynika, że będę musiał wam skonfiskować nie tylko broń, ale także komunikatory... Moje żołdaki mogą wziąć was za wrogów i przypadkiem dać się zabić.

- Nie ma mowy - odparła Jaina. Głową wskazała Jagowi zablokowane drzwi i zaczęła okrążyć ogromny holowyświetlacz.

- Zamierzamy nadal polować na Alemę Rar. Niech pan poleci swoim podwładnym, żeby trzymali się od nas jak najdalej.

- Przykro mi... ale nic z tego - odezwał się Serpa zza ich pleców. - Nie zamierzam narażać na niebezpieczeństwo tego ośrodka, pozwalając się po nim włóczyć nieupoważnionym i uzbrojonym osobom... bo ktoś mógłby paść ofiarą przypadkowych strzałów.

Tym razem Jaina nie poczuła na karku ani między łopatkami ostrzegawczego mrowienia, ale lodowaty ton Serpy spowodował, że się odwróciła.

- Mam nadzieję, że nie grozi pan najmłodszym adeptom Jedi - warknęła.

- Ależ skąd... chciałem ci tylko uświadomić, na co sama ich narażasz - odparł oficer SGS. - Ustanowiłem takie reguły, by zadbać o bezpieczeństwo wszystkich. Nalegam, żebyście oddali broń i komunikatory... jeżeli zamierzacie nadal przebywać na terenie Akademii.

Jaina zmarszczyła brwi.

- Jeżeli zamierzamy przebywać? - powtórzyła. Nie sądziła, że Serpa zechce zmusić ich do pozostania... przecież byli o wiele mniej wartościowymi zakładnikami niż najmłodszy uczniowie. - A pozwoli nam pan odlecieć? - zapytała.

- Pułkownik Solo chce, żebym utrzymał tę misję w najściślejszej tajemnicy, ale... - Urwał i gestem wskazał obezwładnionych podwładnych, wciąż jeszcze skręcających się z bólu na posadzce

- ...czy dałbym radę was powstrzymać? Jeżeli naprawdę chcecie zostawić Mistrzynie Tionnę i Mistrza Solusara w towarzystwie garstki niedoświadczonych rycerzy, żeby zostali łącznikami między batalionem moich żołdaków a najmłodszymi uczniami Jedi... no cóż, rozumiem, że wybór należy tylko do was.

Jaina poczuła się tak, jakby dostała pięścią w brzuch. Serpa nie groził bezpośrednio najmłodszymi uczniami Jedi, ale dawał do zrozumienia, w jakim znajdują się

niebezpieczeństwie, jeżeli sytuacja między Jacenem a Jedi jeszcze bardziej się pogorszy. Ośmioro Jedi, w tym sześcioro praktycznie bez żadnego doświadczenia, nie dałoby rady ochronić setki dzieci przed całym batalionem żołnierzy SGS.

Jag stanął przy drzwiach i wyciągnął rękę w kierunku kontrolnego panelu, żeby zlikwidować blokadę zamka.

Jaina powstrzymała go uniesioną dłonią.

- Jagu, zaczekaj - powiedziała. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że jej brat mógłby kazać Serpie skrzywdzić uczniów Akademii Jedi... ale jej brat zrobił ostatnio parę rzeczy, o które by go nigdy nie posądzała. - Chyba będzie lepiej, jeżeli oddamy broń - dodała.

Jag obrzucił ją niedowierzającym spojrzeniem. Chyba uznał, że to ona ma nierówno pod sufitem, nie Serpa.

- Dlaczego, na blask sześciu nowych, mielibyśmy to zrobić? - zapytał.

- Z tego samego powodu, dla którego oddali ją Mistrzynie Tionna i Mistrz Solusar - odparła Solo. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, wysłała je do Zekka. Utworzyła bitwowież i poleciła mu, żeby przerwał poszukiwania Alemy, ukrył się i czekał, aż będzie potrzebny. - Dlatego, że nie mamy rady zabić wszystkich żołnierzy tego batalionu bez narażenia na śmierć wielu dzieci - przypomniała. - A poza tym sytuacja nie wygląda jeszcze aż tak rozpaczliwie.

Serpa się uśmiechnął.

- Byłem pewny, że w końcu spojrzycie na wszystko z mojego punktu widzenia - powiedział.

- Potrafi pan być bardzo przekonujący. - Jaina otworzyła rękojeść świetlnego miecza i wyjęła z niej skupiający kryształ. - To pewnie dlatego mój brat zlecił panu to zadanie.

- To tylko jeden z wielu powodów. - Serpa obszedł holowyświetlacz, wyjął z jej ręki metalowy cylinder i pistolet blasterowy i odwrócił się do Jaga. - Teraz ty, Fel - polecił.

Jag wyjął zasobniki energetyczne z blastera i z wibronoża, podszedł do Jajny i wyciągnął oba przedmioty w stronę majora.

- Mam zamiar kontynuować poszukiwania - uprzedził. - Bez względu na opinię pana i pańskich żołnierzy Alema Rar przedostała się na teren Akademii.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyście jej nadal szukali. - Serpa czekał, aż Jag wręczy mu obie sztuki broni. - Aha, i dajcie mi znać, jeżeli już ją znajdziecie. Wyślę kogoś, żeby po was posprzątał.

ROZDZIAŁ 5

W głębi pokrętnego umysłu Alemy dojrzała chęć poszukania kryjówki. Zaniepokojona, że prześladowcy w końcu ją odnaleźli, Twi'lekanka uniosła głowę nad krawędź przepierzenia uczelnianej biblioteki, w której pracowała, i rozejrzała się po sali. Na korytarzu zobaczyła jednak tylko tę samą dwójkę żołnierzy SGS, która strzegła biblioteki, kiedy Alema się tam pojawiła. Para, pochylona nad biurkiem, cicho rozmawiała, patrząc sobie w oczy. Z głośnika komunikatora kobiety wydobywał się cichy, monotony głos, jednak albo rozkazy jej nie dotyczyły, albo sugestia Alemy padła na żyzny grunt.

Potrzeba poszukania kryjówki przerodziła się w nakaz, żeby jeszcze zaczekała, a w końcu w ostrzeżenie o kłopotach. Dopiero wtedy Alema odgadła, że wszystkie te uczucia nie rodzą się w niej, ale napływają z zewnątrz. Służący w SGS nowi „opiekunowie” Akademii Jedi sprawiali pewnie Jainie i obu starającym się o jej względy kreaturom więcej kłopotów niż Alemie, więc Twi'lekanka mogła się odprężyć. Tamta trójka podążała jej śladami już od magazynów Roqoo. Alema wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy przylecą za nią aż na Ossusa i zaczną jej szukać na terenie Akademii Jedi.

Uwolniła myśli i posługując się Mocą, wysłała je do pary strażników. Teraz skupiła uwagę na monotonnych słowach wydobywających się z głośnika komunikatora kobiety.

- ...i jej eskorta przeszukują teren Akademii - mówił jakiś mężczyzna. Miał stanowczy głos, więc prawdopodobnie był to sam dowódca batalionu. - ...nie przeszkadzajcie im, ale nie pozwólcie... zakładników.

Zakładników?

Zaskoczona Alema opadła na fotel. Wiedziała wprawdzie, że żołnierze SGS przylecieli do Akademii, aby uniemożliwić nauczycielom i uczniom podżeganie do buntu z powodu przewrotu Jacena, ale nie spodziewała się, że pułkownik Solo będzie tak głupi, aby uznać najmłodszych uczniów za zakładników. Owszem, to bardzo śmiały krok, ale zarazem ryzykowny, bo raczej sprowokuje Luke'a do działania, zamiast go powstrzymać.

Alema nie mogła zrozumieć, dlaczego Jacen popełnił tak oczywisty błąd. Do tej pory realizował swój plan bardzo błyskotliwie. Zaskarbił sobie wdzięczność ludności Coruscant i większości innych planet Sojuszu, skutecznie walcząc z terrorystami. Wykorzystał swoją popularność do objęcia władzy nad niemal połową galaktyki. Dlaczego więc teraz zrobił coś

tak głupiego? Skąd ta arogancja? Czym on naprawdę się ludzi, że może rzucić wyzwanie Zakonowi Jedi i zwyciężyć?

Tak, zabrakło Lumiya. Dopóki żyła jego mentorka, Jacen nie popełniał takich błędów. A zaledwie kilka dni po jej śmierci ugryzł większy kęs, niż dał radę przełknąć. Alema od razu zrozumiała, że pułkownik potrzebuje kogoś, kto nim pokieruje... Lumiya też to przewidziała. Z jakiego innego powodu dopuściłaby Aleme do swojej kryjówki w głębi mrocznej asteroidy? Lady Sithów chciała mieć pewność, że po jej śmierci Alema będzie miała dość sił i środków, aby ją zastąpić.

Twil'lekanka sprzęgła swój notes ze skomputeryzowanymi archiwami Akademii, do których dostęp uzyskała. Przepisała nieliczne informacje, które znalazła na temat odziedziczonego po Lumiya statku. Z historii Jedi wynikało, że Statek - sfera nadal nie chciała jej podać swojej nazwy, więc Alema nazywała ją po prostu Statkiem - był prastarą medytacyjną sferą, myślącym gwiazdowym pojazdem, który służył kiedyś zarówno Sithom, jak i Jedi. Z zarejestrowanych w bibliotece danych wynikało, że jednostka była wspomaganym przez Moc kontrolnym statkiem, zaprojektowanym do wzmacniania medytacyjnych umiejętności dowódcy podczas bitwy. Statek umiał także ukrywać dowódcę przed oczami nieprzyjaciół.

Na ekranie notesu pojawiła się informacja, że przepisywanie informacji z archiwów Akademii dobiegło końca. Alema usunęła z rejestru operacji głównego komputera wszelkie ślady swojej aktywności i przerwała połączenie. Wsunęła notes do saszetki u pasa i ruszyła do wyjścia. Para strażników była sobą tak zajęta, że zauważyli ją, dopiero kiedy Twil'lekanka minęła ich biurko i pokonała połowę drogi do drzwi.

- Co, u licha? - ocknął się mężczyzna. - Skąd się tu wzięłaś?

Strażniczka szybciej odzyskała przytomność umysłu.

- Stać! - rozkazała. - Rusz chociaż palcem, to zastrzelę!

Alema odwróciła się i zobaczyła, że kobieta mierzy do niej z potężnego blastera firmy Merr-Sonn. Kiedy uniosła rękę, strażniczka pociągnęła za spust.

Broń wydała tylko cichy szcęk, a wstrząśnięta strażniczka zaczęła chwytać powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

- Co się dzieje? - wykrztusiła.

- Nie macie powodu do niepokoju - zapewniła Alema. Wyjęła z kieszeni kurtki parę energetycznych zasobników. - Daliście mi to po prostu na przechowanie.

Kobieta, która nie wyzbyła się podejrzeń, spiorunowała ją spojrzeniem.

- Dlaczego miałabym... - zaczęła.

Alema zwróciła się do strażnika, który oczywiście miał słabszy umysł niż jego potencjalna towarzyszka życia.

- Pamiętasz, prawda? - powiedziała. - Jesteśmy przyjaciółką Jacena.

- Wszystko w porządku, Tiz - odezwał się strażnik. - Nie pamiętasz? Ona jest przyjaciółką pułkownika.

Tiz przestała mierzyć Twi'lekanę gniewnym spojrzeniem i wsunęła blaster do kabury.

- To prawda. - Spojrzała na swojego partnera z uśmiechem. - Teraz sobie przypominam.

- To dobrze.

Alema chętnie posłużyłaby się Mocą, żeby wbić zasobniki energetyczne w głowę Tiz. Dlaczego ta głupia strażniczka pozwoliła, aby mężczyzna za nią podejmował decyzje? Niestety, Alema musiała zadbać, by jej wizyta w bibliotece pozostała tajemnicą. Gdyby Jaina i obaj śliniacy się na jej widok durnie odkryli, że wylądowała na Ossusie z zamiarem uzyskania dostępu do archiwów biblioteki Jedi, na pewno by się domyślili, jakie dane z nich wyciągnęła. Wiedzieliby o statku równie dużo jak ona. Alema posłużyła się Mocą, żeby posłać energetyczne zasobniki na blat biurka, i zaczęła się wycofywać tyłem do wyjścia.

- Bawcie się dobrze - zasugerowała. - Pułkownik nie będzie miał wam tego za złe.

Już zza drzwi zobaczyła, że strażnicy rozpinają sobie nawzajem pasy z saszetkami. Zadowolona, że w ich pamięci nie pozostał żaden ślad jej wizyty, przeszła przez otaczające Akademię ogrody do lasu, gdzie czekał na nią Statek. Wędrówka do miejsca jego ukrycia nie była szczególnie uciążliwa, chociaż Alema miała ranę w nodze i bezużyteczną rękę. Miała jednak czas, by wspominać okropny okres, który spędziła na Tenupe, ranna i pozostawiona sama sobie... wspominać wszystko, czego ją pozbawiono. Każdy krok w ciemnościach przypominał jej o obowiązku względem Równowagi i o niewyrównanym rachunku z Leią Solo.

Kiedy była już blisko wąwozu, w którym ukrył się Statek, obdarzona własną wolą sfera uniosła się i ukazała, nie czekając na jej wezwanie. Wyjątkowo paskudna, wyglądała jak nadęty pęcherz. Sieć wypukłych, pulsujących żyłek odznaczyła się na bursztynowej powierzchni, która mogła być matowa albo przezroczysta, w zależności od nastroju. Statek miał cztery skrzydła, płasko złożone po obu bokach zaokrąglonego „brzucha”. Kiedy się obrócił, żeby spojrzeć na Aleme, wyglądał jak pozbawiony ciała ogromny mózg... bardzo stary, bardzo duży, pozbawiony ciała mózg.

Starożytny, poprawiła ją w myśli sfera. I na tyle rozgarnięty, żeby wyczuwać, kiedy

obserwuje go nieprzyjaciel.

W myślach statku wyczuwało się nagane, ale Alema tylko się kwaśno uśmiechnęła i zaczęła spokojnie wchodzić po wysuniętej rampie. Nie musiała się niczego obawiać ze strony takich nieprzyjaciół, nie w tej chwili. Rozsądnie czy nie, Jacen dał im problem, którym musieli się martwić o wiele bardziej niż Alemą Rar.

Statek nie wyzbył się wprawdzie wątpliwości, ale czekał, aż Twi'lekanka uklęknie w środku, po czym schował rampę i uszczelnił kadłub. Czekał cierpliwie, aż Uszkodzona poda mu cel podróży.

- Sektor Katiza - poleciła Alema. - Zakładam, że pamiętasz współrzędne asteroidy, na której mieszkała Lumiya.

Statek nie wystartował jednak z wąwozu, chociaż żarzący się w kadłubie ogień stał się jakby jaśniejszy. Służył wprawdzie Uszkodzonej jako środek transportu, bo nie miał nic innego do roboty, ale nie zamierzał jej zabierać do sektora Kanza. Lumiya by sobie nie życzyła, żeby Alema przetrząsała jej mieszkanie w środku asteroidy. Przekazał jej to.

- Jesteś pewny? - Wypowiadając to pytanie, Alema posłużyła się Mocą, żeby zmienić decyzję Statku. Nie starała się podważyć słuszności samej decyzji, tylko zmienić jego punkt widzenia. Podobną technikę stosowała jako Herold Nocy Mrocznego Gniazda... i to wielokrotnie, żeby przejąć władzę nad UnuThulem i jego gniazdem. - Lumiya chciała, żebyśmy kontynuowały jej pracę nad Jacenem.

Na dotyk jej myśli Statek zareagował gniewnym drzeniem. Służył mistrzom potężniejszym, niż Alema mogła sobie wyobrazić. Czy naprawdę przypuszczała, że nie wyczuje tak prymitywnej próby wpłynięcia na jego wolę? Czuł się niewyobrażalnie znieważony.

Mimo tych protestów Alema wyczuwała, że kula powoli się nagina do jej woli. Dlaczego miałyby tego nie robić? Umiała myśleć, ale była maszyną, a to oznaczało, że zaprojektowano ją, aby służyła. Alema musiała tylko udowodnić, że potrafi nią dowodzić. W tym celu wywarła jeszcze większy myślowy nacisk. Tym razem zrezygnowała z subtelności na rzecz zwiększenia siły woli.

- Na pewno pamiętasz - powiedziała. - Lumiya zaprosiła nas na swoją asteroidę.

Statek nie chciał się ugiąć pod naciskiem jej myśli. Przypomniawszy jej, że Lumiya nie zaprosiła Uszkodzonej na asteroidę. Uszkodzona podążyła tam za nią.

- To niczego nie zmienia - upierała się Alema. - Lumiya poprosiła nas o pomoc.

Lumiya nie prosiła, przypomniała sfera. Uszkodzona zgłosiła się sama.

- Ale Lumiya nas zaakceptowała - stwierdziła Twi'lekanka. Starła się wymawiać z

naciskiem najważniejsze słowa; było to głównym elementem jej taktyki. - Poleciała nam, żebyśmy miały oko na Mareę.

Statek rozumiał, co Alema z nim wyprawia, ale nie był żywą istotą i nie miał dość sił, żeby się długo opierać myślowemu naciskowi. W końcu doszedł do przekonania, że Uszkodzona mówi prawdę. Lumiya rzeczywiście ją wysłała, żeby miała oko na Mareę.

- Lumiya nam ufała - ciągnęła Alema. - Liczyła na nas, że będziemy nadal pomagały Jacenowi... tak jak pomagałyśmy mu w magazynach Roqoo.

Wtedy, kiedy dokonałaś rekonfiguracji członków załogi tamtego frachtowca? - zapytał Statek.

- Jedi musieli się dowiedzieć, że w chwili śmierci Mary byliśmy w pobliżu - wyjaśniła Alema. - Powinni podejrzewać nas, nie Jacena.

Aby zapewnić mu sukces, dodał Statek. *Aby znów doprowadzić do panowania Sithów.*

- Właśnie - zgodziła się z nim Alema. - Obiecujemy, że Sithowie będą znów władali galaktyką.

W następnej chwili Statek wystartował ku niebu, Alema zaś została rzucona na przeciwległą burtę. Wyczuła w Mocy przyływ frustracji, kiedy jeden z jej prześladowców - Zekk, sądząc po wyjątkowej czystości jego obecności w Mocy - poinformował pozostałych o jej ucieczce. Alema nie umiała określić reakcji Jainy, ale wystarczył jej fakt, że nikt nie posłał w ślad za Statkiem ciemnej bomby ani protonowej torpedy. Domyśliła się, że na razie jej prześladowcy mają na głowie pilniejsze sprawy.

Podróż do sektora Kanza była spokojna, chociaż denerwująca. Statek odczuwał chyba przewrotną satysfakcję, badając granice opanowania Alemy. Większość drogi w przestworzach przeleciał z absolutnie przezroczystym kadłubem; Alema czuła się w nim jak w bańce mydlanej. U Durosjan czy Ganków, którzy często latali po galaktyce, takie wrażenia mogły wywołać zachwyty, ba, entuzjazm, ale nie u Alemy. Istoty jej rasy mieszkaly od urodzenia w jaskiniach, więc przywykły do całkowitej ciemności i ciasnoty. W końcu jednak Statek wleciał do systemu bez nazwy i Alema zobaczyła na kursie srebrzystą skalną grudkę. W pierwszym odruchu chciała zamknąć oczy, bo nagle uświadomiła sobie przerażający, brutalny ogrom galaktyki.

Zapanowała jednak nad sobą i spokojnie obserwowała, jak grudka zmienia się w koziółkujący kamień, a później w przyprószone pyłem gład, odbijający promienie odległego słońca. Statek cały czas ją badał, jakby szukał dowodu, że Uszkodzona jest zbyt słaba, aby dotrzymać obietnicy, ale Alema żadnego dowodu jej nie dała. Statek mógł się zorientować, czytając w jej myślach, jak bardzo jest przerażona na widok pustki przestworzy, ale musiał

także wyczuć, jak stanowczo Alema stawia czoło temu przerażeniu. Musiał być świadom jej gotowości do poświęcenia absolutnie wszystkiego dla przywrócenia Równowagi między sobą a Leią.

Kiedy asteroida stała się tak wielka, że przesłoniła wszystko inne, Statek skręcił raptownie w kierunku jej Ciemnej Strony i z zawrotną prędkością skierował się do hangaru. Wyczuwając, że cały czas usiłuje ją przestraszyć, Alema pogodziła się z perspektywą ognistej śmierci. To dobra cena za możliwość latania tak wspaniałym pojazdem. Ze stoickim spokojem obserwowała, jak mroczne góry powiększają się, aż można było dostrzec wysokie urwiska. W ostatniej chwili otworzyły się odporne na blasterowe strzały zamaskowane wrota. Statek wleciał szybko do hangaru i zwolnił tak raptownie, że Alema musiała się posłużyć Mocą, aby nie rzuciło jej na przednią burtę.

Statek znieruchomiał niespełna metr przed przeciwległą ścianą i wysunął trzy łapy lądownicze. Sycząc, skrzypiąc i jęcząc jak „Sokół Millenium”, osiadł łagodnie na płycie lądowiska. Alema pozwoliła sobie na szeroki, chociaż trochę wymuszony uśmiech satysfakcji.

- Zadowolony? - zapytała.

Statek jeszcze raz zamruczał, a kiedy ciśnienie w hangarze osiągnęło poprzednią wartość, otworzył drzwi i wysunął jezor rampy.

- Zaczekaj tu na nas - rozkazała Alema, zrywając się z podłogi. - Możesz uzupełnić zapasy paliwa i dokonać przeglądu podzespołów. Prawdopodobnie wrócę dopiero za kilka godzin.

Medytacyjna sfera zareagowała na jej słowa wyczuwalnym rozbawieniem. Zupełnie jakby się spodziewała, że Uszkodzona pozostanie tu o wiele dłużej niż kilka godzin... prawdopodobnie na zawsze.

- Dobrze, dobrze - mruknęła Alema, schodząc po rampie. - Jeżeli nie wrócimy po upływie stu lat, możesz sam odlecieć.

Jeżeli nawet Statek coś odpowiedział, Alema nie usłyszała. Gdy tylko postawiła stopę na permabetonowej płycie lądowiska, poczuła, że otacza ją aura Ciemnej Strony. Jej energia była tak gęsta, że niemal namacalna. Chłodna chmura ponurego nastroju dotykała ud Alemy niczym palce kochanka. Twi'lekanka wzdrygnęła się, bo naszły ją przyjemne wspomnienia... ale kiedy drżenie nie ustąpiło, poczuła między łopatkami lodowaty chłód, który zawsze uprzedzał ją o zagrożeniach.

Pułapki.

Na pewno wszędzie były pozostawiane pułapki. To przecież kryjówka kobiety-Sitha,

prawda? Alema otworzyła umysł na przepływ Mocy i poczuła, że największe zagrożenie promieniuje od przeciwległej ściany hangaru, gdzie ułożono w trójkątną stertę dwadzieścia cztery baryłki z chłodziwem. Stos miał wysokość siedmiu metrów. Na jego widok Alema stwierdziła, że najrozsądniej byłoby wrócić na pokład Statku i odlecieć, zanim jedna z tych baryłek eksploduje. Puściła się jednak biegiem przez płytę lądowiska.

Zaskoczenie Statku ustąpiło miejsca przerażeniu. Sfera była chyba jednak mniej zaniepokojona losem Alemy niż jej rozkazami. Jeżeli Uszkodzona zamierza dać się zabić, Statek nie ma nic przeciwko temu, ale jeżeli się spodziewa, że on...

Zostań! - Alema poparła wydany w myślach rozkaz potęgą Mocy. *Teraz moja kolej wypróbować twoją odwagę.*

Statek wycofał swoją obecność z Mocy, więc Alema mogła się skupić wyłącznie na rozwiązaniu problemu baryłek z chłodziwem. Z każdą sekundą lodowaty chłód między łopatkami obejmował większy fragment pleców i sprawiał większy ból. Alema zdecydowała, że największe niebezpieczeństwo promieniuje z dolnego rzędu baryłek. Nie przerywając biegu, wyciągnęła rękę i zacisnęła palce, jakby coś chwytła. Baryłka leżąca pośrodku dolnego rzędu wytoczyła się spomiędzy pozostałych.

Posługując się Mocą, Twi'lekanka nakazała baryłce unieść się w powietrze i przyciągnęła ją do siebie. Reszta stosu runęła z chłupotem wyciekającego chłodziwa i z brzękiem metalu. Kilka baryłek pękło i na płytę lądowiska wylały się setki litrów niebieskiego lepkiego płynu. W powietrzu rozszedł się słodki, ale piekący zapach chłodziwa do jednostek napędu nadświetlnego.

Alema zapaliła klingę świetlnego miecza. Nie zwracając uwagi na szczypiące od oparów oczy, zaczekała, aż lecąca w powietrzu baryłka znajdzie się tuż przed nią na wysokości głowy, i odcięła jej denko.

Zobaczyła zawartość: baradium z detonatorem, którym był granat protonowy. Ładunek miał wystarczająco dużą siłę, żeby rozerwać asteroidę na okruchy. Od detonatora biegła gruba wiązka różnokolorowych przewodów, które łączyły go z panelem cyfrowego wyświetlacza. Na wyświetlaczu widniała liczba dziesięć, która z każdą sekundą malała. Obok był czerwony przycisk, prawdopodobnie umożliwiający rozbrowienie ładunku wybuchowego.

Ignorując przycisk jako zbyt oczywistą pułapkę Lumiyi, Alema wyłączyła klingę świetlnego miecza i rzuciła rękojeść na płytę lądowiska. Zdrową ręką zaczęła rozplątywać wiązkę przewodów, żeby znaleźć ten właściwy. W końcu natrafiła na pojedynczy szary kabel, który mógł spowodować unieszkodliwienie ładunku. Na wyświetlaczu pojawiła się trójka. Twi'lekanka pociągnęła lekko kabel... ale przypomniała sobie, że na pokładzie „Anakina

Solo" Lumiya o mało ich nie zabiła, myląc kabel przesyłający sygnał z czujnika zbliżenia z przewodem sygnału bezpiecznego opóźnienia. Twi'lekanka puściła szary kabel i chwyciła najbardziej jaskrawy z trzech pomarańczowych przewodów. Nie poczuła ostrzegawczego dreszczu, więc wstrzymała oddech i wyszarpnęła kabel z wiązki.

Na wyświetlaczu pojawiło się zero, ale ładunek nie eksplodował.

Alema poczuła tak wielką ulgę, że jej jedyne lekku się rozwinęło. Schyliła się, żeby podnieść rękojeść świetlnego miecza, i zakrzuszyła się oparami chłodziwa. Kaszląc, odwróciła się do Statku i triumfująco uniosła brew.

Chyba jednak nie wywarła na nim tak dużego wrażenia, jak się spodziewała. Statek wiedział, że w sanktuarium Lumiya można zginąć na sto innych sposobów, a jednym z najgłupszych było tkwienie w chmurze żrących oparów i chełpienie się swoim osiągnięciem.

Alema musiała przyznać, że Statek ma rację. Przeszła przez hangar do służby, z której można było się dostać do apartamentu Lumiya. Musiała pokonać kolejne pułapki, chroniące kiedyś prywatność Lady Sithów. Najpierw rozprawiła się z wyrzutnią zatrutych strzałek, ukrytą obok wejścia, za fałszywym panelem kontrolnym. Potem pokonała opór zamka służby z zamienionymi mechanizmami kontrolnymi, a jeszcze później uniknęła pułapki w postaci „dekontaminacyjnego natrysku” z zatrutą wodą. Za natryskiem natknęła się na sprytną iluzję samej Lumiya, która reagowała na każdy atak, naśladując ruchy napastniczki czy napastnika. Alema bardzo chciałaby się dowiedzieć, na czym polega ta sztuczka... ale postanowiła z tym poczekać, aż pulsowanie w jej mózgu ustanie na tyle, żeby się mogła skoncentrować.

W końcu dotarła do przedpokoju, skąd można się było dostać do mieszkania Lumiya. Poczwała klucze w lekku na myśl o cudach, jakie niebawem tam odkryje. Po wykryciu każdej kolejnej pułapki Lumiya ogarniało ją podniecenie na myśl, że już wkrótce pozna tajniki technik Sithów. Za każdym razem, kiedy pokonywała kolejną przeszkodę, rosły jej nadzieje i oczekiwania. Nie wiedziała, co chroniła Lumiya, ale musiało to być coś niezwykle ważnego i cennego. Alema zaczęła sobie wyobrażać superbroń Sithów, która już po pierwszym użyciu mogłaby rzucić Galaktyczny Sojusz na kolana. A może to coś bardziej subtelnego, na przykład artefakt, który pozwoliłby właścicielowi czytać na odległość myśli przeciwnika? Alema miała nadzieję, że w apartamencie Lumiya znajdzie jedno i drugie... a może nawet cały skarbiec nieznanymi technikami Sithów. Wszystkie te pułapki zaprojektowano przecież nie bez powodu.

Zaczęła od skupiania swojej świadomości Mocy. Starła się odnaleźć chłodne miejsca albo źródła zakłóceń, które mogłyby sugerować sploty energii Ciemnej Strony... ale szybko zrezygnowała, bo doszła do wniosku, że to na nic. Całą asteroidę przenikała wyjątkowo

potężna energia Ciemnej Strony, tak skoncentrowana, że Twi'lekanka poczuła się jak w zaciszu Mrocznego Gniazda, wśród znajomych Gorogów. Wrażenie było gorzko-słodkie i na pewno groźne, bo dawało złudne wrażenie bezpieczeństwa.

Zaczęła więc starannie badać pomieszczenia apartamentu Lumiya. Składał się z kilku pomalowanych na beżowo sypialni, wyłożonej keetowymi panelami pracowni, kolebkowo sklepionej jadalni i saloniku do prowadzenia rozmów albo negocjacji. Lady Sithów mogła się tu czuć swobodnie, chociaż apartament był o wiele skromniej urządzone, niż Alema sobie wyobrażała. Twi'lekanka spodziewała się, że zastanie luksusowo urządzone wnętrza, godne kogoś tak potężnego i przedsiębiorczego jak Lumiya. Nie było tu jednak żadnych dzieł sztuki ani pamiątek; apartament wyglądał zdecydowanie nieprzytulnie. Tylko na każdej ścianie widniały wielkie lustra, dowód próżności Lumiya.

Alema zauważyła, że lustra pokazują jej odbicie z najlepszej strony. Ukrywały wszystkie deformacje i podkreślały wciąż jeszcze zgrabną figurę. Twi'lekanka była zachwycona... ale na wszelki wypadek zaglądała po kolei za każde lustro, w nadziei, że znajdzie za nim sejf albo zamaskowane drzwi.

Niestety, nie odkryła żadnego ukrytego pomieszczenia ani za zwierciadłami, ani nigdzie w całym apartamencie. Tylko zamknięte na głucho drzwi z prastarego syndrewna na tyłach staromodnej kuchni mogły sugerować, że kryje się za nimi bezpieczne pomieszczenie. Piekarniki na podczerwień i naczynia z promiennikowymi przykrywkami były zbyt czyste, żeby ostatnio ich ktoś używał, a schowek za drzwiami był jedynym niedostępnym miejscem w całym mieszkaniu.

Alema sprawdziła, czy nie kryje się tam pułapka w rodzaju tej, na którą już się natknęła w innym miejscu apartamentu Lumiya. Starannie poszukała wszystkich innych, które potrafiłaby wykryć. Nic takiego nie znalazła, więc otworzyła umysł na przepływ Mocy i przesunęła dłonią po powierzchni syndrewnianych drzwi. Spodziewała się, że wyczuje choćby najslabszy sygnał, najmniejsze ostrzeżenie o zagrożeniu.

Niczego nie wyczuła. Jeżeli Lumiya tym razem też zastawiła pułapkę, Alema nie potrafiła jej znaleźć. To mogło oznaczać tylko jedno: że właśnie za tymi drzwiami kryją się skarby Sithów.

Alema cofnęła się o krok, żeby uspokoić bijące serce i zastanowić się, jak najlepiej rozwiązać ten problem. Nie zamierzała pozostawiać drzwi zamkniętych. Dążąc do przywrócenia Równowagi między sobą a Leią, musiała doprowadzić do tego, żeby Jacen stał się kimś, kogo księżniczka najbardziej nienawidzi - następnym Imperatorem. A w tym celu musiała uzyskać nad nim władzę, żeby powstrzymać go przed popełnianiem głupich błędów,

jak na przykład branie najmłodszych uczniów Jedi za zakładników. A kluczem do przejęcia władzy nad Jacenem było zaimponowanie mu... na przykład odnalezieniem ukrytych za tymi drzwiami artefaktów Sithów.

Po kilku minutach uspokajających ćwiczeń serce Alemy zaczęło bić zwykłym rytmem. Upewniła się, że rozważyła wszystkie sposoby rozwiązania problemu, ale dalej nie wiedziała, gdzie i jaka pułapka może na nią czyhać. Pozostała jej już tylko znajomość charakteru Lumiya.

Lady Sithów była kobietą skomplikowaną i przebiegłą. Planowała na wiele ruchów naprzód i szczyliła się tym, że dobrze zna swoje ofiary. Musiała się spodziewać, że każdy, kto dotarł tak daleko w głąb jej sanktuarium, jest równie skomplikowany i przebiegły jak ona. A więc z pewnością zaprojektowała pułapkę z myślą o takiej osobie. Nie mogła jednak przypuszczać, że intruz w jej kuchni zachowa się jak pospolity złodziejasek i że wybierze najprostszy i najbardziej bezpośredni sposób zdobycia tego, po co tu przyszedł.

Alema wyjęła z saszetki u pasa niewielki granat udarowy i przytwierdziła go kropelką synkleju do drzwi tuż nad zamkiem. Wycofała się do sąsiedniego pomieszczenia i posłużyła Mocą, żeby zwolnić zawleczkę granatu. Zobaczyła ostry błysk i usłyszała rozdzierający bębenki huk, a potem do jadalni wpłynęła chmura czarnego dymu.

Kiedy dym się rozwiął, Twi'lekanka przedarła się przez kurtynę przeciwpożarowej pianki i wróciła do kuchni. Drzwi do kryjówki wisiały na jednym zawiasie, poskręcane i częściowo otwarte. Alema była tak podniecona, że dopiero w ostatniej chwili przypomniała sobie, by sprawdzić, czy za drzwiami nie czekają na nią inne pułapki, ale nic nie znalazła. Włączyła jarzeniowy pręt, mocniej odgięła zwęgloną płytę drzwi i zajrzała do środka. Zobaczyła stary schowek na żywność.

Na półkach regałów zamiast jedzenia leżały jednak elementy cybernetyczne - narzędzia, płyny i zapasowe podzespoły, czyli wszystko, czego Lumiya potrzebowała, żeby utrzymywać w sprawności mechaniczną połowę swojego ciała. Alema nie wykryła w niewielkim pomieszczeniu ani jednego artefaktu Sithów.

Zapominając o własnym bezpieczeństwie, przeszła przez próg. Kiedy znalazła się w schowku, zapłonął panel jarzeniowy na suficie, wypełniając pomieszczenie łagodnym, białym blaskiem. Pod jedną ze ścian stały regały z ogromnym zapasem sproszkowanych koncentratów białkowych i pojemników z witaminizowanymi napojami, którymi Lumiya zaspokajała głód i pragnienie. Na półkach niskiego regału po przeciwnej stronie Alema znalazła kilka energetycznych ogniw i zapasowe plecione wasy do świetlnego bicia Lady Sithów.

- Części zapasowe? - Alema poczuła, że w jej piersi wzbiera wściekłość, frustracja i strach przed pożarem. - Sproszkowane koncentraty białkowe?

Machnięciem ręki zgarnęła z półki sześć pojemników z witaminizowanymi napojami, po czym kopnęła w przeciwną stronę pudło z zaostrzonymi kryształami kaiburr. Sprawilo jej to taką przyjemność, że zapaliła klingę świetlnego miecza i jednym cięciem rozplatała plastoidowe pojemniki z hydraulicznym płynem, który rozlał się po podłodze.

- Szukamy artefaktów! - wrzasnęła. Odwróciła się i następnym zamaszystym ruchem przecięła podpory najwyższej półki. - Przyszliśmy tu po skarby Sithów!

Z półki spadła cybernetyczna ręka, która uderzyła Alemę w głowę. Alema odrzuciła ją na bok. Już uniosła świetlny miecz, żeby posiekać rękę na plasterki, kiedy zauważyła futerał z pamięciowym mikroobwodem, leżący na podłodze obok grubszego końca ręki w kałuży hydraulicznego płynu.

- Coś takiego... - mruknęła. - Co my tu mamy? - Wyłączyła klingę świetlnego miecza i podniosła futerał. - Czy to z twojego powodu Lumiya trzymała te drzwi zamknięte na cztery spusty?

Wpatrzyła się w fiberplastowy futerał, jakby czekała na odpowiedź... i w pewnym sensie rzeczywiście się jej spodziewała. Po chwili wyczuła słabą zmarszczkę w Mocy - leciutką sugestię emocji, na które nie miała ochoty się natknąć: nadziei, a może nawet pociechy.

- To ciekawe - odezwała się do siebie. - Co takiego kryjesz w sobie?

Tym razem nie zaczekała na odpowiedź. Bez względu na to, co o niej sądził Statek, nie była aż tak bardzo „uszkodzona”. Powiodła spojrzeniem po podłodze, szukając innych mikroobwodów z danymi. Zaczęła od przejrzenia cybernetycznych podzespołów, a wreszcie zwróciła uwagę na kryształy kaiburr, które rozrzuciła po podłodze. Przeszukała jeszcze pozostałe pudła z częściami zapasowymi do świetlnego bicza. W końcu opróżniła wszystkie pojemniki z witaminizowanymi napojami i kartony sproszkowanych koncentratów białkowych, ale tylko powiększyła panujący bałagan.

Nie znalazła już żadnego mikroobwodu z danymi, za to natknęła się na żetony o wartości ponad miliona kredytów, ukryte w kartonie z koncentratem białkowym. Podobnie jak inne rzeczy, których nie potrzebowała, rzuciła pieniądze na podłogę. Kredyty mogła zdobyć w każdej chwili, a kradzież ich zawsze sprawiała jej dużą radość.

Przekonana, że niczego więcej tu nie znajdzie, wróciła do pracowni Lumiya i wsunęła mikroobwód do gniazda w komputerowym notesie. Spodziewała się, że natknie się na żądanie podania hasła albo inną formę zabezpieczenia. Zamiast tego zobaczyła na wyświetlaczu

ukrytą w kapturze głowę i usłyszała:

- Przepraszamy za krótki czas twojej podróży. - Twarz mówiącego mężczyzny pozostawała niewidoczna w cieniu kaptura, ale z głosu emanowała energia Ciemnej Strony. - Gdybyśmy przewidzieli, jak szybko będą działać najeźdźcy, wysłalibyśmy silniejszą eskortę. Jeżeli przeżyjesz i dotrzesz tutaj o własnych siłach, zaprowadzi cię do nas dołączona do tej wiadomości nawigacyjna struna... ale tylko raz.

Mężczyzna najwyraźniej starał się unikać źródła światła, bo odwracał głowę w przeciwną stronę. Po chwili wyświetlacz ściemniał. Alema wyjęła mikroobwód z gniazda notesu, rozsiadła się na fotelu i zaczęła zastanawiać. Jako młoda Jedi dowiedziała się, że w jednym czasie może żyć tylko dwóch Sithów, bo zrodzona z Ciemnej Strony chęć zdobycia jak największej potęgi zawsze uniemożliwiała ustanowienie liczniejszego Zakonu. Lumiya zasugerowała kiedyś - w ładowni z raketami na pokładzie „Anakina Solo”, kiedy przygotowywała się do osobistego poświęcenia, niezbędnego dla zabicia Luke'a Skywalker'a - że w galaktyce żyje więcej niż dwóch Sithów, a ich plany niekoniecznie wymagają utrzymania Lumiya przy życiu. Zakapturzona postać wyraźnie wyznawała taki sam pogląd, bo wszystko wskazywało na to, że należy do większej grupy.

Alema umieściła mikroobwód z danymi w futerale i ruszyła z powrotem do hangaru. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że zawiesiła poprzeczkę dla siebie zbyt nisko. Nie potrzebowała artefaktu Sithów, żeby zaprowadzić Jacena do zwycięstwa. Musiała tylko znaleźć kryjówkę samych Sithów.

ROZDZIAŁ 6

Po sterburtowej stronie obserwacyjnej bańki unosił się półksiężyc otulonej smogiem planety. Po powierzchni ochronnych pól wokół niej rozchodziły się złociste kręgi przeciążeń, a legendarne platformy obronne zmieniły się w trawione płomieniami wraki. Jacen miał już pewność, że Balmorra jest stracona. Konfederacja jednak słono zapłaci za zwycięstwo w jej przestworzach... pod warunkiem, że piloci Czwartej Floty okażą się godni opinii nieustraszonych wojowników i jeżeli on, Caedus, będzie mógł zmienić przebieg bitwy dzięki swojej bitewnej medytacji.

Jacen zamknął oczy i zobaczył, że Balmorrę atakuje armada Huttów - przypadkowa zbieranina gwiazdnych jednostek, począwszy od ciężkich, powolnych statków, a

skończywszy na szybkich korwetach. Widział także flotyllę commenoriańskich niszczycieli gwiazdnych, osłaniających flotę Konfederacji przed atakiem okrętów Sojuszu. Nie mógł jednak ocenić gotowości swoich załóg, więc nie wiedział, czy żołnierze palą się do walki. Nie miał też pojęcia, czy ich dowódcy są czujni, czy też zajęci innymi sprawami... czy dochowają wierności nowej władzy, czy może uznają ją za nielegalną.

Zwrócił uwagę na nowy okręt flagowy Czwartej Floty, „Zwiastuna Pokoju”. Wyobraził sobie pozbawioną nosa twarz admirała Ratoba, jego wielkie oczy i ogromną łusą głowę. Wizerunek Bitha ściemniał i przybrał szaroniebieską barwę, a na jego wysokim czole pojawiły się zmarszczki zadumy. Przez chwilę Jacen wyczuwał odrazę Ratoba na myśl o bitwie, w której wkrótce przyjdzie mu brać udział... a także jego gniew na polityków, że nie zrobili wszystkiego, aby jej zapobiec.

Później wizerunek zaczął się rozmywać, a na twarzy pojawiły się łuski jak u gada. Jacen uświadomił sobie, że jeszcze raz - chyba tysięczny - wraca myślami do pogrzebu Mary i do mowy pogrzebowej, którą Saba Sebatyne wygłosiła z myślą o nim. Za kogo ona się uważa, żeby prawić mu morały? Jak śmie jakkolwiek Jedi krytykować Dartha Caedusa? To przecież on walczył, żeby ocalić Galaktyczny Sojusz od zagłady. Jedi tylko trzęśli się ze strachu, dyskutowali i wzdrgali się przed koniecznością udziału w tej brudnej wojnie.

Jacen wiedział jednak, że największym problemem nie było przemówienie Saby. Jej słowa mogły oznaczać, że Barabelka zna tożsamość zabójcy Mary, ale co będzie, jeżeli słowa Luke'a o pojednaniu były jeszcze większym podstępem niż wszelkie kręactwa Jacena? Tahiri twierdziła wprawdzie, że Jedi prowadzą cały czas śledztwo w sprawie śmierci Mary, ale niewykluczone, że mistrzowie celowo ją dezinformowali. A może sama Tahiri starała się go wywieść w pole, bo w rzeczywistości była podwójną agentką?

To właśnie dlatego Darth Caedus „zabezpieczył” Akademię Jedi. Był pewny, że mistrzowie nie zwrócą się przeciwko niemu, jeśli będzie sprawował kontrolę nad uczniami. Jeżeli zaś podejmą próbę ich uwolnienia, Jacen od razu pozna, że zamierzają mu się dobrać do skóry. A gdyby nawet mistrzowie się nie dowiedzieli, że to on zabił Marę, akcja uwolnienia uczniów odwróci ich uwagę od śledztwa. Dzięki temu Jacen zdobędzie więcej czasu... może nawet tyle, żeby wygrać tę wojnę.

Naturalnie kiedy Tenel Ka dowie się o przewrocie, Jacen będzie musiał się tłumaczyć. Caedus nie spodziewał się jednak, że Hapanka wycofa się z obietnicy pożyczania mu Obronnej Floty. Na pewno zrozumie, kiedy jej wyjaśni, że usiłował tylko chronić interesy Sojuszu i Jedi. Tenel Ka udowodniła, że jest jedyną osobą w galaktyce, na którą Jacen może zawsze liczyć.

Nagle z zadumy wyrwał go głos operatorki systemu łączności, wydobywający się z głośnika interkomu.

- Panie pułkowniku Solo, jest do pana hologram w kanale bacta-dwa Straży Galaktycznego Sojuszu.

Caedus obrzucił gniewnym spojrzeniem jej hologram. Wszyscy członkowie załogi mostka dobrze wiedzieli, że nie wolno mu przeszkadzać, kiedy przebywa w swoim obserwacyjnym bąblu.

- Nie teraz, pani podporucznik - burknął Jacen.

- Bardzo przepraszam, panie pułkowniku, ale to informacja o najwyższym priorytecie - uparła się operatorka. - To pani porucznik Krova.

- Już nie jest porucznikiem - warknął Jacen, świadomie ujawniając w głosie oburzenie z powodu zakłócenia jego bitewnej medytacji. - Jakiego słowa zwrotu „nigdy nie przeszkadzać”...

- To Ben Skywalker, panie pułkowniku. - W głosie Krovy brzmiał strach, ale pani porucznik się nie poddawała. - Prosił, żeby panu powtórzyć, że zna zabójcę swojej matki.

Serce Caedusa zamieniło się nagle w bryłę lodu.

- Ach, tak? - zapytał. - To... wspaniała wiadomość. - Przycisnął płytkę na podłokietniku i jego ciężki medytacyjny fotel powoli obrócił się w stronę niewielkiego przekaźnika HoloNetu, zainstalowanego obok wejścia do bąbla. - Bardzo dobrze... pani porucznik - powiedział z naciskiem na ostatnie słowo. - Proszę przekazać ten sygnał.

- Dziękuję, panie pułkowniku - odparła Krova, wyraźnie uspokojona, że jej nie zdegradują. - Czy mogę coś dodać, panie pułkowniku?

- Słucham, pani porucznik.

- Kiedy już złapie pan tego ścierwojada, który ją zabił, proszę go odpowiednio potraktować. Niech pan z nim zrobi to, co z Habuur.

- Z Habuur? - powtórzył jak echo Caedus. Ailyn Habuur zmarła, kiedy ją przesłuchiwał na początku wojny, gdy wciąż jeszcze liczone na to, że konflikt się nie rozleje na całą galaktykę. Dopiero później okazało się, że Habuur była córką Boby Fetta, osławionego łowcy nagród, który dostarczył Huttowi Jabbie ojca Jacena, zamrożonego w karbonicie. - Dziękuję za sugestię, pani porucznik. Będę o niej pamiętał.

Poklepał kontrolną płytkę na podłokietniku i wkrótce nad wyświetlaczem holoprojektora pojawiła się głowa Bena Skywalkera. Caedus przypomniał sobie, że nie widział młodszego kuzyna od pogrzebu Mary. Uznał, że chłopak znosi śmierć matki lepiej, niż można się było spodziewać. Nie miał zaczerwienionych, podpuchniętych powiek. Jego

oczy były zapadnięte, ciemne i gniewne, a zacięty wyraz twarzy dowodził, że Ben nie potrzebuje niczyjego współczucia. Najwyraźniej Lumiya bardzo się co do niego pomyliła... Ben mógł jeszcze się stać wspaniałym uczniem Lorda Sithów.

Caedus zrezygnował ze złożenia mu kondolencji, jak początkowo zamierzał. Zrobił roztargnioną minę.

- Musisz się pospieszyć, Benie - powiedział. - Zaraz zaczynamy kontratak.

- Na pewno się pospieszę - obiecał Ben ostrym tonem, gniewnie marszcząc czoło. - Mam tylko jedno pytanie.

- Ach, tak? - Caedus dopuścił, żeby na jego twarzy pojawiła się lekka dezorientacja. Domyślał się, co go czeka, i zawczasu przygotował sobie plan dalszego postępowania. - Proszę bardzo.

Ben zmrużył oczy.

- Czy to ty zabiłeś moją mamę? - zapytał.

Caedus uniósł brwi, jakby nim to wstrząsnęło, i tym razem niezupełnie udawał. Rzeczywiście był zaskoczony - głównie tym, jak szybko Ben przeszedł do sedna sprawy.

- Czy ja... co zrobiłem? - zapytał. Rozsiadł się wygodniej w fotelu i pokręcił głową z udawanym oszołomieniem. - Naprawdę uważasz, że to ja zabiłem Marę? Dlaczego?

- Byłeś tam - przypomniał zwięźle Ben. - W Konsorcjum.

- Wiele osób tam było - odparł ostrożnie Caedus. Spodziewał się, że Ben go oskarży o to zabójstwo osobiście; w takim układzie młodszy kuzyn miałby większą szansę poznania jego reakcji... a może także dokonania zemsty. - Zamierzasz oskarżyć nas wszystkich, w nadziei, że ktoś przyzna się do winy?

- Nie muszę tego robić - odparł chłopak. - Już się przyznałeś.

Caedus zmarszczył brwi. Wygłoszone z dużą pewnością siebie oskarżenie było powszechnie stosowaną metodą przesłuchania, co mogło oznaczać, że młodszy kuzyn nie jest niczego pewny. Caedus zastanawiał się jednak nadal, dlaczego Ben oskarża go za pośrednictwem HoloNetu. Może po prostu nie chciał dać się zabić, utrzymując odległość kilkuset lat świetlnych między swoim temperamentem a prawdopodobnym zabójcą. A może chciał utrudnić Jacenowi wykrycie kłamstw, którymi go częstował? Caedus zadał sobie pytanie, kto jeszcze słucha tej rozmowy. Czyżby poza zasięgiem obiektywu holokamery Bena siedziała Saba Sebatyne, która podpowiadała mu, co ma mówić?

Caedus nie zadał pytania, którego Ben musiał się spodziewać - mianowicie, w jaki to sposób Jacen przyznał się do winy - ale młody Skywalker i tak na nie odpowiedział:

- Zachowujesz się, jakbyś to zrobił.

Caedus doszedł do wniosku, że tym razem musi połknąć przynętę. Gdyby tego nie zrobił, Ben i wszyscy ewentualni świadkowie tej rozmowy uświadomiliby sobie, że Jacen doskonale wie, o czym chłopak mówi.

- No dobrze, Benie - powiedział. - Co powiesz o moim zachowaniu?

- Starasz się wyprowadzić z równowagi tatę i mistrzów Jedi - wyjaśnił Ben. - Nie chcesz, aby się dowiedzieli, że to byłeś ty.

- Jeżeli masz na myśli próbę zaarrestowania moich rodziców w Świątyni Jedi, to muszę ci powiedzieć, że była ona podyktowana wyłącznie względami bezpieczeństwa - odparł Caedus.

- Kapitan Shevu otrzymał wiadomość, że Bothanie przemycili protonową bombę na planetę, a moja matka i ojciec są znanymi terrorystami. Zważywszy na to, że w tym pogrzebie brała udział większość naszych mistrzów Jedi...

- Czy to znaczy, że następna taka bomba znalazła się na Ossusie? - młody Skywalker przerwał mu bezceremonialnie.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Caedus nie był szczególnie zaskoczony tym, że major Serpa nie zachował swojej operacji w ścisłej tajemnicy. Jedi mieli wiele sposobów porozumiewania się na międzygwiazdne odległości, a niektórych sposobów nie dawało się zakłócić. - I na pewno nie zamierzam do tego dopuścić. Batalion SGS, który tam wysłałem, ma tylko zapewnić bezpieczeństwo Akademii Jedi.

- Daj spokój, Jacenie - parsknął Ben. - Wziąłeś nauczycieli i uczniów za zakładników. Nie chcesz dopuścić, żeby Zakon dobrał ci się do skóry!

- Staram się tylko chronić uczniów - sprzeciwił się spokojnie Caedus. - Twój ojciec nie jest w tej chwili sobą, a Rada zareagowała na śmierć twojej matki bardzo niemądrze. Jeżeli ja mogłem wysłać na Ossusa cały batalion wojska, jak ci się wydaje, co mogliby zrobić Bothanie?

- Bothanie nie mają naszych kodów dostępu - odciął się chłopak. - A poza tym nikt nie uznałby ich za naszych sojuszników.

Caedus zrozumiał, że Ben nie dał się przekonać, więc postanowił zmienić taktykę. Ciężko westchnął.

- Niepotrzebnie próbowałem wywieść cię w pole, Benie - powiedział skruszony. - Prawda wygląda tak, że nasz urząd... mam na myśli przywódców Galaktycznego Sojuszu... bardzo ucierpiał z powodu braku wsparcia ze strony Rady Jedi.

Ben zmarszczył brwi.

- A więc to ty zabiłeś mamę, tak? - zapytał.

- Nie Benie... to był ktoś inny - odparł Caedus. Nie miał jak sprawdzić, czy Saba albo inni mistrzowie słuchają ich rozmowy, ale miał nadzieję, że tak jest. Jego wyjaśnienie było rozsądne i prawdopodobne i mogło wystarczyć do przekonania wszystkich podejrzliwych, że nie miał absolutnie nic wspólnego ze śmiercią Mary. - Prawdą jest jednak, że chcę wykorzystać sytuację. Sojusz potrzebuje w tej chwili zjednoczonego frontu, a skoro twój ojciec tak bardzo pograżył się w żałobie... No cóż, jako jeden z przywódców Sojuszu próbuję po prostu umocnić moją władzę.

Ben wyglądał na oszołomionego.

- Chcesz powiedzieć, że usiłujesz przejąć kontrolę nad Zakonem Jedi? - zapytał.

Caedus pokręcił głową.

- Staram się go tylko zneutralizować - powiedział. - Może Saba i inni mistrzowie pomyślą dwa razy, zanim coś powiedzą publicznie, jeżeli będą mieli w pamięci, że to ode mnie zależy bezpieczeństwo najmłodszych adeptów Zakonu.

Musiał podziwiać Bena. Chłopiec nie był na tyle głupi, aby głośno powiedzieć, że Jacen nigdy nie wyrządziłby krzywdy uczniom Akademii.

- A co z twoimi deklaracjami wygłaszanymi podczas ceremonii pogrzebowej? Mówiłeś, że chcesz się pojednać z mistrzami Jedi - przypomniał teraz.

- Naprawdę chciałem, ale od pogrzebu nie miałem okazji porozmawiania z twoim ojcem - odparł Caedus. - Wydaje mi się, że mnie unika. Co więcej mogę zrobić?

- Według mnie przejęcie kontroli nad Akademią nie było najrozsądniejszym posunięciem - stwierdził Ben. - W taki sposób tylko zrazisz do siebie i jego, i wiele innych osób.

- Przykro mi, ale zrobiłem to dla dobra Sojuszu - oznajmił Caedus.

- Dla dobra Sojuszu? - Niedowierzanie w głosie Bena odmalowało się także w jego oczach. - A może moją mamę też zabiłeś dla dobra Sojuszu?

Udając sfrustrowanego, Caedus wypuścił powietrze z płuc z cichym świstem.

- Twoja technika przesłuchiwania jest doskonała, Benie. - Rozmowa z młodszym kuzynem nie przebiegała tak, jak się spodziewał... więc może nadeszła pora, by to zmienić. - Nieważne, jak długo będziesz mnie oskarżał, nie przyznam się do popełnienia czegoś, za co odpowiada Ca... - Raptownie urwał. - Za co odpowiada ktoś inny - dokończył po chwili.

Ben zareagował na to „przejęzyczenie” dokładnie tak, jak Caedus się spodziewał. Otworzył szeroko oczy, by zaraz je zmrużyć.

- Kto za to odpowiada? - podchwycił.

Caedus spojrzał mu prosto w oczy i patrzył w nie wystarczająco długo, aby nabrać

pewności, że będzie to wyglądało nienaturalnie.

- Czy nie wydaje ci się, że gdybym to wiedział, do tej pory sprawca by już nie żył? - zapytał.'

- To zależy, czy jeszcze mógłby ci się do czegoś przydać - dogryzł mu chłopak.

Caedus się skrzywił, ale tylko na pokaz. W głębi serca czuł rozbawienie. A więc Ben przestał go oskarżać o zabicie Mary i zażądał wyjawienia nazwiska sprawcy. Jak można się było spodziewać, bardziej interesowała go zemsta niż wymierzenie sprawiedliwości... Caedus musiał już tylko wskazać mu wiarygodny cel.

- Benie, niczego nie wiem na pewno - zastrzegł.

- Ale masz swoje podejrzenia - domyślił się chłopak.

Caedus milczał chwilę, a w końcu kiwnął głową.

- Nie dysponuję żadnym dowodem - powiedział. - To, co mam, wskazuje tylko, w którą stronę patrzeć.

Ben parsknął pogardliwie.

- Odkąd to potrzebujesz dowodu? - zapytał. - Śledczym SGS zawsze wystarczyły podejrzenia.

- Sprawa zabójstwa twojej matki nie jest jedną z wielu spraw - przypomniał Caedus. - Tym razem musimy mieć dowody, i to bardzo mocne. Za chwilę sam się o tym przekonasz. - Przeniósł spojrzenie na podłokietnik fotela i udał, że manipuluje urządzeniami kontrolnymi. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiało lekkie rozgoryczenie i uraza. - Odtwarzam ci to tylko dlatego, aby cię przekonać, że to nie ja zabiłem twoją matkę. Nie wolno ci na tej podstawie podejmować żadnych kroków, Benie. Musimy zrobić wszystko jak należy... dla dobra Sojuszu.

Na twarzy Bena odmalowały się zniecierpliwienie i ciekawość.

- Jasne - burknął chłopak. - Chcę tylko wiedzieć, kto odpowiada za śmierć mojej mamy.

- Jak chcesz. - Caedus zbliżył palec do płytki rejestratora, ale jeszcze raz zerknął na hologram młodszego kuzyna. - Dasz mi słowo Jedi?

- Tak - odparł Ben. - Słowo Jedi.

Caedus kiwnął głową.

- To dobrze - powiedział.

Opuścił palec. Z głośników rejestratora popłynął znajomy, chociaż trochę zniekształcony głos Cala Omasa. Ben osłupiał. Prawdopodobnie tak samo zareagowali ci wszyscy, którzy mogli słuchać tych słów poza zasięgiem obiektywu holokamery.

- Mam jeszcze sojuszników w radzie Jedi, a jednym z nich jest Luke - mówił Omas. - Nie zamierza się jednak wtrącać. Jego zdaniem Jedi nie powinni się mieszać do polityki wewnętrznej.

Głosowi Omasa towarzyszyły trzaski i zakłócenia, co miało dowodzić, że został zarejestrowany przez aparaturę podsłuchową. W rzeczywistości chodziło jednak o to, aby wśród trzasków zginęły charakterystyczne dźwięki, powstające przy manipulowaniu nagraniem.

- Chcę powiedzieć, że należy zrobić coś, żeby Skywalker nam nie przeszkadzał - ciągnął głos Omasa. - Dopiero wówczas moi przyjaciele będą mogli działać na własną odpowiedzialność i przywrócić mnie do władzy.

Omas znów urwał na jakiś czas.

- Tę rozmowę zarejestrowano dzięki antenie parabolicznej - odezwał się Caedus, żeby wyjaśnić, dlaczego Ben nie słyszy odpowiedzi rozmówcy Omasa. - Były przewodniczący posługiwał się komunikatorem porucznika dowodzącego oddziałem, który pilnował więźnia. Tamten aparat nie był jeszcze wtedy na podsłuchu.

Ben pokiwał głową, jakby to rozumiał.

- Czyś ty oszalał? - wybuchnął nagle Omas. - Nie możemy tego zrobić Luke'owi Skywalkerowi... nawet gdybyśmy znali kogoś, kto się tego podejmie. Wystarczy, jeżeli skierujesz jego uwagę na coś innego.

Omas znów umilkł, a Caedus dostrzegł na twarzy Bena grę silnych uczuć - gniewu i nienawiści.

- Posłuchaj - ciągnął Omas. - Naprawdę nie chcę wiedzieć, jak to zamierzasz zrobić... po prostu to zrób.

Jak tylko nagranie dobiegło końca, z przekaźnika sygnału HoloNetu rozległ się donośny głos Bena:

- Z kim rozmawiał? Z Fettem?

- Jeszcze tego nie wiemy. - Caedus uśmiechnął się w duchu; to świetny pomysł, żeby napuścić Bena na Fetta... ale wciąż jeszcze miał nadzieję, że kuzyn zostanie jego uczniem. A był prawie pewny, że Fett bez trudu pokonałby Bena. - To jeszcze jeden powód więcej, żeby zachować cierpliwość. Wcześniej czy później Omas będzie musiał zapłacić zabójcy ustalone honorarium... a kiedy to zrobi, do mordercy twojej matki doprowadzą nas kredyty.

- Ja już wiem, kto odpowiada za śmierć mojej matki - warknął Ben. - Zanim zginie, wyjaw mi kto ją zamordował.

Caedus postarał się wyglądać na zaniepokojonego.

- Benie, dałeś słowo - przypomniał. - Podejmowanie jakichkolwiek kroków na podstawie tej informacji może się okazać bardzo niekorzystne dla Sojuszu... Musimy publicznie udowodnić, co zrobił Cal Omas. Nie możemy pozwolić, aby wyglądało, że zabiliśmy go bez powodu.

- Nie martw się - odparł Ben. - Zdobędę dowód.

- Benie, musisz się wstrzymać z podejmowaniem jakichkolwiek kroków - przykazał surowo Caedus. - To rozkaz.

- Z całym należnym szacunkiem, panie pułkowniku, ale może pan wepchnąć ten rozkaz w głąb najbliższej czarnej dziury. - Na hologramie Bena pojawiła się jego ręka, jakby chłopiec sięgał do wyłącznika projektora. - Przecież to pan zrobił ze mnie zabójcę.

Hologram zniknął, a na jego miejscu pojawiły się świetliste linie zakłóceń. Caedus wbił spojrzenie w usianą iskierkami gwiazd ciemność za obserwacyjnym bąblem. Dotknął przełączników na podłokietniku fotela i znów zaczął myśleć o zbliżającym się kontrataku. Po chwili uśmiechnął się i wybrał kanał umożliwiający rozmowę ze swoją oficer łącznościowiec.

- Pani porucznik Krova? - zapytał.

- Tak, panie pułkowniku?

- Musi pani wysłać pilną wiadomość do dowódcy oddziału strzegącego byłego przywódcy Omasa. - Caedus urwał i dodał głosem odpowiednio zaniepokojonym: - Porucznik Skywalker przypuszcza, że wkrótce ktoś dokona zamachu na jego życie.

ROZDZIAŁ 7

Na najwyższych piętrach koron gigantycznych wroshyrów konary były tylko na tyle grube, żeby dało się po nich przejść, a nisko sunące chmury skraplały na nich chłodną wilgoć. Wookie bez problemu radzili sobie z chodzeniem po cienkich gałęziach czy z docieraniem do otaczających Skałę Rady niewielkich platform obserwacyjnych, ale dla istot bez pazurów - jak Leia i Han - poruszanie się na takiej wysokości było nie tylko męczące, ale także denerwujące i niebezpieczne.

W końcu Han dotarł do rozwidlenia konarów. Jeden z nich opadał w kierunku majaczącej we mgle werandy, drugi zaś wznosił się aż do platformy obserwacyjnej, uginającej się pod ciężarem zbyt wielu Wookiech. Przez gęstwinę liści między gałęziami zaczynały prześwitywać zarysy czarnej pionowej Skały Rady.

Przewodnik obojga Solo, gibki młody Wookie o brązowej sierści i twarzy podobnej do Chewiego, stanął trzy kroki przez opadającym konarem, obejrzał się za siebie i wymruczał jakieś pytanie.

- Radzimy sobie... doskonale - wysapał Han. - Nie martw się o nas.

- Dopiero teraz rozumiem, dlaczego kazałeś Threepiowi pozostać na pokładzie „Sokoła”. - Leia podeszła z tyłu do męża i położyła mu dłoń na ramieniu. Udawała, że odpoczywa, ale Han podejrzewał, że w rzeczywistości sprawdza, czy mąż trzyma się pewnie na nogach. - Co za spacerek, Waroo - powiedziała.

- Dwanaście godzin marszu to byłby spacerek - sprzeciwił się Solo. - Cztery dni to cała parszywa wyprawa. Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy polecieć napowietrzną taksówką... przynajmniej do Thikkiiana City.

Waroo - a ściślej Lumpawaroo, syn Chewiego - w odpowiedzi przeciągle zaryczał.

- Ta-a, więc może powinniśmy byli wrócić na pokład „Sokoła”, polecieć nim do Thikkiiana City i stamtąd rozpocząć naszą wyprawę - nie dawał za wygraną Han.

Oburzony Waroo warknął, zupełnie jak kiedyś jego ojciec. Pokręcił głową i zaczął schodzić po opadającym konarze.

- Dobrze wiesz, że nie o to chodzi - odezwała się Leia. - Wędrowni stanowią część ich tradycji.

- Nic dziwnego, że podjęcie jakiejkolwiek decyzji zajmuje im aż tyle czasu - stwierdził Solo. - Pół roku potrzeba, żeby się wszyscy zgromadzili.

- Nie wyłączając nas - zauważyła księżniczka. Szturchnęła męża pod żebro, żeby pospieszył za przewodnikiem. - Szybko - przynagliła. - Waroo powiedział, że już niedługo Wookie podejmą decyzję.

- Akurat - burknął Han. - Lada miesiąc.

Rozłożył ręce na boki, żeby łatwiej utrzymywać równowagę, i zaczął schodzić po śliskim konarze. Starał się stawiać stopy dokładnie pośrodku i ugiąć nogi w kolanach, żeby Waroo przypadkiem go nie strącił. Wiedział, że zaraz za nim idzie Leia, gotowa do podtrzymania go Mocą w ciągu milisekundy, więc nie bał się, że runie z takiej wysokości. Na Kashyyyku można było jednak zginąć na wiele innych sposobów, a w jego wieku mogłoby go zabić zwykłe zawstydzenie.

Kiedy pokonali większą część odległości od zatłoczonej werandy, Han usłyszał dobiegające z kręgu Rady głosy Wookiech. Wszyscy mówili w xacziku - trudnym dialekcie z wyspy Wartaki, którym porozumiewali się trzy wojny wcześniej, ilekroć chcieli wywieść w pole imperialnych władców - więc Han nie rozumiał, o co chodzi delegatom. Z tonu ich głosu

wywnioskował jednak, że rzeczywiście Rada jest bliska podjęcia decyzji. Przemawiająca osoba głośno ryczała zamiast pomrukiwać, a wydawane przez tłum entuzjastyczne okrzyki, od których o mało nie pękały bębunki w uszach, wyraźnie dowodziły poparcia, nie sprzeciwu.

- Ho, ho - odezwał się Han. - Pojawiliśmy się w ostatniej chwili.

- Chyba rzeczywiście zamierzają udzielić poparcia Jacenowi jeszcze w tym miesiącu - stwierdziła Leia, tak samo sarkastycznie jak jej mąż. - Mówiłam, że ich flota jest niemal gotowa.

- Wierzę ci - odparł Han. - Wookie się spieszą. Kto by to pomyślał?

Waroo dotarł do werandy i mrużąc przeprosiny i wyjaśnienia, zaczął się przeciskać przez tłum ziomków. Jego ojcem był wprawdzie potężny Chewbacca, ale Waroo był jeszcze młody i o jakieś sto kilogramów za lekki, żeby żądać czegoś rykiem. Ale i tak tłum robił mu powoli przejście. Niektórzy Wookie spoglądali zdumieni na Hana i Leię i wyrażali pomrukami domysły, co też oni tu robią.

W końcu, kiedy wszyscy troje dotarli prawie do balustrady, zobaczyli dwóch rosnących strażników pod łukiem ze zgiętych konarów wroshyrów. Widoczne za nimi czarne skalne stopnie wiodły na sam szczyt Skały Rady - strzelistej kolumny z wulkanicznego bazaltu, wznoszącej się niemal równie wysoko jak korony wroshyrów. Za strażnikami widniały dwie bramy z powiązanych lianami konarów. Bramy były zamknięte, żeby nikt członkom Rady nie przeszkadzał.

Na najniższej belce prawej bramy stały dwie niskie, ale aż nazbyt dobrze znane istoty. Trzymały się górnej belki i patrzyły w górę skalnych stopni. Jedna była kosmata i czarna, a przez jej plecy biegło ukosem pasmo białej sierści. Druga, bezwłosa, miała ogromne uszy i trochę za bardzo groszkowatą figurę jak na Sullustanina.

- Ale numer - mruknął Han. - Co ci dwaj tu robią?

- Wygląda na to, że podsłuchują - odezwała się cicho Leia. - Nawet jeżeli twoje słowa ich przekonają, Jacen może nie być tak bardzo zaskoczony, kiedy Wookie odmówią mu swojego poparcia.

Wyczuwając zamieszanie za plecami, obie istoty obejrzały się za siebie, wytrzeszczyły oczy ze zdumienia i zeskoczyły z bramy.

- Księżniczka Leia! - Sullustanin podszedł do niej i zgiął ciało w ceremonialnym ukłonie, po czym odwrócił się i wyciągnął rękę do Hana. - Kapitan Solo! Co za niespodzianka!

- Ta-a, my też się cieszymy na wasz widok, Juun. - Han pozwolił Sullustaninowi chwycić swoją dłoń i energicznie nią potrząsnąć. - Jaka ta galaktyka mała, co?

- Miło cię znów widzieć, Jae - odezwała się Leia, zwracając się do Sullustanina po imieniu. - Domyślam się, że obserwujecie rozwój sytuacji na polecenie admirała Bwu'atu?

Juun pokręcił głową.

- Na polecenie samej pani admirał Niathal, naczelnego dowódcy sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu - powiedział. - Od czasu kryzysu Mrocznego Gniazda wspinamy się po szczeblach kariery jako funkcjonariusze wywiadu.

Porośnięty czarną sierścią Ewok zaskrzeczał coś do Juuna ostrym tonem, odwrócił się i spiorunował Leię spojrzeniem.

- Niepotrzebnie się o nas martwisz, Tarfang - odparł Han, zgadując powód zdenerwowania Ewoka. - Wy dwaj też nie jesteście tu incognito. Idę o zakład, że Wywiad Konfederacji już wie, dla kogo pracujecie.

Tarfang zignorował jego słowa i wyskrzeczał coś jeszcze. Tym razem oboje Solo spojrzeli na Juuna, żeby im przetłumaczył słowa Ewoka.

- Tarfang twierdzi, że jesteście zdrajcami... a ja się obawiam, że ma rację. - Na twarzy Sullustanina odmalował się niepokój.

- Wiecie chyba, że to terytorium Sojuszu. Nie powinniście byli tu przylatywać.

- Właśnie, że powinniśmy - sprzeciwił się Han. Przeszedł obok obu szpiegów Sojuszu i zwrócił się do strażników. - Otwórzcie tę bramę, chłopaki - powiedział. - Mam coś ważnego do zakomunikowania członkom waszej Rady.

Obaj Wookie spojrzeli na Waroo, który ich uspokoił, że delegaci na pewno zechcą wysłuchać, co Han i Leia mają im do powiedzenia. Przypomniał także, że Han zaciągnął u jego ojca dług życia za to, że nie dopuścił, aby Wookie trafił do niewoli. Strażnicy spojrzeli po sobie, pokiwali głowami i zaczęli otwierać bramę. Nagle na najwyższą belkę wskoczył Tarfang i zaskrzeczał coś przeraźliwie, a Wookie z wrażenia aż się skulili.

- Mówi, że strażnikom nie wolno was wpuścić tam, gdzie obradują członkowie Rady - przetłumaczył Juun. - Jesteście agentami nieprzyjaciół.

Po jego słowach obaj strażnicy spojrzeli spode łba, a kilkoro Wookiech w tłumie zaryczało, że Mały Zabójca ma rację. Solo byli znanymi sympatykami Korelian, więc dopóki są uzbrojeni, nie powinno się im pozwalać na kontakt z członkami Rady.

- Zapomnijcie - oburzył się Han. - Nie zamierzam nikomu oddawać mojego blastera.

Strażnicy wyciągnęli po dwa podobne do maczet ostrza ryyk i skrzyżowali je przed sobą.

Leia chwyciła męża za rękę.

- Hanie... - zaczęła.

- Dobrze, dobrze. - Solo odpiął pas z blasterem i wręczył broń Waroo na przechowanie. - Na jakie poświęcenia muszę się zdobywać, żebyś nie wpadła w tarapaty!

Kiedy Leia podała Waroo swój świetlny miecz i mały blaster, obaj strażnicy znów zabrali się za bramę. Tym razem podszedł do nich Juun.

- Chyba wiecie, że jeżeli otworzycie tę bramę, pogwałcicie Klauzulę Antyterrorystyczną Galaktycznej Ustawy Lojalności - powiedział. - Pozwalanie sympatykowi terrorystów, żeby zwracał się w miejscu publicznym do innych Wookiech, jest karane osadzeniem w orbitalnym zakładzie karnym o zastrzonym rygorze na dwadzieścia standardowych lat albo aż do zdławienia rebelii... jeżeli to zajmie więcej czasu.

Obaj strażnicy spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i otworzyli szerzej bramę... ale w tej samej chwili Tarfang wskoczył na górną belkę i wypowiedział pod ich adresem litanię zniewag, która wstrząsnęła nawet Hanem.

Sullustanin spojrział na strażników.

- Tarfang mówi, że ci dwoje są zdrajcami - przetłumaczył.

- Jeżeli otworzycie im tę bramę, też się nimi staniecie.

Nie dodał nic więcej, ale Tarfang spojrział na niego, jakby czegoś oczekiwał.

- Na pewno chcesz to powiedzieć parze Wookiech? - zapytał Juun.

W odpowiedzi Ewok wypluł słowo, które mogło oznaczać potwierdzenie.

Juun westchnął, a Tarfang znów popatrzył groźnie na strażników. Sullustanin zwrócił się do Wookiech:

- Mówi, że jeżeli będziecie się zachowywać jak zdrajcy, potraktuje was jak zdrajców - powiedział w xacziku.

W tłumie zgromadzonych Wookiech rozległ się chór pełnych zdumienia pomruków. Obaj strażnicy wyglądali na oszołomionych... i trochę zdenerwowanych.

Juun wykorzystał zamieszanie, żeby odwrócić się do obojga Solo.

- Naprawdę byłoby najlepiej, gdybyście oboje stąd zniknęli - powiedział. - W przeciwnym razie obowiązki zmuszą mnie do zrobienia czegoś, czego naprawdę nie chcę robić.

- Zrób coś najgorszego, ale nie zapominaj, kto napisał książkę o brudnych sztuczkach.

- Nie czekając na odpowiedź Sullustanina, Han odwrócił się znów do strażników. - Otwieracie tę bramę czy będę musiał to sam zrobić? - zapytał.

Na jego nieszczęście właśnie w tej chwili cierpliwość strażników się wyczerpała. Obaj ruszyli w jego stronę. Pierwszy wymierzył w niego oba ostrza, a drugi kopniakiem w brzuch rzucił Tarfanga z górnej belki bramy. Ktoś z tłumu zaproponował, żeby zapytali starego

Tojjelnoota, co powinni zrobić.

- Starego Tojjelnoota? - podchwyciła Leia.
- „Starego”, czyli przewodniczącego Rady - wyjaśnił Han.
- Miejmy nadzieję, że do tej pory przestał mieć pretensje z powodu Tojjewuka.
- Ach - mruknęła księżniczka. - Chodzi o tych Tojjów, tak?

Han kiwnął głową.

- Obawiam się, że tak - powiedział.

Kilka osób z tłumu zawyło na znak poparcia dla propozycji pierwszego Wookiego. Jeden ze strażników odwrócił się i zaczął wspinać po skalnych schodach.

- Coś wspaniałego - burknął Han. - A już myślałem, że nasza sytuacja nie może się bardziej skomplikować.

Klan Tojjów przez kilkadziesiąt lat próbował zabić Chewiego z zemsty za śmierć Tojjewuka podczas walki o rękę przyszłej żony Chewiego, Mallatobuck. Waroo zawył, aby zapewnić oboje Solo, że Rada nie pozwoli Tojjelnootowi na rozstrzygnięcie sporu na podstawie zadawnionej waśni rodowej... ale kiedy koło jego głowy świsnęła błyskawica blasterowego strzału, ryknął z zaskoczenia.

Han i Leia odwrócili się jak użądleni i sięgnęli po broń, której nie mieli. Zorientowali się, że patrzą w wylot lufy ogromnego pistoletu blasterowego Merr-Sonn Flash 4.

- Tarfang! - wrzasnął Juun. - Natychmiast odłóż to żelastwo!

Ewok wyskrzecztał długą litanię, która oznaczała stanowczy sprzeciw, po czym popełnił błąd i skierował lufę w stronę Hana.

Leia uniosła rękę. Ciężki blaster wyslizgnął się z palców Tarfanga i zniknął za balustradą werandy. Księżniczka wyciągnęła rękę i w następnej sekundzie drobny Ewok wylądował w jej objęciach, chociaż skrzeczał z wściekłości i usiłował ją rozszarpać pazurami wszystkich czterech kończyn.

- Dość tego! - rozkazała Leia. Obróciła wierzgającego Tarfanga do góry nogami; teraz Ewok wisiał przed nią głową w dół.

- Możliwe, że na dziewięciu planetach wyznaczono nagrody za twoją głowę, ale nie ma to dla nas najmniejszego...

- Puść go! - W głosie Juuna brzmiała niezwykła stanowczość. - Natychmiast!

Han się odwrócił i zauważył, że Sullustanin mierzy ze swojego blastera w plecy żony.

- Juun, na co ty, na wszystkie ognie piekieł, sobie pozwalasz! - wrzasnął oburzony.

Sullustanin nie odrywał spojrzenia od księżniczki.

- Staralem się być dla was miły, ale nie chcieliście mnie słuchać - powiedział ostro i

kompletnie bez szacunku. - Tarfang jest moim partnerem. Nie mogę pozwolić, żeby ktokolwiek wyrządził mu krzywdę.

- Jaką krzywdę? - zachnął się Solo, podchodząc do Sullustanina. - To on pierwszy dał ognia.

Wyciągnął rękę, żeby wyszarpnąć blaster z palców Juuna... ale poczuł na nadgarstku uścisk ogromnej kosmatej dłoni, która szarpnęła go i uniosła w powietrze. Usłyszał wymruczany z niewielkiej odległości rozkaz jakiegoś Wookiego. Spojrzał na niego i przekonał się, że trzyma go porośnięty srebrzystą sierścią samiec, o wiele większy niż kiedyś Chewbacca.

- Dobrze, dobrze, tylko spokojnie - powiedział. - Nie zamierzałem nikogo zabijać.

Wookie spojrział na Leię i warknął rozkazująco. Han zerknął w kierunku Waroo, ale młodego Wookiego otaczał tłum roślących ziomków. Solo byli bezbronni i odcięci od jedyne go sojusznika.

- Uhm... kochanie - odezwał się niepewnie Solo. - Może jednak powinnaś puścić tego miłego Ewoka?

- Jak sobie życzysz.

Leia zwolniła uchwyt i pozwoliła, żeby Tarfang upadł na głowę. Ewok natychmiast się zerwał i ruszył w jej stronę, ale zderzył się z nogami porośniętej blond sierścią roślącej istoty płci żeńskiej rasy Wookie, która popatrzyła zezem i pogroziła mu palcem.

Srebrzystowłosa Wookie zaryczał do Hana, nakazując mu, żeby nie stawiał oporu.

- Chyba żartujesz - odparł Han. - Zamierzasz nas... aresztować?

Blondwłosa Wookie przepraszająco ryknęła. Przypomniała, że Solo są poszukiwani listem gończym Galaktycznego Sojuszu, a chwilę wcześniej napadli na dwóch funkcjonariuszy jego Wywiadu.

- Nie obchodzi mnie, że są agentami Sojuszu - burknął urażony Han. - A poza tym to oni na nas napadli, nie my na nich...

Srebrzystowłosa Wookie zaryczał pytająco jeszcze raz, tym razem tak stanowczo i głośno, że Han poczuł ból w bębenkach uszu.

- Dobrze, dobrze! - wykrzyknął. Obejrzał się na Leię, ale zrezygnowana żona pokiwała głową. Westchnął i rozłożył ręce na boki. - Nie ma potrzeby uciekać się do przemocy - powiedział. - Nie będziemy stawiali oporu.

ROZDZIAŁ 8

Po czaszy ochronnych pól „Anakina Solo” rozlała się energia turbolaserowego strzału i w przestworzach za obserwacyjnym bąblem pojawił się jaskrawy szafirowy błysk. Caedus na chwilę oślepl, chociaż natychmiast zadziałała przeciwbłaskowa warstwa ochronna na powłoce bąbla. Mimo to nie stracił świadomości. Nadal wyczuwał wątpliwości, jakie ogarniały całą Czwartą Flotę. Odczuł także drżenie Mocy po nagłej eksplozji na pokładzie fregaty „Zoli”. Był świadom wściekłości admirała Ratoba, który już dwukrotnie zakłócił jego medytację, żeby poprosić o pozwolenie przerwania ataku.

Zgodnie z każdą rozsądną taktyką wojskową Caedus powinien był wyrazić na to zgodę, gdy tylko Commenorianie otworzyli ogień z dalekosiężnych turbolaserów. Kiedy planiści zaproponowali frontalny atak, nie spodziewali się, że nieprzyjaciele dysponują tak nowoczesną bronią, a teraz Czwarta Flota miała być narażona na ostrzał podczas całej drogi na pole walki. Co gorsza, nie mogła odpowiadać ogniem, dopóki nieprzyjaciel nie znajdzie się w zasięgu standardowych dział, bo artylerzyści nawet największych niszczycieli gwiazdnych Sojuszu nie mieli dostatecznej rezerwy energii, żeby przesyłać ją do baterii dalekosiężnych dział, utrzymywać ochronne pola i manewrować.

Caedus nie mógł jednak przerwać ataku. Przyszłość jawiła mu się jako mieszanka najróżniejszych możliwości. Mógł się przespacerować po nurcie tylko do najbliższej bitwy, która - zgodnie z jego przewidywaniami - miała się rozegrać w przestworzach Kuata. Dalsza przyszłość ginęła w niepewności. Flota Obronna Tenel Ka miała wprawdzie dołączyć do niego, ale dopiero w przestworzach Kuata. Tymczasem tu, w okolicy Balmorry, Sojusz po prostu nie był dość silny, aby odnieść zwycięstwo. Krótko mówiąc, jeżeli Caedus chciał zwyciężyć, powinien już teraz zadać nieprzyjaciołom jak najcięższe straty. Musiał zdziesiątkować atakujące Balmorrę floty Huttów i Commenorian.

Moc chyba sugerowała, że podjął słuszną decyzję. Podczas medytacji odniósł subtelne wrażenie oczekiwania, jakby szala zwycięstwa w tej bitwie miała się wkrótce przechylić na stronę Sojuszu. Caedus nie miał pojęcia, skąd u niego takie przecucie - zastanawiał się nawet, czy się nie myli - ale musiał mu zaufać. Jakikolwiek inny wynik zmagania był po prostu nie do pomyślenia. Gdyby Konfederacja zwyciężyła w przestworzach Kuata, znalazłaby się w korzystnej sytuacji do przeprowadzenia ataku na samą Coruscant.

W końcu przeciwbłaskowa warstwa ochronna stała się znów przezroczysta i Caedus mógł spojrzeć na pole bitwy. Zobaczył ciągnącą się jak okiem sięgnąć pajęczynę świetlistych błyskawic na tle perłowej tarczy zasnutej smogiem Balmorry. Dostrzegł skupiska błękitnych punktów - ognistych gazów z jednostek napędowych okrętów Czwartej Floty - które przedzierały się przez ulewę różnobarwnych błyskawic w kierunku ciemnych plamek commenoriańskich okrętów liniowych.

Jeżeli nie liczyć uszkodzonych jednostek, które, ciągnąc warkocze dymu, pogrążały się w głębi grawitacyjnej studni planety, flota Huttów znajdowała się zbyt daleko, żeby dało się ją dostrzec gołym okiem. Caedus zorientował się jednak po przewrotnej satysfakcji dowódców huttańskich okrętów i beznadziejnej rozpaczy obrońców Balmorry, że lądowanie wojsk inwazyjnych już się rozpoczęło. Przypomnił sobie, że to przewidział. Nie zależało mu na ocaleniu Balmorry, ale na zmuszeniu rebeliantów, aby za zdobycie planety zapłacili jak najwyższą cenę.

W pewnej chwili okręty Czwartej Floty zmieniły kurs i błękitne punkciki w przestworzach przemieniły się w elipsy. W pierwszej chwili Caedus pomyślał, że Flota wykonuje po prostu manewr, żeby zwrócić się bokiem do napastników i odciążyć generatory dziobowych osłon, ale kiedy elipsy stawały się coraz węższe i wyrosły im tępe błękitne ogony, uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku... „Nieustraszona Czwarta” przerywała atak.

Połączył się z porucznik Krovą i polecił, żeby nawiązała kontakt ze „Zwiastunem Pokoju”. Błyskawicznie uzyskał połączenie z admirałem Ratobo. Był zirytowany, ale mówił spokojnie.

- Czy uważa mnie pan za idiotę? - zapytał.

- Nigdy nie pozwoliłbym sobie na popełnienie takiego błędu, panie pułkowniku. - W głosie Ratoba brzmiała nuta rezygnacji. Admirał musiał być pewny, że postępując wbrew rozkazowi Caedusa, ryzykuje nie tylko swoją karierę, ale prawdopodobnie także życie. - Uważam jednak, że brakuje panu taktycznego wyszkolenia. W tej chwili nie mamy żadnych szans na wygranie tej bitwy.

- Wygrywanie bitew to pański problem, admirale - wycedził Caedus. - Moim problemem jest wygranie tej wojny.

- I w osiągnięciu tego celu ma panu pomóc poświęcenie Czwartej Floty?

- W osiągnięciu tego celu ma mi pomóc zmuszenie Commenorian do tego, żeby zapłacili za Balmorrę jak najwyższą cenę - odparł spokojnie Caedus. - Podobnie jak uniemożliwienie Huttom startu z jej powierzchni.

- Zakładając, że się przedrzemy i wystarczy nam siła - odciął się Ratobo. - Na razie się nie zanosz, żeby którekolwiek z tych założeń miało być prawdziwe.

- Mam do pana ogromne zaufanie, panie admirałe.

- Zaufanie to kiepski substytut taktycznej przewagi. - Ratobo mówił pewnie, jakby sobie wreszcie uświadomił, że nie ma niczego do stracenia. - A co, jeżeli dalekosiężne lasery nie są jedyną techniką, którą wykradli konfederacy szpiegów? Może dysponują także naszymi przekaznikami do unieszkodliwiania rakiet? Może już mają urządzenia do deszyfrowania sygnałów komunikatorów? Może potrafią zmieniać klasyfikację kodów transponderów, żeby wrogowie mogli uchodzić za przyjaciół?

- Ma pan na to jakikolwiek dowód? - zapytał Caedus.

- Jeszcze nie - przyznał Bith. - Jeżeli jednak wykradli inne zdobycze naszej techniki, nie posłużą się nimi, dopóki nie będzie za późno, żebyśmy mogli się wycofać.

- Gdyby naprawdę mieli takie rzeczy, nie zdradziliby się, używając dalekosiężnych turbolaserów w początkowej fazie bitwy - sprzeciwił się Caedus. - Dokonamy na nowo oceny bieżącej sytuacji, jeżeli ulegnie radykalnej zmianie. Do tej pory proszę postępować zgodnie z rozkazami.

Bithański admirał na pewno zauważył ton pewności siebie w głosie Caedusa, ale nie zamierzał się poddawać.

- Z całym należnym szacunkiem, panie pułkowniku, może rozsądnie byłoby się porozumieć z najwyższym dowódcą naszych sił zbrojnych, panią admirał Niathal - powiedział.

W pierwszej chwili Caedus zareagował na jego słowa gniewem, ale szybko nabral szacunku do admirała. Ten dowódca był pewny, że pozwalając sobie na szczerość, poświęca karierę. Ratobo odmawiał wykonania rozkazu Caedusa nie dlatego, że miał o sobie tak wysokie mniemanie. Uważał po prostu, że jego obowiązkiem jest sprzeciwić się decyzji, która mogła mieć katastrofalne skutki.

- Uważam pańską szczerość za krzepiącą - odezwał się Caedus. - Jest pan w błędzie, ale doceniam odwagę. - Skupił wzrok na błękitnej, ognistej smudze z dysz wylotowych „Zwiastuna Pokoju” i szybko wyobraził sobie aktualną sytuację gwiazdowego niszczyciela. - Chętnie udowodnię panu, dlaczego znajduję się tu ja, a nie pani admirał Niathal. Czy widzi pan ten klucz nieprzyjacielskich myśliwców, których piloci szykują się do ataku na mostek pańskiego okrętu?

Zapadła krótka cisza, podczas której Ratobo polecił przesłać dane o sytuacji taktycznej na ekran osobistego monitora. Caedus wykorzystał ten moment na skoncentrowanie uwagi na

commenoriańskich pilotach. Obserwując ich poczynania, wysyłał swoją świadomość Mocy na kilka sekund naprzód.

- Tak. - W głosie Ratoba brzmiało lekkie zaskoczenie. - Widzę ich.

Po chwili los commenoriańskich pilotów był przypieczętowany. Caedus zbliżył usta do mikrofonu komunikatora.

- Nie musi pan wzmacniać ochronnych pól mostka - powiedział. - Nie przeprowadzą tego ataku.

- Jest pan tego pewny? - zapytał Bith sceptycznym tonem.

- Ich wektor lotu wskazuje...

Ratobo urwał, kiedy Commenorianie przekazali nagle swoją obecność do Mocy. Caedus nie wiedział, czy padli ofiarą celnego turbolaserowego strzału, wysłanej z pokładu „Zwiastuna Pokoju” obronnej bomby kasetowej czy nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Rozumiał tylko, że ich życie dobiegło końca w chwili, w której zdążył o tym pomyśleć.

Z głośnika komunikatora wydobył się dziwny odgłos; admirał Ratobo zachłysnął się, jakby z wrażenia.

- Niesamowite - stwierdził Bith.

- Nie bez powodu wydaję właśnie takie, a nie inne rozkazy - przypomniał mu z naciskiem Caedus. - Nawet jeżeli nie zawsze na to wygląda.

- Naturalnie. - Ratobo nie dał się do końca przekonać, ale admirał chyba pogodził się z naganą. - A jeżeli chodzi o ten powód... czy ma podstawę w Mocy?

- Tak. - Caedus nie widział sensu wyjaśniania natury swoich odczuć. Nie zamierzał także zdradzić, że czasem są tylko pobożnymi życzeniami. - Nie dam rady przewidzieć wyniku tej bitwy, jeżeli będzie pan nadal atakował, ale mogę panu powiedzieć, że jeżeli nie zmusimy Konfederatów do zapłacenia za zdobycie Balmorry, oni wyegzekwują zapłatę od nas podczas bitwy w przestworzach Kuata.

Ratobo umilkł, żeby się zastanowić.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Natychmiast podejmuję przerwany atak.

- Dziękuję panu, admirale. - Kiedy Caedus skończył mówić, uświadomił sobie nagle, że widzi coś w przyszłości „Zwiastuna Pokoju”... coś nieuniknionego. - Cieszę się, że i pan ma do mnie zaufanie.

- Tego bym nie powiedział - odparł Bith. - Nie widzę już jednak powodu kwestionowania pańskich rozkazów. Jeżeli nie postawi mnie pan przed sądem wojennym po zakończeniu tej bitwy, złożę na pana ręce moją...

- Rezygnacja nie będzie konieczna, panie admirale - wpadł mu w słowo Caedus. -

Proszę tylko podjąć atak... i to szybko.

Przerwał połączenie i niecierpliwie obserwował, jak smugi ognia z dysz wylotowych okrętów Czwartej Floty powoli gęstnieją. Wrażenie oczekiwania w Mocy znów się nasiliło, ale nasiliły się także wątpliwości, jakie Caedus wyczuwał u członków załóg okrętów Czwórki. Byli rozgniewani i urażeni, bo ich ukochana flota miała stoczyć walkę z przeciwnikiem, nie mając nadziei na ocalenie Balmorry.

Caedus pogрузił się w bitewnej medytacji tak bez reszty, że zaczął nawiązywać osobisty kontakt z poszczególnymi marynarzami i artylerzystami. Postarał się natchnąć swoją obecność w Mocy zaufaniem i spokojem. W odpowiedzi odebrał jednak tylko dezorientację i strach... prawdopodobnie dlatego, że sam do końca nie rozumiał tego, co się ma wydarzyć.

W pewnej chwili wyczuł zwiastującą nieszczęście lodowatą aurę i znów zwrócił uwagę na „Zwiastuna”. Nie próbując już poprawiać morale członków jego załogi, dotknął płytki na podłokietniku fotela.

- Proszę przekazać flagę floty na pokład „Rozjemcy” - rozkazał. - I niech pani poinformuje admirała Darklightera, że od tej pory to on dowodzi flotą.

- Zwalnia pan z obowiązków admirała Ratoba? - zapytała wyraźnie zdumiona porucznik Krova.

- Niezupełnie.

Obserwując przestworza, Caedus zauważył, że w jednym punkcie, daleko od obserwacyjnego bąbla, skupiło się kilkanaście szkarłatnych błyskawic. Wyczuł znajome drżenie w Mocy i zrozumiał, że w ciągu tej milisekundy straciło życie tysiące inteligentnych istot.

- Och! - Pani oficer łącznościowiec westchnęła. - Przekazuję flagę.

Przekazanie jej nie odbyło się jednak gładko. Musiało minąć niedowierzanie i rozpacz, jakimi członkowie załóg okrętów Czwartej Floty zareagowali na śmierć ukochanego dowódcy. Caedus śledził sygnały w kanałach komunikatorów, dopóki Gavin Darklighter - niedawno przeniesiony z Piątki, kiedy otrzymał awans do stopnia kontradmirała - nie zaczął wydawać rozkazów. Za najważniejsze uznał zniszczenie commenoriańskich okrętów liniowych.

Kilka sekund później piloci gwiazdnych maszyn Sojuszu zaczęli wylatywać z hangarów i niczym rój rozwścieczonych owadów otoczyli commenoriańskie niszczyciele. Decyzja o takiej formie ataku była równie śmiała, co niekonwencjonalna. Jej celem było zmuszenie załóg nieprzyjacielskich okrętów, aby przekazali energię z baterii dalekosiężnych turbolaserów do generatorów ochronnych pól.

Była także ryzykowna, bo narażała Czwartą na atak pilotów commenoriańskich myśliwców, którzy wystartowali z hangarów ich okrętów liniowych. Wymiana ognia w przestworzach przerodziła się w setki i tysiące pojedynków pilotów gwiazdnych maszyn, którzy starali się unieszkodliwić ochronne pola atakowanych okrętów. Caedus liczył na to, że może właśnie taka zaskakująca, desperacka taktyka ocali Balmorrę... ale zarazem narazi Czwartą Flotę na utratę wielu okrętów, które miały być potrzebne do walki w przestworzach Kuata.

Przycisnął kontrolną płytkę na podłokietniku fotela.

- Połącz mnie z admirałem Darklighterem - rozkazał. - To ważne i pilne.

Krova potwierdziła przyjęcie rozkazu.

- Admirał Darklighter zgłosi się za chwilę, panie pułkowniku - powiedziała.

- Za chwilę? - powtórzył osłupiały Caedus. - Czy przekazała pani jego doradczyni...

- Naturalnie - przerwała pani porucznik Krova. - Potwierdziła, że wie, iż to ważne i pilne.

Caedus zmierzył jej hologram chmurnym spojrzeniem.

- Jego doradczyni tak powiedziała? - zapytał. Skupił uwagę na „Rozjemcy”. - No cóż...

Dziękuję, pani porucznik.

Po kilku sekundach nawiązał kontakt z obecnością Gavina Darklightera w Mocy. Kontradmirał jawił mu się w niej jako oaza spokoju pośród wirujących obecności przerażonych i zdezorientowanych podwładnych. Caedus przekazał mu swoją irytację, jaką odczuwał z powodu zwłoki, a później zaczął wywierać nacisk na obecność Darklightera.

Kontradmirał był raczej zdenerwowany niż wystraszony, ale nie połączył się z nim.

Caedus już miał nacisnąć silniej, kiedy nagle z luf turbolaserów commenoriańskich okrętów przestały wylatywać słupy śmiertelniego światła. Niewielkie iskierki nieprzyjacielskich okrętów liniowych dryfowały na tle perłowej tarczy Balmorry, a z ich dysz wylotowych wydobywały się drżące języki błękitnego ognia. Commenorianie nie chcieli podejmować wyzwania rzuconego im przez Darklightera. Widocznie nie wierzyli, żeby piloci ich gwiazdnych maszyn mogli odnieść zwycięstwo w walce ze świetnie wyszkolonymi pilotami myśliwców Galaktycznego Sojuszu... i rozpoczęli odwrót z pola walki.

Caedus był zaskoczony, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, nie przewidział tego dzięki Mocy. Po drugie, odwrót Commenorian narażał lądowiki Huttów na ostrzał turbolaserów okrętów Czwartej Floty. Postępowanie Commenorian było tak dziwne, że nawet Moc nie dała rady go przewidzieć. Zaprzeczało nie tylko prognozom taktyków Sojuszu, ale także opiniom wróżbitów Mocy. Było upokarzającym przypomnieniem, że bitewna medytacja

nie jest niezawodna. Caedus musiał wreszcie dojść do wniosku, że jest omylny, jak każdy inny dowódca.

Wyczuł w obecności Darklightera w Mocy nutkę zadowolenia z siebie i chwilę później usłyszał jego głos w swoim obserwacyjnym bąblu.

- Tak, panie pułkowniku?

Caedus przestał wywierać na niego nacisk w Mocy... i postanowił pogodzić się z tym, że kontradmirał kazał mu tak długo czekać.

- Chciałem tylko pogratulować panu błyskotliwej taktyki - powiedział. - Nawet ja byłem nią zaskoczony.

- Dziękuję, panie pułkowniku - odparł Darklighter i na chwilę umilkł. - Czy to znaczy, że ta ważna i pilna sprawa to była tylko chęć złożenia mi gratulacji?

- Powiedzmy, że jestem zadowolony z pańskiego wyczynu - odparł Caedus, nadając głosowi beztroski ton. Przyszło mu do głowy, że może właśnie to było źródłem oczekiwania, jakie wyczuwał dzięki Mocy... Awansowanie Darklightera na dowódcę floty mogło odwrócić losy Sojuszu podczas tej bitwy. - Skąd pan wiedział, że Commenorianie zarządzają odwrót?

- Powiedzmy, że jestem zadowolony z ich decyzji - odparł Darklighter. Ton jego głosu nie był równie beztroski jak ton głosu Caedusa. - Czy to już wszystko, panie pułkowniku? Muszę mieć oko na rozgorączkowanych dowódców eskadr gwiazdnych maszyn.

- Tak, dziękuję panu. - Caedus wyciągnął rękę, żeby przerwać połączenie, ale doszedł do wniosku, że nie powinien zrażać sobie Darklightera. - Aha, jeszcze jedno... Gavinie - dodał po chwili.

- Tak, panie pułkowniku?

- Przepraszam za, hm... nacisk, jaki mogłeś odczuwać w związku ze swoją decyzją.

- Proszę się tym nie przejmować, panie pułkowniku - odparł Darklighter. - Jest pan bardzo młody. Jeszcze się pan nauczy.

Przerwał połączenie, zanim Caedus zdążył zareagować na tę protekcyjną uwagę. Stało się oczywiste, że Darklighter - a prawdopodobnie także inni starsi oficerowie, którzy walczyli przeciwko Imperium u boku tak słynnych bohaterów, jak Han i Leia Solo - nie pochwała działań Caedusa dla ocalenia Galaktycznego Sojuszu. Wcześniej czy później poglądy tych oficerów mogą przeniknąć poza kręgi wojskowe, a wówczas jego matka - albo jakiś inny zdrajca - porozumie się z nimi, żeby dokonać zamachu stanu.

Caedus zanotował w pamięci, żeby dopisać wszystkich starszych oficerów do listy osób obserwowanych przez SGS. Teraz, kiedy sprawował władzę, nie zamierzał okazywać słabości. Wiedział, że nawet jego można zaskoczyć... Czy właśnie nie tego nauczył go przed

chwilą kontradmirała Darklighter?

Caedus był jeszcze bardziej zaskoczony, kiedy sekundę później w Mocy zakwitła obecność Jedi. Wyczuł dziesiątki, może nawet setkę osób. Wszyscy byli gdzieś blisko, silni, zdecydowani i pewni siebie. Jego bitewna medytacja zniknęła w eksplozji gniewu i trwogi. Posługując się Mocą, Caedus zerwał się z fotela, wyskoczył w powietrze i wykonał salto w tył tak wysoko pod sufitem, że jego włosy otarły się o durastal.

Wylądował trzy metry za progiem dziennej kabiny. Chwycił rękojeść świetlnego miecza, zapalił klingę i utkwilił spojrzenie w zabezpieczonym włączniku w ścianie po przeciwnej stronie. W dziennej kabinie nie zobaczył jednak ani jednego Jedi. Nie wyczuł także żadnych na korytarzu, w wentylacyjnych szybach nad głową ani w naprawczych tunelach pod pokładem.

To jeszcze nie oznaczało, że nie zamierzają go zaatakować. Jeżeli on potrafił ukrywać swoją obecność w Mocy, na pewno umieli to także mistrzowie - jak udowodniła Mara, kiedy o mało go nie zabiła na Kawanie.

Nagle z lewej strony usłyszał chrapliwy głos:

- Czyżby naraził cię jakiś mebel?

- Cicho! - Caedus zerknął w kierunku mówiącego i zobaczył SD-XX, swojego osobistego ochroniarza z firmy Tendrando Arms. Automat wyłonił się z kryjówki w ścianie, gdzie cały czas się chował. - Oni tu są.

- Kto? - Automat zaczął wybierać protokoły skanowania, by zmniejszyć intensywność blasku fotoreceptorów. Dzięki cienkiemu pancerzowi i niebieskim czujnikom optycznym w czarnej głowie wyglądał jak mniejsza wersja bojowego robota ZYV. - W promieniu trzydziestu metrów nie wykrywam żadnej żywej istoty.

- Nie?

Caedus zmarszczył brwi. Z każdą chwilą obecność Jedi była lepiej wyczuwalna, a w końcu stała się na tyle wyraźna, że wielu z nich mógł rozpoznać - Sabę Sebatyne, Kypa Durrona, Corrana Horna i większość mistrzów, a także Tesara, Lowiego i jeszcze więcej rycerzy, których imion nie znał. Kiedy jednak postarał się ich zlokalizować, odniósł wrażenie, że są wszędzie i nigdzie, zupełnie jakby tkwili w jego głowie. Poczuli się tak, jakby nawiązywał z nimi myślową bitwę.

Uświadomił sobie, że Jedi wcale na niego nie polują. Wysyłali po prostu myśli do „Anakina Solo”, żeby zaprosić Jacena do swojej więzi. Oszołomiony, ale uspokojony Caedus wyłączył klingę świetlnego miecza.

- Spocznij, Double Ex - powiedział. - Nikogo tu nie ma.

SD-XX przekrzywił głowę i spojrzał na niego.

- Czy właśnie nie to przed chwilą powiedziałem? - zapytał. - Może najwyższy czas, żeby poddał się pan demagnetyzacji, panie pułkowniku? Pańskie obwody reagują na widok duchów.

- Powiedziałem, że możesz spocząć. - Caedus przypiął rękojeść miecza znów do pasa.
- Moje obwody mają się doskonale.

SD-XX cały czas taksował go spojrzeniem.

- To ja to ocenię - powiedział.

Caedus wskazał mu drzwi ukrytego schowka w ścianie.

- Właż tam - polecił. - To rozkaz.

- Zrozumiałem. - Tym razem w głosie SD-XX zamiast władczego tonu zabrzmiała groźba.

Mimo to automat poczłapał w całkowitym milczeniu do schowka i zniknął. Caedus wrócił do swojego bąbla, ale zrezygnował z bitewnej medytacji. Ta technika - przynajmniej w wersji, jakiej nauczyła go Lumiya - była częścią dziedzictwa Sithów, a on nie chciał ryzykować jej stosowania w sytuacji, w której chyba połowa Zakonu Jedi usiłowała go wciągnąć do swojej myślowej bitwowieży.

Postanowił ujawnić swoją obecność w Mocy i otworzyć umysł na bitwowież. Zalała go lawina na poły znanych uczuć, poczynawszy od świadomości celu, chęci poświęcenia się i nadziei, a skończywszy na zadowoleniu z możliwości wzajemnego kontaktu, solidarności i radości - naturalnie nie tylko dlatego ponownie pojawił się w Mocy. Caedus z zaskoczeniem stwierdził, jak bardzo czuł się osamotniony, odłączywszy się od ich bitwowieży, i jak bardzo mu brakowało towarzystwa rodziny i przyjaciół. Przypuszczał, że wyrósł z takich sentymentalnych bzdur, ale nic na to nie wskazywało.

Droga Sithów była pełna poświęceń, a Caedus dopiero teraz zaczynał rozumieć, że wyrzekł się nie swojej umiejętności kochania... ale umiejętności wzbudzania miłości. Wiedział, że dla dobra galaktyki wielokrotnie w życiu będzie musiał zdradzać rodzinę czy przyjaciół i wielokrotnie będzie za to przez nich znienawidzony. Nie mógł jednak unikać tych poświęceń. Gdyby to zrobił, zasiałby w sercu nasiona egoizmu. Wkroczyłby na ścieżkę zachłanności i żądzy władzy, które zdeprawowały Palpatine'a... a przed nim także wielu innych Sithów.

Postanowił więc nadal robić to, co konieczne. Na razie oznaczało to pogodzenie się z odrazą, złością i politowaniem, jakie wypełniły bitwowież, kiedy Jedi wyczuli jego obecność w Mocy. Odpowiedział im tylko zaciekawieniem.

Kiedy bitwowież dostosowała się do jego obecności, Caedus zaczął czuć wyraźniej zamiary Jedi. Przybyli tu w sile chyba całego skrzydła myśliwców StealthX - ponad siedemdziesięciu maszyn, jeżeli mechanicy dadzą radę przygotować wszystkie do walki - a ich piloci sprawiali wrażenie gotowych do walki. Caedus z ulgą stwierdził, że Jedi kierują uwagę na rufy gwiazdnych niszczycieli klasy Imperial i krążowników z czasów Imperium.

Oznaczało to, że zamierzają wziąć na cel commenoriańskie okręty liniowe.

Caedus nie zdołał zapanować nad uczuciami i jego zachwyty zaczął się przesączać do Mocy. Okupacja Akademii Jedi opłacała się bardziej, niż to sobie wyobrażał. Nasycił zadowoleniem swój wizerunek w Mocy, powitał Jedi na polu bitwy i zachęcił ich do otwarcia ognia.

W odpowiedzi odebrał tylko lodowate niezadowolenie, a na rufach commenoriańskich okrętów liniowych nie zobaczył ognistych kwiatów eksplozji ciemnych bomb. Bitwowież wypełniła się wrażeniem oczekiwania... tym samym, którego doświadczał od początku bitwy. W końcu Caedus uświadomił sobie z gorzką pewnością jego znaczenie.

Przycisnął kontrolną płytkę na podłokietniku fotela.

- Połącz mnie z admirałem Darklighterem. To sprawa o najwyższym priorytecie - rozkazał. - I nie daj się tym razem zbyć jego doradczyni. To bardzo ważne.

Krova potwierdziła rozkaz, a Caedus zaczął z frustracji uderzać pięścią w podłokietnik fotela. Każdego można zaskoczyć, przypomniał sobie. Nauczył się tego od Darklightera, a mimo to dał się wciągnąć w pułapkę. Czwarta Flota brała teraz udział w ryzykownym ataku i tylko dzięki Jedi mógł on zakończyć się zwycięstwem. Caedus nie wątpił, że każą mu za to zapłacić bardzo drogo.

Chwilę później usłyszał głos kontradmirała Darklightera.

- Tak, panie pułkowniku?

W tle słychać było stłumiony huk ognia z baterii turbolaserów i trzeszczenie ochronnych pól rozpraszających nadmiar energii strzałów nieprzyjaciół.

- Jesteśmy tu teraz bardzo zajęci, więc mam nadzieję, że tym razem nie chodzi o kolejne gratulacje.

- Rzeczywiście nie - zapewnił Caedus. - Chcę... muszę poinformować pana, że...

- ...nadciąga pomoc - dokończył znajomy głos zza pleców Caedusa. - Przygotujcie się na jej przyjęcie.

- Czy to ta osoba, o której myślę? - Darklighter o mało się nie zachłysnął z wrażenia.

- Tak - odparł głos Luke'a. - Kontynuuj atak, Gavinie.

Caedus już obracał medytacyjny fotel, ale odbywało się to o wiele za wolno. Kiedy

zobaczył wolną drogę do dziennej kabiny, przeskoczył nad fotelem, przetoczył się po posadzce, szybko wstał i odczepił od pasa rękojeść świetlnego miecza. Jakiś metr przed nim stał Luke, ubrany w bojowy kombinezon pilota myśliwca StealthX. Patrzył na broń w dłoni Caedusa z osłupieniem, ale i z lekkim smutkiem w oczach.

- Czy nasze wzajemne stosunki wyglądają aż tak źle? - zapytał.

- Ty mi to powiedz. - Caedus nie opuścił rękojeści świetlnego miecza. - To nie Moc przynaglała mnie do kontynuowania tego ataku. To byłeś ty.

- A tobie się wydaje, że to była pułapka? - zagadnął mistrz Jedi.

- Wiem, że była. - Caedus mówił teraz obrażonym głosem. - Zachęciłeś mnie, żebym wysłał Czwartą Flotę do ryzykownego ataku, a teraz tylko ty możesz zapobiec katastrofie. Czego chcesz w zamian?

Zamiast okazać satysfakcję, Luke sposepniał.

- Niczego, Jacenie - powiedział. - Nie zwabiliśmy cię w pułapkę. - Połączył swój umysł z bitwozięią i zachęcił innych Jedi do ataku. - Chciałem tylko, abyś wiedział, że mogliśmy byli to zrobić.

Caedus nie miał pojęcia, czy Luke kieruje Jedi do ataku na Commenorian... czy też na niego. Chwilę później Moc zadrżała od udręki tysięcy istnień, które straciły życie w zaskakującym ataku. Caedus prawie się spodziewał, że lada chwila pokład „Anakina Solo” zadrży i wywinie fikołka pod jego stopami.

Pokład pozostał jednak stabilny, a w kabinie nie zawyły alarmowe syreny. Caedus w końcu zrozumiał, że nie musi się obawiać zagrożenia ze strony Jedi. Chcieli go tylko nastraszyć, aby mu przypomnieć, że mają dość odwagi i środków, by go zniszczyć... a wraz z nim Sojusz. Uprzedzili go jednak o tym, zamiast od razu przystąpić do działania, co nieomylnie dowodziło ich bezsilności. Dopóki SGS sprawuje władzę nad Akademią Jedi, nie mogą go zabić ani zdradzić. Zanadto bali się jego bezwzględności... jego brutalności.

Caedus przypiął do pasa rękojeść świetlnego miecza i wskazał niewielki taktyczny holowyświetlacz w kącie dziennej kabiny.

- Zobaczymy, jak się rozwija sytuacja na polu bitwy? - zaproponował.

- Proszę bardzo - odparł Luke. Kiedy Caedus przeszedł przezabinę, odwrócił się do wyświetlacza, ale nie poszedł za siostrzeńcem. - To powinno ci zaimponować, Jacenie - powiedział.

Kiedy Caedus włączył holowyświetlacz, rzeczywiście osłupiał. Większość identyfikacyjnych symboli oznaczających commenoriańskie okręty liniowe mrugała na dowód odniesionych uszkodzeń. Kolor bursztynowy oznaczał, że jednostka jest tylko lekko

uszkodzona, a ciemnoczerwony - że została zupełnie wyeliminowana z dalszej walki. A Gavin Darklighter bezlitośnie wykorzystywał nieoczekiwany rozwój sytuacji. Najbardziej wysunięte do przodu okręty Czwórki przenikały przez ostatnie linie wroga. Wiedząc, że nie mają szansy w walce przeciwko gwiazdnym niszczycielom Sojuszu, kapitanowie niezgrabnych frachtowców i korwet Huttów zostawiali lądowiki własnemu losowi i zaczęli się wycofywać z pola walki.

Bitwa toczyła się dalej, a Luke trzymał się z daleka od Caedusa. Patrzył na holowyświetlacz z okolic jego obserwacyjnego bąbla. Caedus był zadowolony, że dzieli ich taka odległość. Nie wyzbył się wszystkich podejrzeń względem mistrza Jedi i cieszył się, że będzie miał więcej czasu na reakcję.

Po jakiejś minucie, kiedy Czwarta Flota zbliżyła się do floty Huttów na odległość turbolaserowego strzału, artylerzyści jednostek Sojuszu otworzyli ogień. Nie wzięli jednak na cel odlatujących okrętów liniowych huttańskiej floty, tylko szturmowe wahadłowce opadające ku powierzchni Balmorry.

Caedus uderzył otwartą dłoń w płytkę komunikatora na obudowie holowyświetlacza.

- Połącz mnie z kontradmirałem Darklighterem... - zaczął.

- ...najwyższy priorytet - dokończyła pani porucznik Krova. - Już łączę, panie pułkowniku.

Wkrótce zgłosił się Darklighter.

- O co chodzi, panie pułkowniku? - zapytał.

- Zrezygnuj z ostrzału lądowików i puść się w pościg za ich jednostkami macierzystymi - rozkazał Caedus. - Naszym najważniejszym zadaniem jest zniszczenie huttańskich okrętów liniowych, nie ich wahadłowców.

- Z całym szacunkiem, panie pułkowniku - odparł Darklighter tonem całkowicie pozbawionym szacunku - nie możemy pozostawiać Balmorran na pastwę okupacyjnych wojsk Huttów. A poza tym zniszczenie tych wahadłowców będzie o wiele łatwiejsze niż późniejsza walka z ich załogami na powierzchni gruntu.

- Balmorranie muszą sami poradzić sobie z wojskami okupacyjnymi - oznajmił Caedus. - Chcę, żebyś zniszczył te okręty liniowe... lepiej schwytać Huttów w pułapkę na jednej planecie niż pozwolić im zająć tuzin.

Darklighter nie odpowiedział, a Caedus niemal słyszał, jak jego rozmówca walczy z sobą przed podjęciem decyzji.

- To rozkaz, panie admirale - wycedził. - Wiem, że moja decyzja wydaje się panu błędna, ale nie pokonamy Konfederacji, zestrzelivując ich wahadłowce. Musimy zniszczyć

wielkie okręty.

Darklighter milczał jeszcze chwilę, a w końcu ciężko westchnął.

- Jak pan sobie życzy, pułkowniku - odezwał się w końcu. - Obieram inne cele i puszczam się w pościg.

Caedus obserwował, jak jednostki Czwartej Floty przyspieszają, zbliżają się do okrętów floty Huttów i zaczynają ostrzeliwać ich rufy. Kiedy symbol pierwszego okrętu na końcu szyku zapłonął na czerwono i zniknął na dowód całkowitego zniszczenia, rozległ się głos Luke'a:

- Zaplanowałeś to. Poświęciłeś całą planetę...

- Przewidziałem to - przerwał Caedus, odwracając się do wuja. - Wykorzystałem tylko... tylko...

Nie dokończył zdania, bo uświadomił sobie, że Luke już nie stoi tam, gdzie stał. Zmarszczył brwi i posłużył się Mocą, żeby uwolnić myśli i omieść nimi całą dzienną kabinę, a później wszystkie pokłady „Anakina Solo”. Nigdzie jednak nie wyczuł obecności wuja.

- Luke? - zapytał.

Z kryjówki w ścianie wyłonił się SD-XX i powiódł elektronicznym spojrzeniem po wszystkich kątach kabiny.

- Nikogo tu nie ma, panie pułkowniku - zameldował.

- A co z Lukiem Skywalkerem? - zapytał Caedus. - Dopiero co z nim rozmawiałem.

SD-XX skierował na niego niebieskie fotoreceptory.

- Rzeczywiście coś pan mówił, ale nikogo tu nie było - powiedział rzeczowo. - Doszedłem do wniosku, że pańskie obwody znów szwankują.

Caedus się zastanowił. Czyżby tak bardzo się bał, że jego zbrodnia wyjdzie na jaw, iż całą rozmowę z Lukiem sobie po prostu wyobraził? Później jednak przypomniał sobie, że Gavin Darklighter przysłuchiwał się ich rozmowie, a nawet posłuchał jego rozkazu.

- Nie, Luke tu był. - Caedus ponownie otworzył umysł na bitwowięź i wykrył obecność Luke'a pośród innych Jedi. Wyczuł jego smutek i dezaprobatę... a także ostrzeżenie.
- Nie wiem, jakim cudem, ale był tutaj.

ROZDZIAŁ 9

Cal siedział sam w swoim gabinecie, zwrócony w stronę transpatalowej ściany, za

którą mrugające światła iglic dzielnicy senackiej wystawały ponad powłokę nocnych chmur. Od mężczyzny promieniowała w Mocy tak ciężka aura rozgoryczenia i żalu, że w pomieszczeniu czuło się chłód. Mimo to Ben nie był pewny, czy odbiera uczucia własne, czy Cala Omasa. Były przywódca Galaktycznego Sojuszu miał rozwichrzone włosy, sine worki pod oczami i siedział przygarbiony w wielkim fotelu. Z pewnością nie wyglądał jak ktoś, kto knuje spisek, żeby powrócić do władzy.

Ale przecież Ben mógł się mylić. Cal Omas nie sprawowałby tak długo władzy w Galaktycznym Sojuszu, gdyby był naiwny albo gdyby przywiązywał przesadnie dużą wagę do zasad. Podczas kryzysu Mrocznego Gniazda, kiedy Jedi go rozgniewali, twierdząc, że Chissowie zawarli uczciwe porozumienie z Killikami, był gotów uciec się do fałszywych negocjacji, politycznych manipulacji, a nawet do nieuzasadnionego uwięzienia, żeby podkopać potęgę Zakonu Jedi. Nietrudno sobie wyobrazić, że rzeczywiście wyraził zgodę na zabicie matki Bena... oraz spodziewać się, że Ben też w to uwierzy.

Chłopak zwrócił uwagę na potężnego strażnika firmy Tendrando Arms, stojącego obok biurka Omasa. Android miał gruby szary pancerz z laminarium, pękate ramiona z różnymi systemami uzbrojenia i zwróconą ku dołowi ponurą szczelinę wokabulatora. Był przeznaczoną do ochrony dostojników wersją tego samego androida obrońcy, który był towarzyszem i ochroniarzem Bena w okresie jego dzieciństwa. Chłopiec doszedł do wniosku, że wnętrze androida zaprojektowano tak samo jak kiedyś jego nianię. Wyobraził sobie ukryty pod pancerzem na karku wyłącznik obwodów i posłużył się Mocą, żeby go wyłączyć.

Fotoreceptory strażnika na chwilę ściemniały, ale zaraz rozległ się cichy trzask i wyłącznik sam się włączył. Android odwrócił masywną głowę w kierunku wejściowej niszy, z której Ben cały czas go obserwował.

- Niech to licho! - Ben posłużył się znów Mocą, żeby pstryknąć dźwigenką przełącznika... ale natychmiast usłyszał drugi trzask. Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej ta wada pierwotnego projektu została usunięta. - Niech to dwa licha!

Strażnik uniósł rękę i wymierzył ją w stronę wejściowej niszy, w której krył się chłopak.

- Proszę się nie niepokoić - powiedział, wypuszczając chmurę zatrutych strzałek. - Uzbrojony intruz. Podejmuję odpowiednie kroki.

Zwracał się do Omasa. Ben upadł na posadzkę, przetoczył się po niej i wyciągnął z saszetki u pasa magnetyczny granat - odpowiednik granatu ogłuszającego dla androidów - i rzucił nim w strażnika. Kula rozbryzgnęła się na napierśniku pancerza i przemieniła w skwierczącą pajęczynę elektrostatycznych wyładowań.

Tymczasem zamiast znieruchomieć, jak Ben się spodziewał, android zaczął się zataczać i kręcić w kółko jak pijany. Wymachując kończynami, spryskiwał sufit błyskawicami energetycznych strzałów. Prawdopodobnie jego magnetyczne osłony udoskonalono od czasu dawnej wersji wojskowej. Niech to licha! - pomyślał Ben. Na razie nic się nie układało zgodnie z jego planem. Podskoczył i wykonał w powietrzu salto, żeby wylądować obok androida, ale automat zmienił kierunek i zderzył się z kredensem pod sąsiednią ścianą, naprzeciwko fantazyjnego biurka Omasa.

Ben zapalił klingę świetlnego miecza i zeskoczył na posadzkę. Pomagając sobie Mocą, doskoczył do strażnika i machnął energetyczną klingą, żeby odciąć mu rękę z blasterowym działkiem. Pancierz z laminarium okazał się jednak za gruby i za pierwszym razem klinga przecięła tylko połowę grubości. Android odwrócił się do Bena i machnął drugą ręką jak pałką. Z jego palców sypały się we wszystkie strony zatrute strzałki.

Ben odwrócił się i ponownie ciachnął rękę z działkiem. Tym razem posłużył się Mocą, żeby klinga lepiej się zagłębiła w nadcięte miejsce. Poczul, że ostrze przechodzi na wylot. Teraz się odwrócił i postanowił wziąć na cel drugą dłoń z sypiącymi się strzałkami.

Dłoń upadła z donośnym brzękiem na posadzkę, ale przedramię automatu uderzyło Bena w głowę i odrzuciło pod ścianę. Chłopiec osunął się na posadzkę. Czuł ból w głowie i w uszach, ale wciąż jeszcze był czujny i przytomny... do pewnego stopnia. Wyłączył klingę świetlnego miecza i chwycił za dolną krawędź napierśnika automatu. Podciągnął się i wbił koniec rękoności w szczelinę pod pachą.

Android może i był zamroczony po magnetycznym wstrząsie, ale uświadomił sobie, co go czeka, i próbował się obrócić. Ben uniemożliwił mu to i zapalił klingę świetlnego miecza. Ostrze przebiło masywny tors jak promień gamma i stopiło główny procesor. Zniszczony strażnik runął na posadzkę tak gwałtownie, że chłopak nie zdążył się odsunąć.

Czyżby nic się nie miało potoczyć zgodnie z jego życzeniami?

Posłużył się Mocą, żeby zepchnąć strażnika na bok. Wstał... i zobaczył wylot emitera blasterowego pistoletu Merr-Sonn Power 5. Ku swojej wielkiej uldze, nie dostrzegł jednak błysku śmiertelnej energii. Spojrzał na twarz przywódcy Omasa, na której malowała się dezorientacja.

- Ben?

Chłopak wyszarpnął blaster z jego palców i cisnął w kąt.

Przywódcą obserwował, jak broń odbija się z grzechotem od ściany. O dziwo, na jego twarzy malowało się zrozumienie. Ben nie wyczuł jednak w Mocy najmniejszego śladu zakłopotania czy wyrzutów sumienia, które mogłyby sugerować, że Alderaanin poczuwa się

do winy za zabicie Mary.

- Ach, Ben. - Omas powoli się cofnął, rozłożył ręce na boki i ze smutkiem pokręcił głową. - Przykro mi, że przysłano właśnie ciebie. Dla kogoś tak młodego jak ty to musi być paskudne zadanie.

Trzymając cały czas klingę miecza między sobą a Omasem, Ben wstał.

- Wie pan, po co tu przyszedłem? - zapytał.

Omas kiwnął głową.

- Dziwię się tylko, że Jacenowi zajęło to tyle czasu - powiedział.

- Nie jestem tu z polecenia Jacena - odparł chłopak. Był prawie pewny, że Omas nie ma pojęcia, po co się tu zjawił. - Przyszedłem z własnej woli.

Na twarzy byłego przywódcy pojawiło się zdziwienie.

- Nie ma sensu kłamać, Benie - powiedział. - I tak za kilka minut będę trupem.

Ben nie zaprzeczył, bo nie potrafił się przemóc, żeby dać byłemu przywódcy fałszywą nadzieję.

- Prawdopodobnie tak - odparł. Spojrzał na blat biurka z wroshyrowego drewna, gdzie widniał rząd urządzeń kontrolnych i przełączników. - Który z tych przycisków umożliwia opuszczenie wewnętrznych drzwi, odpornych na blasterowe strzały?

Omas uniósł siwiejącą brew, jakby zaskoczony.

- Chcesz mi dać kilka minut więcej życia? - zapytał. Nie czekając na pozwolenie, pochylił się nad biurkiem i wyciągnął rękę w kierunku przełączników. - I tak musisz się pospieszyć, Benie. Jesteś wprawdzie Jedi, ale nie zadbałeś o to, żeby nikt nie dowiedział się o twojej wizycie.

- I co z tego? - Badając aurę Omasa w Mocy, chłopak nie wyczuł chęci zwabienia go w pułapkę, więc postanowił go nie powstrzymywać. - Ale tylko wewnętrzne drzwi - powtórzył. - Proszę nie zasłaniać ściany z iluminatorem.

Omas spojrzał ze zrozumieniem na panoramiczne okno - jedyną drogę ucieczki młodego Skywalkera - i przycisnął jakiś guzik. Para ciężkich przeciwblasterowych płyt w obu wejściach do jego gabinetu opadła, uniemożliwiając dostęp do jego sanktuarium. Omas odwrócił się do Bena.

- Jak mógłbym jeszcze bardziej ułatwić ci zadanie? - zapytał. Przeniósł spojrzenie na upstrzone śladami po strzałkach drzwiczki serwantki, z której sączyła się słodkawa woń różnych alkoholi. - Może się czegoś napijesz?

Ben zmarszczył brwi.

- Ma pan na myśli... środek oszałamiający? - zapytał.

W oczach Omasa pojawiły się iskiereki rozbawienia.

- Martwisz się, że jesteś na to zbyt młody, Benie? - zapytał Alderaanin. - Że prawo na to nie zezwala? - Zaśmiał się bez wesołości. - Coś takiego, staram się sprowadzić mojego zabójcę na złą drogę. Kto wie, może kiedyś Jacen oskarży mnie i o to?

- Nie o to mi chodziło. - Ben nie miał pojęcia, dlaczego czuje się tak bardzo zakłopotany. Był coraz bardziej pewny, że Omas nie zasłużył na to, co go miało spotkać. Były przywódca miał się stać jeszcze jedną ofiarą w wojnie tak tajnej, że nawet Jacen o niej nie wiedział. - Ale niech pan się nie krępuje. Mamy jeszcze kilka minut, zanim pojawią się tu funkcjonariusze coruscańskiej służby bezpieczeństwa.

Omas spojrział na Bena z mieszaniną niedowierzania i przerażenia.

- Chcesz powiedzieć, że zabiłeś wszystkich moich strażników? - zapytał.

- Nie zabiłem ich - odparł chłopak.

Zważywszy na to, co miał zrobić Omasowi - co musiał mu zrobić - nie rozumiał, dlaczego go obchodzi, co jego cel o nim myśli, ale naprawdę go to obchodziło. Wyłączył klingę świetlnego miecza, odpiął od pasa pusty cylindryczny pojemnik i rzucił go w stronę celu.

Omas był tak wstrząśnięty, że odruchowo uchylił się przed lecącym ku niemu cylindrem. Metalowy pojemnik odbił się od transpastalowej ściany i potoczył z brzękiem po posadzce, ale nie eksplodował ani nie uwolnił żadnej toksyny.

Ben przewrócił oczami.

- To tylko pusty pojemnik po gazie usypiającym - wyjaśnił.

Omas odetchnął z ulgą i odwrócił się znów do serwantki.

- To dobrze, Benie - powiedział. - Już myślałem, że stałeś się... no cóż, taki jak Jacen. - Sięgnął po butelkę, której nie roztrzaskały strzałki, wyjął jedną szklanekę i nalał sobie drinka. - Ale zanim to zrobisz, musisz się o czymś dowiedzieć.

Rozpiął płaszcz i odwrócił się do Bena, żeby pokazać mu przypięty do kamizelki niewielki skaner. Przez środek ekranu biegła pojedyncza zygzakowata linia, która narastała i opadała w znajomym rytmie bicia serca.

- Jest pan... zaminowany? - wykrztusił Ben.

Omas pokiwał głową.

- To uświęcona wiekiem tradycja pozbawionych władzy przywódców - powiedział. - Musisz się postarać, żebym umierał powoli, bo inaczej... - Spojrzął znacząco na sufit gabinetu, jakby chciał dać do zrozumienia, że siła eksplozji rozerwie go na kawałki, a w gabinecie rozpełta się płomieniste piekło. Skinął głową w kierunku transpastalowej ściany za

plecami. - Nie możesz także liczyć na to, że uda ci się tędy uciec - powiedział. - Panel jest podłączony do termicznego detonatora.

- No to super. - Ben westchnął. Z każdą sekundą jego zadanie stawało się trudniejsze... i wcale nie dlatego, że musiał teraz znaleźć inną drogę ucieczki. Rozwiązanie tego problemu było stosunkowo proste w porównaniu z zamordowaniem kogoś, kto traktował go tak uprzejmie. - Chyba powinienem podziękować za to ostrzeżenie.

- Przykro mi, Benie - stwierdził Omas. - Miałem nadzieję, że przyjdzie do mnie Jacen. Ben pokręcił głową.

- Jacen jest na to zbyt sprytny - powiedział.

Omas wzruszył ramionami.

- Każdy popełnia błędy - mruknął. - Sam popełniłem ich co niemiara.

Jeszcze zanim skończył mówić, za iluminatorem pojawiła się para opancerzonych patrolowców. Ich piloci przelecieli powoli na wysokości okna gabinetu i zawrócili. Omas przyjrzał im się kątem oka, po czym przycisnął drugi guzik na blacie biurka. Za transpasterową płytą opadła odporna na blasterowe strzały kurtyna, żeby nikt z zewnątrz nie mógł zobaczyć, co się dzieje w środku.

- Wygląda na to, że mamy coraz mniej czasu - powiedział Alderaanin. Uniósł szklaneczkę do ust, upił łyk i odstawił ją na biurko. Rozłożył ręce na boki i ruszył w stronę Bena. - Na pewno wiesz lepiej niż ja, gdzie zadać cios. Nie martw się, że sprawisz mi ból... zrobiłem dość, żeby na niego zasłużyć. Pospiesz się jednak, bo inaczej nie zdążysz uciec. Nie chcę umierać ze świadomością, że mam na sumieniu twoją śmierć.

Ben posłużył się Mocą, żeby Omas nie mógł bliżej podejść. Wyczuwał w Mocy jego obawy i smutek, które mówiły mu, że Omas mówi prawdę... że po prostu chce mu ułatwić wykonanie zadania. Może właśnie dlatego Benowi było tak trudno go zabić.

- Benie. - Pochwycony Mocą Omas zamarł w pół kroku. - Na pewno do tej pory funkcjonariusze coruskańskiej służby bezpieczeństwa doszli do wieży. Nie będą zważali na to, kim jesteś. Obejdzie ich tylko to, że ktoś próbuje mnie zabić.

- Nie mogę tego zrobić - odparł Ben. Wyjął z kieszeni tuniki rejestracyjny pręt. - Przedtem musi pan poznać prawdziwy powód.

- Benie, ja już go znam...

- Nie, panie przywódco - sprzeciwił się chłopak. - Jeszcze nie.

Włączył pręt i zauważył, że na dźwięk swojego głosu Omas otworzył szeroko oczy. Z narastającym zdumieniem słuchał, jak mówi, że trzeba odwrócić uwagę Luke'a Skywalkera, aby przyjaciele byłego przywódcy w Radzie Jedi mogli przywrócić go do władzy... i że

naprawdę nie chce wiedzieć, w jaki sposób jego tajemniczy rozmówca zamierza ten plan zrealizować.

Kiedy nagranie dobiegło końca, Ben był już całkowicie pewny, że były przywódca nie maczał palców w zabójstwie Mary. Polityk tak wytrawny jak Omas mógłby wprowadzić przywołać na twarz wyraz grozy, jaka teraz się na niej malowała, ale na pewno nie dałby rady udawać wstrząsu, wściekłości ani desperacji, jakie promieniowały z jego aury w Mocy.

Od strony wejścia do gabinetu napłynął stłumiony huk eksplozji. Dopiero wtedy Omas przeniósł spojrzenie z rejestracyjnego pręta na twarz Bena.

- Przyszedłeś tu, bo uważasz, że to ja kazałem zabić twoją matkę? - zapytał.

- Prawdę mówiąc, już nie. - Ben przypiął pręt do pasa i zwolnił chwyt Mocy, jakim dotąd powstrzymywał Omasa. - Zresztą chyba nigdy tak nie uważałem.

Omas zmarszczył brwi.

- Ale... to nagranie - powiedział. - Na pewno musiałeś być...

- Chyba wiem, jak to się odbyło - zaczął chłopak. - Kiedy nikogo nie było w pobliżu, jeden ze strażników zaczął panu współczuć, a nawet wyznał, że cały czas pozostaje pańskim zwolennikiem.

- To była ona - poprawił go Omas. - Pani porucznik Jonat.

Ben pokiwał głową. Jonat miała stopień sierżanta SGS i była jedną z ulubionych tajnych agentek kapitana Girduna.

- Pewnego dnia pozwoliła panu posłużyć się swoim komunikatorem - ciągnął. - Miał pan dać znać rodzinie, że wciąż żyje i miewa się dobrze.

Tym razem Omas kiwnął głową.

- Co prawda nie wyzbyłem się podejrzeń, ale myślałem, że Jacen chce się tylko przekonać, z kim się skontaktuję - przyznał Omas. - Tak bardzo chciałem porozmawiać z córką jeszcze raz, zanim... no cóż, zanim Jacen przyśle do mnie kogoś takiego jak ty.

- Czyli skorzystał pan z propozycji Jonat - domyślił się chłopak.

- I posłużyłem się jej komunikatorem dokładnie w tym celu, w jakim mi go udostępniła - dokończył Omas. - Rzeczywiście wypowiedziałem niektóre słowa z tych, które słyszałeś...

- ...ale nie w tym kontekście - domyślił się Ben.

- Próbowałem tylko podtrzymać nadzieję w sercu Elyi - dokończył Omas. - Nigdy jednak nie prosiłem ani jej, ani nikogo innego, żeby odwrócili uwagę twojego ojca... ani tym bardziej, żeby zabili twoją matkę.

- Wiem, że pan tego nie zrobił - stwierdził Ben. - Jestem prawie pewny, że zabójcą jest

Jacen.

Omas otworzył usta.

- Jacen? - zapytał.

- Znajdował się w pobliżu, kiedy to się wydarzyło - wyjaśnił Ben. - A mama wiedziała, że Jacen zadaje się z Lumiya.

- Z tą kobietą-Sithem? Z Lumiya? - Omas się zachwiał i chwycił krawędź blatu biurka, jakby się bał, że może upaść. Na jego twarzy odmalowała się nowa nadzieja. - Masz na to jakiś dowód? - zapytał.

- Jeszcze nie. - Chłopiec pokręcił głową. - To jeden z powodów, dla których tu przyszedłem.

Omas zmarszczył brwi.

- Nie wiem, jak mógłbym ci w tym pomóc - powiedział. - Ja też nie mam żadnego dowodu.

- To oczywiste - przyznał Ben. - Jacen jest na to zbyt ostrożny.

Zza przeciwbasterowych drzwi dobiegł tupot podkutych butów. W miarę jak się zbliżał, stawał się coraz donośniejszy. W głowie Bena zaczął kielkować plan, ale nie było czasu na dopracowanie szczegółów. Wskazał na medyczny skaner na piersi Omasa.

- Może pan to zdjąć? - zapytał.

Były przywódca Galaktycznego Sojuszu zmarszczył brwi i zmierzył Bena podejrzliwym spojrzeniem.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - powiedział.

Ben westchnął.

- Ten pręt z nagraniem dostałem od Jacena - powiedział. - A jeżeli chcę zdobyć dowód, będę musiał znaleźć się znów blisko niego.

Omas spojrzał na niego, jakby zaczynał rozumieć... ale po chwili sposepniał i prześwidrował Bena spojrzeniem.

- Nie zależy ci na zdobyciu dowodów, Benie - powiedział ponuro.

- Ależ zależy, i to bardzo - sprzeciwił się chłopak. Mimo podwójnych przeciwbasterowych drzwi słychać było, że ktoś na korytarzu wydaje rozkazy. - Wiem jednak, że to nie będzie proste...

- Zależy ci tylko na zabiciu Jacena - powiedział Omas i nie było to pytanie. - A jeżeli chcesz się znaleźć blisko niego, musisz go przekonać, że może mieć do ciebie zaufanie.

Ben pokiwał głową.

- No właśnie - przyznał. - To oznacza, że musimy sfingować pańską śmierć.

- Przecież nie po to tu przyszedłeś. - Spojrzenie Omasa nie straciło nic ze swojej siły, przenikało Bena na wyłot. - Jacen w mgnieniu oka przejrzy twój podstęp.

- Nie przejrzy, jeżeli zrobimy wszystko jak należy - zapewnił Ben. - Potrafię go wywieść w pole.

Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby stracić zaufanie Omasa, skoro do gabinetu przywódcy usiłowali się wdrzeć funkcjonariusze coruskańskiej służby bezpieczeństwa. Nie mógł znieść myśli, że może rzeczywiście stał się bezlitosnym zabójcą... młodszą wersją samego Jacena.

Zorientował się, że Omas mu nie dowierza. Zauważył, że Alderaanin zerka na blasterowy pistolet, który Ben posłał dzięki Mocy pod ścianę. Chwilę później stłumiony głos dowódcy funkcjonariuszy CSB zza przeciwbasterowych drzwiami poinformował, że napastnicy zostali otoczeni.

Były przywódca zerknął na drzwi.

- Pospieszcie się! - wrzasnął. Rzucił się na posadzkę, przeczołgał po niej pod ścianę i wstał z blasterowym pistoletem w dłoni. - On chce mnie zabić!

Otworzył ogień w kierunku Bena. Jego strzały nie były dokładnie mierzone, ale przelatywały dość blisko. Chłopak musiał zapalić klingę świetlnego miecza i odbijać je na bok.

- Niech pan przestanie! - krzyknął do Omasa. - Niczego pan nie rozumie!

Z niszy, którą Ben wszedł do gabinetu, napłynął donośny huk następnej eksplozji. Siła wybuchu nie wystarczyła wprawdzie do wyważenia blasteroodpornych drzwi, ale Ben na chwilę spuścił z oka strzelającego Omasa i spojrzał w tamtą stronę.

Ta chwila wystarczyła, żeby Alderaanin, nie przestając strzelać ani wzywać pomocy, podbiegł do niego. Ben odbił klingą miecza błyskawice jego strzałów, wkrótce jednak musiał się cofnąć pod samą ścianę.

Zza blasteroodpornych drzwi dobiegł odgłos jeszcze jednego wybuchu, silniejszego niż poprzedni. Omas nie przestawał strzelać i coraz bardziej zbliżał się do Bena. Mierzył nie w pierś, żeby go zabić, ale w brzuch.

Ben dotarł do ściany, uskoczył w bok i krzyknął do Omasa, żeby wstrzymał ogień. Nie rozumiał, co przywódca chce osiągnąć, dopóki nie usłyszał czwartego donośnego huku, po którym drzwi aż zadrżały. W tej samej chwili Omas skoczył... nie na Bena, ale na ścianę obok niego, gdzie na wysokości brzucha płonęła klinga jego miecza.

Chłopiec przycisnął kciukiem wyłącznik na obudowie w tej samej chwili, kiedy Omas zderzył się ze ścianą. Przyprawiający o mdłości swąd pieczonego mięsa uświadomił mu, że

się spóźnił. Przywódca osunął się na posadzkę. Ze straszliwej rany biegnącej ukosem przez pierś i kończącej się na brzuchu unosiły się strużki dymu. Alderaanin odrzucił na bok blasterowy pistolet i skierował na Bena oczy pełne bólu.

- Nie było innego... - zaczął i urwał. Rozkastał się, plując dymem i krwią. - To jedyny sposób... żebyś mógł się znaleźć... blisko niego.

Od strony odpornych na blasterowe strzały drzwi rozległ się grzmot kolejnej eksplozji - tak donośny, że Ben usłyszał dzwonięcie w uszach. Z wejściowej niszy wypłynęły strużki dymu.

Omas spojrzał w tamtą stronę.

- Idź, Benie - powiedział. - I zechciej mi... wybaczyć.

- Ja mam panu wybaczyć? - Ben osunął się na kolana i obejrzał ranę Omasa. Jej widok dowodził, że przywódca osiągnął dokładnie to, na czym mu zależało. Rana była śmiertelna, ale Omas miał jeszcze żyć jakieś trzydzieści czy czterdzieści sekund. - To ja jestem panu winien...

Resztę jego słów zagłuszył grzmot tak donośny, że Ben zupełnie ogłuchł. Cały gabinet się zatrząsł, kiedy odporna na blasterowe strzały płyta w końcu rozpadła się na kawałki i rozbiła o ściany i o posadzkę. Przewidując, co się zaraz stanie, Ben stanął pod ścianą obok wnęki. Kiedy poprzez kłęby dymu zobaczył w powietrzu dwie kule wielkości pięści, chwycił je Mocą i posłał z powrotem na korytarz. Zobaczył dwa srebrzystobiałe rozbłyski eksplozji ogłuszających granatów i wyczuł dzięki Mocy, że kilkunastu zdeorientowanych i przerażonych funkcjonariuszy coruscańskiej służby bezpieczeństwa zмага się ze skutkami wstrząsu. Zapalił klingę świetlnego miecza, przeskoczył nad progiem zniszczonych drzwi i wybiegł na korytarz. Wyminął kilku zataczających się policjantów, którzy trzymali się za hełmy i jęczeli.

Nie mógł przystanąć, żeby im pomóc. Omas miał przed sobą najwyżej dziesięć albo piętnaście sekund życia, a tyle samo by potrwało wyjaśnienie oszołomionym policjantom, że zagraża im śmiertelne niebezpieczeństwo. Przebiegł korytarzem, zmagając się z wyrzutami sumienia i ze wstydem. Spodziewał się, że tak się będzie czuł po swojej wyprawie... chociaż niekoniecznie z tych powodów.

W przedsiönku natknął się na członków oddziału wsparcia, którzy zamiast od razu otworzyć ogień, zaczęli go wzywać do poddania. Pomagając sobie Mocą, Ben wykonał w powietrzu kilka salt. Dopiero podczas ostatniego musiał odbić na boki błyskawice ich blasterowych strzałów. Wylądował przed głównymi drzwiami wejściowymi apartamentowca.

Zaskoczył bardzo funkcjonariuszy coruscańskiej służby bezpieczeństwa, bo zamiast

wybiec, odwrócił się do nich. Odbił na bok jeszcze kilka blasterowych strzałów, chwycił rękojeść miecza jedną dłonią i pomachał klingą, dając znak, by wybiegli za nim.

- Uciekajcie stąd! - krzyknął. - Przybyłem za późno... za chwilę cały gmach wyleci w powietrze!

Zdezorientowani policjanci spojrzeli najpierw po sobie, a później w głąb zasnutego dymem korytarza. W końcu przenieśli pytające spojrzenie na twarz dowodzącego nimi oficera.

Dowódca opuścił lufę blasterowego karabinu i puścił się biegiem za uciekającym Benem.

- Wynosimy się stąd - rozkazał. - Słyszeliście, co powiedział. Przecież to Jedi, nie widzicie?

ROZDZIAŁ 10

Na ultraczułym wyświetlaczu na ścianie było widać okręty flot Konfederacji. Wyglądały jak błękitne igły, powoli dryfujące na tle usianej punkcikami gwiazd aksamitnej czerni przestworzy. Po chwili zza krawędzi wyświetlacza wyłoniło się skupisko gwiazdnych doków. W blasku słońca Kuata wyglądały jak srebrzystopomarańczowy wieniec. Z pokładów pierwszych okrętów nieprzyjacielskiej floty zaczęły się sypać sztychy niosących ogromną energię błyskawic - zbyt jaskrawych, żeby dało się określić ich kolor. Niektóre docierały do mrugającej iskierki gwiazdnego doku i zamieniały go w fontannę ognistych okruchów.

Luke obserwował, chociaż niezbyt uważnie, przebieg bitwy. Siedział za biurkiem w sali odpraw, w której on i jego piloci Jedi czekali na wezwanie do kabin myśliwców StealthX. Mieli wyruszyć na wyprawę, od której powodzenia zależały w dużej mierze losy bitwy. Luke wiedział, że powinien zrobić wszystko, żeby bitwa w przestworzach Kuata zakończyła się zwycięstwem Sojuszu. Powinien także pomyśleć o wielu młodych rycerzach, którzy mieli nie wrócić z tej wyprawy. Tymczasem bez przerwy myślał o swoim synu.

W czasie tej wojny Ben dorósł tak szybko, że niektórzy mogli go uważać za dorosłego, ale dla mistrza Jedi pozostał czternastoletnim chłopcem. Luke wyczuwał w nim takie pokłady wyrzutów sumienia i niechęci do samego siebie, aby zrozumieć, że Ben wini siebie za śmierć Mary. Podobnie jak inne dzieci, które straciły rodziców, mógł przypuszczać w głębi serca, że musiał zrobić coś strasznego, skoro matka go opuściła.

Luke wiedział, że takie myśli mogą zawieść młodego Jedi w objęcia Ciemnej Strony. Już kiedyś tak się stało: na krótko w przypadku Kypa Durrona i na stałe, jeśli chodzi o Aleme Rar. Mistrz Jedi nie zamierzał dopuścić, żeby to samo przydarzyło się jego synowi.

Uwolnił myśli i posługując się Mocą, wysłał je na Coruscant, w nadziei, że odnajdzie syna i przypomni mu, że nadal ma ojca... i że oboje jego rodzice cały czas bardzo go kochają. Ben jednak znów ukrywał swoją obecność w Mocy - jeszcze jedna rzecz, której Jacen nie powinien był go nauczyć w tak młodym wieku. Luke wyczuł tylko anonimową masę żywych istot, które nazywały planetę swoim domem. Nie pierwszy raz odniósł wrażenie, że sprawia synowi zawód - dlatego że go nie rozumie.

Już niedługo, pomyślał, obiecując to i sobie, i Benowi. Kiedy ta bitwa przejdzie do historii, skończy się też cała wojna, a wówczas znajdziemy dość czasu, żeby wszystkiemu zaradzić.

Kiedy floty Konfederacji dotarły do środka wyświetlacza na ścianie, dowódcy okrętów wypuścili roje patrolowców i jednostek zwiadowczych. Chcieli namierzyć okręty Sojuszu, żeby operatorzy sensorów mogli je odróżnić od orbitujących wokół Kuata setek tysięcy gwiazdnych doków. Zgodnie ze strategią, którą opracował dla Pierwszej Floty jej nowy dowódca, wiceadmirał Nek Bwua'tu, do walki z nieprzyjacielskimi jednostkami zwiadowczymi Sojusz wysłał tysiące ukrytych dotąd gwiazdnych maszyn.

Konfederacja straciła wszystkie patrolowce, których załogom udało się zlokalizować zaledwie garstkę okrętów Sojuszu, ale taktycy nieprzyjaciół - wykorzystując zdolności Bothan - zebrali wystarczająco dużo informacji, aby ocenić siłę przeciwnika. Konfederacja ruszyła do ataku, ogniem otwierając wolną drogę między dokami.

Kiedy skala obrazu na wyświetlaczu uległa zmianie, pojawiły się na nim chmury roziskrzonych szczątków, a w obie strony zaczęły przelatywać ogniste błyskawice. Niektóre trafiały w podwójne linie gwiazdnych doków i zamieniały je w fontanny iskier. W pewnej chwili na brzegu wyświetlacza pojawiła się flota Konfederacji, która zaczęła się przedzierać przez chmurę szczątków. Nieprzyjacielskie okręty wyglądały jak durastalowe drzazgi, za którymi ciągnęły się długie ogony błękitnych gazów.

Luke spojrzał na swoich Jedi, zwróconych przodem do wyświetlacza na ścianie. Niektórzy siedzieli wygodnie rozparci, opierając łokcie na stoliku swojej eskadry, inni kręcili się nerwowo na krzesłach. Mimo dystrybutorów kafeiny i tac z kanapkami pośrodku każdego stołu, tylko Tahiri Veila miała przed sobą talerz i kubek. Zakwaterowanie całego skrzydła myśliwców StealthX na pokładzie „Anakina Solo” może i było konieczne z wojskowego punktu widzenia, ale to jeszcze nie oznaczało, że Jedi muszą korzystać z gościnności Jacena.

- Dokładnie tak jak przewidział Bwua'tu - stwierdził Luke. Ku zaniepokojeniu starszych taktyków Sojuszu, admirał był pewny, że Konfederaci zaatakują w miejscu, gdzie w przestworzach Kuata unosi się najwięcej gwiazdnych doków. - Podjęli ryzyko w nadziei, że nas zaskoczą.

- Ciekawe, jak Bwua'tu to robi? - zagadnął Kyp Durronek, który siedział przed grupą pilotów z eskadry Klingi Cienia. - Wykazuje wrażliwość na Moc, czy co?

- Lepiej - stwierdziła Saba. Siedziała obok Kypa u szczytu stołu pilotów eskadry Ostrza Nocy. - Wykazuje wrażliwość na łup.

- Wrażliwość na łup? - zdziwił się Corran Horn.

- Wie, jak myśśli jego łup - wyjaśniła Barabelka. - Co więcej, wie, jak oni myśślą, że my myśśliśmy.

- To znaczy? - zapytał Horn.

- Drętwo i bez wyobraźni - wyjaśnił Kenth Hamner. Siedział obok Kypa przed grupą pilotów z eskadry Miecze Ciemności. - Czy nie tak rebelianci postrzegają swoich wrogów?

- Mają dobry powód - odezwał się Luke, przypominając sobie czasy, kiedy sam był jednym z rebeliantów. Wszystko wówczas wyglądało bardzo prosto - dawało się sprowadzić do zwykłych zmagania dobra ze złem. Trudno mu było uwierzyć, że teraz równie łatwo dostrzega zło zarówno po stronie, po której walczy, jak i u przeciwników. - Porozmawiajmy lepiej o tej bitwie. Czy wszyscy wiedzą, jak ma się rozwijać?

- A czego tu można nie wiedzieć? - zapytała Saba uprzejmym, ale obojętnym tonem, jakby chciała podkreślić, że członkowie Rady nie są zachwyceni udziałem Jedi w tej bitwie. - Kiedy Czwarta Flota się upewni, że nasz łup znalazł się między orbitalnymi dokami, hapańsska Flota Obronna wyleci z kryjówki za Ronayem, w której pozostaje niewidoczna dla nieprzyjacielskich sensorów, i zaatakuje Konfederatów od tyłu.

- Schwyta ich w pułapkę między dokami, żeby floty Siódma i Piąta mogły otworzyć ogień z boków - dodał Kyp. - Jeśli oczywiście Bothanie się nie zorientują, że okręty Sojuszu ich osaczyły.

- Bwua'tu twierdzi, że tak się nie stanie - stwierdził Luke. Musiał sobie przypomnieć, że Kyp mówi zawsze bez ogródek... że nie zamierza zasiewać wątpliwości w umysłach innych Jedi, daje tylko wyraz swojemu sceptycyzmowi. - Dowódcy Konfederatów nie wierzą, żebyśmy zdołali przewidzieć, w którym miejscu przeprowadzą atak, więc nie będą się spodziewali zasadzki.

- Jeżeli się chwilę zastanowisz, sam dojdiesz do wniosku, że naprawdę nie mogą jej przewidzieć - odezwał się Kenth, któremu wyraźnie zależało, żeby Kyp kierował się

rozsądkiem. - Konfederacja straciła większość swoich jednostek zwiadowczych. Wszyscy widzimy na tym wyświetlaczu, jak trudno uzyskać wiarygodny sygnał, omiatając przestworza promieniami sensorów.

- A ich admirałowie nie zamierzają wysłać na zwiady gwiazdnych myśliwców. - W głosie Corrana brzmiała desperacja, niczym u sprzedawcy używanych pojazdów, który usiłuje zwrócić uwagę potencjalnego nabywcy na opływowe kształty powietrznego śmigacza, zamiast na wysłużone płyty repulsorów. - Mają ich tylko tyle, żeby zamaskować swoje poczynania.

- Co racja, to racja - przyznał Luke, przyłączając się do argumentów sprzedawcy. - A zatem możemy być pewni, że Konfederacja da się zwabić w pułapkę, jak to przewidział Bwua'tu. A teraz nasze zadania...

- Są równie przejrzyste jak vorsjański kryształ - dokończył Kyp. - Lecimy spacerkiem przez środek szyku okrętów bothańskiej floty i posyłamy nasze ciemne bomby ku ich nowiutkim, ślicznym krążownikom.

Luke odwrócił się do Corrana.

- A potem? - zapytał.

- A potem spotykamy się z „Megadorem” i...

- Hangar pięćdziesiąty pierwszy - przerwała Saba, kierując ogromne oko na pilotów swojej eskadry. - To bardzo ważne.

- Racja - odparł Horn. - Wlatujemy do hangaru pięćdziesiątego pierwszego, żeby uzupełnić uzbrojenie, a później przelatujemy przez szyk okrętów koreliańskiej floty.

- Ale bierzemy na cel tylko ich okręty liniowe - przypomniał Luke, wyraźnie zadowolony, że Corran i Kenth pomogli mu skierować uwagę wszystkich na szczegóły taktyczne ich wyprawy. - Nie marnujemy ciemnych bomb na nic mniejszego.

- A jeszcze później latamy tam i z powrotem - odezwał się Kenth. - Dopóki flota Konfederacji nie imploduje jak pojemnik z próżnią.

- Dzięki czemu Sojusz wygra tę wojnę w jednej walnej bitwie - dokończył Kyp, chociaż bez szczególnego entuzjazmu. - Czy nikogo nie martwi, że w ten sposób podajemy Jacenowi galaktykę jak na tacy z aurodium?

Po jego słowach zapadła pełna zakłopotania cisza. Ktoś nieobeznany z Zakonem Jedi mógłby ją uznać za przejaw oburzenia... a przynajmniej za dowód uprzejmej dezaprobaty. Luke wiedział jednak, że tak nie jest. Gdyby któryś z mistrzów miał na ten temat odmienne zdanie, na pewno by je wypowiedział. To, że wszyscy zachowali milczenie, oznaczało, że zgadzają się z Kypem, ale nie chcą irytować Mistrza Skywalkera.

- Im szybciej ta wojna dobiegnie końca, tym szybciej Jacen i pani admirał Niathal przestaną pełnić obowiązki przywódców Galaktycznego Sojuszu - oznajmił Luke. - Zrezygnują, jak obiecali, i rozpiszą wybory.

- Jacen składał w przeszłości wiele obietnic - przypomniał Kyp. - Dotrzymywał jednak tylko tych, które mu dogadzały. Zekk melduje, że cały czas na terenie Akademii Jedi na Ossusie stacjonuje batalion żołnierzy SGS.

W sali odpraw rozległ się szmer potwierdzających pomruków, ale szybkość, z jaką dowódcy eskadr je uciszyli, uświadomiła Luke'owi, że wszyscy mistrzowie oprócz Kypa robią wszystko, by Luke nie poznał ich prawdziwych uczuć. Nie chcieli, żeby się dowiedział, jak bardzo są rozczarowani rycerze Jedi - a może nawet cały Zakon - jego decyzją udziału w tym ataku, skoro Jacen cały czas traktuje nauczycieli i uczniów Akademii jak zakładników.

- Przyznaję, że mój siostrzeniec sprawia nam sporo kłopotów - stwierdził Luke. - Bierzemy jednak udział w tej bitwie nie dla Jacena, ale dla Sojuszu. Wygrajmy i zakończmy tę wojnę. Zajmiemy się potem rozwiązaniem problemu Jacena, jeżeli nie dotrzyma obietnicy i nie zrezygnuje z obowiązków przywódcy Galaktycznego Sojuszu.

- Chciałeś powiedzieć, kiedy, nie jeżeli - poprawił go Kyp.

- Lepiej będzie toczyć tę bitwę z pełną świadomością tego, co się wydarzy, Mistrzu Skywalker. Pobożne życzenia na nic się nie zdadzą.

Spośród wszystkich mistrzów Rady Jedi tylko Saba odwróciła się do Kypa i spiorunowała go spojrzeniem. Luke wiedział jednak, że Barabelka ma do Kypa żal jedynie o to, że pozwolił sobie na zbyt dużą szczerość. Mistrz Jedi był zaskoczony tym, jak bardzo inni mistrzowie starają się nie sprawić mu przykrości, chociaż nie powinien być tym zdziwiony. Tydzień wcześniej, podczas bitwy w przestworzach Balmorry, uzyskał zgodę Rady na udział Jedi w Bitwie o Kuata tylko dlatego, że jego zdaniem był to najlepszy sposób uświadomienia Jacenowi, iż więcej zyska, współdziałając z Jedi, niż starając się ich antagonizować.

Kiedy jednak po zakończeniu Bitwy o Balmorrę SGS pozostała na terenie Akademii - rzekomo tylko po to, aby niedoświadczeni młodzi rycerze Jedi nie musieli dbać o jej bezpieczeństwo i mogli się zająć innymi sprawami - nikt z członków Rady nie krył oburzenia. A kiedy Luke zaproponował Radzie, żeby mimo to Jedi latali myśliwcami StealthX podczas bitwy o Kuata, nie wyczuł żadnego poparcia, najwyżej rezygnację. Rozumiał już, że popełnił błąd, nie pozwalając mistrzom na wyrażenie własnych opinii, aby decyzję można było wypracować wspólnie... zwłaszcza że w tej chwili nawet on podawał w wątpliwość słuszność swojego osądu.

Na szczęście nie było za późno, żeby naprawić popełniony błąd. Luke spojrzął na

Corrana.

- Doceniam troskę wszystkich o moje uczucia, ale w tej chwili jej nie potrzebuję - powiedział. - Nie potrzebuję jej także Zakon Jedi.

Corran sprawiał wrażenie skruszonego, ale też zdezorientowanego.

- Chyba niezupełnie cię rozumiem, Mistrzu Skywalker - powiedział.

- Twoim zdaniem udział Jedi w tej operacji to błąd, prawda? - chciał wiedzieć Luke.

W oczach Corrana pojawiły się błyski zrozumienia. Pozostali mistrzowie wyglądali tak, jakby zaraz mieli przyznać się do winy.

- Nie podoba mi się, że bierzemy w niej udział - przyznał Horn. - Jacen nas wykorzystuje.

- Prawdopodobnie tak - zgodził się Luke. - Ale jaką inną moglibyśmy podjąć decyzję? Zmienić stronę i poprzeć przeciwników?

Corran się zarumienił.

- Nikt tego nie sugeruje, Mistrzu Skywalker - zastrzegł szybko.

Luke wiedział, że jeżeli chce osiągnąć zgodę, musi pozwolić się wypowiedzieć także innym mistrzom Jedi. Przeniósł spojrzenie na Durrona.

- Może powinniśmy aresztować Jacena za... no cóż, nie mam pojęcia, jakie prawo złamał ani jak to udowodnić - zaczął. - Mówię jednak poważnie. Czy powinniśmy pójść na mostek i zatrzymać Jacena na podstawie bliżej niesprecyzowanych podejrzeń?

Kyp spuścił głowę.

- To chyba kiepski pomysł - powiedział. - W tej chwili Sojusz nie może sobie pozwolić na większy chaos.

Luke przeniósł spojrzenie na Hamnera.

- Moglibyśmy siedzieć z założonymi rękami i tylko obserwować rozwój sytuacji podczas tej bitwy - powiedział. - Dzięki temu mielibyśmy pewność, że nie popełniamy poważnego błędu.

Kenth zastanawiał się chwilę nad jego propozycją, ale w końcu pokręcił głową.

- Od wyniku tej bitwy zależy przyszłość galaktyki - przypomniał. - Nie możemy nie wziąć w niej udziału. - Powiódł spojrzeniem po twarzach innych mistrzów Jedi. - Skoro mamy dokonać wyboru między despotyzmem a całkowitą anarchią, chyba powinniśmy się opowiedzieć po stronie despotyzmu. Na razie.

- Ja też tak uważam - przyznał Luke i odwrócił się do Saby. - Tylko... kiedy wreszcie dojdziemy do wniosku, że Jacen posunął się za daleko? W którym miejscu nakreślimy granicę?

- Ją o to pytasz? - Saba rozpląszczyła łuski na policzku, co u Barabelów było dowodem zakłopotania. - Jacen jest krwią z twojej krwi, nie z mojej.

- Jest także synem twojej uczennicy - przypomniał mistrz Jedi.

- Ponosisz taką samą odpowiedzialność za tę decyzję jak ja.

- Leia już się od niego odwróciła - stwierdziła Saba. - Chyba że nasz Wywiad Wojsskowy popełnił błąd co do powodu jej wizyty na Kashyyyku.

- Leia nie jest mistrzynią Jedi - zauważył Luke. - Ty jesteś.

Saba nastroszyła kolce na grzbiecie i zamilkła na dłużej. Nikt nie chciał pierwszy zaproponować, żeby Jedi wystąpili zbrojnie przeciwko Jacenowi, ale wszyscy wiedzieli, że ta chwila się zbliża... a kiedy nadejdzie, prawdopodobnie będzie oznaczała konieczność podjęcia akcji zbrojnej przeciwko samemu Sojuszowi.

W końcu Barabelka odwróciła głowę i spojrzała w bok.

- To ty masz długie kły, Missstrzu Skywalker - oznajmiła. - Nakreślmy tę granicę w miejscu, które sam wskażesz.

Luke nie chciał usłyszeć takiej odpowiedzi, chociaż się jej spodziewał. Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności, niż możliwość przekazania przywództwa Zakonu w inne ręce. Mógłby wówczas poświęcić cały swój czas na szukanie zabójcy Mary i na pomoc Benowi, żeby uporał się z rozpaczą. W tej chwili nie mógł jednak pozwolić sobie na ten luksus. Uniemożliwiał mu to Jacen.

Zaczekał, aż pozostali mistrzowie i rycerze Jedi wyrażą zgodę na propozycję Saby, i pokiwał głową.

- Dziękuję wam - powiedział. - Nie pozwolimy, żeby Jacen dalej nami pomiatał. - Przeniósł spojrzenie na wyświetlacz na ścianie. Roilo się tam od roziskrzonych szczątków, między którymi przelatywały błyskawice turbolaserowych strzałów. - Tymczasem mamy przed sobą zadanie... i wszystko wskazuje, że już wkrótce zostaniemy wezwani do jego wykonania.

W tej samej chwili wyczuł obecność Cilghal, która biegła korytarzem od strony pokładowej izby chorych. Właz w przeciwległej ścianie otworzył się z cichym sykiem i kalamariańska uzdrowicielka wślizgnęła się do sali odpraw. Jej wyłupiaste oczy dosłownie wychodziły z orbit, a skóra poszarzała i wyschła z przerażenia.

- Przełączcie na Wiadomości HoloNetu! - krzyknęła. - Przywódca Omas został zamordowany... a na miejscu zbrodni podobno widziano Bena!

ROZDZIAŁ 11

Caedus wiedział, że obierając drogę Sithów, podjął słuszną decyzję. Mimo oszałamiających błysków za obserwacyjnym bąblem wyczuwał dzięki Mocy, że bitwa jest prawie wygrana. Wiedział też, że kiedy admirał Bwua'tu wezwie hapańską Flotę Obronną do wyjścia z kryjówki, los zdrajców zostanie przesądzony.

Naturalnie największe straty ponosili Korelianie, którzy wysyłali bojowe krążowniki i szturmowe fregaty do walki przeciwko niszczycielom Czwartej Floty. Jacen wyczuwał jednak, że także Bothanie mają spore kłopoty... zasadzki i pola minowe, na które raz po raz się natykali, uniemożliwiały dowódcom lekkich krążowników i korwet zaatakowanie obrońców Sojuszu z flanki. A Commenorianie i Huttowie właściwie w ogóle się nie liczyli. Po bitwie o Balmorrę zostało im tylko kilka okrętów, które obecnie osłaniały tyły razem z mniejszymi flotyllami innych sojuszników Konfederacji.

Caedus nie potrafił zrozumieć, na co jeszcze czeka Bwua'tu i dlaczego do tej pory nie wezwał hapańskiej Floty Obronnej. Na pewno się orientował, że wszystko przebiega zgodnie z jego planem. Musiał już tylko wydać jeden jedyny rozkaz, żeby Sojusz mógł wygrać tę bitwę i całą wojnę.

Caedus miał nadzieję, że nie popełnił błędu, obdarzając Bwua'tu tak dużym zaufaniem. To właśnie Lord Sithów nalegał - na podstawie rekomendacji Gavina Darklightera - żeby Bothaninowi powierzyć dowództwo nad flotami Sojuszu. Nie wyczuł w Mocy żadnego podstępu, kiedy wiceadmirał go zapewniał, że przysięga *krevi* Bothanina wymaga, aby pozostał lojalny względem Sojuszu.

W przypadku Bothan niczego jednak nie można było wiedzieć na pewno. Caedus nie miał pojęcia, czy *krevi* nie jest tylko kulturową fikcją, którą Bothanie propagują w celu wykorzystywania takich sytuacji.

Odwrócił się do wielkiego taktycznego wyświetlacza w pobliżu wejścia do obserwacyjnego bąbla i skupił uwagę na kodzie transpondera „Welma Darba”. Gwiezdny niszczyciel nie był wprawdzie największą jednostką Pierwszej Floty, ale Bwua'tu wybrał go na swój nowy okręt flagowy, żeby większe jednostki, dysponujące ogromną siłą ognia, mogły się znaleźć na pierwszej linii bez narażania jego okrętu dowodzenia. Caedus nie wyczuł na pokładzie „Darba” żadnych uszkodzeń. Stwierdził tylko, że spokojny Bothanin rozważa różne

możliwości, a udrećzeni członkowie załogi usiłują zapewnić ochronę jego okrętowi.

Dotknął płytki na podłokietniku medytacyjnego fotela.

- Czy z pokładu „Darba” meldowano o niewłaściwym funkcjonowaniu zestawów sensorów? - zapytał. - A może o kłopotach z szyfrowaniem przesyłanych informacji?

Wkrótce usłyszał głos osobistej oficer łącznościowiec, porucznik Krovy:

- Meldują, że wszystkie systemy są sprawne, panie pułkowniku. Mogę poprosić ich o potwierdzenie tej informacji.

- Nie trzeba - odparł pośpiesznie Caedus. - Nie chcę, aby Bwua'tu pomyślał, że się niecierpliwie.

- Wiceadmirał jest osobą bardzo spostrzegawczą, panie pułkowniku - odparła Krova. - Na pewno to wie.

Caedus był w zbyt dobrym nastroju, żeby sarkazm Krovy miał go zirytować... ale niebawem z głośnika komunikatora wydobył się specjalny dwutonowy sygnał alarmowy, przydzielony grupie kilku osób, dla których musiał zawsze znaleźć czas. Otworzył i włączył urządzenie.

- Czy nie powinnaś być w tej chwili w sali odpraw? - zapytał.

- Jestem w toalecie - odparła Tahiri. - A poza tym nic nie wskazuje, żebyśmy mieli szybko wystartować. Idzie do ciebie Mistrz Skywalker. Chce z tobą porozmawiać.

- O czym? - zainteresował się Caedus.

Tahiri zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Kiedy możemy tam znów wrócić? - zapytała w końcu.

- To zależy od tego, ile czasu ci zajmie udzielenie odpowiedzi na moje pytanie - burknął Caedus. Od czasu powrotu do laboratorium z aparaturą do klonowania voxynów na pokładzie światostatku „Baanu Rass” dwukrotnie zabierał Tahiri na spacer po nurcie do innych miejsc w czasie, żeby się mogła spotkać z Anakinem. Za każdym razem jednak kończył wyprawę, pozostawiając u niej niedosyt, żeby pragnęła jak najszybciej odbyć następną. - Na pewno wiesz, że w tej chwili jestem bardzo zajęty.

- To mi zaszkodzi - odparła Tahiri, ignorując jego ostrzeżenie. - Nie możesz zabierać nas z powrotem, dopóki nie jestem gotowa.

- W takim razie wybieraj ostrożniej miejsca przeznaczenia - odparł Caedus. - Unikaj takich, z którymi wiąże się tyle emocji.

- Z przyjemnością - odparła Tahiri. - W wiadomościach HoloNetu właśnie podano informację o zabiciu Omasa, a Mistrz Skywalker jest wściekły jak yanskac na lodzie. Lepiej się przygotuj.

Caedus poczuł w żołądku bryłę lodu. Operatorzy HoloNetu najwyraźniej zignorowali zakaz publikowania tej informacji, a sama wiadomość o możliwym udziale Bena mogła wystarczyć, żeby Luke wpadł na mostek, gotów do stoczenia pojedynku z rankorem. A wcale nie jest wykluczone, że Luke jakimś cudem poznał tożsamość zabójcy swojej żony.

Caedus wyłączył komunikator bez przerywania połączenia i skupił świadomość Mocy na mostku „Anakina Solo”. Wyczuł obecność wuja, który wjeżdżał najbliższą turbowindą. Moc falowała i skwierczała od jego gniewu.

Caedus znów dotknął płytki komunikatora na podłokietniku fotela.

- Poinformuj funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa mostka, że do mojej dziennej kabiny zbliża się Mistrz Skywalker - rozkazał.

- Mistrz Skywalker? - zapytała Krova i zamilkła, żeby sprawdzić obrazy na monitorach systemu bezpieczeństwa. - Tak jest - odezwała się po chwili. - Jakie instrukcje mam im przekazać?

Lord Sithów zastanowił się chwilę nad możliwością powstrzymania Luke'a, żeby zdobyć więcej czasu na przygotowanie się do rozmowy. Doszedł jednak do wniosku, że wyglądałoby to podejrzenie.

- Powiedz im, żeby mu nie przeszkadzali - polecił w końcu. Nie zapytał o sytuację w kwaterach Jedi na pokładzie „Anakina Solo”. Nawet gdyby Luke nie zadał sobie trudu wyłączenia aparatury monitorującej, funkcjonariusze pokładowej służby bezpieczeństwa zobaczyliby tylko to, co Jedi chcieliby im pokazać. - I dopilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Będziemy chcieli mieć trochę prywatności.

Zdażył jeszcze rozkazać, żeby SD-XX zabezpieczył dzienną kabinę przed podsłuchem - fizycznym czy elektronicznym - i polecił androidowi, żeby ukrył się w schowku w ścianie. Chwilę później do kabiny wmaszerował Luke. W wysokich butach i czarnym kombinezonie pilota myśliwca StealthX wyglądał jak żołnierz SGS... przynajmniej dopóki nie uderzył pięścią w kontrolną płytkę na ścianie obok drzwi i nie przemaszerował przez kabinę.

Caedus z zadowoleniem zauważył, że świetlny miecz wuja wisi nadal u pasa, ale na wszelki wypadek podszedł do biurka. Miał zza niego dostęp do kilkunastu systemów uzbrojenia i pułapek, które zawczasu przygotował z myślą o takiej właśnie konfrontacji.

Luke wymierzył w niego wskazujący palec.

- Teraz rozumiem, dlaczego mnie unikasz. - Mówił łagodnym, beznamiętnym tonem, ale od jego aury w Mocy promieniowało oburzenie. - Tym razem jednak przekroczyłeś granicę.

- O czym ty mówisz? - zapytał Caedus, udając, że nie wie, o co chodzi. Wiadomość o

śmierci Omasa dopiero co ukazała się w HoloNecie, więc gdyby Jacen był niewinny, nie zwróciłby na nią uwagi w samym środku bitewnej medytacji. - Przykro mi, wujku, że nie poświęciłem dość czasu, żeby cię pocieszyć, ale byłem zajęty staraniami ocalenia Sojuszu od zagłady.

Luke zmrużył oczy i zatrzymał się na środku kabiny.

- Wolałbym się wypłakiwać na ramieniu Hutta niż na twoim - powiedział. - Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Myślałem, że członkowie rodziny powinni być szczerzy wobec siebie. - Tym razem Caedus nie musiał udawać smutku. On naprawdę ubolewał z powodu tego, że stracił szacunek i miłość wuja... ale to było po prostu jedno z wielu poświęceń, na które musiał się zdecydować, żeby zaprowadzić pokój w galaktyce.

- Za chwilę admirał Bwua'tu poprosi mnie o zgodę na użycie hapańskiej floty. Nie wiem, z czym do mnie przychodzisz, ale chyba możemy to załatwić po zakończeniu tej bitwy.

Luke pokręcił głową.

- Raczej nie - powiedział.

Zirytowany Caedus wypuścił powietrze z płuc.

- Chodzi ci o Akademię? - zapytał. Zerknął w kierunku obserwacyjnego bąbla i zobaczył, że wokół jego fotela jarzy się aureola bitewnego światła. Jej blask nie sięgał tylko trójkątnego piedestału, na którym fotel się wspierał. - Powiedziałem ci, że nie pozostawię bez ochrony jednego z najcenniejszych skarbów Sojuszu...

- Nie udawaj głupiego - przerwał ostro Luke. - Nie chodzi mi o Akademię, lecz o Bena.

- O Bena? - Caedus znieruchomiał za rogiem biurka, udając przerażenie. - Czyżby stało mu się coś złego?

- Ty mi to powiedz - warknął mistrz Jedi. - To ty go tam wysłałeś.

- Dokąd? - zapytał Caedus. - Od czasu pogrzebu Mary w ogóle z nim nie rozmawiałem...

W następnej chwili przemknął przez kabinę w kierunku obserwacyjnego bąbla. Luke nie wykonał żadnego gestu, nawet nie mrugnął ani nie spojrzął w jego stronę. Po prostu chwycił go Mocą i rzucił pięć metrów dalej, aż siostrzeniec opadł na fotel.

- Nie kłam. - Mistrz Jedi ruszył ku niemu. - Zaczynam mieć tego dosyć.

Caedus zerwał się z fotela... a ściślej spróbował wstać. Stwierdził jednak, że zмага się z niewidzialnym ciężarem. Zupełnie jakby przyspieszał do prędkości światła bez włączenia inercyjnego kompensatora.

- Luke, chyba oszalałeś - powiedział. Chciał wyciągnąć rękę w kierunku kontrolnych urządzeń i przełączników fotela, ale i tego nie mógł zrobić. Nie dał rady nawet kiwnąć palcem. - Nie możesz tego robić. Wiem, że trudno ci się pogodzić ze śmiercią Mary, ale...

- To nie ma nic wspólnego ze śmiercią Mary - uciął Luke. - I masz szczęście, że jej tu nie ma. Gdyby się dowiedziała, do czego wykorzystujesz naszego syna, kawałki twojego ciała byłyby teraz rozsiane wzdłuż całej długości Hydiańskiej Drogi.

Caedus zwrócił uwagę na ironię tego oświadczenia, ale był zbyt zdumiony i przerażony, żeby sprawiło mu to radość. Prawdą było, że Luke go zaskoczył, ale taką samą prawdą było i to, że zrobił to bez widocznego wysiłku. Co więcej, bez trudu uniemożliwił mu swobodę ruchów.

Świadom, że przed szybką śmiercią chroni go już tylko wystawiona na niezwykle trudną próbę cierpliwość wuja, Caedus pozwolił, żeby do Mocy przesączyla się drobna część jego przerażenia, jakie naprawdę odczuwał... tylko tyle, żeby się wydawał zaniepokojony.

- Czyżby to miało coś wspólnego z Calem Omasem? - zapytał. - Powiedz mi, że Ben nie popełnił żadnego głupstwa.

Luke zmrużył zimne oczy.

- To ty mi powiedz, dlaczego uważasz, że mój syn mógł mieć z nim coś wspólnego - wycedził.

- Chętnie ci powiem - odparł Caedus. - Ben dowiedział się o rozmowie, z której treści mogło wynikać, że Omas maczał palce w zabójstwie Mary.

- To absurdalne - stwierdził mistrz Jedi. - Przywódca Omas nie byłby na tyle głupi, żeby mieć z tym coś wspólnego.

- Nie byłby? - podchwycił Caedus. - Chcesz powiedzieć, że Ben... czy to znaczy, że Omas nie żyje?

Luke spojrzał na niego, ale nie odpowiedział.

Jego siostrzeniec miał ochotę pokręcić głową, ale wuj trzymał go cały czas nieruchomo dzięki Mocy. Gdyby Luke poznał tożsamość zabójcy Mary, Caedus już by nie żył. To jeszcze jedno przypomnienie, że każdego można zaskoczyć, pomyślał ponuro.

- Usiłowałem wytłumaczyć Benowi, że Omas nie mógł tego zrobić, ale chłopak miał w sobie wiele gniewu - odezwał się, spoglądając na wuja. - Obawiam się, że jeżeli ktoś z nas szybko się z nim nie skontaktuje, z Benem będzie źle.

Luke pokiwał głową i przysiadł na krawędzi biurka siostrzeńca.

- Jakim cudem Ben się dowiedział o tej rozmowie? - zapytał.

Caedus zmusił się, żeby nie odwrócić wzroku i nie spojrzeć na ścianę.

- Sam chciałbym to wiedzieć - odparł ponuro.

- Ty mu to powiedziałaś. - Luke nie zmienił wyrazu twarzy, a jego siostrzeniec uświadomił sobie gorzką prawdę. Jego wuj spodziewał się jakiegoś kłamstwa, że na przykład Ben sam się tego domyślił. - To było ci bardzo na rękę, prawda? Pozwoliłeś, żeby ta informacja niby przypadkiem ci się wymknęła w niewinnej rozmowie, i nakierowałeś Bena na cel równie pewnie jak rakiety.

- To nie było tak. - Zaprzeczenie dotyczyło wyłącznie formy, bo Caedus i tak wiedział, że Luke mu nie uwierzy. - A nawet gdyby tak się stało, w tej chwili nie pora o tym dyskutować. Jesteśmy o krok od zwycięstwa. Kiedy zmiażdżymy Konfederację, ja...

Z głośnika komunikatora rozległ się głos pani porucznik Kroy:

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie pułkowniku, ale admirał Bwua'tu jest gotów na przybycie floty Hapan.

Caedus poczuł ogromną ulgę. Nareszcie, pomyślał z uniesieniem.

- Powiedz admirałowi, że Hapanie zaraz się pojawiają - rozkazał. Pozostawił sobie dowództwo nad hapańską Flotą Obronną, bo nie chciał, żeby Allanie czy Tenel Ka coś się stało i żeby ktokolwiek posłużył się tą flotą, dopóki zwycięstwo nie będzie pewne. Zaczekał na potwierdzenie wydanego rozkazu, przerwał połączenie i odwrócił się znów do wuja. - Powiedziałem ci wszystko, co wiem o śmierci Omasa. A teraz muszę wydać rozkaz. Hapańska królowa matka nalegała, żebym wziął na siebie odpowiedzialność za użycie jej floty.

Luke uniósł brew.

- Wydaje ci się, że możesz mnie odprawić? - zapytał.

- Wiem, że mogę. - Caedus nadał głosowi gniewne brzmienie. To prawda, znajdował się w upokarzającym położeniu, ale nadal był przywódcą Galaktycznego Sojuszu, a Luke pozostawał jego podwładnym. - Jeżeli chcesz, wdrożymy śledztwo w sprawie śmierci Omasa, ale dopiero po tym, kiedy ocalimy Sojusz od zagłady.

Luke obrzucił go długim i niemiłym spojrzeniem, a w końcu ześlizgnął się z krawędzi biurka.

- Obiecujesz? - zapytał.

- Tak.

- A więc trzymam cię za słowo - powiedział mistrz Jedi. Pozostawiając Caedusa przyszpilonego Mocą do fotela, odwrócił się i ruszył do drzwi. - Sam znajdę drogę.

Caedus wiedział, że zostanie uwolniony, kiedy wuj będzie musiał odwrócić uwagę od siostrzeńca... ale do tej pory mogło upłynąć wiele minut, a Caedus musiał wydać rozkaz

hapańskiej flocie natychmiast. A poza tym jako przywódca Galaktycznego Sojuszu nie mógł sobie pozwolić, żeby ktokolwiek, choćby nawet sam Luke Skywalker, poniżył go i po prostu wyszedł. Musiał mu uświadomić, że z władzą nie ma żartów.

- Luke! - zawołał za oddalającym się wujem. - Chyba o czymś zapomniałeś!

Mistrz Jedi przystanął na progu drzwi i obejrzał się za siebie. Na jego twarzy, na której jeszcze chwilę wcześniej malował się gniew, widać było coś w rodzaju ubolewania.

- Masz rację - powiedział mistrz Jedi. - Powinienem cię uprzedzić, że będziesz musiał miażdżyć Konfederację bez naszych myślicieli StealthX. Jedi nie będą cię dłużej popierali.

- Co takiego? - Caedus był tak wstrząśnięty, że spróbował wstać... ale przekonał się, że nadal nie może się poruszyć. - Nie wolno wam teraz mnie opuścić. Możemy razem zakończyć całą wojnę!

- Rzeczywiście, moglibyśmy unicestwić floty Konfederatów i zabić mnóstwo rebeliantów - przyznał spokojnie Luke. - Nie sądzę jednak, żebyś dał radę wygrać tę wojnę, Jacenie. Przecież ty nawet nie masz pojęcia, o co w niej naprawdę chodzi.

- To absurd. - Caedus nie rozumiał, jakim cudem mężczyzna, który od czterdziestu lat brał udział w różnych wojnach, może być tak głupi. - Kiedy zniszczymy ich floty, Korelia i Bothawui będą musiały zaakceptować nasze warunki, a kiedy się poddadzą, reszta Konfederacji nie będzie miała wyboru i szybko przyłączy się do Sojuszu.

Luke pokręcił głową i wyciągnął rękę do panelu obok drzwi.

- Zawsze istnieje wybór, Jacenie - powiedział.

- Jeżeli go dokonasz, pożałujesz. - Caedus nie potrafił zrozumieć, dlaczego wuj chce go opuścić, skoro ocalenie Sojuszu jest tak bliskie, ale wiedział, jak temu zapobiec. - Czyżbyś zapomniał o Akademii?

Luke otworzył drzwi, ale zanim wyszedł, jeszcze raz się odwrócił i spojrzał na siostrzeńca.

- To z pewnością nie miała być groźba pod adresem jej najmłodszych uczniów - powiedział bardzo spokojnie.

Wyciągnął rękę w kierunku medytacyjnego fotela Jacena i zagiął palec. Postument opadł z hukiem o ćwierć metra.

- Bo chyba nie chcesz zobaczyć mojego gniewu, prawda? - Luke zagiął drugi palec. Z piedestału wydobył się zgrzyt metalu trącego o metal i siedzisko opadło o następne ćwierć metra. - Moim zdaniem jesteś wystarczająco rozsądny, żeby tego uniknąć.

Zagiął trzeci palec i postument runął z donośnym łoskotem. Caedus wyładował na podłodze i znieruchomiał jak dziecko, z nogami zwróconymi w stronę drzwi.

- Ale jeżeli chcesz mi rzucić wyzwanie, proszę bardzo - dokończył Luke. - Spełnij swoją groźbę.

Opuścił rękę i ciężar zniknął z piersi jego siostrzeńca. Gdyby Caedus był głupszy, mógł się teraz zerwać i rzucić do ataku, ale Sithowie nie byli niewolnikami emocji. Zemsta za to poniżenie mogła poczekać, dopóki nie ocali Sojuszu od zagłady.

Pozostał więc na posadzce, gdzie wuj go zostawił, i tylko wyciągnął rękę, żeby dotknąć płytki komunikatora na podłokietniku medytacyjnego fotela.

- Pani porucznik, czy mamy już łączność z księciem Isolderem? - zapytał.

- Prawdę mówiąc, pułkowniku Solo, właśnie pan z nim rozmawia - usłyszał w odpowiedzi niski, melodyjny głos Hapanina.

- Przepraszam. - Caedus spojrzał w przeciwny koniec kabiny, gdzie wciąż jeszcze stał Luke. - Czy jest pan gotów do podjęcia ataku?

- Jestem - odparł Isolder.

Luke spuścił wzrok z siostrzeńca i pokręcił głową.

- A więc proszę atakować - polecił Caedus. - I niech Moc będzie z wami.

- Niech będzie z nami wszystkimi - odparł księżę. - Jeżeli pański plan się nie powiedzie, wszyscy będziemy jej potrzebowali.

Rozległ się cichy trzask i połączenie zostało przerwane.

Poruszając się bardzo powoli, żeby wuj nie wziął tego ruchu za atak, Caedus wstał.

- Znam cię aż za dobrze - powiedział. - Nie opuścisz Sojuszu.

- Nie ma żadnego Sojuszu. - Luke odwrócił się, żeby wyjść. - Przestał istnieć wraz ze śmiercią Cala Omasa.

- To ty tak uważasz. - Caedus wciąż nie rozumiał, dlaczego jego wuj przywiązuje tak dużą wagę do śmierci Alderaanina. W końcu Omas był tylko jedną z milionów osób, które codziennie traciły życie, i nawet jeżeli Caedus zasiał w głowie Bena pomysł jego zamordowania, nie wydał kuzynowi takiego rozkazu. - Jestem jednak pewny, że wesprzesz nasz atak, bo Senat na pewno nie powierzy dezterom opieki nad Akademią Jedi.

Luke musnął dłonią rękojeść świetlnego miecza. W pierwszej chwili Caedus pomyślał, że walka, której spodziewał się od czasu śmierci Mary - oczekiwał jej, wzdragał się przed nią i jednocześnie jej pragnął - w końcu rozegra się w jego kabinie. Wyszedł z obserwacyjnego bąbla, żeby mieć więcej miejsca, gdyby wuj rzeczywiście chciał go zaatakować.

Luke chyba jednak zrozumiał, że zaatakowanie Caedusa na pokładzie jego własnego niszczyciela - nawet gdyby udało mu się go zabić - postawiłoby Akademię i pozostałych Jedi w jeszcze gorszej sytuacji. Odsunął dłoń od metalowego cylindra i wyciągnął rękę przed

siebie, żeby skrzydła drzwi przed nim przestały się zasuwac.

- Dobrze, Jacenie - powiedział. - Jeżeli tak to chcesz rozegrać, to w porządku.

- Tu nie chodzi o to, czego ja chcę - odparł Caedus. - Ale zrobię to, jeżeli od tego ma zależeć zwycięstwo w tej wojnie.

Luke przyglądał mu się jeszcze chwilę, ale wreszcie zrozumiał sytuację i zrezygnował.

- Sam nie wiem, dlaczego mnie to jeszcze dziwi - powiedział, a w jego głosie brzmiały smutek i udręka. - Chyba powinienem teraz wrócić do kabiny myśliwca StealthX.

- Rzeczywiście powinieneś - zgodził się z nim Caedus. - I niech Moc będzie z tobą w tych przestworzach.

Luke parsknął, na wpół z rozbawieniem, na wpół z goryczą.

- Chyba powinienem ci podziękować - powiedział. Przesząpił próg i ruszył do wyjścia, ale jego rozgoryczenie pozostało w Mocy niczym ciężka mgła na Dagobah. - Do widzenia, Jacenie.

Caedus uświadomił sobie, że wuj wyszedł bez wypowiedzenia tradycyjnego życzenia, ale prawdopodobnie nie mógłby go wymagać od kogoś, kogo właśnie siłą podporządkował własnej woli. Zaczekał, aż Luke zniknie mu z oczu, po czym zamknął drzwi. Kiedy się odwrócił, za jego plecami stał SD-XX.

- Wszystko poszło dobrze - stwierdził android. - Już myślałem, że jego też będziesz musiał zabić.

Jacen zmarszczył brwi.

- Jego też? - powtórzył jak echo. Nie powiedział androidowi o zabiciu Mary. Nie mówił o tym nikomu. - Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Tylko to, że zabiłeś także jego żonę - wyjaśnił SD-XX. - Mówiąc przez sen, zdradzasz różne tajemnice.

Caedus pomyślał o Tenel Ka i poczuł w sercu pustkę. Tenel Ka była jedyną osobą, w której towarzystwie dobrze sypiał.

- Co takiego zdradzam? - zapytał. - Mówię coś konkretnego? SD-XX się pochylił i zbliżył podobną do czaszki głowę do ucha Caedusa.

- A więc rzeczywiście ją zabiłeś. - Androidy nie powinny przemawiać głosem osoby zadowolonej z siebie, ale temu się to udało. - Do tej pory nie byłem tego pewny.

- Gadaj, co mówię podczas snu? - wrzasnął Jacen. SD-XX nie odsunął głowy.

- Tak naprawdę to do niczego się nie przyznałeś - powiedział.

- Opowiadałeś jednak coś na temat koniecznych poświęceń, żeby galaktyka była bezpieczna dla dzieci... na przykład twojej córki.

- Mojej córki? - Kiedy Caedus uświadomił sobie, że naraził Allaną na niebezpieczeństwo, jego serce na chwilę przestało bić.

- Czy kiedykolwiek wypowiedziałem jej imię?

SD-XX przekrzywił głowę. Pewnie kierował fotomikrometr na źrenicę oka Jacena, żeby ocenić rozmiar wstrząsu, jaki wywołała jego odpowiedź.

- Wypowiadasz podczas snu wiele imion - powiedział android. - Jaina, Danni, Anni, Allaya...

- Dość - rozkazał Caedus. Bardzo chciałby wysłać androida z powrotem do Tendrando Arms, żeby tam uzupełniono jego program o zakaz badania parametrów właściciela, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Pomagając Hanowi i Leii Solo uniknąć schwytania, Lando dał niedwuznacznie do zrozumienia, po czyjej stronie opowiada się w tym sporze. - Wróc do monitorowania sytuacji i daj mi znać, jeżeli członkowie załogi zaczną plotkować na temat nieporozumień między mną a Lukiem Skywalkerem.

SD-XX niechętnie odsunął metalową głowę od jego twarzy.

- Allana? - upewnił się.

- Zaraz każę cię przerobić na części do torped - ostrzegł Caedus.

- Nie musisz mi grozić. - SD-XX odwrócił się i poczłapał do schowka w ścianie. - To nie ja zdradzam tajemnice, kiedy jestem wyłączony.

Caedus, idąc przez dzienną kabinę, przypomniał sobie, jak bardzo Tenel Ka wydawała się zatroskana tamtego ranka, kiedy miał się odbyć pogrzeb Mary. Może wygadał się z czymś przez sen, a ona zaczęła go podejrzewać? Caedus przypisał wówczas jej milczenie zwykłemu smutkowi, ale teraz zaczął się zastanawiać. Może właśnie w tej chwili Tenel Ka zadawała sobie pytanie, czy nie wyjawić tego, co wie, Luke'owi i Radzie Mistrzów.

Caedus doszedł jednak do wniosku, że to mało prawdopodobne. Gdyby Tenel Ka naprawdę usłyszała coś, co by dowodziło udziału Jacena w tym morderstwie, nie wyglądałaby na zamysloną czy na nieobecną duchem. Dołożyłaby wszelkich starań, aby wyglądać jak zawsze, a on dowiedziałby się o jej podejrzaniach dopiero wtedy, gdy przyłożyłaby mu do pleców szpic klingi świetlnego miecza i zaczęła go przesłuchiwać.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Kiedy dotarł do obserwacyjnego bąbla, po polu bitwy w różne strony przelatowały strumienie światła i ogniste błyski. „Anakin Solo” podsyczał to piekło słupami ognia ze wszystkich czterech baterii dalekosiężnych turbolaserów. Przy każdym strzale pokład drżał, a oświetlenie migotało i przygasało. Co kilka sekund z ognistej zawieruchy wyłaniała się mikroskopijna plamka, w mgnieniu oka przeradzała się w szkarłatny rozbłysk i rozkwitała

niczym śmiercionośny kwiat na ochronnych polach niszczyciela.

Jakakolwiek próba oceny sytuacji na polu bitwy była skazana na niepowodzenie, ale na widok ilości uwalnianej energii Caedus poczuł, że ogarnia go duma... i groza. To on do tego doprowadził... to on uwolnił śmiercionośną energię i zwabił nieprzyjaciela w pułapkę. Czuł się... no cóż, może niezupełnie jak bóg, ale na pewno jak mężczyzna na progu przeznaczenia. Dzięki temu zwycięstwu galaktyka miała się znaleźć w zasięgu jego rąk... a kiedy zapanuje nad galaktyką, potrafi zaprowadzić pokój.

Z głośnika komunikatora wydobył się głos porucznik Krovy:

- Jedi meldują gotowość do startu, panie pułkowniku.
- Wszyscy? - zdziwił się Caedus. - Mistrz Skywalker też?

Zapadła krótka cisza; widocznie pani oficer musiała się skontaktować z dowódcą hangaru.

- To właśnie Mistrz Skywalker złożył ten meldunek - odparła w końcu.

- Szybko się uwinęli - mruknął Caedus i uniósł brew. - Czy Hapanie już się znaleźli na wyznaczonej pozycji?

- Właśnie otwierają ogień - zameldowała Krova. - Plan admirała Bwua'tu przewiduje jednak, że piloci myśliwców StealthX zaatakują dopiero, kiedy Bothanie wykonają zwrot, żeby odeprzeć atak Hapan. Admirał uważa, że w powstałym zamieszaniu...

- Znam plan bitwy, pani porucznik. - Caedus skupił świadomość Mocy na hangarze „Anakina Solo” i wyczuł gniew czekających tam Jedi. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie pozwolić im wykonywać uniki przed nadlatującymi rakietami i salwami turbolaserowych strzałów, niż gdyby mieli siedzieć beczynnienie i kwestionować jego autorytet. - Mistrz Skywalker także go zna. Jedi mogą startować.

Krova potwierdziła przyjęcie rozkazu i chwilę później Caedus wyczuł, że Jedi oddalają się od „Anakina Solo”. Wiedział, że wkrótce będzie musiał uzgodnić ich atak z admirałem Bwua'tu. Pochwyił Mocą medytacyjny fotel, ale nie dał rady odwrócić go przodem do pola bitwy. Chociaż bardzo się starał, fotel ani drgnął.

Pani porucznik Krova zameldowała, że Hapanie odcięli flotom Konfederatów drogę ucieczki i przyłączyli się do bitwy.

Caedus zrezygnował z prób odwrócenia fotela, bo i tak nie zobaczyłby niczego, co mogłoby mu pomóc w ocenie sytuacji na polu bitwy. Usiadł tyłem do obserwacyjnego bąbla. Nie wyprostował nóg, jak poprzednio, ale podciągnął kolana do piersi. Mimo to poczuł się równie głupio.

Porucznik Krova zameldowała, że Bothanie wykonują zwrot, aby podjąć walkę z

hapańską Flotą Obronną. Floty Pierwsza i Siódma zaczęły napierać z obu flank na wrogów, żeby wziąć ich okręty w krzyżowy ogień. Mimo to Konfederacja rozpaczliwie utrzymywała pozycję, zadając Sojuszowi mniej więcej tyle samo strat, ile sama ponosiła. Caedus zamknął oczy i postarał się objąć umysłem całe pole bitwy. Co jakiś czas wskazywał dowódcy grupy bojowej miejsce ataku albo ostrzegał kapitana gwiazdowego niszczyciela przed zagrożeniem, ale bez przerwy śledził pilotowane przez Jedi myśliwce StealthX, które leciały skrajem pola bitwy w kierunku floty Bothan.

W końcu pani oficer łącznościowiec przełączyła admirała Bwua'tu bezpośrednio na kanał Caedusa i z głośnika komunikatora rozległ się chrapliwy głos Bothanina:

- Moje gratulacje, panie pułkowniku. Nadeszła pora, żeby zakończyć tę wojnę. Proszę przysłać myśliwce StealthX.

- Cieszę się bardzo - odparł Sith. - Aha, jeszcze jedno, panie admirałe.

- Tak?

- Dziękuję za pańską lojalność.

- Nie musi mi pan za nic dziękować, panie pułkowniku - stwierdził Bwua'tu. - Przysięga *krevi* nie może zostać złamana, niezależnie od tego, kto dowodzi.

- Mimo to się cieszę, że mamy pana po naszej stronie.

Rozmawiając z admirałem, Caedus wysłał myśli do Jedi, żeby przynaglić ich do ataku. W odpowiedzi wyczuł jednak falę gniewu jeszcze silniejszą niż ta, jaka napływała z hangaru „Anakina Solo”. Obecność Jedi w Mocy znacznie osłabła, co mogło oznaczać tylko jedno. Pilotowane przez nich myśliwce StealthX przyspieszyły do maksymalnej prędkości.

Ku przerażeniu Caedusa, obecność Jedi w Mocy nadal zanikała. Z każdą chwilą stawała się słabsza. Ich myśliwce minęły flotę Bothan i przeleciały między okrętami hapańskiej Floty Obronnej. Kierowały się w stronę obrzeży systemu Kuata i w końcu zupełnie zniknęły.

Po chwili z głośnika komunikatora rozległ się znów głos Bwua'tu:

- Gdzie są te myśliwce StealthX, panie pułkowniku? - zapytał admirał. - Jeżeli szybko nie osłabimy trzonu bothańskiej floty, to będzie najdłuższa i najkrwawsza bitwa od czasu zajęcia Coruscant przez Yuuzhan Vongów.

Caedus był zbyt wstrząśnięty i wściekły, żeby od razu odpowiedzieć. A więc jednak Jedi go opuścili... zdradzili, świadomie wywiedli w pole, nie zastanawiając się, co ich decyzja oznacza dla Sojuszu.

- Panie pułkowniku? - powtórzył nagłym tonem Bwua'tu.

- Nie dam rady kontynuować ataku, dopóki do walki nie przyłączy się Jedi.

- A co się stanie, jeżeli będzie pan nadal atakował? - zainteresował się Caedus. - Jak rozwinię się sytuacja, jeżeli Jedi nie pomogą panu w bitwie?

Bwua'tu milczał tylko krótką chwilę.

- Straciliśmy wszystkie nasze myśliwce StealthX? - zapytał.

- Najpierw niech pan odpowie na moje pytanie, admirał - przypomniał ostro Caedus. - Da pan sobie bez nich radę?

Tym razem Bothanin nie zwlekał ani chwili z odpowiedzią.

- To możliwe, ale wolałbym tego nie robić - powiedział.

- Straciliśmy naszą najsilniejszą kartę przetargową, a jeżeli przegramy tę bitwę, stracimy wszystko.

- Rozumiem - mruknął Caedus. Gdyby nakazał admirałowi kontynuowanie ataku, ryzykowałby życie Tenel Ka i Allany... a wychowując się w rodzinie Solo, słyszał wystarczająco często, jak się kończy gra o najwyższe stawki, aby wiedzieć, że tylko głupiec ryzykuje wszystko bez najważniejszego atutu. - W takim razie nie możemy kontynuować tego ataku, panie admirał.

- Poczł dziwne odrętwienie. - Musi pan wiedzieć, że Jedi nas zdradzili.

ROZDZIAŁ 12

Mimo rzeźkiego wiatru, unoszącego aromatyczny pyłek wroshyrów, piżmopodobna woń sierści tyłu Wookiech zgromadzonych od dawna na tak małej przestrzeni była... krótko mówiąc, oszalamiająca. Nie przyprawiała o mdłości, ale odurzała. Przepychając się za Hanem przez ryczących członków Naskalnej Rady, Leia z trudem oddychała. Nie musiała się martwić o zachowanie równowagi. Potrącało ją tyle kosmatych bioder i łokci, że i tak nie miała szans spaść.

W pewnej chwili szczególnie duży łokieć przy akompaniamencie radosnego ryku walnął ją w ramię z taką siłą, że księżniczka osunęła się na kolana. Nie krzyknęła - Saba nauczyła ją godzić się z bólem w milczeniu, często szturchając ją w głowę - a rosły Wookiee spojrzął w dół, żeby zobaczyć, z jakim stworzeniem zetknął się jego łokieć.

- Nic się nie stało. - Leia wstała i poruszyła ręką. - Widzisz? Jest sprawna.

Wookie - chudy jak szczapa samiec o siwiejącej sierści - zmrużył srebrzyste oczy i warknął coś w dialekcie, który Leia może by i zrozumiała, gdyby usłyszała jego słowa, bo w

tej samej chwili z gardeł członków Naskalnej Rady wydarło się aprobujące wycie. Księżniczka skarciła się w duchu, obawiając się, że straciła koncentrację. Po spędzeniu tygodnia w więzieniu Wookiech oboje Solo wymknęli się na nieautoryzowaną przepustkę. Zostaliby natychmiast schwytani i wtrąceni znów do celi, gdyby Leia, posługując się Mocą, nie zasugerowała dyskretnie, że mają prawo przebywać pośród członków Rady.

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedziała, machając ręką. Istoty rasy Wookie na ogół nie miały podatnych umysłów, ale księżniczka doszła do wniosku, że nie zaszkodzi spróbować.

- Przyszliśmy tu, żeby wysłuchać...

- Nie ma sprawy - wtrącił Han, zwracając się do Wookiego.

- To był zwykły przypadek. - Chwyił żonę za rękę i cicho szepnął: - On cię tylko przeprosza. - Przeciągnął ją między dwoma kosmatymi torsami i dodał: - Radzę ci, zrezygnuj z posługiwania się Mocą. Nie powinno się tu z niej korzystać.

- Nas też nie powinno tu być - przypomniała Leia, tuląc się do niego. - Powinniśmy być cały czas w więzieniu, zapomnialeś?

Han pokręcił głową.

- Powinniśmy tam wrócić, zanim Waroo skończy drugie śniadanie - powiedział. - Nie słyszałaś, co powiedział?

Leia zmarszczyła brwi.

- Coś słyszałam - potwierdziła. - Chyba powiedział: „Powinniście tu być, kiedy wrócę”.

- Właśnie - stwierdził Han. - Nie mówił: „Lepiej się stąd nigdzie nie ruszajcie” ani: „Nie posługujcie się Mocą, żeby otworzyć zamek drzwi celi, kiedy mnie tu nie będzie”. - Pokręcił głową z udawaną dezaprobatą. - Czasami się zastanawiam, jak sobie radziłaś jako dyplomatka.

- Chcesz powiedzieć, że pozwolił nam uciec? - zapytała zdumiona księżniczka. - Sądziłam, że Wookie mają kodeks honorowy.

- Mają - przyznał Solo. - Ale tylko Wookie go rozumieją.

W końcu dotarli na środek Skały Zgromadzeń Rady i wyłonili się z tłumu u stóp naturalnego bazaltowego podwyższenia o wysokości mniej więcej dwóch metrów. Po podwyższeniu przechadzał się tam i z powrotem rosły kopulastogłowy Wookie, który coś ryczał w stronę tłumu i wymachiwał metrowej długości kością szczękową z półkolem zakrzywionych kłów. Słuchając jego okrzyków, Leia zrozumiała tylko tyle, że Wookie przywołuje wspomnienia z czasów, kiedy galaktyka stawiała opór Yuuzhan Vongom.

Zapewniał także delegatów, że dokonują najlepszego możliwego wyboru, zarówno dla Kashyyyka, jak i dla Sojuszu.

- Hanie, moim zdaniem dyskusja się skończyła - szepnęła Leia, pomagając sobie Mocą, żeby jej szept dotarł do uszu męża. - Ten Wookie nie przedstawia argumentów, ale zachwala zalety podjętej decyzji.

- Czyli będziemy musieli zacząć nową dyskusję - stwierdził Han.

- A co z Waroo? - Żeby zrozumieć słowa męża, Leia obserwowała ruchy jego warg. - Dyskusje Wookiech ciągną się bez końca, więc Waroo znajdzie się w większych tarapatach niż my, kiedy pojawi się jego zmiennik, a nas tam nie będzie.

- No to nie poprosi nikogo, żeby go zmienił - odparł beztrąsko Solo. - Jak myślisz, dlaczego w ogóle powierzyli właśnie jemu pełnienie obowiązków naszego strażnika? - Podszedł do żony. - A poza tym wrócimy do więzienia, zanim zdążysz się zorientować. To nam nie zajmie dużo czasu.

Leia spiorunowała go spojrzeniem.

- Co nam nie zajmie dużo czasu? - zapytała.

Han wskazał kciukiem rosnącego Wookiego na Skale Zgromadzeń Rady.

- Widzisz tę kość szczękową tyrossuma w jego dłoni? - zapytał.

- Trudno byłoby jej nie zauważyć.

- Jeżeli ktoś chce zabrać głos, najpierw musi mu ją odebrać. - Han sięgnął do kieszeni płaszcza Leii i wyciągnął niewielki blaster - jedną z kilku sztuk broni, które Lumpawaroo pozostawił niby przypadkiem w zasięgu ich rąk, zanim udał się na śniadanie. - Dyskretnie nastawił go na ogłuszanie. - Nie może się jednak posłużyć żadną bronią.

Leia osłoniła dłonią blaster.

- W takim razie, po co go zabierasz? - zapytała.

- Jeżeli się przekonają, że oszukuję, przerwą dyskusję, żeby zdecydować, czy nie pogwałciłem reguł, jakimi się kierują członkowie Naskalnej Rady - wyjaśnił mąż. - A później będą musieli mi wyznaczyć stosowną karę. Taka debata zajmie im mniej więcej miesiąc, jeżeli ich naprawdę wyprowadzę z równowagi.

- Hanie, to chyba nie jest najlepsze rozwiązanie - odparła z powątpiewaniem księżniczka. Im dłużej się zastanawiała nad pomysłem męża, tym mniej się jej podobał. - Waroo powiedział, że bitwa w przestworzach Kuata potrwa o wiele dłużej niż miesiąc.

Han wzruszył ramionami.

- A masz lepszy pomysł? - zapytał.

- Może i mam. - Leia zdjęła płaszcz, odpięła rękojeść świetlnego miecza i wcisnęła

jedno i drugie w ręce męża. - Potrzyмай - powiedziała.

Han otworzył szeroko oczy.

- Leio, nie możesz... - zaczął.

Jego ostrzeżenie utonęło jednak w ogólnym zamęcie. W następnej chwili księżniczka posłużyła się Mocą, żeby wskoczyć na skalną platformę. Wylądowała kilka metrów obok kopulastogłowego Wookiego... i tylko o włos uniknęła ciosu zębata kością szczękową tyrossuma, kiedy mówca zatoczył nią szeroki łuk, budząc zachwyt słuchaczy. Leia ocaliła życie - a przynajmniej całą skórę - wykonując młynek w kierunku skraju platformy.

Kiedy stanęła prosto, chóralne wycie zgromadzonych Wookiech przeszło w cichy, zdumiony pomruk. Mówca przekrzywił głowę, a na jego kosmatej twarzy odmalowała się dezorientacja pomieszana z niedowierzaniem. Jego sierść zdobiły siwe cętki, a kły były starte z powodu podeszłego wieku. Mimo to Wookie wyglądał, jakby mógł unieść lądowy śmigacz równie łatwo jak kobietę, która dorastała mu zaledwie do pasa.

Leia wskazała na ogromną kość szczękową w jego kosmatej dłoni.

- Musisz bardziej uważać - stwierdziła. - Może będzie lepiej, jeżeli mi to oddasz.

Na kosmatej twarzy Wookiego odmalowała się jeszcze większa dezorientacja. Mówca pochylił głowę w jej stronę, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pozostali członkowie Naskalnej Rady od razu jednak zrozumieli znaczenie słów Leii i wybuchnęli gromkim śmiechem. Stojący cały czas u stóp podwyższenia Han zasłonił dłonią oczy, jakby nie mógł patrzeć na to, co się zaraz wydarzy... ale od czasu do czasu zerkał między palcami na żonę. Leia zauważyła, że spod jej płaszcza, niedbale przerzuconego przez rękę Hana, wystaje wylot lufy blastera.

Uznała brak zaufania męża za przesadną troskliwość i podeszła do Wookiego.

- Słyszałaś, co powiedziałam - oznajmiła. - Oddaj mi tę kość.

Mówca chyba w końcu zrozumiał, że kobieta rzuca mu wyzwanie, bo uniósł kość szczękową wysoko nad głowę - mniej więcej metr poza zasięg jej rąk - pokręcił głową i wyszczerzył zęby w pogardliwym uśmiechu. Członkowie Naskalnej Rady znów zarechotali, a ktoś zaczął wykrzykiwać, żeby mówca nie pozwolił towarzysze życia Hana zrobić sobie tego, co drugi pilot Hana zrobił jego synowi.

Leia odwróciła się i spojrzała w dół, na męża.

- Ten Wookie to stary Tojjelnoot? - zapytała.

Han opuścił rękę, którą dotąd zasłaniał oczy, i pokiwał głową.

- A jak myślisz, kto inny mógłby wygłaszać mowę końcową? - powiedział.

- Coś wspaniałego. - Leia zerknęła na starego Tojjelnoota, który patrzył na nią jak na

apetyczne danie obiadowe. - A ja muszę mu zabrać tę kość szczękową, tak? - zapytała. - Dopiero wówczas będę miała prawo do zabrania głosu?

- I będziesz mogła przemawiać, dopóki ktoś ci jej nie odbierze - stwierdził Han. - Tylko go nie zabijaj. Nie chcemy, żeby gromada Tojjów ściagała nas po całej galaktyce.

- Niczego nie obiecuję. - Leia mrugnęła porozumiewawczo do męża. - Ależ on wielki - zmartwiła się.

W oczach Tojjelnoota pojawiły się błyski niepokoju. Kiedy księżniczka zaczęła biec w jego stronę, Wookie w końcu chyba zrozumiał, że kobieta naprawdę zamierza go zwalić z nóg. Prychnął pogardliwie i uniół wolną rękę, żeby ciosem na odlew odrzucić ją od siebie.

Leia uniknęła ciosu i wywinęła salto. Wylądowała na rękach jakiś metr od jego stóp i zaczęła prostować nogi, żeby kopnąć go w brzuch.

Tojjelnoot pewnie i tak runąłby na wznak, nawet gdyby nie pomogła sobie Mocą, ale Saba wbiła jej do głowy, że podczas walki nie wolno niepotrzebnie ryzykować. Księżniczka najpierw wyprostowała nogi, a potem zaczerpnęła z Mocy tylko tyle energii, aby uzyskać pewność, że Wookie się przewróci.

Tojjelnoot klapnął na pośladki i zaczął chwytać powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Jęknął i chwycił się za brzuch. Leia wykonała salto z piruetem i chwyciła kość szczękową, która toczyła się po skalnej mównicy.

Zgromadzeni Wookie zarzyczeli z zachwytem, ale niektórzy oskarżali Leię głośno, że posługując się Mocą, dopuściła się oszustwa. Księżniczka pozwoliła im ryczeć, a kiedy przycichli, znów posłużyła się Mocą, żeby jej głos lepiej się niósł nad głowami tłumu.

- A dlaczego nie powinnam była pomagać sobie Mocą? - zapytała, udając zdziwienie. - Czy to sprzeczne z zasadami?

W odpowiedzi usłyszała wycia i okrzyki wszystkich członków Naskalnej Rady, którzy zapewniali, że posługiwanie się Mocą jest jaskrawym naruszeniem obowiązujących zasad. Powinna była odebrać Mówiącą Kość poprzedniemu mówcy bez używania pazurów, kłów czy innej broni, a Moc była właśnie bronią. Tojjelnoot przestał na chwilę jęczeć, aby dodać, że posługiwanie się Mocą na Skale Zgromadzeń Rady jest absolutnie zabronione i że Han powinien być jej to powiedzieć.

Leia zrobiła skruszoną minę i odwróciła się do Tojjelnoota, który nadaremnie starał się usiąść prosto na skale. Wyciągnęła w jego stronę kość szczękową.

- Nie zamierzałam oszukiwać - oznajmiła. - Może zaczniemy wszystko od początku?

W oczach Wookiego pojawił się błysk niepokoju i gniewu... ale po chwili popatrzył z wdzięcznością, bo Leia posłużyła się znów Mocą i pomogła mu wstać. Nie chciała starca

zanadto poniżać. Wookie odwrócił się do Hana i warknął, że Solo powinien był wyjaśnić swojej towarzyszce życia reguły gry, zanim ją tu przyprowadził. Na koniec machnął ręką na znak, że Leia może sobie zatrzymać kość szczękową, i ześlizgnął się z podwyższenia.

- Dziękuję... to bardzo miło z twojej strony - odparła Leia. Spojrzała na pozostałych członków Naskalnej Rady. - A kiedy ktoś inny zechce zabrać głos, obiecuję, że nie posłużę się Mocą, aby mu to uniemożliwić.

W odpowiedzi usłyszała aprobujące chichoty. Zaczekała, aż zapadnie cisza.

- Wszyscy wiecie, kim jestem - podjęła, świadomie nie podnosząc głosu. - Na pewno wiecie także, kim jest mój syn. Musieliście słyszeć o nieporozumieniach, jakie powstały między nim a mną i moim mężem.

Od strony tłumu zgromadzonych Wookiech napłynął chór potwierdzeń i współczujących pomruków.

- Smutną oznaką naszych czasów są podziały w rodzinach takich jak moja - ciągnęła księżniczka. - Członków tych rodzin różnią jednak nie samolubne interesy czy konflikt lojalności, ale przestrzegane w duszy zasady. Wiem, że Jacen ceni swoje zasady jeszcze bardziej niż Han i ja cenimy nasze. Stawia je nawet wyżej niż własne życie, bo inaczej nie otworzyłby ognia do „Sokoła”.

Członkowie rady z pewnością o tym słyszeli, bo tę informację podano we wszystkich kanałach Sojuszu jako dowód, że pułkownik Solo stawia zasady wyżej niż życie rodziców. Wookie cenili jednak życie rodzinne, więc postępek Jacena wywołał pośród nich kontrowersje. Leia usłyszała chór gniewnych warknięć i pogardliwych pomruków.

- Przywiązanie do zasad nie oznacza jednak, że ktoś ma rację... nie oznacza także, że postępuje słusznie - ciągnęła Leia. W głosach Wookiech dało się słyszeć oburzenie, a księżniczka uświadomiła sobie, że musi szybko przejść do sedna, zanim ktoś tutaj wpadnie w taki gniew, że rzuci jej wyzwanie. - I właśnie o tym chciałam z wami porozmawiać. Jacen Solo, mój syn, przejął władzę w wyniku niemoralnego przewrotu...

Od strony tłumu Wookiech dobiegł chóralny ryk sprzeciwu. Leia zrozumiała, że jeżeli nie posłuży się Mocą, nikt jej nie usłyszy. Uderzyła parę razy ciężką kością szczękową w skalną mównicę... ale wrzawa tylko się nasiliła.

Trwało to ponad minutę, aż wreszcie Tojjelnoot wskoczył na mównicę i wyciągnął rękę do Leii; była to propozycja, żeby dobrowolnie oddała mu kość szczękową. Skoro i tak nie miała z niej żadnego pożytku, chętnie mu ją przekazała. Tojjelnoot stanął na skraju podwyższenia i chlasnął płaską stroną kości w ramię najbliższego Wookiego. Rykiem zażądał szacunku dla kości, po czym zrobił to samo z dwoma następnymi ziomkami. W końcu

wrzawa zaczęła cichnąć. TojjeLNoot ryknął w xacziku coś, po czym natychmiast zapadła cisza... a Han aż się skrzywił.

Leia ukłękła na skraju podwyższenia.

- Co on powiedział? - zapytała.

- Uhm... nie mam pojęcia - odparł zakłopotany mąż. - Czy ja wyglądam jak Wookiee?

- Tylko rano, zaraz po wstaniu z łóżka - przyznała Leia. - I niech ci się nie wydaje, że się wymigasz od odpowiedzi.

- Dobrze, dobrze - odparł Han. - TojjeLNoot zagroził, że pozwoli ci się posłużyć Mocą, aby rozwalić tę skałę, a wtedy już nikt ci nie odbierze głosu. Mówił, że pamięta przemówienia, jakie wygłaszałaś jako przywódczyni Nowej Republiki.

Leia zastanowiła się, czy ma się czuć obrażona, czy usatysfakcjonowana, ale TojjeLNoot podszedł do niej i wyciągnął rękę z kością szczękową. Księżniczka przyjęła ją z łaskawym uśmiechem i powróciła na środek skały.

Zanim zaczęła mówić, z głębi tłumu rozległ się nosowy głos Sullustanina:

- Nie słuchajcie, co mówi... ta kobieta! To nielegalne!

Leia zerknęła w dół, na Hana; uświadomiła sobie jednak, że wysyłanie go na poszukiwania Juuna nie ma sensu. Nawet gdyby Solo wypatrył Sullustanina w gąszczu kudłatych ciał, dotarcie do niego zajęłoby co najmniej kilka minut. Postanowiła zastosować metodę Wookiech i zakrzyczeć krzykacza.

- Jak mówiłam, pułkownik Jacen Solo i pani admirał Cha Niathal zdobyli władzę w wyniku niemoralnego i nielegalnego zamachu stanu...

- Był całkowicie legalny! - wrzasnął Juun z odległości mniej więcej dwudziestu metrów. - Zgodnie z poprawką do Ustawy o Stanie Wyjątkowym SGS ma prawo osadzać w areszcie mężów stanu, polityków i wszystkich innych osobników, którzy mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu.

- Zamach stanu był nielegalny - powtórzyła z naciskiem księżniczka. - Założę się o mój świetlny miecz, że to sam Jacen zgłosił tę poprawkę. Dzięki temu jego próby przejęcia władzy wykonawczej w jakikolwiek sposób oprócz legalnych wyborów są zwykłym oszustwem, a takie oszustwo to poważne pogwałcenie konstytucji Galaktycznego Sojuszu.

Argument Leii wystarczył, żeby Juun zaczął się nad nim zastanawiać, ale przez Moc przetoczyła się fala niepewności. Księżniczka zrozumiała, że nie nakłoni Wookiech do odmówienia pomocy Jacenowi, ograniczając się do prawniczych argumentów. Musiała im uświadomić sprzeczność poczynań syna z prawem, odwołując się do ich kodeksu moralnego.

- Porozmawiajmy więc o tym, co Jacen zrobił, wykorzystując środki, do których miał

prawo - zaproponowała. - Zgodnie z informacjami podawanymi przez samą SGS, na Coruscant przebywa najwyżej dziesięć tysięcy terrorystów. Mimo to Jacen wtrącił do więzienia ponad milion mieszkańców koreliańskiego pochodzenia... a za co? Za to, że sympatyzowali z ojczyzną? Czyżby przestępstwem było to, że ktoś ma koreliańskich rodziców? A może to, że krzywo spojrzął na żołnierzy SGS stojących na straży w korytarzach jego apartamentowca?

Jej słowa wywołały lekki pomruk, a Leia pomyślała, że w końcu jej argumenty zaczynają przekonywać niezdecydowanych Wookiech.

- A co z Bothanami? - zapytała. - Czy to przypadek, że stracili życie wszyscy członkowie Partii Prawdziwego Zwycięstwa na Coruscant? Nic dziwnego, że Bothawui przyłączyła się do wojny po stronie Korelii.

- Ale nie potrafisz udowodnić, że maczał w tym palce pułkownik Solo - zaprotestował Juun. Podszedł kilka metrów bliżej, ale cały czas był ukryty w tłumie Wookiech. - Nie możesz także winić...

Jakiś Wookie warknął groźnie, żeby uciszyć Sullustanina, a inny zaryczał, że jeżeli Juun chce zabrać głos, musi wspiąć się na Skałę Zgromadzeń Rady i jak każdy inny, odebrać Leii Mówiącą Kość.

- Dziękuję. - Księżniczka odzyskała nadzieję, że uda się jej przekonać Wookiech do zmiany zdania co do udzielenia pomocy jej synowi. Gdyby jej starania zakończyły się powodzeniem, Jedi, działając jako rozjemcy, może daliby radę zawrzeć pokój. Dzięki temu zawierucha w przestworzach Kuata nie rozlałaby się na resztę galaktyki. - Przypomniałam wam, że podczas niedawnego kryzysu hapańskiego Jacen ostrzelał „Sokoła”. Nie powiedziałam jednak o czymś, co SGS zabroniło podawać w wiadomościach HoloNetu. Staraliśmy się wówczas ocalić od pewnej śmierci kilkoro Jedi i funkcjonariuszy Sojuszu, pozostawionych własnemu losowi podczas tamtej bitwy. Jedną z tych osób była siostra Jacena, Jaina Solo; był tam też jego kuzyn i uczeń, Ben Skywalker. Jacen wiedział o tym, a mimo to wydał rozkaz otwarcia ognia do...

Członkowie rady zareagowali chóralnym rykiem niedowierzania i wściekłości. Nie to jednak uniemożliwiło Leii kontynuowanie wywodu. Przeszkodził jej w tym sięgający do pasa, kudłaty, czarny osobnik, który wspiął się na skalne podwyższenie i zaczął trajkotać, raz po raz wskazując na Mówiącą Kość.

Leia zmierzyła Tarfanga niedowierzającym spojrzeniem.

- Chyba żartujesz - prychnęła. - Rzucasz mi wyzwanie?

Ewok pokiwał głową i wytrajkotał coś paskudnego. Stojąc najbliżej podwyższenia

Wookie skrzywili się i spojrzeli w bok.

Leia odwróciła się i odszukała spojrzeniem męża.

- Co im się stało? - zapytała.

- Tarfang ma u nich fatalną opinię - wyjaśnił Han. - Posłuchaj, właściwie powiedziałaś już wszystko, co miałaś do powiedzenia. Może powinnaś mu oddać tę...

- Myślisz, że mnie pokona? - Leia odwróciła się znów do Tarfanga, który ujął się pod boki i piorunował ją spojrzeniem. - Ten mały futrzak?

W odpowiedzi na tę zniewagę Tarfang skoczył ku niej, szczerząc kły i wymachując pazurzystymi łapami. Księżniczka uskoczyła w bok i przetoczyła się, po czym wyprostowała nogę, zamachnęła się i z całej siły kopnęła Ewoka w zadek.

Tarfang przeleciał nad odległym końcem podwyższenia i zniknął w masie zaskoczonych Wookiech. Leia wstała i ruszyła w tamtą stronę, żeby sprawdzić, co się z nim stało, ale usłyszała gniewne warczenie dobiegające z okolic kolan stojących tam Wookiech. Kiedy zaczęli się rozstępować, odwróciła się i spojrzała na Hana.

- Wierzyć się nie chce, że muszę się wdawać w karczemną bijatykę z Ewkiem - powiedziała.

- Możesz po prostu oddać mu tę kość - zasugerował mąż. Spojrzał w stronę, gdzie zniknął Tarfang, i szybko dodał: - Uważaj!

Ewok wystrzelił spomiędzy masy Wookiech jak pocisk z katapulty. Leia odwróciła się do niego bokiem i uniosła wysoko kość szczękową, żeby Ewok nie mógł jej dosięgnąć. Zobaczyła jeszcze, że Tarfang wydyma wargi, i uświadomiła sobie, co on zamierza zrobić!

Próbowała się uchylić, ale było za późno - w jej twarz trafiła porcja krwi, śliny i połamanych zębów. Księżniczka na chwilę przestała cokolwiek widzieć, a wtedy Ewok skoczył na nią, uderzył ją głową w skroń i zacisnął na jej gardle drobne dłonie. Wisząc tak, objął żebra Leii chudymi kolanami.

Leia usłyszała, jak Han krzyczy:

- Hej! Tylko bez pazurów!

Zaraz potem się przewróciła. W ostatniej chwili odepchnęła kość na bok, żeby na nią nie упаć. Tarfang od razu zmienił taktykę. Puścił jej szyję i zaczął walić głową Leii o skałę.

Leia zobaczyła gwiazdy przed oczami. Kiedy poczuła, że Ewok unosi jej głowę do następnego uderzenia, zrozumiała, że Tarfang zamierza zrobić coś więcej, niż tylko odebrać jej Mówiącą Kość. Wbiła mu łokieć w żołądek i posłużyła się Mocą, żeby nadać ciosowi większą siłę. Ewok wyrwał z jej głowy kilka włosów, ale odtoczył się na bok.

Ku swojemu zdumieniu, nie usłyszała jednak ani ryku aprobaty, ani sprzeciwu. Nikt

także się nie oburzył, że posłużyła się Mocą. Nie odezwał się nawet Han. Wszyscy członkowie Naskalnej Rady nagle umilkli, a w Mocy dało się wyczuć ich zaskoczenie i ciekawość. Leia zerwała się. Spodziejając się, że szalony przeciwnik znów rzuci się na nią z kłami i pazurami, odwróciła się w jego stronę i zauważyła, że Mówiąca Kość leży spokojnie na skale między nimi. Tarfang gapił się w tłum, oszołomiony i zdezorientowany nie mniej niż Leia.

Zerkając jednym okiem na Ewoka, Leia objęła świadomością Mocy całą Skalę Zgromadzeń Rady... i od razu uświadomiła sobie powód, dla którego wszyscy nagle umilkli.

- Luke? - zapytała zaskoczona. - Co ty tu robisz?

- To samo, co ty. - Głos brata dobiegał z dość daleka. - Przyszedłem wygłosić mowę do Naskalnej Rady.

W tłumie Wookiech otworzyło się wąskie przejście dla Luke'a. Kilka sekund później Leia zobaczyła brata pierwszy raz od pogrzebu Mary. Luke miał oczy nabiegłe krwią i podkrążone z wyczerpania, a jego cera przybrała kolor durastali. Mimo to promieniowała od niego stanowczość, kiedy tak szedł szybko i pewnie w stronę Skąły Zgromadzeń Rady. Za nim podążała Saba Sebatyne, a dalej inni mistrzowie Rady Jedi.

Leia uklękła na skraju podwyższenia i wyciągnęła rękę do brata. Luke chwycił ją, żeby się podciągnąć.

- Luke, jak się trzymasz? - zapytała cicho.

Mistrz Jedi uśmiechnął się i ścisnął ją lekko za ramię.

- Bywało lepiej - przyznał równie cicho. Wskazał leżącą na skale kość szczękową tyrossuma. - Można? - zapytał.

Leia pokiwała głową.

- Proszę bardzo - powiedziała.

Luke popatrzył na Tarfanga.

- Co ty na to? - zagadnął.

Ewok chwycił kość i pociągnął ją po skale. Zmierzył Leię gniewnym spojrzeniem, ale puścił kość u stóp mistrza Jedi i wyskrzeczwał coś, co brzmiało mniej więcej jak: „Teraz ty się nią zajmij”.

- Dziękuję.

Luke podniósł Mówiącą Kość i uprzejmie zaczekał, aż siostra i Tarfang ustąpią mu miejsca na podwyższeniu. Leia skinęła głową na Hana, a sama zeskoczyła ze skalnej platformy, lądując obok Saby.

- Mistrzynie Seb... - zaczęła i poczuła, że zaschło jej nagle w gardle. Przełknęła ślinę i

dokończyła: - Mistrzynie Sebatyne, jak miło, że cię znów widzę.

Barabelka pokręciła głową.

- Miło będzie wyruszyć znów razem na polowanie - oznajmiła. - Ale to nie jest dobry dzień dla nikogo, Jedi Solo... zwłaszcza dla ciebie.

Zanim księżniczka zdążyła zapytać, co Saba chciała przez to powiedzieć, Luke zwrócił się do członków Naskalnej Rady. W jego głosie były smutek i zmęczenie.

- Członkowie Naskalnej Rady z pewnością już wiedzą o zamordowaniu Cala Omasa - zaczął. - I o udziale mojego syna w tym zabójstwie.

Od strony zebranych członków rady napłynął szmer twierdzących pomruków, a Leię ogarnęło straszliwe przeczucie tego, co się zaraz wydarzy.

- Prawdopodobnie jednak nie wiecie, że to zabójstwo zaaranżował Jacen Solo. - Zaskoczeni członkowie Naskalnej Rady powitali tę informację całkowitym milczeniem. - W związku z tym Rada Jedi postanowiła, że od tej pory będzie przeciwdziałać dalszemu kierowaniu Galaktycznym Sojuszem przez Jacena - ciągnął Luke. - Przylecieliśmy na Kashyyyka poprosić Wookiech, żeby się do nas przyłączyli.

ROZDZIAŁ 13

Ben zastał kuzyna na mostku „Anakina Solo”. Błady, mizerny Jacen był ubrany w czarny kombinezon i wyglądał, jakby go otaczała aureola rozbłysków turbolaserowych strzałów. Patrzył przez iluminator Taktycznej Sali, starając się coś zrozumieć z piekła, które sam rozpętał. Ben pomyślał, że w końcu ma przed sobą prawdziwego Jacena. Kuzyn wyglądał jak plama na galaktyce albo jak cień rzucający się na odległe gwiazdy. Chłopiec wypchnął jednak tę myśl z głowy, jak tylko się pojawiła. Jeżeli chciał się dostać na tyle blisko Jacena, żeby go zabić, musiał zachować czystość myśli, a nawet udawać, że wierzy w jego mroczne marzenie. Jacen od razu by go przejrzał... przynajmniej w tej sprawie Omas się nie mylił.

Pośrodku Taktycznej Sali holowyświetlacz przedstawiał sytuację na polu bitwy. Wokół urządzenia krzątało się kilkunastu analityków i kiedy Ben wszedł, niektórzy spojrzeli na niego. W ich oczach widać było współczucie, a niekiedy dezaprobatę, ale nikt nie był zdziwiony i nikt go nie powitał skinieniem głowy. Nawet doradca administracyjny Jacena, bezczelny Jenet, Orlopp zupełnie Bena zignorował, cały czas stukając w klawiaturę

komputerowego notesu.

Najwyraźniej Jacen postanowił upokorzyć Bena, zanim go znów przyjmie do siebie. To był dobry znak. Gdyby starszy kuzyn zamierzał mu wyrządzić krzywdę, zrobiłby raczej wszystko, żeby Ben stracił czujność. Mimo to chłopiec poczuł się urażony i tylko wspomnienie ostatniego szczęśliwego popołudnia w towarzystwie matki dało mu dość sił, żeby wzbudzić w sobie skruchę i zakłopotanie, jakie były mu potrzebne, aby wywieść Jacena w pole.

Cały czas wzmacniał w sobie te uczucia, kiedy nagle poczuł w głowie ukłucie czyjegoś ostrożnego sondowania. W pierwszej chwili nie zorientował się, kto go chce wy badać, bo taktycy cały czas usiłowali go ignorować, a starszy kuzyn nadal obserwował pole bitwy za iluminatorem. Dopiero po paru minutach Ben poczuł w Mocy słabe wezwanie i zrozumiał, że to Jacen bada go zmysłem innym niż wzrok.

- Muszę powiedzieć, że wy, Skywalkerowie, nie przestajecie mnie zadziwiać. - Jacen odwrócił lekko głowę, żeby móc widzieć odbicie Bena w tafli iluminatora. - Leciałeś do mnie taki kawał drogi, tylko po to, żeby się puszyć przede mną? A może chcesz się stąd wymknąć z zapasami bacty całej floty?

- Przykro mi z powodu taty. - Ben ruszył w stronę Jacena, obchodząc szerokim łukiem holowyswielacz, żeby nie przeszkadzać technikom w pełnieniu obowiązków. Jacen cały czas był zwrócony do niego plecami, ale chłopiec na razie nie zamierzał go zabijać. Musiał cierpliwie poczekać, aż kuzyn znów go obdarzy zaufaniem. Dopiero wtedy będzie mógł zadać śmiertelny cios.

- Nie myślałem, że będzie cię obwiniął o śmierć Omasa.

- W tym cały problem. Nie myślałeś... bo ty w ogóle nie myślisz. - Jacen w końcu się odwrócił do młodszego kuzyna.

- Zabiłeś byłego przywódcę Galaktycznego Sojuszu, chociaż pod względem formalnym cały czas nim pozostawał. Senat nawet nie rozpoczął oficjalnego śledztwa.

Ben wzruszył ramionami.

- Zabił mamę - powiedział, zmuszając się, żeby samemu uwierzyć w to kłamstwo. - Stanę przed trybunałem, jeżeli tego chcesz.

Jacen pokręcił głową.

- Nie może być mowy o żadnym trybunale - zdecydował.

- Wyglądałoby to, jakbyś działał z upoważnienia SGS.

Ben doskonale wiedział, że oburzenie kuzyna jest tylko na pokaz. Zrobił dokładnie to, czego Jacen się po nim spodziewał... chociaż o wiele mniej zręcznie. Jego starszy kuzyn

mógłby się gniewać najwyżej o to, że Ben spartaczył robotę. Mimo to usiłował uwierzyć w słowa Jacena, żeby od jego aury w Mocy promieniowała skrucha, tak jak powinna.

- Opinia publiczna ma uwierzyć, że próbowałeś go ocalić - ciągnął Solo. - Dokładnie, jak to podają holowiadomości. Zrozumiałeś?

Ben pokiwał głową.

- Tak jest, panie pułkowniku - powiedział. - Jeżeli właśnie na tym panu zależy.

- Zależy mi na tym, żeby cię zamknąć w więziennej celi i zaspawać drzwi - warknął kuzyn. - To jednak nie byłoby najlepsze dla Sojuszu, więc możesz się uważać za szczęściarza.

- Obrzucił spojrzeniem czarny mundur SGS, który Ben postanowił włożyć na tę okazję. - A teraz mi powiedz, dlaczego ryzykowałeś życie, przelatując przez sam środek pola bitwy... i dlaczego paradujesz w tym mundurze.

- Zgłaszam się na służbę - odparł spokojnie chłopak.

- Po tych wszystkich oskarżeniach? - Jacen uniósł brwi w starannie udawanym niedowierzaniu. Stało się oczywiste, że przyjął Bena w Taktycznej Sali nie tylko dlatego, że chciał mieć satysfakcję z publicznego upokorzenia młodszego kuzyna. Chodziło mu także o świadków, którzy mieli usłyszeć z ust samego Skywalkera, że to nie Jacen zabił Marę. - Czy to znaczy, że już mnie nie uważasz za winnego śmierci twojej matki?

- Pamiętaj, że za to zabiłem Omasa - odparł chłopak. Mógłby zataić przed Jacenem, że w rzeczywistości nadal uważa go za winnego, ale się przemógł, jakby jego słowa rzeczywiście mogły uwolnić Jacena od winy. - Oto odpowiedź na twoje pytanie.

Jacen był przekonany, że wciąż potrafi nim manipulować, więc bez zastanowienia przyjął jego wyznanie.

- Masz rację - powiedział. - Żałuję tylko, że twoje słowa nie zmienią tego, co się już stało.

Kiwnął na Bena, żeby podążył za nim, i poprowadził go do gabinetu dowódcy na tyłach sali. W kabinie stało wprawdzie biurko, niewielki konferencyjny stół i kilka krzeseł, ale Jacen je zignorował. Zamknął drzwi i zaciemnił przezroczystą transpasteralową ścianę, żeby mieć więcej prywatności. Odwrócił się błyskawicznie do Bena, a chłopiec zaczął się obawiać, że starszy kuzyn zna prawdziwy powód jego chęci powrotu do służby.

- Z kim jeszcze podzieliłeś się swoimi podejrzeniami? - zapytał ostro Solo. - Z ojcem?

Ben pokręcił głową.

- Nie rozmawiałem o tym z nikim - powiedział.

- Kłamiesz. - Jacen podszedł do niego. - Więc dlaczego Luke zdezerterował?

- Niczego mu nie powiedziałem. - Ben uświadomił sobie, że się cofa, więc przestał.

Nic by nie zyskał, gdyby dał się zapędzić w kąć kabiny. - Nie miałem dowodu, a przecież nikt nie uwierzyłby mi na słowo.

- Chciał mi wyrządzić krzywdę, Benie. - Jacen w końcu znalazł się tak blisko, że Ben poczuł ciepło jego oddechu. - Chciał wyrządzić krzywdę Sojuszowi. Dlaczego to zrobił, jeżeli go nie przekonałeś, że to ja zabiłem twoją matkę?

- Ja... n-nie wiem. - Co prawda ojciec wyjaśnił mu, korzystając z bezpiecznego kanału komunikatora, że zabójstwo Omasa było tylko ostatnim skandalem z całej serii i że to właśnie z tego powodu mistrz Jedi eksplodował niczym nova. Jednak widząc gniewne błyski w oczach Jacena, Ben nie odważył się rzucić mu w twarz, że sam jest sobie winien. - Na pewno nie dlatego, że coś mu powiedziałem. To prawda.

Jacen stał teraz tuż przy nim, aż stykały się czubki ich butów, świdrując Bena spojrzeniem. Jego aura w Mocy aż skwierczała od gniewu.

- Posłuchaj - odezwał się Ben, przysuwając dłoń do rękojeści świetlnego miecza. - Gdybym powiedział tacie, że moim zdaniem to ty zabiłeś mamę, skutek byłby dużo gorszy niż dezercja. W tej chwili jeden z was byłby trupem.

Po tych słowach Jacen jakby oprzytomniał. Popatrzył w dół na rękę Bena tuż obok rękojeści miecza, a w jego oczach pojawił się błysk zaskoczenia. Cofnął się.

- Może masz rację - powiedział z lekkim uśmiechem. - Ale to jeszcze nie oznacza, że powinienem cię znów przyjąć do służby. Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

Ben pokiwał głową. Właśnie tego się spodziewał.

- Wygląda na to, że w obecnych czasach zaufanie to towar deficytowy - zauważył. - W takim razie, co zamierzasz? Przecież mnie potrzebujesz.

Jacen uniósł brew, ale nie odpowiedział.

- Teraz, kiedy tata i Jedi cię opuścili, przydam się do poprawy twojego wizerunku - podjął Ben. - A poza tym jestem całkiem niezłym zabójcą.

- Bardzo kiepskim. - Jacen odwrócił się plecami do Bena i ciężko westchnął. - Powiedz mi, Benie... co mam zrobić w sprawie twojego ojca?

- Chodzi o to, że cię opuścił? - Ben miałby wielką ochotę wbić szpic klingi świetlnego miecza między łopatki Jacena, ale ta prowokacja wydawała mu się sztyta zbyt grubymi nićmi. Opuścił więc rękę i zapytał: - A co zamierzasz zrobić?

Jacen mlasnęła językiem, wpatrzony w nieprzezroczystą taflę.

- Szybko zapominasz, Benie - powiedział. - Czy opanowanie Akademii i wzięcie wszystkich uczniów za zakładników nie było jedną z tych... hm, rzeczy, które cię przekonały o mojej winie?

Ben poczuł tak silny skurcz serca, że o mało nie ugięły się pod nim kolana. Do tej pory nie wyobrażał sobie, żeby Jacen mógł naprawdę skrzywdzić uczniów... ale też kilka tygodni wcześniej nie wyobrażał sobie, żeby Jacen mógł skumać się z Lumiya albo zabić jego matkę. Postarał się zamaskować niepokój, przypominając sobie swoją reakcję na głos Lumiya dobiegający z gabinetu Jacena w budynku SGS, po czym tą samą dezorientacją osłonił swój umysł jak opończę.

- Chyba rzeczywiście o tym zapomniałem... - odezwał się po namyśle. - Moim zdaniem, uczniowie nie zastąpią ci jednak taty ani pozostałych Jedi. Większość z tych dzieci nie skonstruowała nawet swojego pierwszego miecza.

Jacen odwrócił się do niego.

- Nie chodziło mi o zastąpienie - powiedział.

- Nie? - Ben udał, że nie zrozumiał znaczenia słów starszego kuzyna, i dopiero po chwili przywołał na twarz wyraz zaskoczenia. - A o co?

- Jak ty to sobie wyobrażałeś? - zadrwił Solo, świdrując go spojrzeniem. - Czy twój ojciec dba o swoich uczniów tak bardzo, żeby wrócić dla nich do służby?

Ben wiedział, że Jacen poddaje go próbie... po to, żeby się przekonać, czy chłopak dochowuje lojalności Jedi, czy jemu. Błysk, jaki zobaczył w oczach Jacena, uświadomił mu, że kuzyn może spełnić swoją groźbę. Ben nie mógłby znieść myśli, że ma na rękach krew najmłodszych Jedi. Gdyby pozwolił Jacenowi ich zabić, choćby nawet pod pretekstem pomszczenia śmierci matki, już nigdy nie zdołałby powrócić na stronę światłości... i może właśnie to szykował mu Jacen. Poczuł ból głowy.

- No cóż... - zaczął ostrożnie. - Kłopot z tymi uczniami polega na tym, że nikt nie uwierzy, iż byłbyś zdolny do ich skrzywdzenia. Musiałbyś kilku zabić, aby udowodnić, że mówisz poważnie.

Jacen pokiwał głową.

- Mów dalej - rozkazał.

- Ale jeżeli się na to zdecydujesz, Jedi od razu zaczną na ciebie polować - dokończył Ben. - Kiedy opanowałeś Akademię, rzekomo żeby ją chronić, mistrzowie twierdzili, że powinno się ciebie aresztować.

- Naprawdę? - W głosie Jacena brzmiało zainteresowanie, ale i rozczarowanie. Ben zaczynał podejrzewać, że nie przeszedł pomyślnie próby, której go poddał starszy kuzyn. - A powinni być mi wdzięczni, nie uważasz?

- Mistrzowie nie są idiotami, Jacenie - stwierdził chłopak. - Przejrzeli twój wybieg, a teraz nie masz wyboru. Jeżeli spełnisz swoją groźbę, zyskasz sobie następnych wrogów.

Jeżeli jednak tego nie zrobisz, okaże się, że marnujesz środki SGS, chroniąc Akademię, podczas gdy Jedi pozostają na wolności i sprawiają ci kłopoty.

- Ciekawe spostrzeżenie. - Tym razem w głosie Jacena zabrzmiała gorycz. - Prawdopodobnie za chwilę mi powiesz, że powinienem się stamtąd szybko wycofać.

- Tak, bo w takim wypadku Jedi będą musieli się sami zająć ochroną Akademii. - Ben zauważył w oczach Jacena bezlitosny błysk i uświadomił sobie, że w ten sposób nie odzyska jego zaufania... wręcz przeciwnie. - Na twoim miejscu trzymałbym się jednak mojego pierwotnego planu.

Jacen zerknął na niego podejrzliwie.

- To znaczy jakiego? - zapytał.

Ben przewrócił oczami.

- Daj spokój - powiedział. - Zawsze mi mówisz, żebym przewidywał na dziesięć kroków naprzód, a w tej chwili to oznacza odgadnięcie, skąd Sojusz weźmie innych Jedi po zakończeniu tej wojny. Moim zdaniem, Akademia kryje w sobie mnóstwo potencjału, który tylko czeka, aż go ukształtujesz na swój sposób.

Jacen się uśmiechnął.

- Czyli jednak zwracałeś uwagę na to, co się dzieje - stwierdził cierpko.

- Czasami - odparł Ben. - Dezercja taty pokrzyżuje jednak twoje plany, prawda?

- Na dalszą metę tak - przyznał Solo. - Na razie jednak twój ojciec robi to, co sugerujesz... pozwala mi na ochronę Akademii, a sam przysparza mi kłopotów.

- A więc lepiej się pospieszmy - stwierdził Ben, wyczuwając okazję do zademonstrowania swojej lojalności. - Jeżeli chcesz, mogę się tym zająć.

Jacen zerknął na chronometr.

- My, Benie? - zapytał.

- Jeżeli znów przyjmiesz mnie do służby - odparł chłopak. - Przykro mi z powodu tego, co się stało, ale wszystko było takie poplątane...

- To żadne usprawiedliwienie, Benie - uciął Solo. - Mój uczeń musi umieć panować nad emocjami. Nie może być ich niewolnikiem.

- Wiem. - Ben uznał, że radzi sobie całkiem dobrze. Zmuszał się, żeby udawać skruchę, chociaż wolałby rzucić kuzynowi pod nogi termiczny detonator. - Sam mnie tego uczyłeś.

- Cieszę się, że pamiętasz - burknął Jacen. - Nie zamierzam cię jednak wysłać do Akademii, żebyś zabił oboje Solusarów i Jainę... jeżeli właśnie to miałeś na myśli, mówiąc o pośpiechu.

Ben posłał mu urażone spojrzenie.

- Nie sądzisz, że gdybyś mnie tam wysłał, mój ojciec by się jeszcze raz zastanowił? - zapytał.

- Może i tak... ale jeżeli nie dałeś sobie rady ze starcem takim jak Omas, jak chcesz wyeliminować dwoje mistrzów Jedi i Jainę? - Jacen pokręcił głową z powątpiewaniem, rzucił okiem na wyświetlacz chronometru i ruszył w stronę drzwi. - Muszę zdążyć na posiedzenie sztabu - powiedział.

- A co ze mną? - zapytał chłopiec. Cały czas wyczuwał w aurze Jacena nieufność i rozczarowanie. - Czy znajdzie się tu dla mnie jakieś miejsce?

Jacen bez wahania wyciągnął rękę do kontrolnego panelu na ścianie obok drzwi.

- Naprawdę nie wiem, Benie - powiedział. - Nie widzę powodu, żeby cię znów przyjąć.

Ben poczuł w sercu pustkę i chłód. Nie dlatego, że Jacen mu odmówił, ale dlatego, że żądał od niego czegoś więcej... czegoś, co mógł mu dać tylko Ben.

- Cokolwiek postanowisz, musisz wiedzieć jedno - zaczął. Pomyślał, że teraz już nie ma znaczenia, kogo zdradzi, bo Jacen i tak nie będzie żył wystarczająco długo, aby skorzystać z tej informacji. - Tata powiedział mi, że mam się z nim spotkać na Kashyyyku.

Jacen opuścił rękę, zanim dotknął płytki na kontrolnym panelu.

- Na Kashyyyku? - powtórzył zaskoczony... ale nie aż tak, żeby się wydawało, że słyszy tę informację pierwszy raz. - Pewnie zamierza przyłączyć się do twojej ciotki i twojego wuja. Chce widocznie poprosić Wookiech, aby trzymali się od wojny jak najdalej.

Ben pokręcił głową.

- Jest na ciebie o wiele bardziej wściekły, niż ci się wydaje - powiedział. Poczuł się nagle jakiś... zbrukany, chyba nawet bardziej niż wówczas, kiedy zabił Gejjena. - Moim zdaniem, chce ich nakłonić, żeby pomogli mu w odsunięciu ciebie od władzy.

Tym razem Jacen zareagował tak, jak Ben się spodziewał: najpierw niedowierzaniem, potem wstrząsem i w końcu niepohamowanym gniewem.

- Chce, żeby Wookie zaatakowali Coruscant? - zapytał.

Ben wzruszył ramionami.

- Tego mi nie mówił... powiedział tylko, że najwyższy czas, aby ktoś inny przejął ster rządów w Galaktycznym Sojuszu.

- Ktoś inny? - Jacen walnął pięścią w ścianę z taką siłą, że znów stała się przezroczysta. Po drugiej stronie widać było techników krzątających się wokół holowyświetlacza w Taktycznej Sali. - Nikt inny się do tego nie nadaje, bo nikt inny nie

zgodzi się na konieczne poświęcenia.

- Ja się zgodzę - oznajmił Ben, wyczuwając, że w końcu zaczyna robić postępy. - Właśnie to mówię.

Jeżeli Jacen w ogóle usłyszał jego słowa, nie dał po sobie nic poznać. Wbił spojrzenie w taktyczny wyświetlacz za iluminatorem, a jego oczy straciły wszelki wyraz, jak wówczas, kiedy wpatrywał się w Moc. Po chwili otworzył drzwi i ruszył w stronę holowyświetlacza. Po drodze odtrącił na bok durosjańskiego pomocnika i kalamariańskiego kapitana.

Ben, idąc za nim, słyszał, jak starszy kuzyn mamrocze do siebie. Mówił coś, że Konfederacja musi mieć więcej członków i że podobnie jak Sojusz, nie może sobie pozwolić na ponoszenie tak ciężkich strat. Z tego, co Ben wiedział, wynikało, że to żadna nowina. Bitwa o Kuata toczyła się od ponad tygodnia, a obie strony traciły codziennie kilka okrętów liniowych, co oznaczało śmierć dziesiątków tysięcy członków załóg. Na holowyświetlaczu widniało więcej jednostek uszkodzonych niż zdolnych do dalszej walki, a symbole sygnałów namiarowych nadajników kapsuł ratunkowych płonęły tak blisko jeden drugiego, że wyglądały jak elektroniczny śnieg.

Jacen odwrócił się do doradcy, Orloppa.

- Chcę znać najnowszy raport o gotowości floty Wookiech - powiedział.

- Zgodnie z pańskim rozkazem śledzę sytuację. - Orlopp szarpnął bokobrody po obu stronach nosa. - Odkąd oboje Solo wymknęli się z więzienia Wookiech, wywiad wojskowy nie miał od naszych agentów żadnych informacji, ale z ostatnich meldunków wynika, że Wookie właśnie zaczęli aktywować rdzenie reaktorów. Obawiam się jednak, że nie zobaczymy szybko ich floty.

- To może się jeszcze obrócić na naszą korzyść - doszedł do wniosku Solo. - Przygotuj rozkazy wysyłające Piątą Flotę na Kashyyyka. Proszę też uprzedzić admirała Atoko, że wkrótce dołączy tam do niego „Anakin Solo”... a także nawiązać łączność z admirałem Bwua'tu. Muszę omówić z nim szczegóły zmiany strategii.

- Zamierzasz tam lecieć po tatę i po Jedi? - Ben omal się nie zachłysnął.

- Obaj polecimy na Kashyyyka, żeby rozpocząć polowanie na bandę dezertersów i zdrajców. - Jacen gestem przywołał Bena do siebie. - Przyjmuję cię znów do służby, poruczniku Skywalker - powiedział. - Pomożesz mi dać nauczkę im wszystkim.

ROZDZIAŁ 14

Przygotuj się. Jaina nie rozpoznała głosu ani nawet nie zrozumiała dobrze słów, ale uświadomiła sobie, że wiadomość pochodzi od Bena. Jej kuzyn wyraźnie bał się o nią i o wszystkich pozostałych Jedi, jakby się czuł odpowiedzialny za... właśnie, za co? I nagle Jaina przeniosła się we śnie na pokład „Sokoła”, ukochanego statku rodziców. Znajdowała się w przestworzach Hapes, a ciosy turbolaserowych strzałów miały starą łajbą jak nkloniańska kamienna nawałnica. Przez szczeliny w centralnym korytarzu, umożliwiającym dostęp do rdzenia, uciekała ze świstem atmosfera, a Zekk leżał ranny na płytach pokładu. Obok Zekka stał Ben z pomrukiem mieczem świetlnym w dłoni. Na jego twarzy malowała się groza. Oszołomione dzieci przesycali Moc przerażeniem. Jej ojciec mówił, żeby zabrała dzieci i... jakie dzieci?

Kiedy Ben ranił Zekka, „Sokołem” nie leciały żadne dzieci. Jaina słyszała jednak, że coś szepczą tuż za ścianą sypialni. Były zdezorientowane, przerażone i oburzone. Wyczuwała w Mocy, że uwalniają myśli i wysyłają je do niej, szukając rad i wskazówek. A potem przeniosła się we śnie do miejsca, w którym wszyscy byli dziećmi... z powrotem do sypialni na Yavinie Cztery, gdzie ona, Jacen i Zekk uczyli się w Akademii Jedi wujka Luke'a.

Wszyscy się przygotujcie.

Ben nadal mówił bez głosu, ale Jaina wiedziała, że to on, co było tym bardziej dziwne, że wówczas jeszcze nawet się nie urodził. Luke i Mara mieli dopiero się pobrać za... a teraz Mara nie żyła. Jaina poczuła się, jakby oblał ją strumień lodowatej wody.

To jej uświadomiło, że znalazła się we śnie w niewłaściwej Akademii. Bo przecież w rzeczywistości spała w sypialni w Akademii Jedi na Ossusie. Jej brat wysłał batalion Czarnych Butów, rzekomo żeby zapewnić uczniom bezpieczeństwo - chociaż naprawdę chodziło mu o to, żeby mieć zakładników - a ona, Jag i Zekk musieli zrezygnować z polowania na Alemę Rar i zostać na Ossusie, aby zaopiekować się uczniami.

Od ponad dwóch tygodni Jaina mieszkała z grupką najmłodszych dzieci. Zastępowała im rodziców, a Jag pomagał nadzorować nastolatków. Zekk cały czas ukrywał się w pobliskim lesie, niczym śmiertcionośna tajna broń, gotowa do użycia, gdyby naprawdę trzeba było bronić najmłodszych Jedi przed zakusami żołnierzy Jacena. Na razie łatwo było uwierzyć, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. Dowódca batalionu SGS, major Serpa, był

wprawdzie niezrównoważony, ale umiarkowanie. Dopóki w Akademii panował spokój, pozwalał Jainie i innym dorosłym opiekować się uczniami, a sam starał się zapewnić bezpieczeństwo całej planecie. Solusarowie wznowili nawet zajęcia.

Tego dnia było jednak o wiele za wcześnie na początek porannych zajęć. A poza tym najmłodszy podopieczny Jainy na ogół nie próbowali się na nie wymykać potajemnie i tak cicho, żeby jej nie obudzić. Wręcz przeciwnie, to ona musiała ich wyciągać z łóżek. Musiała błagać, grozić i zachęcać, dopóki cała dwudziestka dzieci, którymi się opiekowała, nie zgromadziła się w refektarzu na śniadaniu.

A więc dlaczego dzieci przebywały teraz na korytarzu? Dlaczego szeptały i usiłowały się prześlizgnąć obok drzwi sypialni tak cicho, żeby jej nie obudzić?

Jaina już nie spała, ale stwierdziła, że cały czas ma zamknięte oczy. Usiadła, ale przekonała się, że jej ciało nadal leży na łóżku. Usiłowała stanąć na posadzce albo choćby tylko unieść nogę, ale jej ciało pozostało pogrążone we śnie, a świadomość i myśli zaczęła znów ogarniać senna mgiełka.

Gaz usypiający?

W umyśle Jainy pojawił się obraz wysokiego, szczupłego mężczyzny o zapadniętych oczach i nosie cienkim jak brzytwa. Dopiero teraz zrozumiała, co Ben stara się jej przekazać. Nawet niezrównoważony major Serpa musiałby mieć powód, żeby potraktować ją gazem, a to oznaczało, że taki rozkaz musiał mu wydać Jacen. Na pewno kazał mu zrobić coś złego, w czym Jaina mogła mu przeszkodzić.

Młoda kobieta uchwyciła się tej myśli ze wszystkich sił, żeby nie wpaść znów w objęcia snu. Za wszelką cenę chciała oprzytomnieć. Jacen zamierzał wyrządzić krzywdę najmłodszemu Jedi, a ona musi pokonać działanie gazu i powstrzymać Serpę.

Zaczęła od powiększania swojej świadomości Mocy. W tym celu zakotwiczyła się w rzeczywistości sali nadzorczyńi budynku, w którym przebywała. Objęła świadomością najpierw biurko, później szafkę i łazienkę, a w końcu nieprzezroczysty iluminator i usytuowane naprzeciwko drzwi. Wyczuła, że za drzwiami klęczy roztrzęsiony mężczyzna, bardzo zajęty tym, co robi. Od jego obecności w Mocy promieniował niepokój i mroczne zamiary.

To właśnie on wpuszczał gaz usypiający do jej sypialni.

Jaina schwytała żołnierza Mocą i rzuciła w drugi koniec korytarza. Dwukrotnie grzmotnęła nim o ścianę, a potem przyciągnęła znów do drzwi sypialni. Wyczuła, że żołnierz traci przytomność i że ona pewnie zrobiłaby to samo, gdyby nie myśli najmłodszych Jedi, którzy bezgłośnie błagali ją, żeby się obudziła. Posługując się Mocą, odnalazła panel

kontrolny obok drzwi i przycisnęła płytkę. Usłyszała syk rozsuwanych skrzydeł i poczuła ożywczy prąd świeżego powietrza.

W milczeniu słuchała chrapliwych szeptów żołnierzy SGS, którzy przeklinali i grozili swoim małym więźniom. Dzieci były przerażone, ale starały się, jak mogły, utrudniać zadanie swoim oprawcom. Hałaśliwie szurały stopami po posadzce i zmuszały żołnierzy do powtarzania bez końca tych samych wskazówek. Mimo to głosy dzieci szybko cichły, co dowodziło, że podwładni Serpy wyprowadzają je z budynku na chłodne powietrze ossańskiej nocy.

Jaina wypełniła płuca świeżym powietrzem jeszcze wiele razy, zanim w jej głowie zaczęło się przejaśniać. Otworzyła oczy i stwierdziła, że przez otwarte drzwi sączy się z korytarza słaby blask. Stoczyła się z łóżka na posadzkę i zobaczyła żołnierza SGS, rozciągniętego na progu jej sypialni. Obok niego leżał niewielki pojemnik i cienki wąż do wpuszczania usypiającego gazu.

Podpełzła do żołnierza, z każdą chwilą coraz bardziej rozbudzona i przytomna, bo wysiłek wspomagał krążenie krwi w żyłach i usuwał toksyny z mózgu. Odczuwała nudności i pulsujący ból głowy, ale kiedy dotarła do drzwi, była dość silna, żeby wstać. Wciągnęła żołnierza do sypialni i napuściła mu do płuc usypiającego gazu, po czym zabrała mu komunikator i wsunęła do swojej kieszeni. Zabrałaby mu także blaster, ale żołnierz nie był uzbrojony.

Po chwili z głębi korytarza napłynął stłumiony głos:

- Mam wszystkich, Delpho. Czas się stąd wynosić.

Jaina, zapinając klamrę pasa, burknęła w odpowiedzi męskim głosem coś w rodzaju potwierdzenia.

- Delpho?

Jaina cicho zaklęła, sięgnęła do wewnętrznej kieszeni i wyciągnęła jedyną broń, jaką dysponowała - łyżkę, którą w ciągu poprzednich kilku dni pracowicie ostrzyła, żeby mogła jej służyć za nóż.

- Delpho? - Tym razem głos mówiącej osoby brzmiał głośniejszy, jakby żołnierz wchodził do korytarza. - Melduj!

Jaina wyszła na korytarz, przykucnęła i rzuciła nóż w drugi koniec. Z ciemności wystrzeliły ku niej trzy blasterowe błyskawice, ale odbiły się nad jej głową od framugi drzwi. Jaina posłużyła się Mocą, żeby popchnąć nóż w kierunku źródła dźwięków, i usłyszała, że żołnierz SGS wali się z jękiem na posadzkę.

Odczekała sekundę, ale nie zobaczyła błysków następnych strzałów, więc zabrała z

sypialni buty i podreptała w głąb korytarza. Budynki mieszkalne Akademii na Ossusie były niskie, parterowe i miały po dwadzieścia pięć indywidualnych sypialni. Jaina usłyszała, że ranny mężczyzna jęczy i tarza się po posadzce. Drzwi wszystkich mijanych sypialni były otwarte, ale Jaina nie wyczuła, żeby gdzieś tam ukrywało się jakieś dziecko. W kilku były włączone źródła światła. W ich blasku Jaina zobaczyła przewrócone łóżka i rozsypaną po posadzce zawartość szafek. W jednej sypialni zauważyła na przeciwległej ścianie czerwony ślad.

Kiedy dotarła do drzwi wyjściowych, mogła być pewna, że w budynku nie pozostało ani jedno dziecko. Wyczuwała w Mocy tylko siebie i dwóch żołnierzy SGS, których wcześniej obezwładniła. Uklękła obok tego, którego zraniła prowizorycznym nożem, ale od razu zrozumiała, że nie usłyszy od niego żadnej odpowiedzi. Nóż trafił go prosto w gardło i mężczyzna niebawem miał udławić się własną krwią. Wyjęła z saszetki u pasa medyczny pakiet i wyciągnęła strzykawkę.

- Ciche pożegnanie to i tak więcej niż to, na co zasługujesz - powiedziała. - Na szczęście wujek Luke zawsze mi powtarzał, abym nie chowała urazy.

Mężczyzna zrozumiał znaczenie jej słów i otworzył szerzej oczy. Chwytał ją za rękę i błagał wzrokiem, by go oszczędziła.

- Przykro mi. - Jaina przyłożyła wylot strzykawki do jego ramienia i wstrzyknęła porcję środka uśmierzającego ból. - Muszę zatroszczyć się o dzieci.

Włożyła buty i zmiażdżyła obcasem jego komunikator. Wsunęła za pas blasterowy pistolet oraz zapasowe ogniwa energetyczne i podeszła do iluminatora. Młodzi Jedi, począwszy od pięcioletnich Woodoo, którymi się opiekowała, a skończywszy na powierzonych opiece Jaga piętnastoletnich Wampach, szli pod eskortą w kierunku centralnego pawilonu gimnastycznego. W jaskrawym blasku reflektorów czekał na nich major Serpa w otoczeniu grupy osobistych ochroniarzy.

Jaina nie zobaczyła Tionny ani Kama Solusarów, którzy pełnili obowiązki rodziców dzieci z innych sypialni, ale wyczuła w Mocy ich gniew i niepokój. Domyśliła się, że prawdopodobnie oboje, tak jak ona, klęczą w tej chwili przy oknach i obserwują wszystko, co się dzieje na dziedzińcu. Wyczuła też, że Jag się do niej zbliża, a Zekk przedziera się przez gąszcz dżungli gdzieś blisko Akademii.

Kiedy na dziedzińcu pojawiły się oddziały żołnierzy SGS z grupami uczniów Akademii, Serpa zaczął ich metodycznie ustawiać. Wkrótce stało się jasne, że usiłuje utworzyć z nich krąg wokół pawilonu w taki sposób, żeby grupy starszych dzieci stały na przemian z młodszymi rozdzielone rzędami strażników.

W końcu wszyscy stanęli na wskazanych miejscach. Major wrócił do pawilonu i przyjrzał się uważnie zebranym dzieciom. Po dwóch minutach wyszedł i rozkazał trzem grupom, żeby zamieniły się miejscami. Z jednej strony piętnastoletnich Wampów miały stanąć liczące od dziesięciu do dwunastu lat Banthy, a z drugiej trzynasto- i czternastoletnie Veermoki.

Jaina obserwowała niecierpliwie dziedziniec. Nie chciała wyciągać z poczynań majora pochopnych wniosków, ale skoro facet był niezrównoważony... Jaina upewniała się o tym coraz bardziej od tamtego pierwszego spotkania w bunkrze kontroli ruchu powietrznego. W rozmowach z Solusarami zastanawiała się, czy Jacen powierzył Serpie dowództwo nad Akademią, żeby dokuczyć Jedi, czy też może chciał mieć posłusznego oprawcę, kiedy wyda rozkaz skrzywdzenia najmłodszych Jedi. Znając Jacena, podejrzewała, że jej bratu chodziło o jedno i o drugie.

Major wrócił do pawilonu i znów przyjrzał się uczniom Jedi. W końcu aprobująco pokiwał głową.

- O wiele lepiej - odezwał się głośno, żeby usłyszeli go wszyscy, którzy mogli się jeszcze kryć w budynkach. - Dopiero teraz mogę skoncentrować się na miejscu, od którego chciałbym zacząć.

Moc falowała od gniewu i niepokoju, ale Jaina i pozostali opiekunowie byli zbyt zdyscyplinowani, żeby wyjść z kryjówek, dopóki nie zrozumieją, co Jacen chce osiągnąć przez takie rozkazy. Major wskazał na stojącą przed szeregiem Wampów smukłą uczennicę rasy Codru Ji, a później na przerażonego chłopca w drugim rzędzie grupy Woodoo.

- Ona i on - powiedział.

Z pawilonu wyszli dwaj żołnierze. Każdy stanął obok wskazanego dziecka i chwycił je za ramię. Serpa przeniósł spojrzenie na grupę Banthów i Veermoków. Z pierwszej grupy wyznaczył dziewczynkę, a z drugiej małego Rodianina. W końcu wybrał po jednym dziecku z każdej grupy.

Kiedy skończył, rozkazał żołnierzom zaprowadzić każde dziecko do pawilonu. Potem dał znak, żeby żołnierze ustawili dzieci kręgiem wokół niego - istoty płci męskiej na przemian z istotami płci żeńskiej, istoty ludzkie na przemian z istotami innych ras oraz dzieci wysokie na przemian z niskimi.

Kiedy skończył dziwny rytuał, na dziedziniec wybiegła Tionna Solusar. Wyglądała na wściekłą, a długie siwe włosy powiewały za jej głową.

- Mam nadzieję, że istnieje dobry powód wszystkiego, co pan tu wyprawia, majorze - powiedziała, wbiegając do pawilonu. Chyba zależało jej głównie na tym, aby upewnić dzieci,

że panuje nad sytuacją. Nie mogła liczyć na to, że usłyszy jakiegokolwiek rozsądne wyjaśnienie.

- Chcę także wiedzieć, dlaczego wysłał pan na pewną śmierć tego żołnierza, który usiłował mnie zagazować we śnie.

Serpa spojrział na nią ponad głowami niższych uczniów.

- Zabiłaś go? - zapytał, kręcąc głową z dezaprobatą. - Nie wydaje ci się, że to niesprawiedliwe? Mój podwładny chciał tylko usunąć cię z drogi.

Tionna przerwała krąg dzieci i stanęła tak blisko majora, jakby zamierzała go pocałować.

- Z jakiego powodu? - zapytała.

- Nie ma powodu do niepokoju - odparł Serpa. - Chyba że wy, Jedi, boicie się prawdy nie mniej niż udziału w bitwie.

Tionna przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi, udając dezorientację. Żołnierze SGS dołożyli wszelkich starań, żeby uniemożliwić Akademii łączność z resztą galaktyki, więc gdyby się przyznała, że wie o dezercji w przestworzach Kuata, musiałaby zdradzić, że dzięki Zekkowi Akademia ma cały czas kontakt z pozostałymi Jedi.

- Strach nie ma władzy nad Jedi - odparła po chwili Tionna. - Podobnie jak gniew, za co w tej chwili może pan być wdzięczny.

Tym razem Serpa uniósł brwi.

- Grozisz mi, Mistrzynie Solusar? - zapytał.

- Pragnę tylko pańskiego dobra - zapewniła Tionna. - Jeżeli pan natychmiast odeśle dzieci do łóżek, może wybaczymy panu niefortunny wybór czasu tej operacji.

Serpa przyglądał się jej dłuższy czas, po czym pokiwał głową... chyba dlatego, że sam doszedł do jakiegoś wniosku.

- To jednak była groźba - zdecydował, wodząc spojrzeniem po przerażonych dzieciach. - Mógłbym się nawet przestraszyć, gdybym nie wiedział, że Luke Skywalker i jego banda tchórzycy uciekli z pola Bitwy o Kuata.

Moc zaskwierczała od niedowierzania i wściekłości uczniów, którzy nic nie wiedzieli o dezercji Jedi, ale nawet najmłodszy Woodoo byli zbyt zdyscyplinowani, aby zdradzić się jakąkolwiek emocją.

- Proszę się zwracać do mnie - przypomniała Tionna i posłużyła się Mocą, żeby odwrócić głowę Serpy z powrotem w swoją stronę. - Obojętne, co się panu wydaje, ile pan wie o...

Urwała, bo Serpa odwrócił się do niej i wyszarpnął blaster. Mistrzynie Jedi wyciągnęła przed siebie rękę, żeby pchnięciem Mocy skierować lufę broni w bok, ale oficer był zbyt

szybki. Jaina zobaczyła błysk pojedynczego strzału, który trafił Tionnę w kolano. Mistrzynie Jedi uklękła, a w Mocy dały się wyczuć jej ból i zaskoczenie.

Nawet niesprowokowany atak na bezbronną żonę nie zmusił Kama Solusara do wyjścia z kryjówki. Mistrz Jedi pozostał w budynku, chociaż w Mocy dały się wyczuć jego gniew i oburzenie. Postąpił jednak zgodnie z zasadami, które on i pozostali dorośli wpajali dzieciom cały poprzedni tydzień: „Działajcie zawsze z pełną świadomością tego, co robicie. Nigdy przedwcześnie nie reagujcie, nie róbcie nic pochopnie”.

Jaina doszła jednak do wniosku, że zobaczyła już wystarczająco dużo... zwłaszcza kiedy jedno z małych Woodoo krzyknęło z przerażenia. Wycofała się od okna, odwróciła się... i o mało nie strzeliła do cienia, który wślizgnął się jak duch przez otwarte drzwi jej sypialni.

- Uważaj! - syknął Jag, unosząc ręce. - Nie uczono cię, że nie wolno kierować odbezpieczonej broni w stronę dowódcy?

- Uczono mnie wielu rzeczy - burknęła Jaina, opuszczając lufę ukradzionego blastera. - A dlaczego podkradasz się do mnie od tyłu?

- Jesteś Jedi - odparł Fel. - Jak ktokolwiek mógłby cię zaskoczyć?

- Niektórym się to udawało. - Jaina machnęła ręką w kierunku obu zabitych żołnierzy, których pozostawiła na korytarzu. - A w tej chwili moją uwagę zaprzęta to, co Serpa robi w pawilonie. Przed chwilą postrzelił Tionnę w kolano.

Jag pokiwał głową, jakby się właśnie tego spodziewał.

- Próbuje wywabić was z kryjówek - powiedział. - Na dachu twojego budynku sypialnego kryje się dwóch snajperów. Prawdopodobnie inni zajęli dogodne stanowiska gdzie indziej.

- Jak im się udało tam dostać? - zainteresowała się Jaina. - Co w tym czasie robili Vis'1 i Loli? - Vis'1 i Loli byli młodymi rycerzami Jedi, którzy stali na straży, kiedy Serpa podstępnie nakłonił operatorkę kontroli ruchu powietrznego do zgody na lądowanie jego batalionu na terenie Akademii. - Nie wyobrażam sobie, żeby nie zauważyli pary strzelców wyborowych.

- Łatwo kogoś przegapić, jeśli się nie żyje - wyjaśnił ponuro Jag.

Jaina poczuła w żołądku kulę lodu. Vis'1 i Loli byli najmłodszymi rycerzami Jedi. Mieli po kilkanaście lat i właśnie wrócili z ostatniej ćwiczebnej wyprawy, na której byli w towarzystwie swoich mistrzów. - Jak to się stało? - zapytała.

- Moim zdaniem to snajperzy Serpy ich zabili - odparł Fel.

- Znalazłem ich za różnymi budynkami sypialnymi. Mieli w skroniach dziury po

blasterowych strzałach. Prawdopodobnie wywabiono ich na zewnątrz i zabito w tej samej chwili. Myślę, że Serpa zamierza wszystkich wymordować.

Jaina pokręciła głową.

- Gdyby zamierzał to zrobić, o wiele skuteczniejszy byłby termiczny detonator - stwierdziła. - Dlaczego miałby nas traktować gazem usypiającym?

- Bo zna Jedi - wyjaśnił Jag. - Żaden zabójca nie podkradnie się do was nawet podczas snu. Obudzicie się dzięki zmysłowi, który uprzedza was o zagrożeniach.

- Co prawda, to prawda - przyznała niechętnie Solo, przypominając sobie sen, w którym usłyszała ostrzeżenie Bena. - Mimo to nadal nie rozumiem, dlaczego jego zdaniem gaz usypiający miał być lepszy.

- Bo wtedy wszystko mogłoby wyglądać, jakby tylko próbował was powstrzymać, żebyście mu nie przeszkadzali - odparł Jag. - Mógłby powiedzieć, że niewłaściwie zrozumieliście jego zamiary, więc musiał wszystkich zabić.

Jaina obejrzała się za siebie, na okno. Od razu przypomniała sobie czasochłonne przygotowania Serpy i jego prowokacyjne zniewagi. Odwróciła się do Jaga i pokiwała głową.

- Może rzeczywiście jest równie sprytny jak szalony - powiedziała. Prześlizgnęła się obok Jaga i ruszyła do tylnego wyjścia z budynku. - Musimy zacząć od wyeliminowania tych snajperów - zdecydowała. - Po cichu.

- Ale szybko - dodał Fel. - Serpa chyba nie grzeszy cierpliwością.

Kiedy szli korytarzem w stronę wyjścia, Jaina uwolniła myśli i wysłała je do Kama oraz do pozostałych dorosłych Jedi. Podzieliła się z nimi zaniepokojeniem taktyką Serpy, chociaż chyba nie musiała tego robić. Nawet gdyby pozostali nie wiedzieli o obecności snajperów na dachach budynków, do tej pory na pewno się domyślili, że Serpa usiłuje wywabić z kryjówek dorosłych Jedi. Dodatkowe ostrzeżenie mogło jednak powstrzymać kogoś przed pochopną reakcją na następną prowokację majora SGS.

Kiedy dotarli do tylnych drzwi, Jaina ostrożnie wyjrzała na dwór. Było z byt ciemno, żeby zobaczyła kogoś ukrywającego się za odległym żywopłotem, ale wyczuła, że w krzakach po prawej stronie za sąsiednim budynkiem leżą dwie osoby. Odwróciła się do Jaga.

- W takich chwilach jak ta żałuję, że nie mam świetlnego miecza - szepnęła. - Czy zauważyłeś tych dwóch w krzakach wodobo?

- Których dwóch? - zapytał równie cicho Fel.

- Tego się obawiałam. - Jaina wręczyła mu skradziony blaster. - Osłaniaj mnie... ale nie strzelaj, dopóki oni nie otworzą ognia.

Jag zmierzył ją surowym spojrzeniem.

- Jaina, jeżeli ci dwaj są też snajperami, to mają długolufowe karabiny - powiedział. - Pistolet blasterowy przeciwko nim na nic się nie przyda...

- Wystarczy, jeżeli narobisz dużo hałasu - ucięła Solo. - Zaufaj mi. Wiem, co robię.

Posłużyła się Mocą, żeby złamać gałązkę krzaku za snajperami, po czym wymknęła się na dwór i szybko przebiegła przez niewielki dziedziniec oddzielający ją od żywopłotu. Nikt do niej nie strzelał, więc doszła do wniosku, że podstęp się udał. Poruszając się w zaroślach w absolutnej ciszy, zatoczyła półkole i w końcu zobaczyła intruzów. Leżeli na brzuchu pod łukowato wygiętymi gałęziami krzaku wodobo. Obserwator spoglądał w stronę krzaka, którego gałązkę złamała, a strzelec wyborowy kierował lufę broni w stronę wejścia do sąsiedniego budynku. Obaj żołnierze SGS mieli pancerze i hełmy z przesłonami noktowizyjnymi.

Gdyby Jaina była równie doświadczona jak jej wuj, może wymyśliłaby sposób unieszkodliwienia żołnierzy bez ich zabijania. Jeżeli jednak chciała zachować ciszę, nie mogła poradzić sobie w inny sposób. Wbiła kolano w plecy snajpera, a kiedy żołnierz zaczął się odwracać, chwyciła go za głowę i raptownym szarpnięciem w bok skrzyła mu kark. Na odgłos chrupnięcia obserwator szybko się odwrócił... ale Jaina, pomagając sobie Mocą, wbiła mu w krtań szpic noża.

Żołnierz zwałił się z charkotem na wznak i chwycił za gardło. Na szczęście było zbyt ciemno, żeby dostrzec jego twarz za przesłoną hełmu. Jaina też skrzyła mu kark, żeby oszczędzić przedśmiertnych cierpień.

Jej wyrzuty sumienia uśmierzył trzask pojedynczego strzału z blastera. Jaina uświadomiła sobie, że dobiegł od strony głównego dziedzińca. Tym razem wiele dzieci krzyknęło z przerażenia. Moc zdrzała od udręki Tionny, ale Jaina wyczuła, że mistrzyni Jedi stara się cierpieć w milczeniu.

Uwolniła myśli, żeby je wysłać do Kama i pozostałych dorosłych Jedi. Zamierzała ich przestrzec, żeby zignorowali tę prowokację... ale na próżno. Za bardzo się bali o życie Tionny, a zresztą całą ich uwagę zajmowało to, co się działo w pawilonie.

Od strony dziedzińca napłynął odgłos następnego strzału. Tym razem Tionna zawyła z bólu. Jaina wyczuła w Mocy wściekłość Kama i zrozumiała, że mistrz Jedi traci panowanie nad sobą. Wyczuła także, że gniew Ozla i Jergi - młodych kalamariańskich rycerzy Jedi - za chwilę wybuchnie i dotarło do niej, że Serpa zaczyna wygrywać.

Schyliła się, podniosła długi blaster snajpera i wyszła z krzaków wodobo na mały dziedziniec. Zauważyła, że Jag wspiął się po rynnie na dach. Dała dwa długie susy i pomagając sobie Mocą, odbiła się od nawierzchni i wylądowała obok niego.

Nie troszczyła się o zachowanie ciszy, bo nie musiała się ukrywać. Za ledwie jej stopy dotknęły dachówek, snajperzy dali ognia. Strzelali jednak nie do niej, ale do kogoś na głównym dziedzińcu. W błysku strzałów Solo zobaczyła na oddalonym krańcu dachu sylwetki dwóch skulonych żołnierzy.

Pokonała dzielącą ją od nich odległość w dwóch wspomaganych przez Moc susach i wylądowała między jednym żołnierzem a drugim. Zanim któryś się zdążył odwrócić, przyłożyła wylot lufy długiego blastera do hełmu snajpera i z całej siły nadepnęła na plecy obserwatora.

Obserwator nie zdążył się odwrócić, żeby wymierzyć w nią lufę samopowtarzalnego blastera, bo Jaina pociągnęła za spust długiego karabinu i wypaliła dymiącą dziurę w skroni snajpera, zanim ten zdążył drgnąć. W tej samej chwili wyrznęła gorącą lufą w twarz obserwatora z taką siłą, że żołnierz zaczął się ześlizgiwać po dachówkach. Zniknął za okapem i runął na ziemię z przyprawiającym o mdłości chrzęstem, który nie pozostawił cienia wątpliwości co do jego losu.

Jaina spojrzała na dziedziniec w dole i z przerażeniem zobaczyła rozciągniętego nieruchomo Kama Solusara. Z piersi mistrza Jedi ulatywały trzy smugi siwego dymu. Ozla i Jergę spotkał jeszcze gorszy koniec: w ich podłużnych kalamariańskich głowach widniały liczne otwory po blasterowych strzałach.

Jag kucnął za plecami Jainy, złapał ją za rękę i zmusił do ukrycia się za kalenicą dachu.

- Chcesz ściągnąć na siebie ich ogień? - zapytał.

Solo kucnęła, ale wysunęła głowę i w końcu zobaczyła, dlaczego Kam i pozostali wybiegli z kryjówek. U stóp Serpy leżała skulona Tionna, a metr dalej jej odcięta łydka i ramię.

Mali Woodoo płakali, a pozostałe dzieci napełniały Moc grozą i gniewem, ale na ich spokojnych twarzach malowała się tylko uległość. Czekwały, aż Tionna albo ktoś inny ze starszych Jedi wypowie ustalone hasło, mające rozpocząć realizację planu, który Jaina i pozostali dorośli wbijali im do głów w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Nagle z głośnika komunikatora u pasa Jainy rozległ się głos Serpy:

- Mamy wszystkich?

W odpowiedzi usłyszał długą serię koszmarnych meldunków żołnierzy:

- ...Kam Solusar zabity... Ozlo zabity... Jerga też... Vis'l i Loli zginęli już wcześniej... Alfi w swojej sypialni... Hedda w swoim budynku sypialnym...

- To już wszyscy - szepnęła Jaina.

Jag kiwnął głową i wyrwał karabin z rąk zabitego snajpera.

- Z wyjątkiem nas i... - zaczął.

- A co z tą gadziną Solo? - zapytał władczy tonem Serpa. - I gdzie się podział Fel?

Nikt mu nie odpowiedział. Jaina usłyszała cichy głos z głośnika komunikatora leżącego nieruchomo obok niej żołnierza:

- Ralpe?

Jaina odwróciła się do Jaga.

- Tak się nazywał nasz snajper - domyśliła się bez trudu. - Wiesz, gdzie się ukrywają pozostali strzelcy wyborowi?

- Naturalnie - odparł Fel.

Po chwili z głośnika w hełmie zabitego snajpera rozległ się inny głos:

- Ralpe?

- Nie żyje, ty Gunganinie! - wrzasnął Serpa. Postanowił się teraz zwrócić bezpośrednio do Jajny: - Hej, Jedi Solo... wnioskuję z tego, że jesteś równie wielkim tchórzem jak twój wuj.

Jaina zabiłaby go od razu, gdyby nie obawa, że blasterowy strzał może przebić jego ciało na wylot i trafić stojącą za nim dziewczynkę z grupy Banth.

Serpa przyłożył lufę blastera do głowy Tionny.

- Zamierzasz się nadal ukrywać, kiedy będę zabijał mistrzynię Solusar? - zapytał.

- Zignoruj go. - Tionna uniosła kikut ręki i wykonała nim gest, po którym lufa blastera w dłoni Serpy skierowała się w bok. - Zaopiekuj się...

Jeden z żołnierzy SGS stojących za kręgiem dzieci Jedi uniósł blaster i dał ognia. Tionna krzyknęła, kiedy strzał oderwał następne dziesięć centymetrów z kikuta, którym o mało nie wytrąciła broni z dłoni Serpy.

- Najwyższy czas dać temu łajdakowi to, o co się tak doprasza. - Jaina przeskoczyła nad kalenicą i zaczęła się ześlizgiwać po dachówkach. - Oslaniaj mnie! - krzyknęła.

Jag otworzył ogień. Szkarłatne błyskawice jego strzałów pomknęły w przeciwny koniec głównego dziedzińca, w kierunku snajpera, który miał najlepsze pole ostrzału. Jaina strzeliła do bliższej grupy żołnierzy, w nadziei, że Moc zwiększy celność jej ognia. Przetoczyła się po dachu, jeszcze raz dała ognia i zeskoczyła na dziedziniec.

Na ścianie za jej plecami rozkwitły dwa ogniste kwiaty. Jaina odskoczyła w bok, wykonała salto i jeszcze raz wystrzeliła. Zobaczyła, że długi blaster i trzymająca go ręka znikają za kalenicą dachu sąsiedniego budynku sypialnego. Odskoczyła w bok, przetoczyła się i poczuła na policzku ciepło, kiedy trzy błyskawice przecięły powietrze ze świstem bardzo blisko jej głowy.

Naprawdę dałaby wiele, żeby w takiej chwili mieć swój świetlny miecz.

Wystrzeliła z długiego karabinu i uciszyła kolejnego napastnika, który usiłował ją zaskoczyć od tyłu. Odwróciła się w kierunku najmłodszych uczniów Jedi, którzy stali w swoich grupach i wyciągając szyje w jej stronę, cały czas cierpliwie czekali na umówione hasło.

- Dość tego! - wykrzyknęła. - Mieliśmy...

Na dziedzińcu rozpętało się istne piekło. Młodszy uczniowie, pomagając sobie Mocą, popychali jednych żołnierzy na drugich i wyrwali im broń. Zdezorientowani podwładni Serpy na oślep otworzyli ogień. We wszystkie strony po dziedzińcu przelatywały błyskawice blasterowych strzałów.

Jaina przyklękła i odwróciła się w kierunku budynków sypialnych Akademii, ale zamiast snajperów zobaczyła tylko dymiące dachówki i kilka zakrwawionych dłoni zaciśniętych resztką sił na kalenicach. Gestem dała Jagowi znak, żeby ją nadal osłaniał, a sama zaczęła się przeciskać przez tłum rozgniewanych uczniów. Młodzi Jedi, posługując się Mocą, na ile umieli, popychali - a czasami nawet ranili - osłupiałych żołnierzy SGS, którym dotąd się wydawało, że to oni są panami sytuacji.

Naturalnie młodzi Jedi także ponosili ofiary. Wszędzie, gdzie Jaina kierowała spojrzenie, widziała na dziedzińcu nieruchome ciała najmłodszych uczniów ze śmiertelnymi ranami, z których wciąż jeszcze się unosiły smużki dymu. W niektórych miejscach grupki nieuzbrojonych kilkunastoletków toczyły walkę wręcz z zakutym w pancerz żołnierzem. Jaina robiła wszystko, co mogła, żeby im pomóc. Posługując się Mocą, popychała ich przeciwników albo zwałała z nóg ciosem kolby długiego blastera. Stopniowo zbliżała się do tego, który był odpowiedzialny za tę rzeź - do majora Serpy.

Znalazła go w gimnastycznym pawilonie. Jego ochroniarze leżeli wokół, umierający albo martwi od ran po blasterowych strzałach albo ciosów zadanych prowizorycznymi nożami, do których wykonania dzieci, podobnie jak ona, wykorzystały zaostrzone łyżki. Z rozczarowaniem stwierdziła, że Serpa wciąż żyje. Oficer dusił jedną ręką rudowłosą dziewczynkę z grupy Banth - Vekki, przypominała sobie Jaina - a drugą na wszelki wypadek przyciskał do jej głowy wylot lufy blastera.

- I ty śmiesz mnie nazywać tchórzem? - zadrwiła Solo. Miała nadzieję, że odwróci jego uwagę na dość długo, aby wyszarpnąć blaster z jego dłoni. Podchodziła do niego krok po kroku, ale znieruchomiła, kiedy Zekk poinformował ją poprzez Moc, że znalazł się po drugiej stronie pawilonu i prosi o cierpliwość. - A sam się chowasz za plecami bezbronných dzieci?

Serpa wzruszył ramionami.

- To co innego - powiedział. - To dzieci Jedi.

- Jestem pewna, że sędziowie wezmą to pod uwagę podczas twojego procesu. - Jaina zauważyła, że Zekk pojawił się w kręgu światła w odległym końcu pawilonu, ale nie odrywała spojrzenia od twarzy oficera. - Naturalnie zakładając, że dożyjesz do procesu. Jeżeli się natychmiast poddasz, postaram się, żebyś dożył.

Serpa prychnął pogardliwie.

- Nie będzie żadnego procesu - wycedził, kierując lufę broni w stronę Jainy. - Wykonuję tylko rozkazy... rozkazy twojego brata...

Zanim jednak zdążył pociągnąć za spust, Zekk zapalił klingę świetlnego miecza i odciął mu na wysokości łokcia rękę z bronią.

Może to dziwne, ale Serpa nie przestał gapić się na Jainę. Zupełnie jakby nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie zginęła ani jakim cudem odcięła mu rękę, chociaż nie kiwnęła nawet palcem. W końcu usłyszał za plecami pomruk klingi świetlnego miecza i ze zdziwienia aż otworzył usta. Odwrócił się, ale nie puścił szyi Vekki... chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z bólu.

- A ty skąd się tu wziąłeś? - zapytał bezgranicznie zdumiony.

Zekk machnął klingą świetlnego miecza tak szybko, że Jaina nawet tego nie zauważyła. Dostrzegła jednak, że druga, odcięta w łokciu ręka Serpy odpada od szyi uczennicy, a oficer obraca się i wali na podłogę.

- Od tej pory to my będziemy zadawali pytania - oznajmił stanowczo rycerz Jedi.

ROZDZIAŁ 15

Co za ironia losu, że muszę stawić czoło zdrajcom właśnie tu, w macierzystym systemie istot słynących z honoru, pomyślał Jacen. Jakie to smutne, że będę walczył z członkami własnej rodziny w przestworzach Kashyyyka, na którym lojalność ceni się wyżej niż życie. Nawet po tym, co się wydarzyło, Caedus wciąż jeszcze ich kochał, nadal ich szanował. To właśnie ich odwaga dała mu siłę do zrobienia tego, co musiał wkrótce zrobić. Ich przykład nauczył go, że obowiązek liczy się bardziej niż wszystko inne. Żałował, że nie zna sposobu zawrócenia ich ze złej drogi. Pragnął, żeby wszyscy członkowie rodów Solo i Skywalkerów walczyli znów po tej samej stronie, zamiast jedni przeciwko drugim. Jaka

szkoda, że niesprawiedliwe zrządzenie losu jeszcze raz miało rozerwać galaktykę na strzępy.

Nie znał jednak takiego sposobu. Nawet gdyby ich jakimś cudem przekonał, że postąpili niesłusznie, nie mógłby darować im kary za ich uczynki. Nie mógłby okazać łaski za to, że zdradzili Sojusz. Brzemieniem i przeznaczeniem Dartha Caedusa było wymierzanie sprawiedliwości wszędzie, gdzie ktoś zasługiwał na karę, więc nie mógł się uchylić od obowiązku. Lordowie Sithów nie mogli przymykać oczu na przestępstwa swoich krewnych. Ta droga wiodła do egoizmu i korupcji... do przekonania, że jest się władcą galaktyki, nie jej sługą.

W iluminatorach mostka pojawiła się eskadra nowych myśliwców przechwytyjących typu Owool. Maszyny były jeszcze tak daleko, że gazy wylotowe z ich podwójnych silników wyglądały na tle szmaragdowej tarczy Kashyyyka jak zakrzywione paski. Owoole - chluba nowatorskiej stoczni firmy KashyCorp - miały służyć Galaktycznemu Sojuszowi jako ciężkie myśliwce. Podobnie jak Wookie, którzy siedzieli za ich sterami, były wytrzymałe, szybkie i zadziorne.

- Co za ponury widok - odezwał się Ben. Chłopiec stał na głównym pokładzie lotniczym obok Caedusa oraz kapitana Twizzla i obserwował, jak pięćdziesięciu kilku członków personelu mostka spokojnie nadzoruje przygotowania „Anakina Solo” do bitwy. - Jeżeli te Owoole to wszystko, co mogą rzucić przeciwko nam, nie będzie żadnej walki. Tak szalone nie są nawet istoty rasy Wookie.

- Istoty rasy Wookie nie są szalone, ale zdeterminowane - sprostował Caedus. Ben starał się go odwieść od ataku na Kashyyyka od czasu ucieczki „Anakina Solo” z pola bitwy o Kuata. Caedus zaczynał się martwić, że jego młodszy kuzyn nie jest na tyle bezwzględny, aby wyrzucić zemstę za śmierć matki... Lumiya chyba miała rację, że Ben jest zbyt miękki, aby zostawać uczniem Sitha. - I możesz być pewny, Benie, że będą walczyły. Nigdy nie myl nadziei z oczekiwaniami.

- Nie miałem takiego zamiaru - odparł chłopak. - Potrzebujemy jednak floty Wookiech, Jacenie. Jeżeli istnieje jakiś sposób, żeby ją opanować bez walki...

- Nie ma takiego sposobu - przerwał Caedus. - I nie zwracaj się do mnie po imieniu. Masz mnie tytułować pułkownikiem.

Ben wyglądał na zaskoczonego, ale nie na urażonego.

- Dobrze, panie pułkowniku - powiedział.

- Dziękuję. - Caedus naprawdę był mu za to wdzięczny. Nie miał nic przeciwko temu, żeby Ben mówił mu po imieniu, ale zaczynał czuć się nieswojo, ilekroć słyszał dawne imię. Jacen Solo nie istnieje. - I nie mówiłem, że nie damy istotom rasy Wookie szansy uniknięcia

walki. Wszystko jednak wskazuje, że z niej nie skorzystają.

- Rzeczywiście chyba nie mają takiego zamiaru - dodał kapitan Twizzl stojący z drugiej strony Caedusa. - Piloci tych Owooli grożą, że otworzą ogień, jeżeli nie zastopujemy i nie podamy powodu naszego pojawienia się w ich przestworzach.

Caedus zerknął na taktyczny holowyświetlacz i uśmiechnął się do siebie. Za rufą „Anakina Solo” leciały wszystkie okręty Piątej Floty, więc samych jednostek liniowych miał do dyspozycji dwukrotnie więcej niż Wookie Owooli.

- Naprawdę trzeba podziwiać ich odwagę - powiedział. - Bardzo dobrze, panie kapitanie. Proszę odpowiedzieć, że szanujemy ich wymagania.

- Zamierza pan ich usłuchać? - zapytał zaskoczony Twizzl.

- Naturalnie - przyznał Caedus. - Proszę zastopować „Anakina Solo” i wydać rozkaz, żeby admirał Atoko utworzył szyk wokół naszego niszczyciela.

Twizzl zmarszczył brwi.

- Panie pułkowniku, porucznik Skywalker ma rację - zaczął. - Jeżeli od razu rozpoczniemy atak, możemy opanować wszystkie okręty ich szturmowej floty. Ich jednostki wciąż jeszcze próbują się oderwać od statków zaopatrzeniowych, a orbitalne patrolowce nie stanowią absolutnie żadnego zagrożenia dla okrętów Piątej Floty.

- Panie kapitanie, mam nadzieję, że nie zaleca pan rozpoczęcia niesprowokowanego ataku na niewinnego członka Galaktycznego Sojuszu - wycedził Caedus. - O ile nam wiadomo, Wookie nie zrobili nic złego poza uwierzeniem dezenterom Jedi. Na razie jeszcze nas nie zdradzili.

- A więc nie zamierzasz ich zaatakować? - W głosie Bena brzmiała raczej dezorientacja niż ulga. - W takim razie dlaczego ściągnęliśmy tu z Jądra Piątą Flotę?

- Żeby dać Wookiem możliwość zrobienia tego, co słuszne.

Caedus odwrócił się do Twizzla, który z każdą chwilą wyglądał na bardziej zakłopotanego i niezadowolonego. - Słyszał pan rozkazy, kapitanie - powiedział. - Proszę powiedzieć pilotom tych Owooli, że przylecieliśmy tu po więźniów i odlecimy, kiedy tylko nam ich przekażą.

Na twarzy Twizzla odmalowała się dezaprobata, ale kapitan skinął głową i odszedł do swojego stanowiska łączności.

Ben nie dał się jednak tak łatwo przekonać.

- To tylko pogorszy całą sytuację, Ja... uhm, panie pułkowniku - zaczął. - Wookie nie zechcą panu przekazać wujka Hana ani cioci Leii.

- Jasne, że mi ich nie oddadzą - przyznał Caedus. - Przecież to Wookie. Są na to zbyt

uparci, ale kiedy odmówią, będziemy mieli pretekst do ruszenia w dalszą drogę.

- A w tym czasie okręty ich floty zajmą stanowiska. - W głosie Bena brzmiała coraz większa desperacja. Jego kuzyn ukrywał swoją obecność w Mocy, co było oczywistym dowodem, że się szykuje do zadania śmiertelnego ciosu. - Wtedy nigdy ich nie pokonamy. Będą walczyli, dopóki ostatni okręt nie stanie się bezużytecznym wrakiem.

- To prawda. - Caedus wiedział, że jeżeli młodszy kuzyn podejmie teraz próbę zabicia go, zrobi to ze szlachetnych pobudek. Będzie próbował ocalić tysiące istnień kosztem jednego. Powody jednak się nie liczyły, ważne były czyny. Sama próba miała się stać katalizatorem, dzięki któremu Ben mógłby przejść na wyższy stopień. - Problem w tym, że nie przylecieliśmy tu, żeby opanować flotę Wookiech.

Ben zastanowił się chwilę nad tym, co usłyszał.

- Naprawdę chcesz tylko, aby przekazali ci więźniów? - zapytał w końcu.

- Wcale nie - odparł Caedus. - Przylecieliśmy tu, bo dzięki temu Konfederacja nie będzie mogła opanować Kuata ani rozpocząć szturm na Coruscant.

Ben znów się zamyślił, wyglądając przez iluminator mostka, za którym Owoole rozrosły się i przemieniły w błyszczące kropki o sierpowatych ogonach. W końcu zrezygnował i pokręcił głową.

- Nic nie rozumiem - powiedział.

- To dobrze. - Caedus podszedł do komunikacyjnej konsolety, przed którą stał Twizzl, odwracając się plecami do młodszego kuzyna. - Konfederacja także tego nie zrozumie.

Nie doczekał się ataku i pomyślał, że może jednak źle ocenił zamiary Bena. Chłopiec cały czas uważał, że Jacen jest mordercą Mary, choć bardzo się starał maskować prawdziwe uczucia, więc dlaczego nie podjął próby zabicia starszego kuzyna? Na pewno nie brakowało mu odwagi, bo inaczej w ogóle by nie powrócił do czynnej służby. Nie chodziło także o skrupuły natury moralnej. Ben mógł zamordować Gejjena i wmówić sobie, że postąpił słusznie, ale po zabiciu Cala Omasa już nie potrafił uspokoić wyrzutów sumienia takim argumentem. Zlikwidował byłego przywódcę Galaktycznego Sojuszu tylko dlatego, żeby mieć dobry pretekst do powrotu na pokład „Anakina Solo”. A to by oznaczało, że chłopak ma duszę zabójcy. Mara byłaby z niego dumna.

Ale dlaczego teraz nic nie robi?

Caedus przeszedł jeszcze dwa kroki i stanął za plecami Twizzla, żeby posłuchać jego rozmowy z dowódcą eskadry Wookiech. Czuł rozczarowanie. Młodszy kuzyn sprawił mu zawód.

Pani oficer łącznościowiec - Bithanka o ebonitowych oczach wielkości dłoni Caedusa -

śluchała tłumaczenia słów dowódcy eskadry Wookiech.

- Panie pułkowniku Solo, Wookie twierdzą, że nie mają żadnych... - zaczęła.

- Nie musi pani tłumaczyć - przerwał Caedus. - Rozumiałem shyriwook, kiedy miałem pięć lat. - Pochylił się nad ramieniem Twizzla i wcisnął guzik zasilania mikrofonu. - Przylecieliśmy tu po Hana i Leię Solo, a także po dezertów Jedi - powiedział.

- Jeżeli macie kłopoty ze schwytaniem ich, jesteśmy gotowi wam pomóc. To jedyny powód, dla którego ściągnęliśmy tu całą flotę.

Dowódca eskadry wymruczał coś w swoim języku. Powiedział, że Solo uciekli, a Jedi w ogóle nie przylecieli na Kashyyyka.

- Wookie nie powinni kłamać - zwrócił mu uwagę Caedus. - To po prostu nie leży w waszej naturze.

Przeniósł spojrzenie na Bena i pomyślał, że może być jeszcze jeden powód, dla którego młodszy kuzyn go nie zaatakował: jeżeli został wysłany na pokład „Anakina Solo”, aby wciągnąć niszczyciel w zasadzkę. Kiedy jednak Ben potwierdził, że ojciec kazał mu się z nim spotkać na Kashyyyku, Caedus pomyślał o Allanie i o tym, jak dużo dla niego znaczy. Czy teraz, kiedy Mara nie żyła, Luke poleciłby Benowi wykonanie tak niebezpiecznego zadania?

Odwrócił się znów do mikrofonu.

- Nasze informacje są całkowicie wiarygodne - powiedział.

- Jeżeli twierdzicie, że Solo już nie są waszymi więźniami, to znaczy, że Kashyyyk zdradził Sojusz albo że Jedi szantażem zmusili Wookiech do opowiedzenia się po ich stronie. Tak czy owak, jesteśmy zmuszeni przystąpić do ataku.

Wookie zapewnił, że skontaktuje się ze swoimi przełożonymi, i w kanale komunikatora zapadła cisza. Kiedy Caedus i jego oficerowie czekali na odpowiedź, „Anakin Solo” cały czas zwalniał. Piąta Flota zaczęła formować szyk wokół gwiazdnego niszczyciela. Piloci myśliwców Sojuszu utworzyli straż przednią, a starsze niszczyciele zajęły takie pozycje, żeby ich pola ostrzału się pokrywały. Piloci eskadry Owooli cały czas się zbliżali, a ich maszyny wyglądały już nie jak plamki, a jak rozwidlone kliny.

W końcu z głośnika rozległ się głos dowódcy Wookiech, który powiedział, że pułkownik musi mieć niedokładne informacje. Solo nie przebywają w żadnym więzieniu na Kashyyyku, a mieszkańcy nie mają najmniejszych kłopotów z dezertami Jedi.

- Właśnie to mi się podoba u was, Wookiech - stwierdził Caedus. - Nigdy nie ukrywacie swoich sympatii.

Jeszcze zanim skończył mówić, Twizzl przysunął się do mikrofonu komunikatora.

Chciał wydać rozkazy, żeby okręty Sojuszu zaczęły przyspieszać.

- To nie będzie konieczne, panie kapitanie - powstrzymał go Caedus. - Planeta już jest w zasięgu dalekosiężnych turbolaserów „Anakina Solo”.

Twizzl opuścił krzaczaste brwi tak nisko, że niemal zasłoniły mu oczy.

- To prawda, ale flota Kashyyyka... - zaczął.

- Nie ma znaczenia. - Caedus odwrócił się do kapitana, znów pokazując plecy Benowi. Jeżeli decyzja, którą właśnie podjąłem, nie skłoni chłopca do ataku, nic go do tego nie zmusi, pomyślał.

- Proszę polecić, żeby artylerzyści dalekosiężnych baterii otworzyli ogień.

Na twarzy Twizzla pojawiło się zdumienie.

- Do Owooli? - zapytał.

- Do planety - sprostował Caedus, trzymając dłoń z daleka od rękojeści świetlnego miecza, żeby stworzyć młodszemu kuzynowi doskonałą okazję do ataku. Gdyby Ben nie zadał ciosu w tak dogodnej chwili, nie mógłby dłużej pozostawać jego uczniem. - Niech kierują ogień w jedno miejsce. Celem ataku ma być wzniesienie płomienistego piekła na powierzchni Kashyyyka.

Rozkaz Caedusa powitało absolutne milczenie. Młody Sith wyczuł w Mocy osłupienie oficerów i tych członków personelu mostka, którzy słyszeli jego słowa. Chyba tylko Ben nie był zaskoczony... chociaż możliwe, że po prostu nadal ukrywał swoją obecność w Mocy. Jacen stał nadal zwrócony przodem do Twizzla, żeby dać Benowi czas do namysłu.

Po kilku chwilach kapitan odzyskał panowanie nad głosem.

- Zamierza pan... spalić wroshyry? - zapytał.

- Właśnie taki mam zamiar - przyznał Caedus. - Całą dżunglę na powierzchni planety... jeżeli mi się to uda.

Oslupienie na twarzy kapitana ustąpiło miejsca dezaprobacie.

- Ale to... to po prostu szaleństwo! - wykrztusił Twizzl. - Niczego pan w taki sposób nie osiągnie!

- Nie do pana należy wyciąganie wniosków, panie kapitanie - zwrócił mu uwagę Caedus. Wydanie tego rozkazu i tak sporo go kosztowało... prawdę mówiąc, zbierało mu się na mdłości. Od dziecka kochał i szanował Chewiego, więc chyba nie powinno mu zależeć na spopieleniu planety swojego przyjaciela i opiekuna. Problem w tym, że Wookie, zdradzając Galaktyczny Sojusz, sami ściągnęli ten kataklizm na swoje głowy. - Ten jeden raz wyjaśnię panu, co zamierzam przez to osiągnąć.

- Będę wdzięczny, panie pułkowniku. - Ton głosu Twizzla sugerował, że wykona

rozkaz Caedusa tylko wówczas, jeżeli jego wyjaśnienie go zadowoli. - Dziękuję.

- Nie ma za co - burknął Sith. - Brał pan udział w Bitwie o Kuata, więc na pewno pan wie, jak wyrównane są nasze siły zbrojne.

Twizzl kiwnął głową.

- Konfederacja wkrótce się załamie - powiedział. - Nie dorówna Sojuszowi w wojnie na wyniszczenie.

- Nie możemy sobie pozwolić na takiego rodzaju wojnę - sprzeciwił się Caedus. - Już w tej chwili jesteśmy zbyt słabi, aby chronić wszystkie planety pozostające pod naszą opieką, a konfederacja o tym wie. A więc musi pan wiedzieć, że Konfederacja nie zrezygnuje z dalszej walki. Będą liczyć na to, że to my się załamiemy i wycofamy. A nam nie wolno tego zrobić, bo w ten sposób dalibyśmy im wolną drogę do ataku na Coruscant.

- A zatem mamy pat - podsumował Ben. W tym momencie sprawił Caedusowi jeszcze większy zawód. Podszedł do niego, ale nie zadał śmiertelnego ciosu. Chciał się tylko włączyć do rozmowy. - Tylko jakim cudem wypalenie lasów na Kashyyyku może zmienić ten stan rzeczy? - zapytał.

Niezdolny do ukrywania frustracji Caedus odwrócił się do niego jak użądłony.

- Myśl, Benie - powiedział. - Co obie strony muszą zrobić, żeby znaleźć wyjście z tej sytuacji? Co tutaj tracimy, a co Konfederacja zyskuje?

Ben skulił się, słysząc jadowity ton kuzyna, ale szybko odpowiedział:

- Sojuszników.

- Zgadza się. - Caedus położył dłoń na jego ramieniu. Był tak wściekły, że musiał się powstrzymać, żeby go nie uderzyć. - A co Konfederacja musi zrobić, żeby istoty rasy Wookiee zostały ich sojusznikami?

W oczach Twizzla zapaliły się błyski gniewnego zrozumienia.

- Pospieszyć im na pomoc - powiedział.

- A to oznacza, że będą musieli zrezygnować z ataku na Coruscant - dokończył Ben. - A spalenie lasów wzbudzi o wiele większy gniew opinii publicznej, niż gdybyśmy tylko opanowali flotę Kashyyyka. Jeżeli zaś Konfederacja nie pospieszy Wookiem na pomoc, będzie miała kłopoty ze zwerbowaniem innych planet. Wszyscy pomyślą, że nie troszczy się o nikogo oprócz siebie.

- Znów masz rację - przyznał Caedus.

- Tylko kto w takiej sytuacji zechce się przyłączyć do nas? - zapytał Twizzl. - Wyjdziemy na potwory.

Caedus się uśmiechnął.

- I właśnie o to mi chodzi, panie kapitanie - powiedział.

- Władcy planet zadrzą na samą myśl o konsekwencjach odłączenia się od Sojuszu. Jeżeli jesteśmy gotowi za karę spalić lasy Kashyyyka, to jaka straszliwa kara może ich spotkać?

Twizzl otworzył usta i wbił przerażone spojrzenie w twarz Caedusa, ale nic nie powiedział.

- Mam już dość czekania, kapitanie - zganił go Lord Sithów. - Zamierza pan natychmiast przekazać mój rozkaz czy mam wyznaczyć nowego dowódcę?

Groźba wystarczyła, żeby Twizzl doszedł do siebie po przeżytym wstrząsie.

- To nie będzie konieczne, panie pułkowniku - powiedział. - Nie widzę strategicznego powodu, dla którego miałbym odmówić wykonania pańskiego rozkazu... Pańskie tłumaczenie wydaje mi się równie logiczne co mrozące krew w żyłach.

Caedus kiwnął głową z udawaną wdzięcznością.

- Cieszę się, że pan je aprobuje - pochwalił.

Twizzl zbladł jak ściana, ale odwrócił się, żeby wydać rozkaz.

Caedus obejrzał się za siebie, ale Ben miał nieprzenikniony wyraz twarzy i cały czas ukrywał swoją obecność w Mocy. Rozkaz wypalenia lasów na Kashyyyku musiał go wzburzyć, ale nawet to go nie zmusiło do zadania śmiertelnego ciosu. Caedus odwrócił się do taktycznego holowyswietlacza i postanowił, że nie da kuzynowi następnej szansy. Jeżeli nawet po usłyszeniu rozkazu spalenia dżungli wroshyrów chłopak nie podjął próby, to nic go do tego nie zmusi.

- Po czymś takim Wookie eksplodują jak nove - odezwał się Ben, stając tuż obok Caedusa, jak wiele lat wcześniej, kiedy był jeszcze dzieckiem i usiłował przezwyciężyć swój lęk przed Mocą. - Co mam robić?

- Na razie zostań przy mnie - polecił kuzyn.

Starał się mówić normalnym głosem, ale serce go bolało na myśl o tym, co wkrótce musi zrobić. A przecież nie mógł tego uniknąć. Nawet jeżeli Ben nie miał dość odwagi, żeby mu zadać śmiertelny cios dzisiaj, zdecyduje się na to kiedy indziej... a wtedy okoliczności mogą nie być tak sprzyjające.

- Chcę, żebyś był blisko, kiedy rozpocznie się walka - dodał Caedus. - Musimy mieć oko na myśliwce StealthX.

- Jasne - odparł chłopak. - Kiedy artylerzyści „Anakina Solo” otworzą ogień, plazma rozprysnie się na osłonach.

Nagle z dziobu gwiazdnego niszczyciela trysnęły cztery słupy oślepiającego światła i

pomknęły w kierunku mrocznej sylwetki pogrążonej w ciemności strony Kashyyyka. Płyty iluminatora automatycznie ściemniały, a w Mocy przemknęła fala osłupienia i przerażenia pilotów Owooli. Gdy jednak Wookie uświadomili sobie, że to nie oni są celem ataku, dała się wyczuć ich dezorientacja. Kiedy błyskawice turbolaserowych strzałów przecięły atmosferę planety i rozkwitły na powierzchni jak szkarłatne kwiaty, dezorientacja Wookiech zmieniła się w niedowierzenie.

Artylerzyści baterii „Anakina Solo” znów dali ognia. Mierzyli w te same miejsca na powierzchni planety, więc szkarłatne kwiaty szybko zaczęły się rozrastać. Niedowierzenie pilotów Owooli ustąpiło miejsca wściekłości, a po chwili - kiedy turbolaserzyści plunęły ogniem trzeci raz - zdecydowaniu. Caedus zauważył, że Wookie skierowali nosy myśliwców w kierunku dziobu „Anakina Solo”, ale kiedy artylerzyści turbolaserów dali czwarty raz ognia, stracił ich z oczu.

Twizzl podszedł do holowyświetlacza niczym sumienny podwładny, który czeka w gotowości, aż dowódca wyda nowe rozkazy. Kapitan był przerażony i wzburzony, ale stanął obok Caedusa po lewej stronie, bo po prawej zajął miejsce Ben.

- Analitycy oceniają, że pożar lasu objął pół kilometra kwadratowego i się rozszerza - zameldował. - Poleciłem, żeby artylerzyści zmieniali cele za każdym razem, kiedy uznają, że pożar będzie się dalej sam szerzył.

- Dobra robota - pochwalił go Caedus. - Nie chcemy, żeby Wookie zmarnowali naszą ciężką pracę.

- Może rozsądnie byłoby wziąć też na cel jakieś miasto albo i dwa - podsunął Ben. - Dzięki temu ekipy gaszące pożary będą miały pełne ręce roboty z ratowaniem mieszkańców.

Twizzl otworzył usta ze zdumienia i zerknął na Bena za plecami Caedusa. Na twarzy miał wyraz niedowierzenia i niechęci, jakby nie potrafił uwierzyć, że taka myśl mogła się zrodzić w głowie nastolatka.

- Doskonały pomysł, poruczniku. - Caedus odwrócił się do Twizzla. - Proszę przekazać odpowiedni rozkaz dowódcy stanowisk artylerii, kapitanie.

- Jak pan sobie życzy, panie pułkowniku. - Twizzl zaczął się odwracać, ale znieruchomiał, obrzucił spojrzeniem taktyczny wyświetlacz i popatrzył na stojącą po drugiej stronie panią podporucznik. - Co się stało z tymi Owoolami? - zapytał.

- Chyba dostały się w zasięg jednej z naszych turbolaserowych błyskawic, panie kapitanie - odparła o połowę niższa od niego pani podporucznik, Bimmanka o blond sierści i obwisłych uszach. - Byli tam przed ostatnią salwą, a później po prostu... zniknęli.

Caedusowi serce podeszło do gardła, ale uświadomił sobie, że cały czas wyczuwa w

Mocy płonąca wściekłość Wookiech.

- Nic takiego się nie stało - powiedział. - Nadal tam są. Wyczuwam, że się zbliżają.

Twizzl podszedł do niego i włączył zasilanie mikrofonu pokładowego interkomu.

- Nadlatują nieprzyjacielskie myśliwce - powiedział. - Uzbroidź bomby kasetowe i automatyczne działka! Artylerzyści wszystkich systemów obrony okrętu mają strzelać bez rozkazu!

Bimmańska doradczyni rozpłaszczyła uszy po bokach głowy.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Czy te Owoole mogą się stawać niewidoczne?

- Nie - przerwał Caedus. - Lecą wzdłuż śladu.

Na twarzy Bimmanki odmalowała się jeszcze większa dezorientacja.

- Jak to? - zapytała niepewnie.

- Wykorzystują ślady po strzałach naszych turbolaserów, żebyśmy ich nie widzieli - wyjaśnił Caedus. - To stara sztuczka Jedi. Po strzale pozostaje tyle zjonizowanych ładunków elektrycznych, że nasze sensory nie dają rady namierzyć nieprzyjacielskich myśliwców. A skoro piloci naszych maszyn muszą się trzymać z daleka od miejsc, którymi mogą lecieć te błyskawice...

- Do takich sztuczek są zdolni tylko Jedi - stwierdził Twizzl, kiedy skończył instruować artylerzystów systemów obrony okrętu. - Jeżeli mamy do czynienia z Jedi...

- Nie mamy. - Aby się upewnić, Caedus skupił swoją świadomość Mocy na obecności w niej pilotów Owooli. - Chyba że jeden z tych Wookiech jest...

Nie kończąc zdania, skierował uwagę na aurę indywidualnych pilotów. Szukał jednego, którego na pewno by rozpoznał... i po chwili go znalazł. Wyczuł wrażliwą na Moc osobę, którą znał doskonale od dzieciństwa.

- Coś podobnego! - zawołał.

Okrzykowi zrozumienia Caedusa towarzyszyła eksplozja wściekłości i oszołomienia w Mocy. Lord Sithów niemal słyszał, jak Lowbacca ryczy w kabinie swojego Owoola, domagając się wyjaśnień, dlaczego dawny kolega z Akademii Jedi tak straszliwie go zawiódł.

Caedus na chwilę stał się znów Jacenem, niezadowolonym ze swojej przemiany, ale zarazem świadomym, że taka transformacja była konieczna. To był jedyny sposób zaprowadzenia porządku w galaktyce pełnej niesnasek i wojen... Jedyny sposób stworzenia domu, w którym jego córka - a także córki jego przyjaciół i wrogów - któregoś dnia będzie mogła dorastać w bezpieczeństwie i w pokoju.

Jacen otworzył umysł na przepływ Mocy i wysłał myśli do Lowiego. Zaprosił przyjaciela, żeby połączył się z nim innego rodzaju bitwowiążą... nasyconą ubolewaniem i

smutkiem. W odpowiedzi Lowbacca zaczął się znów domagać wyjaśnień. Starał się wytłumaczyć Jacenowi, że nie musi tego robić, że mogą jeszcze znaleźć sposób, aby nadal być przyjaciółmi...

W końcu Jacen zlokalizował dawnego kolegę dzięki Mocy. Lowbacca przelatował właśnie pod dziobem „Anakina Solo”. Solo wyczuł także, jak pozostali piloci Owooli, którzy nie byli Jedi, jeden po drugim znikają z Mocy, rażeni kasetowymi bombami albo ogniem automatycznych działek niszczyciela. W mgnieniu oka trafił także na ciężar ciemnej bomby, którą Lowbacca zamierzał wysłać pchnięciem Mocy.

Przykro mi, pomyślał Jacen, który stał się znów Caedusem. Wycofał się z bitwowieży, żeby się odwrócić i ostrzec Twizzla.

- To Lowbacca - powiedział. - Nadlatuje...

Nie wyczuł, co się teraz stało, a przynajmniej nie do końca. Poczul tylko świerzbienie na karku, które zawsze go ostrzegało przed niebezpieczeństwem. Odwrócił się błyskawicznie plecami do holowyświetlacza... i poczuł ciepło klingi świetlnego miecza Bena, która otarła się o jego żebra i pograżyła w piersi Twizzla.

Powietrze wypełniło się swądem spalonej tkanki Caedusa i kapitana... ale Ben, chociaż przerażony i pełen poczucia winy, nie zrezygnował z ataku. Aby skierować klingę świetlnego miecza znów ku Jacenowi, przeciął ciało Twizzla na pół i podszedł bliżej, aby mieć pewność, że jego cios okaże się śmiertelny.

Caedus zrozumiał, że życie ocaliła mu eksplozja ciemnej bomby Lowiego albo własny szybki refleks. Pokład „Anakina Solo” wywinął kozła pod jego stopami. Klinga świetlnego miecza zatoczyła błyskawiczny łuk, ale tylko przecięła powietrze centymetry od jego twarzy. Chwilę później Caedus uświadomił sobie, że podobnie jak wszyscy inni leży na pokładzie. Miał ograniczone pole widzenia, a w uszach mu dzwoniło. W głowie kołatała się tylko jedna myśl: jak straszliwie nie docenił młodszego kuzyna! Jak cierpliwie Ben czekał na właściwą chwilę, gotów do poświęcenia lasów Kashyyyka, kapitana Twizzla, a nawet własnego życia, aby się tylko upewnić, że zabije Caedusa!

Lord Sithów doszedł do wniosku, że może jeszcze będzie miał z chłopca pożytek.

Nie miał dość czasu, żeby odczepić od pasa rękojeść swojego miecza, więc tylko wyciągnął rękę i wysłał błyskawicę Mocy. Porażony nią Ben potoczył się po pokładzie i zamienił w konwulsyjnie drżącą kulę pod ścianą. Caedus przywołał do dłoni jego świetlny miecz, zerwał się na nogi i powiódł spojrzeniem po poboju, które jeszcze chwilę wcześniej było pokładem lotniczym „Anakina Solo”. Wszędzie dostrzegł trupy... najwięcej pod iluminatorem, który strzaskała eksplozja ciemnej bomby Lowiego. Dowodziły tego

fragmenty ciała, leżące u podstawy opuszczonej kurtyny, odpornej na blasterowe strzały.

Caedus odwrócił się i podszedł do Bena. Chłopiec zaczynał przychodzić do siebie po trafieniu przez błyskawicę Mocy. Prostował kończyny i chwycił powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Ignorując bimmańską panią podporucznik, która wyciągała do niego rękę, błagając go o pomoc, Caedus kucnął obok młodszego kuzyna i z aprobatą pokiwał głową.

- Nieźle, całkiem nieźle - powiedział. Musiał posłużyć się Mocą, żeby Ben go usłyszał poprzez zawrozczenie alarmowych syren i jęki rannych. - Powiedziałbym nawet, że znakomicie.

Ben przewrócił oczami i spojrział na Caedusa. Nie starał się ukrywać zawodu ani wściekłości.

- Wystarczy... że to zakończysz - wychrypiał.

- Zakończysz? - Caedus wyłączył klingę jego świetlnego miecza i przypiął rękojeść do swojego pasa. Posłużył się Mocą, żeby pomóc chłopcu wstać. - Benie, dopiero zaczynamy - powiedział.

ROZDZIAŁ 16

Po Hangarze Piętnastym snuł się gryzący, szary dym. Sączył się ze szczelin między panelami podłogi i spod drzwi; wpadał także przez główne wrota za każdym razem, kiedy likwidowano barierę ochronnego pola. Tu i tam krzatali się Wookie o osmalonej sierści, często poparzeni, usiłując przygotować do startu myśliwce StealthX pilotów Jedi, zanim cały hangar stanie w ogniu. Leia obserwowała z niepokojem, jak szybko pożar się rozprzestrzenił po całym Rwookrrorro, chociaż nie powinna być tym zaskoczona. Nawet w wilgotnym klimacie Kashyyyka duże pożary szerzyły się z szybkością błyskawicy, bo wysuszały okoliczne lasy, żeby je później tym szybciej pochłonać. A Jacen starał się, jak mógł, aby każdy pożar osiągnął samowystarczalność.

- Nie wystarczyło mu, że spalił wroshyry - odezwał się Han, kiedy zszedł po rampie „Sokoła” i stanął obok żony. - Musiał wziąć na cel także miasta. - Zakrztusił się i rozkaszał. - Powinniśmy byli wyrzucić tego chłopca przez okno ośrodka medycznego tego samego dnia, kiedy się urodził.

Han był tak rozgoryczony, że Leia poczuła ból w sercu.

- Hanie, proszę cię - powiedziała. Miała w oczach łzy, ale usiłowała sobie wmówić, że

to od dymu. - Nie mówisz tego poważnie.

- Nie mówię poważnie? - oburzył się mąż. - Rozejrzyj się, kochanie. Te istoty kiedyś mnie szanowały.

Leia nie skorzystała z jego rady. Nie mogła nie widzieć rzucanych w ich stronę ukradkowych spojrzeń Wookiech ani nie czuć ubolewania i gniewu, które wypełniały tkankę Mocy.

- Na pewno wybaczą panu, że nie wychował pan lepiej Jacena - odezwał się Threepio, z donośnym brzękiem schodząc po rampie. - Wookie doskonale rozumieją, co to znaczy mieć nieposłuszne dzieci.

- Jacen już dawno przestał być dzieckiem, Threepio - stwierdziła Leia. Starła się przeniknąć spojrzeniem dym, żeby odnaleźć brata, ale po chwili odwróciła się znów do Hana. - Cóż, gdybyśmy go wtedy wyrzucili przez okno, w tej chwili galaktyką władaliby Yuuzhan Vongowie. Bez względu na to, kim Jacen się stał, był kiedyś bohaterem, który ocalił galaktykę.

- Tak? - zadrwił Han. - A więc w tej chwili już nie ma żadnego Jacena Solo. - Ruszył w stronę odległego kąta hangaru, gdzie zebrali się Luke i członkowie Rady Mistrzów, żeby omówić strategię dalszej walki. - Jacen Solo nie żyje. Mój syn by tego nie zrobił.

- Gdzie ja to już słyszałam? - Leia spojrzała w ten sam kąt i pokręciła głową, uznając słowa męża za typową dla niego przesadę. - Niech się zastanowię... Lecieliśmy „Sokołem” w stronę Korelii i dowiedzieliśmy się, co Jacen zrobił Ailyn... - Urwała, bo dotarło do niej właśnie, że Han nie przesadza. Jej mąż miał rację. Po tym wszystkim, co spotkało Jacena, kiedy był więźniem Yuuzhan Vongów, ich syn prawdopodobnie mógłby torturować, a nawet zadreńczyć Ailyn Habuur na śmierć, ale nie byłby zdolny do podpalenia całej planety. Nie mogłoby tego zrobić wrażliwe dziecko, które zabierało ulubione zwierzątka do swojego pokoju w Akademii Jedi na Yavinie Cztery. I nie mógłby tego zrobić także rycerz Jedi, który pokazał galaktyce, jak zawrzeć pokój z obcymi istotami, nawet nieznającymi takiego słowa.

Tamtę Jacen już nie żył. Leia zrozumiała to jasno i poczuła się jak wtedy, kiedy zginął Anakin. Poczwała wówczas bolesną pustkę, straszliwe rozdarcie. Tym razem jednak te uczucia pojawiały się powoli, a ona się nie zorientowała, co się dzieje. Nie uwierzyła, że traci Jacena, dopóki jej płuc nie wypełnił gryzący dym pożarów dżungli Kashyyyka, dopóki nie poczuła mdłości od swądu osmalonej sierści i przypieczonej skóry Wookiech... i dopóki nie usłyszała, jak jej mąż wypowiada te słowa.

„Jacen Solo nie żyje”.

Han zdążył przejść najwyżej siedem kroków, zanim uświadomił sobie, że Leia nie

idzie za nim.

- Ach, niech to zaraza - mruknął i zawrócił. - Nie wściekaj się na mnie, że to powiedziałem. Wcale nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Leia zamierzała mu odpowiedzieć, ale z jej gardła wydobył się tylko chrapliwy skrzek.

Han zmarszczył brwi.

- Co się stało? - zapytał. - Nie widziałem, żebyś tak wyglądała, odkąd... - W jego oczach pojawił się wyraz udręki. - O co chodzi? Czyżby Jainie coś się stało?

- Nie - wychrypiała w końcu Leia. Bardzo chciałyby wybuchnąć szlochem albo pogрузić się w katalepsji, ale nie mogła. Tłumiła w sercu smutek, wściekłość i ból, które miały tam tkwić, dopóki nie eksplodują. - Jaina... nic jej nie jest. Chodzi o Jacena.

- O Jacena? - Han znów zmarszczył brwi i spojrzał w górę, jakby chciał przypomnieć, że syn, który mu sprawił największy w życiu zawód, wciąż tam jest. - Nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że dopadł go Lowbacca?

Leia pokręciła głową.

- Nie, Hanie - powiedziała. - Chcę powiedzieć, że masz rację. Z naszego Jacena nie pozostało nic, co by warto uratować.

Na twarzy jej męża odmalowała się jeszcze większa dezorientacja, ale zanim Leia zamilkła, podszedł do nich jej brat w towarzystwie Saby i pozostałych mistrzów Jedi.

- Leio, co się dzieje? - zapytał. - Wyczułem...

- Chodzi o Jacena - wyjaśnił Han. - Powiedziałem coś głupiego...

- Hanie, ty chyba nie słuchałeś tego, co mówiłam. - Leia wciąż jeszcze czuła wyrwę w sercu - a może to był ropiejący wrzód - ale powoli przychodziła do siebie. Mimo wszystko już kiedyś przez to przechodziła. - To, co powiedziałeś, nie było wcale głupie. Miałeś rację.

Luke spojrzał na Hana.

- Co takiego powiedziałeś? - zapytał.

Na twarzy Solo odmalowała się udręka i mistrz Jedi nie doczekał się odpowiedzi.

- Jeżeli kapitan Solo nie potrafi sobie przypomnieć swoich słów, może ja będę mógł mu pomóc - zgłosił się na ochotnika C-3PO. - Powiedział...

- Powiedziałem, że Jacen już nie żyje - odezwał się w końcu Han, przerywając androidowi. Objął Leię i przyciągnął do siebie.

- Przepraszam, kochanie. Sądziłem, że do tej pory sama się tego domyśliłaś.

W jego głosie nadal brzmiała gorycz na myśl o tym, jaki potwór zajął miejsce jego syna. Leia zrozumiała, że mąż cierpi z tego powodu nie mniej niż ona.

Luke nie wyglądał na uspokojonego odpowiedzią Hana. Zaciśnął usta, jak zawsze,

kiedy był gotów do podjęcia trudnej decyzji, i nie odrywał spojrzenia od twarzy szwagra.

- Przykro mi, ale nie jesteś w odpowiednim nastroju, żeby wziąć udział w walce - zdecydował i przeniósł spojrzenie na siostrę. - Ty też.

Han otworzył usta ze zdumienia, a niedowierzanie na jego twarzy ustąpiło miejsca gniewnemu zdecydowaniu.

- Tylko spróbuj mnie powstrzymać - powiedział. - Jacen jest naszym synem, więc to nasz problem.

- Mistrz Skywalker ma rację, Hanie - wtrącił Kyp. - Jesteś zbyt wzburzony, żeby walczyć. Gdybyś mógł wyczuć siebie w Mocy...

- Nie potrzebuję Mocy, żeby mi mówiła, jak bardzo jestem rozgniewany - przerwał Han. - I mam piekielnie dobry powód.

Zaczęli się kłócić. Han twierdził, że nikt nie wyruszy bez niego w pościg za Jacenem, a Luke i pozostali mistrzowie Jedi posłużyli się najmniej skuteczną bronią przeciwko jego uporowi - logiką - żeby go przekonać. Leia nie włączyła się do dyskusji. Rozumiała wprawdzie, że Luke i pozostali mają rację, ale wiedziała aż za dobrze, że łatwiej się wyrwać z paszczy czarnej dziury, niż nakłonić jej męża do zmiany zdania.

A poza tym była zbyt przygnębiona i smutna, aby pogodzić się z tym, z czym musiała się pogodzić. Doszło w końcu do tego, że Han był gotów zabić własnego syna, a ona była gotowa mu w tym pomóc. Czyżby właśnie tu przebiegała granica matczynej miłości? Leia jej nie przekroczyła, kiedy Jacen torturował i mordował, a teraz wystarczyło, żeby podjął próbę spalenia planety? Wróciła myślami do ostatniej rozmowy ze szwagierką. Mara zapytała wówczas, czy zdaniem Leii Jacen mógł zostać sprowadzony na złą drogę przez Lumię. Księżniczka zastanowiła się, co podsunęło Marze właśnie takie pytanie. Czyżby mistrzyni Jedi wyczuwała już wtedy to, co oboje Solo wiedzieli dopiero teraz? A może Leia zwątpiła w syna dopiero po tym, jak dokonał przewrotu?

Nareszcie zrozumiała. Może Mara nie była jedyną stronniczką Jacena, która w końcu zaczęła podawać w wątpliwość własny osąd? Jeżeli nielegalny przewrót wystarczył, żeby zasiać wątpliwości w umyśle Mary, jaki wpływ na Tenel Ka będzie miało spalenie dżungli Kashyyyka? Czyżby pułkownik popełnił w końcu kardynalny błąd - taki błąd, który może zmienić losy galaktyki?

Leia zaczęła znów przysłuchiwać się dyskusji. Do rozmowy przyłączyła się Tahiri. Młoda kobieta miała ciemne plamy pod oczami, a jej lotniczy kombinezon pilotki myśliwca StealthX wisiał na niej, jakby był o dwa numery za duży. Tahiri nie wyglądała na wypoczętą i Leia zaczęła się niepokoić, czy przypadkiem przemiana Jacena nie dotknęła także młodej

Jedi. Po śmierci Anakina Leia i Tahiri stały się sobie bardzo bliskie... prawdopodobnie dlatego, że obie go kochały i obie przeżyły to samo w niewoli Yuuzhan Vongów.

- ...nawet gdyby „Sokół” miał powłokę, dzięki której byłby niewykrywalny dla promieni sensorów - mówiła Tahiri, zwracając się do Hana - przy twoim stanie umysłu taka wyprawa to po prostu samobójstwo.

- Wiem - odciął się Solo. - Swego czasu wiele razy wyruszałem na takie wyprawy.

- Hanie, oni mają rację. - Leia chwyciła męża za rękę i uściśnęła z całej siły. Chciała, żeby dotarły do niego jej słowa. - Popelniając samobójstwo, nie powstrzymasz Jacena... podobnie jak nie pomożesz Kashyyykowi.

Han spiorunował ją spojrzeniem.

- Ta-a, i co z tego? - zapytał.

- Nie wiem, jak tobie, ale mnie nie uśmiecha się bezsensowna śmierć - westchnęła księżniczka. - Wolałabym zrobić coś, co może ocalić przynajmniej niektóre z tych wroshyrów.

- Niby co? - Ku zaskoczeniu Leii, to pytanie zadała Tahiri. - Jeżeli ci się wydaje, że wywiedziesz nas w pole, mówiąc jedno i robiąc coś innego, spróbuj jeszcze raz.

- Jedi Veila! - zganiała ją Saba. - Księżniczka Leia na nic takiego by sobie nie pozwoliła. Podobnie jak ty, jessst przecież rycerzem Jedi.

- Jest także żoną Hana Solo - odcięła się Tahiri. - A niedotrzymywanie słowa było jedną z jej ulubionych taktyk, zanim jeszcze się wyklułaś. Chcę wiedzieć, co zamierza.

- Coś innego. - Leia kierowała cały czas spojrzenie na twarz męża. - Jeszcze nie jesteśmy gotowi odesłać cię na śmietnik historii, pilociku. Co ty na to, żebyśmy dokonali czegoś pożytecznego?

Wyczuła, że w końcu Han zaczął się odprężyć.

- Masz jakiś plan? - zapytał. - Nie mówisz tego tylko po to, żeby mnie uspokoić?

Leia się uśmiechnęła.

- Ten plan to prawdziwy majstersztyk - oznajmiła, ciągnąc go w stronę rampy „Sokoła”. - Zaufaj mi.

- To nie może być to miejsce.

Alema patrzyła przez przezroczysty fragment kadłuba Statku, ale widziała tylko przysypane pyłem ruiny kosmoportu. Połowę lądowisk zajmowały rdzewiejące transportowce, a resztę pokrywała tak gruba warstwa rozlanych płynów hydraulicznych i chłodziwa, że najmniejsza iskra mogłaby zamienić cały kosmoport w kulę toksycznego ognia.

Przed niewielkim budynkiem kapitana przykucnęło trzech niechlujnie wyglądających techników personelu naziemnego. Istoty różnych ras umilały sobie życie, tocząc po płycie lądowiska kostki wielkości pięści i udając, że jej nie widzą.

- Popeliłeś błąd - odezwała się Alema do Statku.

Sfera Sithów tak nie uważała. To właśnie tu doprowadziła ją nawigacyjna struna. Jeżeli Uszkodzona nie chciała przylatywać na Korribana, to ona się pomyliła.

- To ma być Korriban? - zachnęła się Alema.

Była wstrząśnięta, przerażona... i dezorientowana. Każdy uczeń Jedi słyszał o Korribanie i jego mrocznej przeszłości, a zwłaszcza o Dolinie Czarnych Lordów, gdzie podobno wciąż jeszcze mieszkaly duchy pradawnych mistrzów Sithów. Z żadnej informacji w archiwach Jedi nie wynikało jednak, żeby planeta była twierdzą współczesnych Sithów. Luke chyba chciał, żeby zapomniano o tym miejscu, bo nakazał usunąć z pamięci komputerów Jedi wszystkie wzmianki na jego temat. Poprosił też, żeby to samo zrobili piloci Galaktycznego Sojuszu ze swoimi komputerami nawigacyjnymi.

Omiatając spojrzeniem zrujnowany kosmoport, Alema nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mistrz Jedi zadał sobie tyle trudu. Nawet gdyby planeta była rzeczywiście siedzibą potęgi Ciemnej Strony, jej widok nie skusiłby nikogo do złożenia tu wizyty. Przed lądowaniem zauważyła otaczającą port wioskę, której budynki były w jeszcze bardziej opłakanym stanie.

- Jesteś pewien, że to jedyne zamieszkane miejsce? - zapytała. - To nie może być siedziba Sithów.

Statek nie wykrył jednak innego skupiska ludności na powierzchni Korribana. Alema zwróciła uwagę, że sfera nie mówi nic na temat Sithów. Twi'lekanka przypomniała sobie, jak skromnie był urządzone apartament Lumiyi. Zamknęła oczy, usunęła z umysłu wszystkie wyobrażenia na temat tego, jak jej zdaniem powinna wyglądać siedziba Sithów, i pogрузzyła się w medytacji.

Niemal od razu zaczęła odczuwać chłód otulającego planetę całunu... prastarej emanacji potężnej energii Ciemnej Strony.

Zrozumiała, że nawet jeżeli na planecie żyją jacyś Sithowie, trudno jej będzie odróżnić ich aurę w Mocy od aury samego Korribana. Może właśnie dlatego to miejsce było taką dobrą kryjówką.

Podeszła do miejsca, w którym Statek zazwyczaj wysuwał jęzor rampy lądowniczej.

- Przeleciałyśmy taki szmat drogi, więc nie zaszkodzi się rozejrzeć - oznajmiła, starając się, żeby to zabrzmiało beztrąsko.

W kadłubie nie pojawiła się jednak szczelina, a Statek wydawał się lekko urażony przypuszczeniem Alemy, że tak łatwo jest go oszukać.

- Wcale nie chcemy cię oszukać - odparła Twi'lekanka, pomagając sobie Mocą, żeby nakłonić Statek do poddania się jej woli. - Chcemy tylko zapytać tych techników, gdzie się znajdujemy. Może to ci udowodni, że jednak popełniłeś błąd w nawigacji.

Statek wcale nie popełnił błędu. Wiedział, o co naprawdę Uszkodzona chce zapytać techników, i nie zamierzał jej w tym przeszkadzać. Pomyślał, że może Moc spełni jego życzenie i Uszkodzona da się zabić. Wyodrębnił z kadłuba fragment powierzchni i utworzył z niego rampę lądowniczą.

Trochę oszołomiona niezwykłą łatwością, z jaką przekonała Statek, Alema zeszła po rampie i ruszyła po pokrytej smarem i płynami płycie lądowiska w kierunku grupki techników personelu naziemnego. Wszyscy byli obdarci i nie wyglądali na twardzieli. Mieli dziurawe kombinezony robocze, a ich wymizerowane twarze zdradzały, że nie odżywiali się jak należy. Zlepiona brudem sierść Bothanina wyglądała jak przyklejona do ciała, gruba warstwa pleśni na łuskach Barabela nie pozwalała się im rozpląszczyć, a skórę istoty ludzkiej szpeciły czerwone wrzody.

Alema podeszła do nich i jakiś czas obserwowała ich zabawę. Kiedy Bothanin zaklął i podał kości Barabelowi, wygięła lubieżnie biodro i oparła na nim dłoń sprawnej ręki.

- Cześć, koledzy - powiedziała. - Widzimy, że jesteście zajęci, ale może pomoglibyście dziewczynie w potrzebie?

Bothanin i mężczyzna unieśli głowy i omietli ją od stóp do głów taksującym spojrzeniem. Tak nie patrzyła na nią żadna istota płci męskiej od czasu wydarzeń na Tenupe. Alema była tak zachwycona, że kiedy Barabel rzucił kości i wykorzystał chwilę nieuwagi partnerów, aby odwrócić jedną wizerunkiem słońca do góry, posłużyła się Mocą i przywróciła kości poprzednie położenie.

Barabel posłał jej oburzone spojrzenie, ale Bothanin obnażył kły i podziękował drapieżnym uśmiechem, jak każdy osobnik płci męskiej, który rozumiał, że Alema nie ma nic przeciwko jego zalotom.

- Dla tak pokręconej dziewczyny jak ty może znajdziemy trochę czasu - powiedział. - Czego potrzebujesz?

Alema odpowiedziała mu równie drapieżnym uśmiechem.

- Na razie tylko odpowiedzi - oznajmiła. - I może mapy miejsca, do którego chcemy się dostać.

Mężczyzna wstał i podszedł do niej blisko - trochę zbyt blisko, zwłaszcza że okropnie

cuchnął.

- Ja też mógłbym ci udzielić takiej odpowiedzi - zaproponował.

Alema uniosła brew.

- Mogę się o to założyć - powiedziała.

Barabel zasyczał i odtrącił kości na bok. Przysiadł na stopach, jakby zamierzał zaczekać, aż partnerzy wrócą do przerwanej gry.

Alema go zignorowała i spojrzała na Bothanina.

- Chcemy wiedzieć, gdzie znajdziemy kryjówkę Sithów - wyjaśniła.

Nastawienie obcej istoty uległo tak subtelnej zmianie, że Twi'lekanka ledwo to zauważyła, a mężczyzna zaczął skutecznie udawać zdezorientowanego. Co innego mówiły jednak ich aury w Mocy. Obaj technicy byli tak wstrząśnięci i przerażeni, że w każdej chwili mogli ją zaatakować.

- Nigdzie ich tu nie znajdziesz. - Bothanin wstał i kiwnął ręką na pozostałych. - Chodźcie - powiedział. - Mamy dużo pracy.

- A co z naszą odpowiedzią? - zagadnęła Alema filuternym tonem i z całej siły chwyciła wszystkich trzech Mocą. - Nie lubimy rozczarowań.

Mężczyzna zderzył się z plecami Bothanina i w pierwszej chwili rzeczywiście nie miał pojęcia, co się dzieje... dopóki nie usłyszał, jak Bothanin usiłuje ze świstem złapać powietrze. Przerażony mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał na Aleme.

- S-Sithowie nie żyją - wyjąkał. - Od wielu, wielu w-wieków.

- Daj spokój. - Alema podeszła bliżej, ujęła go pod brodę i przyciągnęła jego twarz do swojej twarzy. - Nie wolno kłamać komuś, kto jest Jedi.

Zmiażdżyła jego szczękę uściskiem Mocy i wspomaganym przez Moc pchnięciem posłała go na ścianę budynku kapitana kosmoportu. Odwróciła się do Bothanina.

- Zapytamy uprzejmie jeszcze raz - zaczęła. - Gdzie znajdziemy Sithów?

- Nieważne, w jaki sposób zadasz pytanie - odparł Bothanin... Całkiem odważnie, pomyślała Twi'lekanka. - Bez względu na to, co nam zrobisz...

- Nam? - zasyczał Barabel. - Rak'k nie zamierza ich ukrywać. Jeżeli Jeden Ogon szuka śśmierci, to jego sprawa.

Alema odwróciła się do Barabela.

- Dziękuję - powiedziała. - W takim razie, gdzie mogę ich znaleźć?

- Mówiąc ci to, Rak'k ryzykuje, że obedną go żywcem ze skóry - odparł Barabel. - A więc spodziewa się nagrody.

Alema pokręciła głową.

- Przykro mi - oznajmiła. - Uważamy łuski za coś... obrzydliwego.

- A kto mówi o łuskach? - zapytał zdezorientowany Barabel. - Rak'k ma na myśli twój statek. Kiedy nie wrócisz...

- Jeżeli nie wrócę - poprawiła go Alema. - Dlaczego wszystkie istoty zawsze nas lekceważą?

Barabel opuścił brwi.

- Skąd Rak'k miał to wiedzieć? - zapytał. - Dopiero co cię zobaczył.

- Rzeczywiście. - Alema obejrzała się na Statek. Spróbowała wyobrazić sobie, co sfera Sithów by zrobiła, gdyby kontrolę nad nią usiłował przejąć ktoś nieumiejący władać Mocą. - Myślisz, że poradziłbyś sobie z naszym statkiem? - zapytała.

Barabel bez wahania pokiwał głową.

- Jeszcze nie zbudowano takiego statku, którego Rak'k nie dałby rady pilotować - powiedział.

Twilekanka nie miała pojęcia, czy Statek w ogóle został zbudowany, ale skoro Rak'k uważał, że wysyła ją na niemal pewną śmierć, prawdopodobnie wyświadczyłaby przysługę Równowadze, gdyby zawarła z nim taką umowę. A zresztą i tak dwie minuty po jej odejściu Barabel i jego koledzy mieli zapomnieć nie tylko o niej, ale także o tej umowie. Taki drobiazg nie powstrzymałby ich oczywiście przed próbą porwania Statku, ale w ten sposób przynajmniej zasłużyliby na zemstę z jego strony.

- Zgoda - odezwała się w końcu Alema. - Gdzie znajdziemy Sithów?

Bothanin odwrócił z wysiłkiem głowę i spojrzał na Barabela.

- Rak'k, nie możesz jej tego powiedzieć... - zaczął.

- W Dolinie Ciemnych Lordów - palnął Rak'k.

Alema puściła Bothanina i schwyciła Mocą Barabela, żeby przyciągnąć go do siebie.

- Miałam na myśli żywych Sithów, Kościstogłowy - warknęła.

- Ja też - odparł Barabel.

- Uważaj, Rak'k! - skarcił go Bothanin, Barabel go zignorował, nie odrywając spojrzenia od twarzy Alemy.

- Poszukaj wylotu doliny - powiedział. - Będzie tam stał ich klasztor.

- Rak'k, przez ciebie wszyscy zginiemy - jęknął wstrząśnięty Bothanin. - Zwalniam cię z pracy.

Barabel wzruszył ramionami.

- On i tak nie miał tu dobrych warunków do polowania - powiedział i odwrócił się znów do Alemy. - Jaki jest kod dostępu do statku? - zapytał.

- Nie ma żadnego - odparła Twi'lekanka. - Wystarczy podejść do rampy i wejść do środka. A później statek sam odleci.

Barabel spojrział z powątpiewaniem na Statek, którego kadłub pulsował purpurą na dowód wściekłości.

- Nie kłamiesz? - zapytał.

- Jasne, że nie. - Alema już chciała poklepać go po policzku, ale spojrzała na nastraszony łuski i zrezygnowała. - Czyżbym cię kiedyś okłamała?

Barabel zastanowił się nad jej pytaniem i pokręcił głową.

- Będziesz potrzebowała środka transportu - powiedział, zerkając na Bothanina. - Yas'tua ma sprawny grawicykl.

Bothanin zmrużył oczy, w których zapaliły się zimne błyski.

- Nie muszę cię zwalniać z pracy - syknął. - Jeżeli oni cię nie zabiją, ja to zrobię.

Rak'k znów wzruszył ramionami.

- On wcale tak nie uważa - oznajmił obojętnie. Spojrzał na Statek i obnażył kły. - Wkrótce odleci stąd swoim nowym gwiazdowym statkiem.

Alema zmusiła Yas'tuę, żeby dał jej swój grawicykl, i dziesięć minut później leciała w kierunku widniejącego na horyzoncie pasma gór, gdzie zdaniem Rak'ka mieściła się kryjówka Sithów. Patrząc na spieczony, jałowy krajobraz Korribana, coraz bardziej wątpiła w to, że przyleciała we właściwe miejsce. Czyżby naprawdę właśnie tu znajdowało się źródło konspiracji Sithów, o którym napomknęła Lumiya? Im bliżej celu podróży Alema się znajdowała, tym okolica stawała się mroczniejsza i tym trudniej jej było lecieć dalej.

Rwała się jednak do przodu, bo śmierć znaczyła dla niej mniej niż udręka, która mogła jej towarzyszyć. Jej życie będzie miało sens tylko wówczas, jeżeli wykorzysta je w służbie Równowagi... dla wyrównania rachunków między nią a Leią Solo. Alema nie mogła pozwolić, żeby cokolwiek przeszkodziło jej w zdobyciu pomocy, dzięki której mogłaby ocalić Jacena przed nim samym.

W końcu dotarła do wylotu mrocznego kanionu, do którego skierował ją Rak'k. Jeszcze przed chwilą góra wyglądała jak wszystkie inne, ale teraz Alema stwierdziła, że stoi przed gigantycznym wypiętrzeniem płaszczka planety, który wznosi się ku niebu jakby na powitanie Sithów.

Jak wspomniał Rak'k, u wylotu posępnego kanionu rzeczywiście stał prastary klasztor. Wyglądał jak wiązka kopulastych wież za wysokim kamiennym murem. Na jego fasadzie widniały resztki niebieskich płytek z rysunkami oka, pazura albo kła. U stóp muru leżały fragmenty porzuconych urządzeń - przenośnych generatorów pól deflektorów, osłon

wyczerpanych ogniw energetycznych i archaicznych podstaw laserowych działek. Krótko mówiąc, wyglądało to raczej jak zrujnowana siedziba niechlujnego pustelnika niż źródło potęgi Lumiya... ale przecież Sithowie byli mistrzami kamuflażu.

Alema zastopowała grawicykl i zeskoczyła z siodełka. Odwróciła się tyłem do klasztoru, żeby dyskretnie wsunąć obronną strzałkę do niesprawnej dłoni, po czym podeszła do bramy - zardzewiałej, czterometrowej płyty z litej durastali. Stała przed nią minutę czy dwie, nie odzywając się. Jeżeli w klasztorze mieszkali Sithowie, powinni wiedzieć, że stoi przed ich bramą, a jeżeli ktoś inny, to słono zapłaci za to, że każe jej czekać.

W końcu wrota zaskrzypiały i brama się uchyliła. Stał za nią wysoki Togorianin o gładko ogolonej twarzy, ozdobionej tatuażem, który zaczynał się u wierzchołka grubego pyska, by przejść w koncentryczne kręgi wokół ciemnych oczu i nastawionych uszu. Nie wiadomo, czy miał także ogolone i wytatuowane ciało, bo Togorianin był zakuty w ciemny pancerz, na który narzucił jeszcze ciemniejszy płaszcz.

Alema uśmiechnęła się i omiotła spojrzeniem potężnie zbudowaną sylwetkę.

- Nareszcie... - zaczęła. - Tego szukałyśmy.

Togorianin wyciągnął rękę tak szybko, że Alema ledwo zdążyła to zauważyć. Poczula tylko, że szpony odźwiernego wbijają się w ciało jej sprawnej ręki. Togorianin w milczeniu wciągnął ją za próg i zaczął wlec przez kolebkowo sklepione mroczne przejście. Po kilkunastu krokach znaleźli się na wielkim brukowanym dziedzińcu. W jego murach widniały mroczne balkony i ciemne bramy. Togorianin puścił jej rękę i Alema upadła na czarne kamienie.

- Jeżeli nam powiesz, Jedi, jak nas tu znalazłaś, zaznasz łaski szybkiej śmierci - powiedział, nie pozwalając jej ruszyć dzięki Mocy. Naciskał z taką siłą, że Alema nawet nie próbowała się mu opierać. - Jeżeli się zawahasz, twoje cierpienia będą dla nas rozrywką każdego dnia następnego roku.

- Nie przybyłyśmy tu, żeby zginąć szybką śmiercią - odparła hardo Twi'lekanka. - I możemy was zabawiać tak długo, jak zechcecie.

Togorianin obnażył kły.

Alema miała przy sobie fiolkę zżerających ciało bakterii z Tenupe. Mogła się nią potem posłużyć... dla zapewnienia Równowagi. Nie zwracając uwagi na reakcję Togorianina, uśmiechnęła się do niego.

- Ale z przyjemnością wyjaśnimy, jak was tu znalazłyśmy - oznajmiła.

- A ja z przyjemnością pozwolę ci żyć, dopóki tego nie zrobisz

- odparł odźwierny. - Później... zobaczymy.

- Może być - odparła Alema. - Podążaliśmy tu, kierując się wskazówkami nawigacyjnej struny mikroobwodu z zapisanymi informacjami.

- Gdzie zdobyłaś ten mikroobwód? - zainteresował się Togorianin.

- Wolnego - zaprotestowała Twi'lekanka. - My także mamy pytania.

Togorianin postawił stopę na jej klatce piersiowej i nadepnął z taką siłą, że Alema straciła zdolność oddychania. Posłużyła się Mocą, żeby unieść okaleczoną rękę, i wbiła strzałkę w nieosłonięte miejsce pod kolanem napastnika.

Togorianin natychmiast zdjął nogę z jej piersi, odskoczył i zapalił klingę świetlnego miecza. Alema usłyszała pomruk i syk, ale napastnik nie popełnił błędu i dalej przytrzymał ją w uścisku Mocy.

- Co mi zrobiłaś? - zapytał.

- Ostrzegłam cię - odparła Alema.

Z któregoś balkonu rozległ się syk.

- Skeeto ma żądło - odezwała się chrapliwie jakaś kobieta. - Mam nadzieję, że nie zabiłaś biednego Morta. W końcu wykonywał tylko rozkazy.

Alema spojrzała na Togorianina, który przyglądał się jej z nienawiścią, ale niczym nie okazywał, jak wściekły ból musiał pulsować w jego nodze.

- Przeżyje - powiedziała. - Pod warunkiem, że nas puści.

- Bardzo dobrze. - Kobieta musiała dać znak Mortowi, bo Alema odzyskała swobodę ruchów. - Nie mam nic przeciwko temu, Jedi, żebyś i ty zadawała nam pytania. I tak nie wyjdiesz stąd żywa.

Alema westchnęła z ulgą i wstała. Wyjęła z kieszeni jedną z fiolek, które zabrała z Tenupe. Sprawdziła kod wydrapany na wierzchu i kiedy się upewniła, że wyjęła właściwą, rzuciła ją Togorianinowi.

- Wetrzyj to w ranę - poleciła. - Wszystko.

Kiedy Morto schwycił fiolkę, przez Moc przetoczyła się fala ulgi. Togorianin uklęknął i zaczął odpinać sprzączki pancerza na łydce. Alema zaczęła, aż Morto wetrze w ranę mieszankę tenupiańskich bakterii, po czym uśmiechnęła się do siebie.

Równowaga, pomyślała.

Odwróciła się i spojrzała w górę, skąd dobiegał głos kobiety. Z zaskoczeniem zobaczyła na balkonie cały rząd ubranych w czarne płaszcze osób. Gdyby nie różnice w budowie ciał, wyglądałyby jak postacie, które zobaczyła, badając informacje z pamięciowego mikroobwodu Lumiya. Wszystkie miały na głowach kaptury, dokładnie skrywające twarze.

- O co chciałaś nas zapytać? - Tym razem Alema usłyszała niski, chrapliwy męski

głos. Mężczyzna stał wyżej, na środkowym balkonie, a pod jego mrocznym kapturem widać było tylko blade, prawie białe oczy. - I żadnych sztuczek, Jedi. My, Sithowie, nigdy nie słynęliśmy z cierpliwości.

Alema obrzuciła spojrzeniem postacie na niższym balkonie.

- Jak to możliwe, że wszyscy jesteście Sithami? - zapytała.

- Uczono nas, że w jednym czasie żyją najwyżej dwaj, mistrz i uczeń.

- To nieaktualne nauki - wyjaśnił mężczyzna. - Jesteśmy w tej chwili tylko Jednym Sithem.

Alema naliczyła ich ponad trzydziestu, ale na nic by się nie zdało, gdyby zarzuciła mężczyźnie kłamstwo. Pomimo tego, co powiedziała Togorianinowi, nie przyleciała tu, żeby poznać prawdę o Zakonie Sithów, chociaż naturalnie nie miałyby nic przeciwko temu. Chciała tylko ich namówić, żeby pomogli Jacenowi. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza, żeby wyjąć pamięciowy mikroobwód z danymi Lumiya... i aż się wzdrygnęła, kiedy w mgnieniu oka zapłonęły klingi trzydziestu świetlnych mieczy.

- To nam pochlebia, ale nie jesteśmy aż tak niebezpieczne - powiedziała i zademonstrowała wszystkim przedmiot, który znalazła w apartamencie Lumiya. - To mikroobwód, który... - zaczęła.

Zanim skończyła, mikroobwód wyslizgnął się z jej palców i uniósł na wysokość bladych oczu Sitha. Mężczyzna przebadał go, nie używając żadnego czytnika danych, a wreszcie pokiwał głową i powiódł spojrzeniem po pozostałych.

- To ten. - Skierował blade oczy na Alemę. - Gdzie go znalazłaś?

- W tym samym miejscu, do którego przyleciałam moim statkiem Sithów - odparła Twi'lekanka. Sithowie niewątpliwie mieli w kosmoporcie kogoś, kto obserwował Statek... a może nawet go tu sprowadził. - Odziedziczyłam go po mojej... mistrzyni. Nazywała się Lumiya.

W białych oczach Sitha zapaliły się podejrzliwe błyski.

- Bardzo swobodnie się zachowujesz - stwierdził mężczyzna.

- Udzieliłaś dwóch odpowiedzi na jedno pytanie.

Alema wzruszyła ramionami.

- Nie mamy powodu przypuszczać, że nas oszukasz - powiedziała. - Jaki byłby w tym sens, skoro i tak zamierzacie nas zabić?

- Rzeczywiście - przyznał Białooki. - Twoje pytanie?

- Nie wierzymy, żebyście mieli dostęp do HoloNetu w tej dziurze - zaczęła Alema. - Przypuszczamy jednak, że słyszeliście o śmierci Mary Skywalker.

- To prawda, mamy nasze źródła informacji - przyznał Sith.

- Tak przypuszczałam - mruknęła Alema. - A czy wiecie, że to ja ją zabiłam?

Ciszy na dziedzińcu nie zakłócił żaden dźwięk, ale ciemna Moc zafalowała od zaskoczenia i niedowierzania.

- Ty? - zapytał w końcu Białooki.

Alema pokiwała głową.

- My - przyznała. Wyczuwała, że Białooki i pozostali badają jej aurę w Mocy, aby ustalić, czy mówi prawdę. Nie powinni wyczuć kłamstwa, bo chociaż sama nie zabiła Mary, w gruncie rzeczy była odpowiedzialna za jej śmierć. Doszła do takiego wniosku dzięki tej samej logice, która kiedyś pozwoliła Mrocznemu Gniazdu przejąć kontrolę nad UnuThulem. W chwili śmierci Mary Alema znajdowała się w przestworzach Hapes, więc mistrzyni Jedi mogła przecież podążyć za nią, zamiast za Lumiya. To oznaczało, że Alema była w pewnym sensie odpowiedzialna za to, że Mara natknęła się na Jacena, a więc to ona przyczyniła się do śmierci tej czarownicy. Proste.

Sithowie szybko stwierdzili, że Twi'lekanka nie kłamie. Wyłączyli klingi świetlnych mieczy i spojrzeli na nią jakby z większym szacunkiem.

- Bardzo dobrze - odezwał się w końcu Białooki. - A zatem zabiłaś Marę Skywalker. Dlaczego jednak tu przyleciałaś? Czyżbyś szukała kryjówki?

- Kryjówki? - Alema poczuła się znieważona tym pytaniem.

- Czy uważacie nas za tchórza? Czy przypuszczacie, że szukałybyśmy kryjówki, kiedy Jacen Solo cały czas walczy, aby zachować Równowagę?

Białooki rzucił Sithom po lewej stronie zaintrygowane, a może udręczone spojrzenie.

- Jeżeli nie szukasz kryjówki, to po co tu przyleciałaś? - zapytał.

- Po pomoc - odparła Alema. - Po pomoc i wskazówki.

W Mocy przetoczyła się mroczna fala dezorientacji.

- Szukasz... wskazówek? - zagadnęła obdarzona chrapliwym głosem kobieta na niższym balkonie.

- U nas? - dodał Białooki.

- Owszem - potwierdziła Twi'lekanka. - Teraz, kiedy Jacen Solo nie ma Lumiyi, która by mu udzielała wskazówek, popełnia koszmarnie błędy. Ostatnio wziął do niewoli całą Akademię Jedi.

- Słyszeliśmy o tym - oznajmił Białooki. - Tylko co to ma wspólnego z nami?

Alema zaczynała się domyślać, że Sithowie nie zamierzają ryzykować życia, aby pomóc Jacenowi. Chcieli nadal tkwić w ukryciu, pozwalając, żeby wykonywał za nich całą

robotę i narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo... a później podał im galaktykę jak na tacy.

- Czy właśnie o to wam chodzi? - zapytała. - Stwarzacie własnych imperatorów i wysyłacie ich samych na podbój galaktyki? Nic dziwnego, że do pokonania Palpatine'a wystarczył prosty wieśniak i zadufana w sobie księżniczka.

Na chwilę zapadła głucha cisza. Chyba nawet Moc zastygła ze zgrozy.

- Przypuszczasz, że to my wyszkoliliśmy Jacena Solo? - zagadnął w końcu Białooki.

- Jestem pewna - przyznała bez wahania Alema. - Lumiya powiedziała, że istnieje plan. - Nawet nie próbowała ukryć pogardy w głosie. Jak ci tchórzliwi Sithowie mogli się ukrywać w paskudnej norze, podczas gdy jeden z nich samotnie starał się zawładnąć całą galaktyką? - Sama mi to powiedziała. „Istnieje plan... który zostanie zrealizowany bez względu na to, czy przeżyję, czy nie”.

W końcu w bladych oczach Sitha pojawiło się zrozumienie.

- To był plan Lumiya, nie nasz - oznajmił mężczyzna. - Jej i Vergere.

Tym razem to Alema okazała zaskoczenie.

- Vergere była Sithem? - zapytała.

- Nie wiedziałas o tym? - zdziwiła się kobieta o chrapliwym głosie. - A podobno byłaś uczennicą Lumiya.

- Czy wy zawsze mówicie wszystko swoim uczniom? - odcięła się Twi'lekanka.

- Może i nie - odparł Białooki. - Tak czy owak, Jacen to nie nasz problem. Nie chcemy z nim mieć nic wspólnego.

- Właśnie dlatego nie możemy pozwolić, żebyś nas opuściła - dodała kobieta.

- Ciągłe to powtarzacie - parsknęła Alema. - Pewnie byłybyśmy już martwe, gdybyście nie mieli do nas więcej pytań.

Była zuchwałą, bo wiedziała, że jej czas dobiega końca. Sithowie chyba dowiedzieli się od niej wszystkiego, co chcieli, a kiedy się o tym upewnią, może się spodziewać ataku. Musi tylko zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby nie napadł na nią Morto... jej biedne ciało nie potrzebowało czegoś takiego jak porcja żywiących się tkanką bakterii.

- Czyja teraz kolej na zadanie pytania? - zagadnęła.

- Powiedzmy, że twoja - zdecydował Białooki. - Przynajmniej tyle możemy dla ciebie zrobić.

- Co za rycerskość - prychnęła Alema. Wskazała na mikroobwód, który Sith schował do kieszeni płaszcza. - To wiadomość, którą wysłaliście Lumiya. Jeżeli nie chcieliście mieć nic wspólnego z jej planem, dlaczego ją tu zaprosiliście?

- Wysłaliśmy jej zaproszenie, zanim jeszcze ukuła swój plan - wyjaśnił Sith. - Nasz mistrz chciał, żeby Lumiya przyłączyła się do jego organizacji, ale razem ze swoją eskortą wpadła w zasadzkę Yuuzhan Vongów. Lumiya uciekła, a Lomi Pio i jej uczeń...

- Lomi Pio była jedną z was? - Alema aż się zachłysnęła z wrażenia. - Naprawdę?

- Skąd znasz Lomi Pio? - zapytał Morto, a jego głos dla doświadczonego ucha Alemy zabrzmiał jak rechot ogarniętego żądzą płaza. Togorianin wstał i zaczął się do niej zbliżać. - Co się z nią stało?

- Lomi Pio była naszą... uhm... mistrzynią - odparła Alema. Ruszyła naprzód, żeby oddalić się od Togorianina. - Zginęła podczas Bitwy o Tenupe.

- Kłamiesz. - Morto następował jej na pięty. - Dlaczego miałyby walczyć przeciwko Killikom?

- Wcale tego nie robiła, głuptasie. - Alema odwróciła się do niego, ale przerażona perspektywą, że dotyk Togorianina może zniweczyć to, co jeszcze pozostało z jej urody wydłużyła krok.

- Walczyła po stronie Gorogów. Była naszą królową.

Morto stanął jak wryty.

- Była... robalem? - zapytał.

- Nie wolno ci tak o niej mówić. - Gdyby Alema tak bardzo się nie bała go dotknąć, posłużyłaby się Mocą i chlasnęła go w twarz z całej siły. - Sądziłyśmy, że ją kochałeś. Czy to prawda?

- Uczucia, jakim Morto darzył swoją mistrzynię, nic nas nie obchodzą - wychrypiła kobieta z balkonu. - A ja sądziłam, że twoją mistrzynią była Lumiya.

- Lomi Pio była nią jeszcze przed Lumiya - wyjaśniła Alema. - Wygląda na to, że zmieniamy mistrzynie równie często jak samców. - Oddaliła się jeszcze trochę od Morta, odwróciła się i spojrzała na balkon z szeregiem Sithów. - To nie wy stworzyliście Jacena? - zapytała.

Białooki pokręcił głową.

- Nasz mistrz spotkał się z Vergere, kiedy jeszcze przebywała w niewoli Yuuzhan Vongów - powiedział. - Spodobała się jej nasza wizja Jednego Sitha.

- Ale po Pierwszej Bitwie o Bilbringi Vergere uciekła z niewoli Yuuzhan Vongów i spotkała się z Lumiya - dodała kobieta.

- Lumiya przekonała ją, że plan naszego mistrza nie jest wystarczająco szybki. Istniała możliwość, że kiedy Jeden Sith będzie już gotów do działania, Jedi Skywalkerów okażą się tak silni, że nie damy rady ich pokonać.

- I dlatego postanowiły stworzyć Jacena - dokończył Białooki.

- Postąpiły słusznie - zdecydowała Alema. - Ale jeżeli wy nie pomożecie teraz Jacenowi, Jedi go zniszczą, a wraz z nim zniszczą Równowagę.

- Równowagę? - powtórzył jak echo Białooki. - A jaką to Równowagę masz na myśli?

- Nie wiecie, co to Równowaga? - Alema nie mogła uwierzyć, że Mistrz Sithów musiał o to pytać. - Równowaga istnieje między każdym władcą Mocy a samą Mocą. Istnieje także między każdą władczynią Mocy a jej wrogami. Służymy Równowadze, robiąc naszym wrogom to, co oni robią nam. Jeżeli poniesiemy porażkę, porażkę ponosi sama Moc...

- Dość! - uciął Białooki. Uniósł dłoń w czarnej rękawicy i Alema aż się zakrztusiła, kiedy jakaś siła ścisnęła ją za gardło.

Sith omiółł pytającym spojrzeniem obie strony balkonu nad dziedzińcem i widocznie uzyskał powszechną zgodę, bo spojrzał na stojącego za Alemą Morta.

- Chyba uzyskaliśmy odpowiedzi na nasze pytania - zawyrokował.

Alema usłyszała skwierczenie i zrozumiała, że to Morto zapalił klingę świetlnego miecza. Z zaskoczeniem stwierdziła jednak, że cały czas ma swobodę ruchów. Mogła sięgnąć po swój świetlny miecz, odwrócić się i stanąć do obrony. Zrozumiała, że Sithowie chcą, żeby walka z nią stała się dla Morta okazją do treningu. Odczepiła od pasa rękojeść świetlnego miecza, ale zamiast zapalić klingę, cofnęła się i uniosła metalowy cylinder, jakby prosiła o pozwolenie zadania jeszcze jednego pytania.

- Zaczekajcie - wychrypiała, bo Białooki cały czas posługiwał się Mocą, żeby ją uciszyć. - Ostatnie... pytanie.

W Mocy dał się wyczuć pomruk zniecierpliwienia, ale nacisk na jej gardło zniknął.

- Jak sobie życzysz - odezwał się Białooki. - Jedno pytanie.

- Dziękuję. - Alema wsunęła pod pachę rękojeść miecza i potarła szyję. - Luke Skywalker wkrótce się zorientuje, kto naprawdę zabił jego żonę. Czy chcecie, żeby was tu odnalazł?

Zniecierpliwienie w Mocy ustąpiło miejsca najpierw lękom i niepokoju, a na koniec rozczarowaniu. Sithowie wymienili spojrzenia i chyba doszli do porozumienia bez słów. Tego właśnie Alema się po nich spodziewała.

- Zgaś klingę świetlnego miecza, Morto - wychrypiała kobieta na niższym balkonie.

Togorianin nie zareagował wystarczająco szybko, więc Białooki spojrzał na niego i pomagając sobie Mocą, poderwał go w powietrze. Togorianin wylądował głową na kamiennej ścianie. Rozległ się trzask pancerza i pomruk gasnącej klingi miecza. Alema obejrzała się za siebie. Togorianin siedział u stóp kamiennego filaru i przyciskał dłoń do krwawiącego czoła.

- Dziękuję - powiedziała. - Chciałybyśmy jednak, żebyście nam naprawdę pomogli.

Białooki spojrział na nią.

- Zostaniesz u nas na noc - zdecydował. - Może mimo wszystko znajdziemy coś dla Jacena Solo.

ROZDZIAŁ 17

W tej kiepskiej widoczności Jaina była zdana tylko na wskazania pokładowych przyrządów. W końcu wyłoniła się z kłębow dymu. Kierując się sygnałem namiarowym, wleciała do zięjącego otworu hangaru... i znalazła się znów w nieprzejrzystych oparach. Nie widziała płomieni, ale wszędzie było tyle dymu, że chyba całe Rwookrrorro musiało stać w ogniu. Miała nadzieję, że dym unosi się z dołu. Lecąc, słyszała w głośniku komunikatora gwar rozmów, z których wynikało, że pożary szaleją głównie na środkowych poziomach lasów Kashyyyka, gdzie ogień mógł się sycić tlenem zarówno z niższych, jak i z wyższych pięter dżungli.

W tumanie przed nosem jej myśliwca pojawiły się sygnały kierunkowe, które nakazywały jej skrócić w prawo i zwolnić. Jaina skrzywiła się, ale usłuchała. Dopiero teraz do niej dotarło, że pragnąc jak najszybciej się zobaczyć z wujkiem Lukiem, wleciała do hangaru o wiele za szybko. Rozmyte ciemne sylwetki wokół niej stopniowo przybierały kształt myśliwców StealthX, paliwowych sań i regałów z uzbrojeniem.

Jak tylko wylądowała, jej myśliwiec otoczyła grupa kosmatych Wookiech. Zaczęli uzupełniać zapasy paliwa i sprawdzać stan uzbrojenia. Jaina odłączyła kable łączące jej kombinezon z aparaturą pokładową i wyplątała się z ochronnej sieci, po czym otworzyła owiewkę i wyskoczyła. Wylądowała obok zdezorientowanego Wookiego z drabinką umożliwiającą wydostanie się z kabiny.

- Gdzie znajdę Luke'a Skywalker'a? - zapytała.

Wookie wskazał odległy, niewidoczny kąt hangaru. Jaina spojrzała tam i z trudem dostrzegła pilotów wspinających się do kabin myśliwców StealthX. Pobieгла w tamtą stronę. Krztusząc się gęstym od dymu powietrzem, starała się wymijać repulsorowe sanie i kosmatych techników. W hangarze nie było tyle dymu co na zewnątrz, ale i tak wszystko wskazywało na to, że po powrocie z wyprawy Jedi zamierzają znaleźć inną bazę. Dobiegła do Luke'a i zobaczyła opuszczonego do gniazda w kadłubie astronawigacyjnego robota R2 z

udoskonaloną pamięcią, który pomagał pilotować myśliwiec StealthX.

Jaina nie posłużyła się komunikatorem ani nie pomogła sobie Mocą, aby dać znak wujowi, że nadlatuje, ale mistrz Jedi wcale się nie zdziwił na jej widok. Odwrócił się, żeby się z nią przywitać.

- Cześć, Jaina - powiedział. - Mam nadzieję, że w Akademii wszystko pod kontrolą?

Jaina pokiwała głową.

- Jag i Zekk będą mieli na wszystko oko, dopóki nie ściągniemy tam więcej rycerzy Jedi - powiedziała. - Większość żołnierzy SGS była i tak przerażona rozkazami Serpy, a pozostali nie palą się do walki... zwłaszcza że zwróciliśmy Wampom ich świetlne miecze.

- To dobrze. - Luke wyglądał na roztargnionego, zupełnie jakby jego uwagę zaprzętało wszystko, tylko nie zbliżająca się walka. - Ale nie możemy się jeszcze przestać martwić. Jeżeli Jacen był zdolny zrobić coś takiego...

Nie dokończył zdania i zatoczył ręką zamaszty krąg, jakby dla podkreślenia, że ma na myśli wszystko, co się dzieje na Kashyyyku.

- Rozumiem, ale... jest pewna sprawa, którą muszę ci przekazać osobiście. - Jaina powiodła spojrzeniem po hangarze. Rozglądała się za młodym mężczyzną, który nie ma na sobie kombinezonu pilota myśliwca StealthX. - Czy Ben tu jest? - zapytała w końcu. - On także powinien to usłyszeć.

Luke pokręcił głową.

- Chyba leci tu z Coruscant - powiedział.

- Chyba? - podchwyciła Jaina. Z niepokojem stwierdziła, że Luke nie jest zainteresowany wiadomością od siostrzenicy. - Ben się spóźnia?

- Właściwie nie - odparł mistrz Jedi. - Wysłałem mu wiadomość... jak tylko opuściliśmy przestworza Kuata. Nie mogę ci jednak powiedzieć, gdzie jest w tej chwili. Znowu ukrywa swoją obecność w Mocy.

Jainie wcale się nie spodobał ton głosu wuja.

- Twoi rodzice odlecieli stąd wczoraj wieczorem - dodał Luke, jakby uważał, że mogliby jej zastąpić Bena. - Mają plan.

- Zawsze mają jakiś plan - podsumowała Jaina. - Wujku, czy ty na pewno się dobrze czujesz? Wyglądasz na... roztargnionego.

Luke uniósł głowę i wbił spojrzenie w kłęby dymu.

- Lecimy rozprawić się z twoim bratem - powiedział. - Nie jestem tym zachwycony.

- To on zaczął - przypomniała Jaina. - Ale jeżeli się wahasz tylko dlatego, że to twój siostrzeniec...

- Wcale się nie waham.

R2-D2 zagwizdał ze swojego gniazda na znak, że nadeszła pora na rozpoczęcie procedury przedstartowej.

- Zaraz idę - uspokoił go mistrz Jedi, po czym odwrócił się do JAINY. - Co takiego chciałaś mi powiedzieć?

- Uhm... może to nie jest właściwa pora - odparła siostrzenica. - Chyba i bez tego masz mnóstwo spraw na głowie.

- Jestem wielkim mistrzem Jedi, JAINO - przypomniał Luke, kładąc nacisk na słowo „wielki”. - Wiem, jak podtrzymywać koncentrację.

Mówił stanowczym tonem i JAINA zrozumiała, że nic mu nie mówiąc, przysporzyłaby mu tylko zmartwień.

- Chodzi o Aleme - zaczęła. - Krótco po śmierci Mary zabiła załogę frachtowca na terenie Magazynów Roqoo.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Luke. - Magazyny Roqoo znajdują się po drodze na Terephona, a wiemy, że Alema przywłaszczyła sobie statek Lumiyi po tym, jak ją... zabiłem.

JAINA pokręciła głową.

- Ale to było jeszcze przed waszą walką - oznajmiła.

Na twarzy Luke'a pojawiło się zainteresowanie, ale nie wyglądał na wstrząśniętego.

- Magazyny Roqoo znajdują się między Kavanem a Terephonem - przypomniała JAINA.

- Czas by się zgadzał, a Alema tam była, i to w paskudnym nastroju. Zabiła kilkanaście osób z powodu, którego do tej pory nie udało mi się odgadnąć.

Luke uniósł brwi.

- A zatem przypuszczasz, że to ona... - Nie dokończył zdania, jakby nie mógł albo nie chciał wypowiedzieć tego na głos. - Jak pewna jest ta informacja?

- No cóż, dobrze wiemy, że Alema lubi się posługiwać truciznami - odparła siostrzenica. - Właśnie w taki sposób zabiła dwie osoby na terenie Roqoo. A kiedy Jag znalazł jej jaskinię na Tenupe, powiedział, że wyglądało to tak, jakby wytwarzała te trucizny, do polowania albo do samoobrony.

Luke zamknął oczy, a jego aura w Mocy zadrżała od gniewu i smutku. Potem uniósł powieki i zaczął się wspinać po drabinie do kabiny myśliwca StealthX.

- Chyba rzeczywiście wygląda na to, że ona jest zabójczynią - powiedział. - Dziękuję ci, JAINO. Jestem pewny, że doprowadzisz ją przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

JAINA spojrzała z niedowierzaniem.

- Ja? - zapytała. - Chciałaś chyba powiedzieć, że my ją doprowadzimy?

- Po mojej pomyłce z Lumiya? - Luke pokręcił głową. - Lepiej, żeby się tym zajął ktoś inny. Porozmawiaj z członkami Rady Mistrzów, jeżeli potrzebujesz dodatkowego wsparcia.

- Mistrzów? - powtórzyła jak echo Jaina. Nabrała pewności, że rzeczywiście coś jest nie tak z jej wujem. - Czego nie chcesz mi jeszcze powiedzieć na temat tej wyprawy? - zapytała.

Luke wślizgnął się do kabiny.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, na razie niczego ci o niej nie powiedziałem - zauważył.

- A więc najwyższy czas to zmienić. - Jaina wspięła się po drabince i podciągnęła, aż jej oczy znalazły się na wysokości twarzy wuja. - Nie pozwolę ci odlecieć, dopóki się nie dowiem, dlaczego się tak zachowujesz - zdecydowała.

- Ta wyprawa to nic szczególnego - uspokoił ją wuj. - Rutynowa misja zaczepna... Zamierzamy zmiękczyć Piątą Flotę, żeby Wookie mieli większą szansę powstrzymania Jacena przed spaleniem do końca ich planety.

- I co jeszcze?

Luke westchnął.

- Mam nadzieję, że ten atak odwróci ich uwagę, dzięki czemu będę mógł zaatakować „Anakina Solo” - powiedział. - Lowbacca wywołał w okolicy mostka eksplozję ciemnej bomby, więc może uda się nam trafić okręt następnymi bombami. Niewykluczone, że wyeliminujemy go z dalszej walki.

Jaina zeskoczyła z drabinki.

- Lecę z tobą - zdecydowała.

- Jeszcze czego - mruknął Luke. - Tahiri chyba gdzieś zniknęła, więc możesz zająć jej miejsce w eskadrze Ostrzy Nocy.

- Z tobą, nie z eskadrą Saby.

- Jajno, nie potrzebuję...

- Akurat. - Siostrzenica odwróciła się, żeby pobiec z powrotem w kierunku swojego myśliwca StealthX. - I niech ci się nie wydaje, że mnie zgubisz. Trafię w gniazdo twojego robota szybciej niż zdążysz pomyśleć.

R2-D2 zaskrzeczał na znak protestu. Jeżeli Luke nawet wyraził w końcu zgodę, jego siostrzenica tego nie usłyszała, bo już biegła do swojego myśliwca. Pracownicy członkowie personelu naziemnego zdążyli uzupełnić zapasy paliwa i gazu motywacyjnego do laserowych działek. Maszyna nie dysponowała jednak na razie ciężkim uzbrojeniem, a Wookie dopiero się przygotowywali, żeby uzupełnić zapas torped.

- Dajcie sobie z tym spokój, chłopaki. - Jaina wskoczyła na najniższy szczebel drabinki. - Chyba nie mamy dość czasu, żeby wyposażyć myśliwiec w ciemne bomby. A zresztą i tak mam lecieć tylko jako osłona innej maszyny.

Ledwie zdążyła dołączyć kable do gniazd lotniczego kombinezonu, kiedy usłyszała rozkaz startu. Zatrzasnęła owiewkę kabiny i zaczęła, aż technicy personelu naziemnego zezwolą na start, po czym przesłała energię do repulsorów i obróciła myśliwiec nosem w kierunku wrót hangaru. Pozostałe maszyny StealthX właśnie startowały. Przelatując przez wrota, wyglądały jak długa linia upiornych czarnych ptaszydeł. Po kolei, jeden po drugim, zataczały łuk nad wierzchołkami wroshyrów i znikły w kłębach dymu.

Większość pilotów skrzydła wystartowała, zanim Jaina poczuła, że Luke dotyka jej umysłu. Otworzyła się na przepływ Mocy, gotowa połączyć się z nim bitwowieżą, ale wyczuła tylko wymuszoną i niezachęcającą obecność wuja. Po chwili jednak i ona znikła i Jaina z trudem się orientowała, że Luke nadal tam jest. Zrozumiała, że podczas tej wyprawy nie będzie między nimi emocjonalnej łączności, bo Luke nie jest gotów dzielić bólu z nikim innym. Wślizgnęła się do szyku zaraz za jego maszyną. Chciałaby się posłużyć Mocą, żeby go pocieszyć, ale nie знаła takiego sposobu. Kilka minut później wszystkie myśliwce wyłoniły się z kłębow dymu i pomknęły w błękitne niebo Kashyyyka.

Było jeszcze zbyt wcześnie, aby bitwę nazwać bitwą. Flota Wookiech dopiero formowała szyk po drugiej stronie planety, a okręty Piątej Floty Sojuszu trzymały się poza grawitacyjną studnię Kashyyyka, żeby osłaniać „Anakina Solo”. W przestworzach było widać tylko słupy ognia z dalekosiężnych baterii gwiazdowego niszczyciela. Śmiercionośne smugi światła przecinały atmosferę planety i paliły wszystko, co pozostawało bez obrony.

Jaina uświadomiła sobie, że zarazem nienawidzi brata i ubolewa nad jego utratą. Starła się zrozumieć, co takiego mu zrobili Yuuzhan Vongowie albo co przeżył podczas swojej pięcioletniej wyprawy - co mogło przemienić go w bezdusznego potwora. Czyżby jej brat naprawdę wierzył w te bzdury, jakoby ochrona Sojuszu przed „elementami terrorystycznymi” wymagała od niego zwrócenia się przeciwko własnym rodzicom? Czy po wszystkich torturach i bólu, jaki wycierpiał, uznał, że zmienna natura galaktyki będzie mu zagrażać, dopóki nie obejmie nad nią władzy?

Jaina wiedziała jednak, że w ostatecznym rozrachunku nie ma najmniejszego znaczenia, co zmieniło jej brata. Ważne, że Jacen przeistoczył się w następnego Imperatora, więc trzeba go powstrzymać. Poczowała ból w sercu, kiedy to sobie uświadomiła, ale na razie liczyło się tylko jedno: należy położyć kres jego szaleństwu. Gdyby Jacen ocalał, może dałby radę zawrócić ze złej drogi, podobnie jak zrobił to Kyp po tym, jak zniszczył system Caridy.

Gdyby nie... no cóż, nie warto się nad tym zastanawiać. To także nie miało w tej chwili żadnego znaczenia.

Jaina poczuła w Mocy, że Luke żąda, aby uważała. Zakłopotana niezwykle u siebie brakiem koncentracji spojrzała przez owiewkę i stwierdziła, że nie bardzo wie, o co wujowi chodzi. Piąta Flota znajdowała się jeszcze daleko, między nią a plującymi ogniem turbolaserami „Anakina Solo”. Okręty Sojuszu wyglądały jak białe kropki, przedzielone mikroskopijnymi niebieskimi nitkami gazów wylotowych z dysz silników gwiazdnych maszyn.

A później poczuła wzrastające napięcie w Mocy... ostrzeżenie przed czymś, co ma się wkrótce pojawić na polu bitwy. Kilka tysięcy kilometrów od Piątej Floty, między punkcikami gwiazd, zaczęły wyskakiwać zakrzywione węże opalizujących gazów. Niemal natychmiast na ekranie głównego monitora ukazał się meldunek o przybyciu potężnej floty.

- Coś podobnego - burknęła Jaina. - Jakiej floty?

NIEZNANEJ, odparł Sneaker. DOKONUJĘ KLASYFIKACJI OKRĘTÓW.

Jaina uzyskała odpowiedź na swoje pytanie chwilę później, kiedy od strony dopiero co przybyłych okrętów posypały się salwy zielonych kresiek, które rozkwitły na ochronnych polach jednostek Piątej Floty.

BOTHANIE, zameldował Sneaker. Na skraju taktycznego wyświetlacza pojawiały się symbole bothańskich korwet i lekkich krążowników. ANALIZA SYGNAŁÓW SENSORÓW POTWIERDZA ICH POCHODZENIE.

- Bothanie? - powtórzyła w osłupieniu Jaina. Bothanie byli ostatnimi istotami, które jej zdaniem mogłyby pospieszyć na pomoc Wookiem. - Jesteś pewny?

NIE. PRAWDOPODOBIENSTWO WYNOŚI ZALEDWIE 98,76 PROCENTA, poinformował Sneaker. USZKODZENIA PO NIEDAWNEJ WALCE UNIEMOŻLIWIJĄ UZYSKANIE CAŁKOWITEJ PEWNOŚCI.

Jaina skrzywiła się pod hełmem. Specyfika odniesionych uszkodzeń sugerowała, że Bothanie rzeczywiście opuścili pole Bitwy o Kuata i przylecieli na pomoc Kashyyykowi.

- To nie ma sensu - powiedziała do siebie. - Co oni tu robią?

ATAKUJĄ NAS, odparł Sneaker.

- Nie nas - poprawiła Solo astronawigacyjnego robota. - Musisz uaktualnić swoje bazy danych, bo sam nie wiesz, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Może nie pamiętasz, ale niedawno przeszliśmy na inną stronę.

A ZATEM TO SĄ PRZYJACIELE? - zapytał robot.

- Możliwe - przyznała Jaina. - Trzeba będzie później zapytać o to Luke'a.

NEUTRALNI? - nie dawał za wygraną Sneaker.

- Blisko, blisko.

Artylerzyści okrętów Piątej Floty zaczęli odpowiadać ogniem na atak Bothan. Poświęcili im całą uwagę, dzięki czemu w ferworze walki mało kto wypatrywał, czy nie nadlatują myśliwce StealthX. Kiedy Jedi zrozumieli, że czeka ich łatwe zadanie, tkankę Mocy przesyciły ich wyrzuty sumienia i smutek. Wiedzieli, że wkrótce będą musieli zabić z zimną krwią wielu znajomych i przyjaciół.

Jaina poczuła w gardle coś twardego i uświadomiła sobie, że z trudem powstrzymuje łzy. Swego czasu latała z Piątką przeciwko Yuuzhan Vongom i wiele osób, które wtedy poznała, wciąż jeszcze tam służyło. Wszystkie były odważne, lojalne i uczynne. Wydawało się jej niesprawiedliwe, że dzisiaj tyle z nich ma zginąć z rąk Jedi. Co innego mogli jednak zrobić mistrzowie? Pozwolić, żeby Jacen puścił z dymem całą planetę?

Kiedy myśliwce StealthX zbliżyły się do okrętów Piątej Floty na tyle, aby piloci Jedi mogli zacząć się martwić, że ktoś ich dostrzeże gołym okiem, artylerzyści Sojuszu toczyli właśnie walkę z Bothanami. Z hangarów jednostek obu flot startowały eskadry gwiazdnych maszyn, a w przestworzach przelatywały w obie strony błyskawice turbolaserowych strzałów. Nawet gołym okiem Jaina widziała, jak na kadłubach wielu okrętów Sojuszu eksplodują niewielkie pomarańczowe kule. Na taktycznym wyświetlaczu bothańskie korwety mrugały na żółto lub na czerwono, a potem znikwały szybciej niż Sneaker nadażał aktualizować dane.

Wkrótce, stanowczo za szybko, całą przestrzeń za owiewką myśliwca Jaina wypełniły okręty Piątki. Po kilku minutach jednostki Sojuszu zaczęły przybierać możliwe do zidentyfikowania kształty. Jaina widziała kliny gwiazdnych niszczycieli, zakończone pięściami cylindry ciężkich fregat i opływowe krzywizny kalamariańskich krążowników. Piloci skrzydła myśliwców StealthX rozdzielili się na sześć eskadr i rozproszyli się po polu bitwy. Jaina i Luke, razem z eskadrą Ostrzy Nocy, podążyli za Sabą Sebatyne w stronę „Kaleczącego”, starego gwiazdowego niszczyciela klasy Victory, który pełnił służbę równie długo jak rodzice Jaina.

„Kaleczący” i dwie eskortujące go fregaty szybko rozrosły się w dziobowym iluminatorze myśliwca StealthX. Ich ochronne pola jarzyły się złotym blaskiem od energii turbolaserowych strzałów. Artylerzyści okrętów Sojuszu nie strzelali w stronę Jedi i Jaina doszła do wniosku, że może byłoby lepiej, gdyby piloci myśliwców StealthX po prostu się prześlizgnęli między okrętami Piątej Floty i niczym rój owadów zaatakowali od razu samego „Anakina Solo”.

Nagle poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa i zauważyła, że piloci Ostrzy Nocy

zaczynają się rozpraszać. W przestworzach wokół nich rozbłysły sztychy oślepiających strzałów. Myśliwiec Jaina zakotłosał się tak raptownie, że pilotka nie mogła niczego przeczytać na ekranie monitora. Pasy ochronnej sieci wpiły się w jej ramiona, a w kabinie rozdzwiewały się alarmowe brzęczyki, informując ją o niezliczonych problemach z maszyną. Wyczuła, że Luke nurkuje w bok, i pchnęła dźwignię, żeby podążyć za nim. Odetchnęła z ulgą, kiedy jej myśliwiec zareagował.

- Jak źle wygląda nasza sytuacja, Sneaker? - zapytała.

Robot wysłał raport na ekran głównego monitora, ale myśliwiec nadal tak się kotłosał, że przeczytanie czegokolwiek było niemożliwe.

- Nie dam rady się z tym zapoznać - stwierdziła Jaina. - Jesteśmy nadal w jednym kawałku?

Sneaker zaszczębiotał coś, co zabrzmiało jak „na razie”. Chwilę później wokół obu myśliwców StealthX pojawiła się następna salwa szkarłatnych błyskawic. Wiele było połączonych z rozbłyskującymi liniami strzałów działek. Stało się jasne, że artylerzyści „Kaleczącego” spodziewali się ataku Jedi, ale zaczęli, aż myśliwce StealthX znajdą się wystarczająco blisko, aby mogli je zobaczyć. W rezultacie - i właśnie na tym poległa ich główna umiejętność, wymagająca cierpliwości i dyscypliny, na którą mogli się zdobyć tylko artylerzyści Marynarki Sojuszu - otworzyli ogień dopiero, kiedy wszystkie baterie namierzyły cele.

Luke niemal bez wysiłku wymykał się błyskawicom turbolaserowych strzałów. Unikał także trafienia z działek, jakby z mózgiami artylerzystów łączyła go telepatyczna więź. Jaina wcale by się nie dziwiła, gdyby rzeczywiście wuj umiał czytać w ich myślach. Zawsze dotąd przypuszczała, że nieźle zna zakres jego władzy nad Mocą, ale sądząc po opanowaniu przez niego sztuki pilotażu, wuj nie wyjawiał jej nawet połowy tego, co potrafi... może nawet jednej czwartej.

Robiła wszystko, żeby się trzymać blisko jego maszyny. Podążała za sylwetką jego myśliwca StealthX, kiedy Luke przemykał się przez ognistą kurtynę, która ich otaczała. Od czasu do czasu widziała tylko słaby blask gazów wylotowych z dysz silników jonowych jego maszyny, ale najczęściej lokalizowała go tylko dzięki Mocą. Zorientowała się wkrótce, że kabina jej myśliwca przestała się kotłosać, więc w końcu mogła się zapoznać z meldunkiem o uszkodzeniach, który Sneaker wyświetlił wcześniej na ekranie głównego monitora:

TRZY.

- Co trzy? - zapytała. Robotowi na pewno nie chodziło o silniki, bo gdyby miała uszkodzone trzy jednostki napędowe, nie nadążyłaby za maszyną wuja.

TRZY OFIARY, uściślił Sneaker. CHCIAŁAŚ WIEDZIEĆ, JAKIE STRATY PONIEŚLIŚMY W WYNIKU PIERWSZEGO ATAKU.

Jainę zatkano, chociaż miała maskę tlenową. Wyglądało na to, że artylerzyści „Kaleczącego” opracowali bardzo skuteczną technikę, - walki z niewidocznymi myśliwcami. Jeżeli potrafili pierwszą salwą zniszczyć trzy myśliwce Ostrzy Nocy, Jedi nie będą mieli dużego pożytku z zapewniających im niewidzialność maszyn szturmowych.

- A co z pozostałymi eskadrami? - zapytała. - Czyżby poniosły równie ciężkie straty jak Ostrza Nocy?

NIEWYSTARCZAJĄCE INFORMACJE DO UDZIELENIA ODPOWIEDZI, zameldował Sneaker. STRATY ESKADRY OSTRZY NOCY SĄ OPARTE NA ZAUWAŻONYCH EKSPLOZJACH GWIEZDNYCH MASZYN. MYŚLIWCE STEALTHX NIE SĄ JEDNAK WRAŻLIWE NA PROMIENIE SKANERÓW, WIĘC...

- To prawda - przerwała Jaina. - Nie możesz dysponować taką informacją.

Zerknęła na taktyczny wyświetlacz i zobaczyła wokół pozostałych gwiazdnych niszczycieli Piątki aureole strzałów turbolaserowych dział krótkiego zasięgu. Pomyślała, że jeżeli inne eskadry myśliwców StealthX poniosły równie ciężkie straty jak Ostrza Nocy, Jedi stracili jedną czwartą swoich maszyn.

Uwolniła myśli i posługując się Mocą, wysłała je, w nadziei, że przyłączy się do najbliższej bitwowieży i przekona, że sytuacja nie wygląda aż tak tragicznie... ale aż się wzdrygnęła, kiedy poczuła potęgę dezaprobaty wuja. Szybko wycofała z Mocy swoją obecność i skupiła uwagę, żeby trzymać się blisko za ogonem jego maszyny. Luke dlatego kazał się jej wycofać, aby go nie zgubiła, doszła do wniosku Jaina.

Luke leciał jednak dość spokojnie, choć w pewnej chwili oboje o mało nie wpadli w ognistą kulę. Dopiero teraz Jaina zrozumiała, dlaczego Luke wycofał z bitwowieży swoją obecność. Wcale nie dlatego, że chciał przed nią ukryć swój ból.

Dlatego że ukrywał się przed Jacenem.

To dzięki Jacenowi Piątka była tak dobrze przygotowana do walki z Jedi. Artylerzyści niszczycieli Sojuszu spodziewali się ataku myśliwców StealthX... chociaż pojawienie się floty Bothan odwróciło ich uwagę. Jacen wiedział, że Jedi połączą umysły bitwowieżą.

Jaina jeszcze się nad tym zastanawiała, kiedy artylerzyści baterii turbolaserów „Kaleczącego” obrali inne cele i przestworza wokół myśliwców StealthX ściemniały. Zerknęła na taktyczny wyświetlacz i stwierdziła, że wszystkie okręty Piątej Floty znów kierują ogień w stronę nadlatujących Bothan. Kilka symboli gwiazdnych niszczycieli Sojuszu mrugało żółtym światłem, na dowód, że zostały uszkodzone. W rezultacie jednak atak

myśliwców StealthX zakończył się kompletnym niepowodzeniem. Mistrzowie nie mogli go nawet dobrze zaplanować, ponieważ jednym z założeń było zminimalizowanie ofiar Sojuszu. A w dodatku Luke postanowił wyeliminować samego Jacena.

To by wyjaśniało, dlaczego tak się zachowywał przed startem. Jeżeli planował coś tak nierozsądnego jak zniszczenie gwiazdnego niszczyciela, to prawdopodobnie ktoś inny musiałby potem pomścić śmierć jego żony. To dlatego Luke nie chciał, żeby siostrzenica leciała za jego myśliwcem, a gdyby się uparła, zamierzał w ostatniej chwili ją zgubić. Nie chciał narażać jej życia.

- Nawet o tym nie myśl, wujku - powiedziała do siebie Jaina.

Zmniejszyła dzielącą ich odległość tak bardzo, że dostrzegła mrugające odbłaski na kopułce R2-D2. Luke chyba odgadł jej zamiary, bo zakołysał kadłubem swojego myśliwca. Po chwili wycofał swoją obecność z Mocy tak absolutnie, że Jaina już go nie mogła w niej odnaleźć. W pierwszej chwili pomyślała, że wuj robi jej na złość, ale szybko doszła do wniosku, że to wskazówka. Jaina usunęła więc swoją obecność z Mocy. Teraz Jacen musiałby siedzieć w jej kabinie, żeby ją wyczuć.

Luke znów zakołysał kadłubem swojego myśliwca. Pozostawili Piątą Flotę daleko z tyłu i skierowali się w stronę źródła turbolaserowych błysków, które wskazywały im lokalizację „Anakina Solo”. Jaina zastanowiła się z goryczą, dlaczego Jacen nazwał swój okręt na cześć młodszego brata. To tylko nazwa... ale dla niej oznaczała coś dobrego. Jaina wiedziała, jak trudno jej będzie atakować statek noszący imię jej młodszego brata. Doszła do wniosku, że za to także Jacen musi zapłacić... jeżeli przeżyje.

Wkrótce zobaczyła w ciemności „Anakina Solo”. Okręt wyglądał jak klin wielkości dłoni. Sylwetka niszczyciela pojawiała się tylko chwilkami, kiedy za nim rozkwitał kwiat eksplozji turbolaserowego strzału. Ze spodu kadłuba wystawała kopuła generatora sztucznej grawitacji, a na wierzchu wyrastał stożek urządzenia zapewniającego okrętowi maskowanie. Jaina rozpoznałaby tę sylwetkę zawsze i wszędzie... nawet gdyby po galaktyce latały tysiące gwiazdnych niszczycieli o matowocarnym kadłubie.

W miarę jak Luke i Jaina zbliżali się do okrętu, jego sylwetka na tle rozbłysków szybko się powiększała. Teraz wyglądał jak ciemny kleks na tle oceanu gwiazd. Jaina obserwowała niszczyciel z niedowierzaniem. Rozrósł się już do rozmiarów banthy, ale jego artylerzyści jeszcze nie otworzyli do nich ognia. Jeżeli obserwatorzy nie byli ślepi ani nie spali, do tej pory musieli zauważyć dwa lecące ku nim myśliwce StealthX. Nawet gdyby obie maszyny nie rysowały się wyraźnie na tle szkarłatnego piekła za ich ogonami, to przecież przesłaniały i odsłaniały odległe gwiazdy. Musiały wyglądać jak czarne plamy na tle usianej

błękitnymi cętkami próżni.

Luke pewnie pomyślał o tym samym, bo nagle zaczął wykonywać tak gwałtowne zwroty i uniki, że Jaina tylko z trudem za nim nadążała. Starła się trzymać w niewielkiej odległości za ogonem jego myśliwca. Sneaker wypełnił kabinę kakofonią pisków i gwizdów, a potem na ekranie głównego monitora pojawiły się ostrzeżenia o przeciążeniach. Przychodziły tak szybko jedno po drugim, że Jaina i tak nie miałyby czasu ich przeczytać... nawet gdyby się ośmieliła spojrzeć. Mimo to Luke wykorzystywał do maksimum możliwości myśliwca. Przyspieszył i zaczął serię dzikich zwrotów, aż Jaina nabrała podejrzeń, że tylko Moc nie pozwala się jego maszynie rozpaść na kawałki.

Nawet nie usiłowała powtarzać każdego jego manewru. Wystarczyło jej, że trzyma się blisko i go osłania. „Anakin Solo” wyrastał przed nią niczym góra czarnej durastali. Zaczęła mieć nadzieję, że jakimś cudem udało się im dostać blisko gwiazdnego niszczyciela. Może to Luke zamaskował ich maszyny umiejętnością władania Mocą, z której nawet on nie zdawał sobie dotąd sprawy. Może zdołają podlecieć jeszcze bliżej, niezauważeni przez nikogo, blisko okrętu flagowego Jacena Solo, a potem wzniosą się nad grzbiet kadłuba, gdzie Luke wypuści ciemne bomby bez narażania się na ogień.

I właśnie wtedy w kabinie jej myśliwca rozdzwoniły się sygnały alarmowe. Kiedy seria błyskawic z działek trafiła w rufowe osłony i zaczęła się przebijać przez cienki pancierz maszyny StealthX, Jaina poczuła się, jakby kopnęło ją w plecy oparcie fotela pilota. Nie dało się wykonać zwrotu, bo straciła panowanie nad sterami.

Jej maszyna wpadła w korkociąg i zanurkowała w kierunku „Anakina Solo”. Odbiła się od ochronnych pól i zaczęła koziółkować w stronę mrocznego sześcianu, który wyglądał złowieszczo niczym wieżyczka nieczynnego turbolasera.

Jaina wcisnęła aż do podłogi kontrolny pedał i puściła drugi. Przyciągnęła do brzucha drążek sterowniczy i przycisnęła dźwignię akceleratora. Myśliwiec StealthX przyspieszył i wreszcie zaczął jej słuchać. Jaina z ulgą stwierdziła, że maszyna kieruje się w stronę gwiazd, zamiast w kierunku czarnego kolosa z durastali.

- Raport o uszkodzeniach! - warknęła. Zażądała tego instynktownie i zaraz, równie instynktownie, poparła rozkaz pytaniem: - Co się stało?

Zatoczyła łuk, zanurkowała i dopiero wówczas zapoznała się z raportem Sneakera.

GENERATOR RUFOWEGO POLA OCHRONNEGO PRZECIĄŻONY I ZNISZCZONY, przeczytała. JONOWY SILNIK NUMER TRZY ZNISZCZONY. DODATKOWA RUFOWA PODSTAWA ZNISZCZONA. USZKODZENIA SPOWODOWANE PRZEZ LICZNE TRAFIENIA STRZAŁÓW Z LASEROWYCH

DZIAŁEK.

- Sama się tego domyśliłam - burknęła Solo. - Gdzie oni...

Nie dokończyła pytania, bo przed nosem jej myśliwca pojawił się czarny kadłub niszczyciela. Dopiero wtedy zobaczyła, kto ją zaatakował.

Obracając swój myśliwiec StealthX, Luke starał się wylecieć ponad kadłub „Anakina Solo”. Cały czas wykonywał zwroty i uniki, żeby zająć dogodną pozycję do ataku na mostek niszczyciela. Kilkaset metrów za nim leciał inny myśliwiec StealthX. Jego pilot szybko się zbliżał, zasypując maszynę Luke'a seriami laserowych strzałów. Starał się kierować ogień w taki sposób, żeby Luke nie mógł się wznieść ponad kadłub gwiazdnego niszczyciela, nie wpadając przedtem w strumień śmiertelnie palącego ognia z turbolaserów.

- Jacen!

NIWYSTARCZAJĄCE DANE, ŻEBY MOŻNA BYŁO USTALIĆ TOŻSAMOŚĆ NIEPRZYJACIELSKIEGO PILOTA, poinformował ją Sneaker.

- On wiedział! - Jaina zignorowała informację robota i skierowała nos swojego myśliwca w stronę obu maszyn StealthX. Od czasu startu z Kashyyyka upłynęło za mało czasu, żeby Jacen zdążył włożyć kombinezon pilota i wystartować, co oznaczało, że musiał czekać w przestworzach, aż Luke znajdzie się blisko „Anakina Solo”. - Domyślił się, na czym polega cały plan!

Kiedy dostrzegli ją artylerzyści systemów bezpośredniej obrony niszczyciela, przed nosem jej myśliwca pojawiła się burza różnobarwnych błyskawic. Jaina otworzyła dopływ paliwa do silników i przycisnęła spusty swoich działek. Polegała na dziobowych polach ochronnych o wiele bardziej, niż powinna, ale wierzyła, że Moc i jej szybki refleks nie pozwolą się rozlecieć pozbawionemu osłon ogonowi jej maszyny.

Przy akompaniamencie trzasków trafień strzałów z laserowych działek przeleciała nad kadłubem okrętu i pomknęła za wujem i bratem. Zauważyła, że intensywność nieprzyjacielskiego ognia osłabła; strzelano teraz rzadko, bo trzy myśliwce StealthX leciały tak blisko jeden za drugim, że artylerzyści „Anakina Solo” obawiali się trafić maszynę swojego dowódcy.

Jaina namierzyła myśliwiec Jacena i dała ognia, ale jej brat to przewidział. Wykonał w przeciwną stronę unik, po którym jeden z jej strzałów rozjarzył się na rufowych osłonach maszyny Luke'a.

Jacen zwolnił i oddał do myśliwca wuja jeszcze trzy celne strzały, sam zaś ostro skręcił, przez co błyskawice ognia Jaina przeleciały obok jego maszyny. Jedna z nich przebiła się przez osłony myśliwca Luke'a i pogrzyła w silniku. Jaina zobaczyła błysk i kłęb dymu, a

maszyna wuja raptownie zmieniła kurs i odbiła się od ochronnych pól „Anakina Solo”. Po chwili jednak, ku osłupieniu Jaina, przeleciała nad smugami strażów Jacena i zniknęła za górną częścią kadłuba gwiazdnego niszczyciela.

Ścigając brata, Jaina posłała serię błyskawic w górną część ochronnego bąbla jego myśliwca. Leciała za nim, starając się nie zostać daleko z tyłu. Oba myśliwce przeleciały obok stożka z generatorem maskującego pola i zanurkowały w kierunku upstrzonej kraterami nadbudówki mostka.

Jaina przycisnęła spusty działek, ale Jacen znowu uniknął jej strażów, za to jej błyskawice tylko pogorszyły sytuację Luke'a. Wyglądało na to, że brat przewiduje każdy jej strzał, zanim siostra podejmie decyzję o otwarciu ognia.

- To się nigdy nie uda - mruknęła do siebie Jaina.

Uwolniła myśli i wysłała je do wuja, żeby go wciągnąć do bitwowiezi... ale napotkała tylko obecność Jacena, potężną, mroczną i drwiącą. Brat chyba starał się jej przekazać, że Jaina nie ma nic do roboty na polu tej bitwy, bo nie jest godna toczyć walki z prawdziwymi pilotami. Jego zdaniem powinna była zostać w Akademii i opiekować się maluchami.

W następnej chwili myśliwiec Jacena znieruchomiał pośrodku ekranu jej celowniczego komputera. Jaina prawie nieświadomie przycisnęła spusty... ale usłyszała w głowie mroczny chichot i zrozumiała, że brat ją prowokuje.

A po chwili usłyszała głos Luke'a - tak wyraźnie, jakby wydobywał się z głośnika pokładowego komunikatora: „Zrób to!” Zrozumiała, że wuj każe jej otworzyć ogień. „Zablokuj je!” - dodał jeszcze.

Przycisnęła wszystkie cztery spusty działek i długo ich nie puszczała.

Jacen wykonał unik, ale strzały Jaina trafiły jego myśliwiec StealthX w skrzydło, od którego oderwało się laserowe działko. Jego siostra stwierdziła, że ma przed sobą ogon myśliwca wuja. Z ulgą zauważyła, że i Luke zboczył z kursu, żeby uniknąć trafienia.

A później z uszkodzonego silnika jego maszyny strzeliły jęzory ognia. Myśliwiec StealthX znów zmienił kurs, ale tym razem w jej kierunku. Tkanę Mocy przeniknął impuls zaskoczenia i przerażenia. Jaina od razu puściła przyciski spustowe laserowych działek, ale z luf zdążyły jeszcze wyskoczyć cztery błyskawice.

Jaina poderwała nos swojej maszyny. Zrobiła to instynktownie, żeby uniknąć zderzenia ze szczątkami myśliwca wuja. Gdyby miała dość czasu, żeby się zastanowić, prawdopodobnie skierowałaby swój uszkodzony StealthX prosto w masywną konstrukcję mostka „Anakina Solo”. Wolałaby nie wracać do bazy z tej wyprawy.

Luke Skywalker zginął.

I to ona go zestrzeliła.

ROZDZIAŁ 18

Zamaskowane wrota umożliwiające wlot do królewskiego hangaru ulokowano w ustach gigantycznej skalnej rzeźby, przedstawiającej uderzająco piękną hapańską królową. Podobnie jak wszystko, co miało jakikolwiek związek z Pałacem Fontann, wrota świadczyły o bogactwie i potędze Konsorcjum Hapes. Rozmiarami były jednak przystosowane do przyjmowania niewielkich skiffów i sportowych keczy królewskich kochanków, nie zaś roboczych transportowców w rodzaju „Sokoła Millenium”.

Kiedy frachtowiec wleciał przez wrota do łącznikowego tunelu, Han zwrócił uwagę na długi rząd zwieszających się ze sklepienia kryształowych żyrandoli. Miał nadzieję, że C-3PO nie popełnił pomyłki, oceniając odległość między sklepieniem a kadłubem frachtowca. Prawdopodobnie Tenel Ka i tak nie miałyby za złe, gdyby „Sokół” zahaczył o jakiś żyrandol, ale trudniej byłoby ją wówczas przekonać, że Jacen musi zostać powstrzymany.

Nagle siedząca na fotelu drugiego pilota Leia zaczęła chwytać powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

Han spojrzał na ekran manewrowego monitora.

- Z czym się zderzyłem? - zapytał. Oceniał, że ma co najmniej dziesięć centymetrów wolnej przestrzeni z każdej strony kadłuba.

- Niczego nie poczułem.

Żona nie odpowiedziała. Wyręczył ją w tym C-3PO.

- Wydaje mi się, że jeszcze się pan z niczym nie zderzył, kapitanie Solo - oznajmił android.

- Nie musisz tego mówić takim tonem, jakbym sprawił ci zawód. - Han przeniósł spojrzenie na dziobowy iluminator i przelatując pod ostatnim żyrandolem, zmienił położenie wysięgników załadunkowych. - O nic się nie założyłeś, prawda?

- I tak nie byłoby sensu się z panem zakładać - odparł C-3PO. - Nie mam gdzie gromadzić wygranych, a zresztą androidom nie wolno operować sumami przekraczającymi milion kredytów.

Han mógł odpowiedzieć, że C-3PO nie ma się czym przejmować, ale wiedział, że android świetnie pamięta wszystkie swoje zakłady, tylko nie chciałby usłyszeć wysokości

przeigranych sum.

Kiedy „Sokół” wyleciał w końcu z łącznikowego tunelu i znalazł się w przestronnym hangarze królowej matki, Solo spojrzął na Leię. Zamierzał zapytać, dlaczego mu nie odpowiedziała.

Żona siedziała pochylona do przodu i zasłaniała usta dłonią. Patrzyła na dziobowy iluminator, ale w rzeczywistości utkwiała spojrzenie w oddali, a na twarzy miała Ten Wyraz. Han poczuł, że jego serce przestaje bić, jakby zawałił się cały świat... „Sokół” skręcił w kierunku światła sygnałów kierunkowych, a on nawet nie zauważył, że sam go tam skierował.

- O, nie! - jęknął. - Tylko nie to... Tylko nie Jaina!

- Jainie nie stało się nic złego. - Leia pokręciła głową, ale nadal była wpatrzona w przestrzeń. - No cóż, raczej nie. Chociaż... nie jestem pewna.

- Nie jesteś pewna? - powtórzył zdezorientowany Han.

Miał ochotę posłać serię rakiet udarowych w ścianę hangaru albo skierować Pogromcę Słońc w jądro galaktyki. Gdyby Jainie przydarzyło się coś złego, od tej pory pozostaliby w galaktyce sami, bo Jacen przestał się dla nich liczyć. Rozmawiali o tym - rzeczowo i spokojnie - w drodze na Hapes. Wspólnie doszli do wniosku, że stracili obu synów, bo także Jacena mogą uznać za zmarłego. Strata Jaina byłaby dla nich zbyt bolesnym ciosem. Han nie wiedział, czy znalazłby w sobie dość siły, aby pomóc żonie uporać się z tą stratą, tak jak pomógł się jej uporać ze śmiercią Anakina.

Z trudem skierował „Sokoła” na wyznaczone lądowisko i pozwolił, żeby frachtowiec osiadł na łapach lądowniczych. Kilka razy głęboko odetchnął, próbując zastosować jedną z uspokajających technik Jedi, których go nauczyła Leia.

- Już dobrze - odezwał się w końcu. - Co miało znaczyć to „w pewnym sensie”? Albo wyczuwasz, że Jaina żyje, albo nie.

Leia uświadomiła sobie nagle, że to przez nią jej mąż jest bliski paniki. Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

- Nic jej nie jest... to znaczy nic złego się jej nie stanie - powiedziała. - Jest tylko trochę zdenerwowana, bo poczuła to samo co ja... pewnie nawet to zobaczyła.

- Co takiego?

Leia ścisnęła go za rękę.

- Luke... - zaczęła.

Dopiero kiedy powiedziała to na głos, załamała się i rozplakała. Han już wiedział, co się stało. Luke zginął. Wydawało się to niemożliwe, jakby przed jego śmiercią musiało najpierw przestać obowiązywać jakieś prawo galaktyki. Ale właśnie to żona chciała mu

powiedzieć.

- To niemożliwe. - Nie umiał inaczej zareagować na tę wiadomość. - Nie wierzę.

Leia pokręciła głową.

- Poczułam zaskoczenie, a później... udrekę, a Luke po prostu zniknął - wyjaśniła.

Siedzieli jeszcze jakiś czas w sterowni. Leia pozwalała łzom spływać swobodnie po policzkach, a wstrząśnięty Han mógł tylko trzymać ją za rękę. Nie wiedział, jak długo tak siedzieli. Najpierw Mara, a teraz Luke... To nie mógł być zwykły przypadek. Zastanawiał się, czy na Skywalkerów nie uwziął się jakiś mroczny nurt Mocy. A może Luke postanowił podążyć za Marą i zjednoczyć się z nią w Mocy? Może zaatakował gwiazdny niszczyciel klingą świetlnego miecza albo zrobił coś równie nierozsądnego? Solo zawsze dotąd był pewny, że Luke nie skończy w zwykły sposób, w pojedynku na świetlny miecz czy podczas walki pilotów gwiazdnych maszyn. Nie mógł zginąć w wypadku, na przykład potrącony przez powietrzny śmigacz, kiedy w zamyśleniu nagle zszedł z chodnika. Jego śmierci musiały towarzyszyć niezwykle zjawiska - eksplozja planety albo niespodziewana zmiana praw fizyki.

Po jakimś czasie usłyszał, że coś stuka w kadłub „Sokoła”. Dźwięk dobiegał od strony wciąż jeszcze nieopuszczonej rampy.

- Może powinienem na to zareagować? - zasugerował zaniepokojony C-3PO. - W tych czasach szefowie służby bezpieczeństwa hangaru mogą nie tolerować podejrzanego zachowania.

- Dzięki, Threepio - zgodził się Han. - Powiedz im, że właśnie otrzymaliśmy niepomyślną wiadomość i musimy mieć trochę czasu, żeby przyjść do siebie.

- Nie. - Leia wytarła załzawione oczy. - Powiedz im, że za chwilę zjedziemy.

- Oczywiście, księżniczko. - C-3PO odwrócił się, żeby odejść, ale się zawahał. - Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu Mistrza Luke'a. Potrafi pani wyczuć, czy towarzyszył mu Artoo?

Leia pokręciła głową.

- Przykro mi, Threepio - powiedziała. - Po prostu tego nie wiem.

- No cóż, trudno... - Android pokręcił głową. - Jeżeli Mistrz Luke uznał za konieczne zginąć, Artoo na pewno chciałby mu towarzyszyć.

Od strony rampy znów dobiegło stukanie, tym razem głośniejsze i bardziej natarczywe. C-3PO ruszył w stronę rufy. Leia odpięła sprzączki ochronnej uprząży i wstała. Zerknęła na swoje odbicie w tafli iluminatora.

- Nic nie poradzę, że mam podpuchnięte oczy - mruknęła. - Chodźmy.

- Na pewno dasz sobie radę? - zapytał Han. - Tenel Ka jest dla nas jak członek rodziny.

Zrozumie, jeżeli jej powiemy, że musisz mieć trochę czasu...

- Dzięki, Hanie, ale nie mamy czasu - przypomniała księżniczka, ściskając go za ramię. - Nie zapominaj o pożarach na powierzchni Kashyyyka.

Ruszyła w stronę rufy i pociągnęła Hana. Czterdzieści lat temu ta kobieta pojawiła się w jego życiu niczym eksplozja nowej i od tamtej chwili płonęła cały czas równie jasnym blaskiem. Była dla niego jak gwiazda namiarowa, jak nadajnik sygnału kierunkowego. Teraz też nie powinien być zaskoczony, że żona ma tyle siły. Należało się spodziewać, że Leia zareaguje na śmierć brata z tą samą odwagą, jaką zawsze okazywała w obliczu osobistej tragedii. Może nie liczył na to, bo sam nie mógł się pogodzić ze śmiercią Luke'a. Nie potrafił wyczuwać niczyjej śmierci; musiał zobaczyć ciało, żeby uwierzyć.

Kiedy dotarli do otwartego wjazdu, na płycie lądowiska czekała na nich niewielka straż honorowa królewskiej gwiazdnej piechoty. Pani kapitan, zaskakująco urodziwa kobieta o wąskich zielonych oczach i pełnych ciemnych wargach, podeszła do stóp rampy lądowniczej i złożyła ceremonialny ukłon.

- Witamy panią, księżniczko - powiedziała. - Jej Królewska Wysokość prosiła, żeby jak najszybciej panią przyprowadzić.

- Odwróciła się i wskazała drzwi z młotkowanego aurodium, umożliwiające wstęp do kabiny staroświeckiej mechanicznej windy. - Jeżeli zechcecie mi towarzyszyć, dołączy do nas wasza eskorta.

Han popatrzył z oburzeniem na hapańską panią kapitan i, podobnie jak Leia, nie zdecydował się zejść po rampie.

- Jak to eskorta? - zapytał.

Pani kapitan wyglądała na zdenerwowaną, ale zareagowała jak każdy dobrze wyszkolony hapański oficer, wypytywany przez zagranicznego dyplomatę. Po prostu go zignorowała. Han zacisnął zęby i zaczekał, aż Leia weźmie sprawy w swoje ręce. Doszedł do wniosku, że zlekceważenie tysiącletnich hapańskich tradycji na pewno nie przekona Tenel Ka o konieczności przeciwstawienia się Jacenowi.

Leia chyba zdążyła zapomnieć, że kiedyś zajmowała się dyplomacją, bo dopiero po kilku sekundach powiedziała:

- Przylecieliśmy sami, pani kapitan. O jakiej eskorcie pani wspominała?

Pani kapitan spiorunowała ją spojrzeniem i już chciała coś powiedzieć, ale w hangarze pojawiła się szczupła osoba w czarnym lotniczym kombinezonie. Po długim locie z Kashyyyka kręgi pod jej oczami wydawały się jeszcze ciemniejsze, a kręcone blond włosy były matowe i zlepione od potu.

- Prawdopodobnie chodziło jej o mnie - odezwała się Tahiri.

Han zmarszczył brwi, a Leia zapytała:

- Co tu robisz?

- Chciałabym wiedzieć, po co wy tu przylecieliście - odparła Tahiri. Han zauważył, że młoda Jedi trzyma prawą rękę niepokojąco blisko rękojeści świetlnego miecza. - I chyba mi się nie spodoba wasza odpowiedź.

- To lepiej nie pytaj i odejdz. - Han zaczynał się domyślać, dlaczego Tahiri za nimi leciała... a może także, dlaczego Luke musiał zginąć. - Na twoim miejscu zrobiłbym to naprawdę szybko, bo w przeciwnym razie zacznę coś podejrzewać.

Hapańska pani kapitan zmarszczyła brwi i spojrzała na Tahiri.

- Mówiłaś operatorce kontroli ruchu powietrznego, że towarzyszysz obojgu Solo - przypomniała.

- W pewnym sensie towarzyszę - odparła Tahiri. - Przyleciałam tu, żeby ich aresztować.

Han był na tyle rozsądny, żeby nie sięgać po blaster, kiedy tuż obok Jedi trzyma rękojeść świetlnego miecza, ale miał dość czasu, żeby się ukryć za burtą i uderzyć otwartą dłonią w przycisk zamykania rampy. Niestety, Leia już po niej schodziła.

- Aresztować nas? - zapytała zdumiona księżniczka. - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że trzymasz stronę Jacena?

- Ktoś musi. - Tahiri stała cały czas jakieś trzy metry od rampy. - Jacen robi tylko to, co konieczne dla ocalenia Galaktycznego Sojuszu.

- Jesteś zbyt mądra, żeby w to uwierzyć. - Han zszedł po rampie, stanął obok Leii i chwycił ją za ramię, nie spuszczać wzroku z Tahiri. - A skoro o tym mowa, jak mu się udało cię zwieść?

- Zwieść? - Tahiri odwróciła głowę i zerknęła w bok. Nawet Han się zorientował, że młoda kobieta ma wyrzuty sumienia. Pomyślał, że teraz bardzo mu się przydadzą dobre oczy i doświadczenie w grze w sabaka.

- To nieprawda - odparła w końcu Tahiri. - Robię tylko to, co uważam za słuszne. Anakin by chciał, żebym popierała poczynania jego brata.

Leia uznała, że ma dość.

- Anakin? - syknęła.

Szarpięciem uwolniła się z uścisku męża i zeskoczyła na płytę lądowiska. Wykrzykiwała, że Anakin nigdy by nie popierał tortur i przewrotów. Tahiri chwyciła rękojeść świetlnego miecza, a Han uświadomił sobie, że młoda Jedi zaraz odczuje na własnej skórze,

co to znaczy niewłaściwe wycucie czasu.

Do takiego samego wniosku musiała dojść pani kapitan eskorty honorowej. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, kiedy Leia oderwała od pasa rękojeść swojego miecza.

- Proszę natychmiast odłożyć broń! - krzyknęła.

Sięgnęła po blasterowy pistolet i skoczyła pomiędzy Leię a Tahiri... ale Han pociągnął ją za kołnierz do tyłu.

- Chyba naprawdę pani nie chce... - zaczął.

Nie dokończył, bo pani kapitan odwróciła się do niego jak użądlnona i podetknęła mu pod nos lufę blastera.

- W porządku, jeżeli naprawdę pani chce... - dokończył Solo, uniósł ręce i się wycofał.
- Proszę bardzo.

Za plecami Hapanki obudziła się ze skwierczeniem do życia para świetlnych mieczy. Kiedy Leia i Tahiri zwały klingi, na boki strzeliły snopy iskier. Kapitan odwróciła się, patrząc, jak obie Jedi w zaciętym pojedynku wymieniają ciosy świetlnych mieczy i kopniaki.

- Przestańcie! - rozkazała Hapanka, dając znak swojej drużynie. Jej podwładne nastawiły blasterowe karabiny na ogłuszanie i skierowały lufy ku walczącym kobietom. - Przestańcie, bo otworzymy ogień!

Leia wymierzyła łokciem cios w brodę Tahiri, aż rozległo się chrupnięcie. W odpowiedzi młodsza Jedi wbiła kolano w zębra księżniczki. Pani kapitan zmeła w ustach przekleństwo i odwróciła się do podwładnych.

- Zaczekajcie! - krzyknął Han. - To naprawdę paskudna...

- Strzelać bez rozkazu - poleciła pani kapitan.

Han rzucił się na płytę lądowiska. W następnej chwili w kierunku walczących kobiet posypały się błyskawice blasterowych strzałów i zaraz zmieniły kierunek, kiedy obie Jedi skierowały je z powrotem w stronę strzelających. Podwładne pani kapitan, jęcząc i wijąc się z bólu, przewracały się jedna za drugą, a pani kapitan runęła na Hana, waląc go głową w skroń.

Solo wytoczył się spod niej, klnąc i pocierając obolałe czoło. W hangarze zawyły sygnały alarmowe, a z ukrytych posterunków i z tajnych przejść zaczęły wybiegać królewskie strażniczki. Walczące Jedi nie zwracały na to uwagi. Leia kopnęła Tahiri z taką siłą, że ciało młodszej kobiety wygięło się do tyłu na poprzeczce łapy lądowniczej „Sokoła”.

Tahiri aż stęknęła i sięgnęła po porzucony karabin blasterowy. Posługując się Mocą, poderwała broń w powietrze i posłała w kierunku księżniczki. Leia runęła na twarz, ale zaraz obróciła się na plecy, wywinęła salto do tyłu i wylądowała na jednej stopie. Wykręciła na niej piruet i wymierzyła klingę świetlnego miecza w szyć przeciwniczki.

- Zaczekaj! - wrzasnął Han. - Uważaj na łapę lądowniczą!

Leia nie zważała na nic. Najwyraźniej chciała zakończyć atak, zanim Tahiri zdąży zablokować jej cios. Dopiero wówczas Han uświadomił sobie, że jego żona nie żartuje... Wcale nie chodziło jej o to, aby dać młodszej kobiecie nauczkę.

- Leio, nie! - krzyknął.

Żona się zawahała na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby Tahiri zablokowała jej cios. Księżniczka postawiła drugą stopę na płycie lądowiska i nie pozwoliła przeciwniczce na odsunięcie się od łapy lądowniczej. Walcząc klingą świetlnego miecza, od czasu do czasu zadawała też ciosy kolaniem albo łokciem z szybkością i zaciekłością, na jaką mógłby się zdobyć tylko świetnie wyszkolony wojownik rasy Barabel.

- Leio, przestań! - wrzasnął . Han. - Naprawdę chcesz ją zabić?

Leia nie przestawała atakować i jej mąż zrozumiał, że żona właśnie to zamierza zrobić. Znalazła dogodny cel, na którym mogła wyładować wściekłość, podobnie jak kiedyś Han wyładował swoją na Anakinie, obwiniając go o śmierć Chewiego. Leia postanowiła, że Tahiri zapłaci jej za to, co przydarzyło się Luke'owi... a także za przemianę Jacena.

Han schylił się, wyrwał blasterowy pistolet z dłoni pani kapitan i posłał błyskawicę tuż obok głowy żony. Miał nadzieję, że może ten strzał ostudzi jej zapały. Strzał odbił się od kadłuba „Sokoła”, wypalając w nim czarną, dymiącą bruzdę, co dowodziło, że Hapanka nie nastawiła swojej broni na ogłuszanie. Leia odwróciła głowę i spojrzała na męża. Wykorzystała to Tahiri i kopnęła ją z półobrotu z taką siłą, że księżniczka aż się zachwiała.

Han podskoczył, żeby ją podtrzymać. Ryzykował życie, ale wiedział, że Leia nigdy by sobie nie darowała, gdyby zabiła Tahiri z powodu głupiej uwagi i kilku kiepskich decyzji. Objął żonę i odciągnął do tyłu... ale poczuł, że coś mu wyciska powietrze z płuc, a stopy odrywają się od płyty lądowiska. To żona, reagując instynktownie, wbiła mu łokieć między żebra i właśnie zamierzała przerzucić go przez biodro.

- Wolnego... Leio - stęknął. - To ja!

Poczuł, że napięcie opuszcza jej mięśnie. Po chwili odzyskał kontakt z płytą lądowiska. W ich stronę zmierzała Tahiri. W jej udręczonych oczach płonęła złość.

- Nie rób tego - ostrzegł ją Han. Odciągnął Leię na bok, a kiedy żona wyłączyła klingę świetlnego miecza, stanął między nią a Tahiri. - Nawet o tym nie myśl!

Młodsza Jedi przystanąła dwa kroki od niego, ale nie zgasiła swojego miecza. Patrząc raz na Hana, raz na Leię, wyglądała jak doświadczony gracz w sabaka, który się zastanawia, czy zrezygnować z dalszej gry, czy też może podbić stawkę.

- Uważasz, że właśnie tego chciałby Anakin? - zapytał Solo. - Żeby jego matka i jego

dziewczyna nawzajem się pozabijały?

- Na pewno tego by nie chciał - odezwała się jakaś kobieta zza pleców Hana. Powiedziała to na tyle głośno, że niemal zagłuszyła pomruk klingi miecza świetlnego, który trzymała w dłoni. - A ja nie dopuszczę, żeby coś takiego się wydarzyło w moim hangarze.

Gniew na twarzy Tahiri ustąpił miejsca zakłopotaniu. Młoda Jedi wyłączyła miecz i skłoniła się nisko.

- Bardzo przepraszam, Wasza Królewska Wysokość - powiedziała. - Nie miałam pojęcia, że będą stawiali opór.

- Dlaczego mieli stawiać opór? - zapytała władczym tonem Tenel Ka.

- Tahiri usiłowała nas aresztować - wyjaśnił Han. Odwrócił się do stojącej za nim hapańskiej monarchini. Królowa matka była ubrana w nieformalną, ale elegancką tunikę i długi płaszcz. Wyglądała zarazem władczo i przystępnie. Tego samego nie dałoby się powiedzieć o grupie strażniczek za jej plecami, które omiatały hangar groźnymi i czujnymi spojrzeniami. - Kłopot w tym, że wybrała naprawdę najmniej odpowiednią chwilę.

Tenel Ka wyłączyła swój miecz i wyciągnęła do Hana rękę, jakby nie zauważyła, że Solo zapomniał się uklonąć. Popatrzyła na podpuchnięte oczy Leii i zmarszczyła brwi, ale zaraz przeniosła spojrzenie na twarz jej męża.

- Zechciej mi to wytłumaczyć, kapitanie Solo - zażądała.

- Bardzo chętnie - odparł Han. Uświadomił sobie, że Tenel Ka nie wyczuła w Mocy śmierci Luke'a. Nie miał pojęcia, od czego to zależy... może chodziło o to, że hapańska monarchini nie była krewną mistrza Jedi. Leia także nie wyczuwała nieszczęść innych Jedi, jeśli nie byli z nią blisko związani. - Przypuszczamy, że Luke właśnie zginął. Leia poczuła to dzięki Mocy.

Na twarzy Tenel Ka pojawiły się po kolei wstrząs, niedowierzanie i współczucie. Hapańska królowa matka odwróciła się do Leii.

- Jest nam niezmiernie przykro, księżniczko - powiedziała. Nie zapytała, jak to się stało. Pewnie rozumiała, że sprawiłaby tym Leii jeszcze większy ból. A zresztą księżniczka chyba i tak tego nie wiedziała. - Mój pałac i cały personel są do waszej dyspozycji. Proście o wszystko, czego potrzebujecie.

Leia pokiwała głową, ale nie miała dość sił, żeby cokolwiek powiedzieć. Chwyliła męża za ramię.

- Dziękujemy, Wasza Królewska Wysokość - odezwał się Solo. - Jesteśmy bardzo wdzięczni.

- Najpierw powinni znaleźć się w tutejszym areszcie - odezwała się Tahiri, śmiało

stając za plecami obojga Solo. - Sojusz nie cofnął rozkazu, z którego mocy oboje mają zostać aresztowani.

- Osobiście poinformowałam pułkownika Jacena Solo, że w uznaniu bohaterskich czynów jego rodziców podczas ostatniego zamachu Han i Leia Solo mogą liczyć na azyl wszędzie na terenie Konsorcjum... a zwłaszcza w królewskim hangarze.

- Zechce mi pani wybaczyć, Wasza Królewska Wysokość. - Tahiri nie dawała za wygraną. Najwyraźniej postanowiła uniemożliwić małżeństwu Solo przestawienie Tenel Ka swoich racji. Han podejrzewał, że głównie o to jej chodziło, skoro cały czas im towarzyszyła.

- Nie mogę pozwolić...

- Ty nie możesz pozwolić? - powtórzyła Tenel Ka. Wyszła zza pleców Hana i stanęła przed Tahiri. Królowej matce towarzyszyło dość strażniczek, żeby obezwładnić dziesięciu Jedi. - Znajdujesz się na terenie Konsorcjum Hapes, Jedi Veilo. Ja tu rządzę... ja, nie Jacen i nie Sojusz, a już na pewno nie ty.

- Ależ to oczywiste - przyznała pospiesznie Tahiri. - Chciałam tylko powiedzieć, że Sojusz by nie zaaprobował...

- W tej chwili Hapes zapewnia prawie jedną piątą sił zbrojnych Sojuszu - przypomniała Tenel Ka. - Sojusz nie ma prawa protestować przeciwko żadnej mojej decyzji. Czy to jasne?

- Na... naturalnie - wyjąkała młoda Jedi. - Ale...

- Żadnych ale - ucięła monarchini. - Chcę wiedzieć, czy zostałam ranna, kiedy zaatakowałaś księżniczkę Leię?

Tahiri wytrzeszczyła oczy.

- To ja zostałam zaatakowana - powiedziała.

- Rozumiem, że nic ci nie jest. - Tenel Ka odwróciła się do stojącej za nią czarnowłosej strażniczki w oficerskim mundurze.

- W takim razie Jedi Veila jest gotowa do podróży, pani major Espara. Proszę ją odprowadzić do myśliwca StealthX i eskortować, dopóki nie opuści hapańskich przestworzy.

Espara skłoniła głowę.

- Jak pani sobie życzy, Wasza Królewska Wysokość - powiedziała. - Czy mogę coś zasugerować?

- Zawsze jestem otwarta na wszelkie sugestie, pani major - zapewniła Tenel Ka.

- Dziękuję, Wasza Królewska Wysokość - odparła Espara. - Chyba byłoby dobrze, żeby urządzenie maskujące myśliwiec StealthX pozostało u nas, na Hapes. Chcemy być pewne, że Jedi Veila nie odłączy się od naszej eskorty.

- Nie możecie tego zrobić - sprzeciwiła się Tahiri. - To urządzenie stanowi własność Jedi. Pułkownik Solo byłby z tego powodu bardzo niezadowolony.

Espara miała gotową odpowiedź.

- Jedi opuścili Sojusz w przestworzach Kuata, a pułkownik Solo atakuje ich na Kashyyyku - przypomniała. - Tymczasem ty przyleciałaś, żeby aresztować Solo w imieniu Sojuszu. - Odwróciła się do Tenel Ka. - Sytuacja stała się bardzo skomplikowana. Trudno powiedzieć, po której stronie opowiadamy się w tej chwili.

Tenel Ka uniosła brwi, chwilę się zastanowiła i kiwnęła głową.

- Słuszna uwaga, pani major. Chcemy, żeby Jedi Veila odleciała natychmiast - stwierdziła. - Proszę zarekwirować jej myśliwiec StealthX i zamiast tego przydzielić kurierski skiff.

- Jacen nie będzie tym zachwycony - ostrzegła Tahiri. - To by była kradzież myśliwca Sojuszu.

Tenel Ka pokręciła głową.

- Nie, Jedi Veilo - powiedziała. - Rekwirujemy nieprzyjacielski myśliwiec, a skoro to ty nim tu przyleciałaś, jesteś od tej chwili naszym jeńcem wojennym. - Odwróciła się do major Espary.

- Proszę ją przekazać w ręce pułkownika Solo i przeprosić za wszelkie nieporozumienia. Słusznie pani powiedziała... sytuacja podczas tej wojny stała się bardzo skomplikowana.

Espara się uśmiechnęła.

- Jak pani sobie życzy, Wasza Królewska Wysokość - powiedziała.

Przywołała podwładne do siebie i ostrożnie rozbroiła Tahiri.

Han przytulił Leię.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Księżniczka spojrzała mu w oczy.

- Lepiej - przyznała. - Dzięki za... - Odwróciła głowę, żeby zobaczyć, jak królewskie strażniczki odprowadzają Tahiri. - Za to, że mnie powstrzymałeś - dokończyła.

- To prawda - odezwała się Tenel Ka, która do nich dołączyła.

- Wkroczenie między dwie rozgniewane Jedi wymagało nie lada odwagi.

- Dzięki - mruknął lekko zakłopotany Solo. - To nic wielkiego.

- Ale nigdy więcej tego nie rób - przykazała Hapanka. - Zmartwiłybyśmy się, gdybyś stracił jakąś kończynę. - Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi kabiny zabytkowej windy. - Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego Tahiri tak bardzo się starała uniemożliwić wam

rozmowę ze mną.

- Moim zdaniem to Jacen ją wysłał, żeby szpiegowała Jedi - odparła Leia. - I nie chce dopuścić, żebyś usłyszała, co on w tej chwili wyprawia.

Ku zaskoczeniu Hana, Tenel Ka skinęła głową.

- Tego się obawiałam - mruknęła. Weszła do kabiny i gestem zaprosiła oboje Solo, a kiedy usłuchali, wyciągnęła rękę, żeby powstrzymać majora Esparę i jej strażniczki. - Możecie dołączyć do nas w holu - oznajmiła. - Solo nie stanowią dla mnie żadnego zagrożenia.

Espara zamknęła drzwi. Kiedy kabina ruszyła w górę, w oczach Tenel Ka pojawiły się łzy, a jej wargi zdrząły.

- Rozumiem, że informacje Wywiadu, jakie otrzymuję z Kashyyyka, są całkowicie wiarygodne? - zapytała.

- Obawiam się, że tak - przyznała Leia. - Żałuję, że nie dowiadujesz się tego w inny sposób, ale to prawda. Jacen zamierza spalić całą powierzchnię planety.

Po policzkach Tenel Ka spłynęła samotna łza.

- Dlaczego? - zapytała.

- A kto to może wiedzieć? - Han nie bardzo rozumiał, dlaczego Tenel Ka tak się tym przejmuje. Hapańska królowa matka zachowywała się, jakby Jacen był jej synem. - Prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie lubił, jak ktoś mu się sprzeciwia.

Tego już Tenel Ka nie mogła znieść. Łzy popłynęły jej po policzkach strumieniem. Monarchini przycisnęła guzik na ścianie i kabina od razu się zatrzymała. Teraz tkwili uwięzieni w niewielkim pomieszczeniu.

- Wybaczcie mi - poprosiła Tenel Ka, z rozpaczą kręcąc głową. - Nie wiem, jak zareagować na tyle niepomysłnych wiadomości.

Leia posłała Hanowi groźne spojrzenie za plecami królowej. Miała mu chyba za złe jego gruboskórność, chociaż sama nie bardzo wiedziała, co takiego złego powiedział. Wymownie skinęła głową w stronę Tenel Ka. To był znak dla męża, żeby spróbował pocieszyć monarchinię.

Han położył ostrożnie dłoń na ramieniu Tenel Ka. Królowa odwróciła się i przywarła do niego. Zaczęła płakać, zupełnie jak mała, uparta dziewczynka, którą pamiętał z czasów jej nauki w Akademii Jedi. Na chwilę zapomniał, że stoi przed nim władczyni największego niepodległego królestwa galaktyki. Objął ją i delikatnie pogłaskał po płomiennorudych włosach.

- Wszystko w porządku, dziecko - powiedział cicho. Spojrzał ponad jej ramieniem na żonę, jakby szukał u niej wskazówek, co dalej robić. Leia wpatrywała się jednak w plecy

Tenel Ka, z taką miną, jakby też miała się rozplakać. - Powinniśmy byli znaleźć lepszy sposób, żeby ci to powiedzieć. Nie przypuszczałem, że śmierć Luke'a tak bardzo cię poruszy.

Tenel Ka mruknęła coś niewyraźnie, bo cały czas przyciskała twarz do jego tuniki. Wreszcie oderwała się od Hana i pokręciła głową.

- To nie z powodu Luke'a - powiedziała. Zerknęła na Leię i szybko dodała: - Bardzo mi przykro z powodu jego śmierci, ale jeszcze bardziej z powodu Jacena. Galaktyka wokół nas rozpada się na kawałki, a on był kiedyś jedyną osobą, która moim zdaniem miała dość sił, aby do tego nie dopuścić.

- Stosuje w tym celu trochę zbyt brutalne metody - stwierdziła łagodnie księżniczka.

Tenel Ka pokiwała głową.

- Obiecał mi, że się pojedna z Jedi - powiedziała. - A tymczasem próbował was aresztować podczas pogrzebu Mary, a potem opanował Akademię Jedi na Ossusie. No i wysłał Bena, żeby zabił Calę Omasa... teraz zaś pali wroshyry na Kashyyyku. - Pokręciła głową ze smutkiem, ale także z odrazą. - Zabrał mi ostatnią flotę, Hanie. Naraził na niebezpieczeństwa i mnie, i Allanę.

Pamiętając o wielu innych obietnicach, które Jacen złamał, Han nie rozumiał, dlaczego Tenel Ka się tak dziwi, że Jacen pozostawił jej planetę bez obrony. Doszedł jednak do wniosku, że nie pora przypominać jej o popełnionych błędach. Zmartwiony pokiwał głową.

- Nie wolno mu ufać, Tenel Ka - powiedział. - My także straciliśmy sporo czasu, zanim uświadomiliśmy sobie tę prawdę.

- Tak, zbyt długo wodził nas wszystkich za nos. - Hapanka wyjęła z kieszeni niewielkie ręczne lustro i przyjrzała się swojej zapłakanej twarzy. - Moim zdaniem, nadeszła pora, żeby ktoś zrobił to samo jemu, nie sądzicie?

Han uniósł brew.

- Naprawdę masz na myśli to, co mi się wydaje? - zapytał.

- Przecież właśnie po to tu przylecieliście, prawda? - Tenel Ka posłużyła się Mocą, żeby zmniejszyć opuchliznę pod oczami i znowu nadać skórze poprzednią gładkość. - Zamierzaliście mnie przekonać, żebym opowiedziała się po przeciwnej stronie.

- A przynajmniej żebyś wycofała swoje poparcie - wyjaśniła Leia. - Zważywszy na to, że niedawno Korelia mieszała się w wewnętrzne sprawy Hapan, chyba nie możemy cię prosić, żebyś aktywnie poparła Konfederację.

- Daj spokój, księżniczko. - Tenel Ka schowała lustro. Na jej twarzy nie było już śladu niedawnych łez. Przycisnęła guzik na ścianie i zabytkowa kabina znów ruszyła w górę. - Obie wiemy, że jeżeli ktoś nie popiera Jacena, automatycznie staje się jego wrogiem.

ROZDZIAŁ 19

W bąblu rozżarzonego do białości bólu siedziała samotna istota. Walczyła, żeby nie stracić przytomności... żeby cały czas pamiętać, że jest istotą ludzką - dzieckiem dwojga Jedi i młodzieńcem, który sam ma nadzieję zostać rycerzem Jedi. Ból starał się mu to wszystko odebrać. Chciał zmienić jego postanowienie niezliczonymi sposobami - kwasem liżącym bezbronne nerwy, trucizną powiększającą bąble na ciele i igłami zamieniającymi jego stawy w ogniska pulsującego żaru. Jedynym sposobem położenia kresu bólowi było poddanie się jego wpływowi i pozwolenie, żeby go stopił i ukształtował w istotę silniejszą, potężniejszą i bardziej odporną.

Ben to rozumiał. Każda chwila sprawiała mu większą mękę, bardziej dotkliwą i zaskakującą niż poprzednia. Ból nie pozwalał mu umrzeć, zdrętwieć ani uciec w katatoniczne zapomnienie. Chłopiec to rozumiał, ale starał się pamiętać, że jest Benem Skywalkerem, synem Luke'a i Mary Jade Skywalker. A także kuzynem i byłym uczniem pułkownika Jacena Solo, który zamordował jego matkę.

Ostatnie zdanie Ben powtórzył jeszcze raz w myśli. Tylko w ten sposób mógł podsycać swoją nienawiść, której tak bardzo potrzebował. Nienawiść miała mu pomóc w ucieczce, a kiedy ucieknie, to nienawiść powinna mu zapewnić siłę potrzebną do zabicia Jacena Solo.

Kiedy krzesło - jeżeli można było tak nazwać pulsującą masę zakończonych czarnymi kolcami białych macek - wzmocniło uścisk, Ben poczuł się niczym w samym jądrze żółtej energii. Uświadomił sobie, że powietrze opuściło jego płuca w długiej serii wrzasków, poczuł spazm mięśni i usłyszał zgrzyt własnych zębów. Potem wszystko wokół niego stało się białe, a jego udreżonym ciałem zaczęły wstrząsać konwulsje.

Kiedy już jego nerwy zostały znieczulone i wymagały nowej porcji udreki, a ciemność wokół stała się znów ciemnością, Ben uświadomił sobie, że ktoś stoi przed jego krzesłem. Nie miał pojęcia, skąd to wie, skoro w pomieszczeniu panuje nieprzenikniona ciemność. W dodatku odkąd poczuł pierwszy ból, stracił wszelki kontakt z Mocą. Może po prostu poczuł brzydkiego zapach albo usłyszał, że ktoś szurnął w znajomy sposób butem po pokładzie.

Liczyło się tylko to, że wie. Uniósł głowę, na ile mu na to pozwalała ciemna obroza.

- Cześć, Jacenie - powiedział.

- Prosiłem, żebyś mnie tytułował pułkownikiem - usłyszał w odpowiedzi.

Ben zebrał w ustach porcję smakującej jak miedź krwi i plunął nią w kierunku, skąd dobiegał głos krewniaka. Nie wiedział, czy trafił.

- Brawo. - Głos Jacena dobiegał tym razem z innego miejsca, z lewej strony młodszego kuzyna. - Pielęgnuj swoją nienawiść, bo tylko ona pomoże ci znieść ból. - Jacen podszedł jeszcze bliżej. - Ja nie umiałem nienawidzić i ból o mało mnie nie zabił.

- Mój ból cię zabije - zapowiedział chłopak.

- Możliwe, jeżeli wystarczy ci czasu - zgodził się z nim obojętnie Jacen. - Upłynie jednak wiele dekad, zanim osiągniesz taką potęgę, żeby otwarcie rzucić mi wyzwanie. Mam nadzieję, że rozumiesz, jak daremne są wszelkie próby zabicia mnie z zaskoczenia. W tej chwili musisz to sobie boleśnie uświadamiać.

Z miejsca, gdzie powinna znajdować się ręka Jacena, dobiegł cichy szelest, po którym krępujące Bena macki wypuściły następne kolce i wsączyły mu pod skórę kilka kropli jadu. Ciało chłopca od razu napuchło i pokryło się bąblami, z których zaczęła się sączyć czarna posoka.

Kiedy ciemność znów przeistoczyła się w ognistą kurtynę bólu, Jacen zapytał:

- Czy wreszcie pragniesz umrzeć, Benie? Jeżeli tak, musisz tylko poprosić.

- Następne... kłamstwo - wychrypiał chłopak. - Musisz się... dobrze bawić.

- Bawić? - W głosie Jacena zabrzmiała autentyczna pretensja. - Jak możesz przypuszczać, że to mnie bawi?

Na suficie zamrugał i zapłonął iluminacyjny panel. Ben poczuł ból w oczach, które nie od razu przyzwyczyły się do blasku. Zaczął rozróżniać kształty. Zobaczył pokryte cierniami łóżko pod sąsiednią ścianą i otulony mackami regał w odległym kącie. Jego cela była większa, niż się spodziewał; miała co najmniej sto metrów kwadratowych. Widoczne w bocznej ścianie drzwi prowadziły do mrocznego pomieszczenia, które mogło być tylko tajemnym hangarem, ukrytym w nadbudówce jednej z dziobowych wieżyczek „Anakina Solo”.

Jacen stanął tak, żeby Ben mógł go widzieć. Był ubrany, jak zwykle, w czarny mundur SGS, czarne buty i czarny płaszcz. Miał podkrążone, zapadnięte i smutne oczy, które błyszczały szkliście, jakby starszy kuzyn miał się za chwilę rozplakać... albo wpaść w furję. Wyciągnął rękę i usunął mackę mocującą jeden z nadgarstków Bena do krzesła.

- Jak możesz przypuszczać, że chcę ci to robić? - zapytał. Odciągnął mackę na bok i nawet się nie skrzywił, kiedy biały wąs owinał się wokół jego przedramienia i zatopił w nim ociekające jadem kolce. - Ja też jestem częścią twojej męki, Benie. Odczuwam wszystko, co

ci robią Objęcia Cierpienia. Tkwiemy w tym razem, ja i ty.

- Świetnie - zgodził się chłopak. - A może masz ochotę na jakiś czas zastąpić mnie na tym krześle?

- Imponujesz mi - odparł Solo. - Kłopot w tym, że straciłem poczucie humoru po pierwszej... - Uświadomił sobie, co chciał powiedzieć, i nie dokończył zdania. Uśmiechnął się, kiedy pomyślał, że oto o mało nie pogwałcił jednej z podstawowych reguł torturowania, informując dręczoną ofiarę, ile czasu upłynęło od początku tortur. - Ale to w tej chwili nieważne, prawda? - podjął po chwili. - Liczy się tylko to, że chcę cię ocalić.

- Ocalić? Mnie? - Ben roześmiał się, co spowodowało następną falę bólu. - Akurat. W taki sam sposób, w jaki ocaliłeś moją mamę?

Jacen zacisnął wargi.

- Nie rozumiem, dlaczego cały czas w to wierzysz. Sprawia mi to tyle bólu - powiedział. - Ale dobrze, założmy, że masz rację. Dlaczego miałbym to zrobić?

- Możesz śmiało się przyznać, że ją zabiłeś, Jacenie - wymamrotał chłopak. - Skoro nie bałeś się tego zrobić, miej odwagę to powiedzieć.

- Może to zrobię, kiedy wreszcie zaczniesz mnie tytułować pułkownikiem - odparł Solo. - Ale zapytam jeszcze raz: dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo moja mama wiedziała, że utrzymujesz kontakty z Lumiya - odparł Ben. - Musiałeś ją uciszyć.

Jacen pokręcił głową.

- Pomyśl rozsądnie, Benie - powiedział. - Gdyby twoja matka podejrzewała mnie o współpracę z Lumiya, z pewnością komuś by o tym powiedziała. Wówczas w pościg za mną ruszyłoby wielu mistrzów Jedi, nie tylko ona.

Ben zmarszczył brwi. Dobrze wiedział, dlaczego jego matka nikomu nic nie powiedziała... wszystko przez to, że jej syn za bardzo się wstydził powiedzieć ojcu o konszachtach Jacena z Lumiya. Ben wiedział także, że sam okazał się nerfoidiotą. Jego matka robiła wszystko, żeby nikt się nie dowiedział o jego tajemnicy, a Jacen nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Był święcie przekonany, że gdyby matka Bena wiedziała o Lumiya, na pewno by o tym powiedziała nie tylko swojemu mężowi, ale także wszystkim innym mistrzom Jedi, którzy mieli sprawne komunikatory. Jacen był więc pewny, że Mara nie wiedziała o jego współpracy z Lumiya... czyli nie miał potrzeby jej zabijać.

- Naprawdę nie wiem - odezwał się w końcu chłopak. - Może po prostu chciałeś wyrównać z nią rachunki.

Wyraźnie rozczarowany Jacen spiorunował go spojrzeniem.

- Znasz mnie zbyt dobrze, żeby mnie o to posądzać - powiedział. - Istnieje tylko jeden powód, dla którego mógłbym się zdecydować na podjęcie równie... bolesnej decyzji. Dobro galaktyki.

Ben poczuł wzbierający w piersi gniew.

- Śmierć mamy nie była dobra dla galaktyki! - wykrzyknął.

- A ja jej nie zabiłem - odparł spokojnie Jacen. - Cały czas obracamy się w sferze przypuszczeń. Gdybyś mógł zaprowadzić pokój w galaktyce, poświęcając czyjeś życie, na przykład moje... czy byś się na to zdecydował?

- W gnieniu oka - wypalił chłopak. - Nawet gdybym dzięki temu niczego nie ocalił.

- Pozwól, że się ograniczymy tylko do sensownych poświęceń - napomniął go Jacen. - A gdybyś musiał zabić kogoś innego, na przykład swoją matkę, żeby w galaktyce zapanował pokój? Czy byś się na to zdecydował?

- Co za głupie pytanie! - oburzył się Ben. - Zabicie mojej mamy nie przyniosło pokoju! W tej chwili w galaktyce panuje większy zamęt niż przed jej śmiercią!

- To nie ma nic do rzeczy - odparł Solo. - A ja nie zabiłem Mary. Pytałem ciebie, czy byś się na to zdecydował. Czy poświęciłbyś jej życie w zamian za pokój w galaktyce?

Ben milczał. Obawiał się, że jeżeli szczerze odpowie kuzynowi, będzie musiał przestać go nienawidzić za jego zbrodnię. Będzie musiał pogodzić się z tym, że śmierć matki była... konieczna.

- Moje pytanie nie było podchwytliwe, Benie - odezwał się po chwili Jacen. - Nie znajdziesz w nim żadnej pułapki.

Mimo to chłopiec bał się odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, dokonał dokładnie takiego samego wyboru, o jakim wspominał starszy kuzyn. Co gorsza, dokonał go nie raz, ale dwa razy. Za pierwszym razem, kiedy próbował się wkraść w łaski Jacena, sugerując mu zabicie obojga Solusarów zamiast uczniów Akademii Jedi. Za drugim razem, całkiem niedawno - a przynajmniej tak mu się wydawało - stojąc obok Jacena na mostku, zasugerował, żeby artylerzyści „Anakina Solo” wzięli na cel także miasta Wookiech, nie tylko wroshyry. Dlaczego to zrobił? Po to, żeby rozproszyć podejrzenia starszego kuzyna, a później łatwiej go zabić i zakończyć tę wojnę.

Kiedy Ben nie odpowiadał, Jacen zdecydował się pierwszy przerwać ciszę.

- Milczysz, bo wiesz, że odmowa dokonania takiego wyboru byłaby czynem samolubnym, nawet podłym - powiedział. - Jak można nie poświęcić życia jednej istoty, żeby ocalić miliardy inteligentnych osób? Twoja matka błagałaby cię, żebyś to zrobił, gdyby miała możliwość dokonania takiego wyboru.

- O nic... takiego... nigdy by... mnie... nie błagała! - wyskandował Ben. Czuł, że jego nienawiść gdzieś się rozplywa, a wraz z nią roztapia się jego tożsamość. Chciałby wierzyć, że Jacen posługuje się Mocą, aby wywierać na niego taki wpływ, ale wiedział, że tak nie jest. Tracił tożsamość, bo stawał się bardziej podobny do Jacena, niż sam Jacen podejrzewał. - Nie musiałeś jej zabijać!

- I wcale tego nie zrobiłem, chociaż mogłem - przyznał Jacen. - Na tym polega różnica między nami. Jestem gotów wziąć każde brzemię na swoje barki. - Urwał, wyciągnął rękę i pogłaskał węzeł mięśni z boku fotela. - Dlatego twoje cierpienia są konieczne... żebyś miał dość sił na dokonanie takiego samego wyboru.

Ben czekał, aż macki znów się zacisną na jego ciele, a przynajmniej wsączą porcję nowej trucizny, która spowoduje, że jego bąble staną się jęczącymi ranami, a jęczące rany zropiałymi wrzodami. Wici jednak wycofały swoje kolce i rozluźniły się, a Ben poczuł niezwykłą ulgę. Jacen położył dłoń na jego ramieniu i łagodnie je uściśnął.

- Obawiam się, że muszę zadać ci większy ból niż ten, jakim potraktowały cię Objęcia - powiedział. Cały czas trzymając rękę na ramieniu kuzyna, zaczął koić jego rany energią Mocy. - Niedawno twój ojciec i moja siostra przypuścili bezsensowny atak na „Anakina Solo”. Jaina chyba uciekła, ale myśliwiec StealthX twojego ojca został zestrzelony.

Ben zmarszczył brwi. Nie docierało do niego, co Jacen chce mu powiedzieć.

- I co z tego? - zapytał.

- Jego maszyna po prostu wyparowała - wyjaśnił Solo. - Twój ojciec nie miał dość czasu, by się katapultować.

- Przypuszczasz, że nie żyje? - Ben wiedział, że powinien zareagować gwałtownie, myślą i sercem, tymczasem wyczuwał tylko niedowierzenie... i nienawiść. Nie pozbył się jej, nawet jeżeli Jacen mówił prawdę. - To jesteś bardziej naiwny, niż sądziłem.

Jacen zacisnął palce z taką siłą, że gorące szpony bólu objęły szyję i pierś dręczonej ofiary.

- Byłem tam, Benie - powiedział. - Widziałem to na własne oczy.

- Wydaje ci się, że go zestrzelełeś? - Chłopiec nie miał pojęcia, co robi, jeżeli Jacen naprawdę straci panowanie nad swoim gniewem. Wiedział tylko, że musi zrobić albo powiedzieć coś, co wyprowadzi go z równowagi. - Śmiechu warte.

Jacen nie dał się jednak nabrać. Cofnął rękę i powiedział:

- To nie ja go zestrzelełem. To był wypadek... czasami coś takiego się zdarza. Trafiła go Jaina.

Dopiero ta informacja wstrząsnęła Benem. Było mało prawdopodobne, żeby Jaina

popelniła taki błąd, a jeszcze mniej możliwe, żeby ofiarą padł jego ojciec. Czasami jednak straszne wypadki rzeczywiście się zdarzały, a od śmierci mamy ojciec był okropnie roztargniony. Czy pogrążony w bólu Luke Skywalker mógł popełnić tak brzemienny w skutki błąd?

- Nieprawda... wszystko to wymyśliłeś. - W głosie Bena brzmiała desperacja i nawet on sam sobie to uświadamiał. Poczul się, jakby zimna dłoń ścisnęła jego serce. - Wyczułbym, że zginął, podobnie jak wyczułem, kiedy zabiłeś moją mamę.

Jacen pokręcił ponuro głową.

- Jak mógłbyś to wyczuć, Benie? - zapytał. - Czy odkąd cię tu przyprowadziłem, cokolwiek poczułeś dzięki Mocy? - Wyjął z pochwy wibrosztylet, włączył broń i rzucił na podłogę, mniej więcej dwa metry od stóp młodszego kuzyna. - Bierz się do roboty - rozkazał. - Skorzystaj z usług Mocy, przywołaj ten wibrosztylet i przetnij krępujące cię więzy!

Ben uwolnił myśli i wysłał je do wibrosztyletu.. ale nie potrafił go znaleźć. Otworzył umysł szeroko na przepływ Mocy... i nadal niczego nie wyczuwał.

- Co się stało? - O mało się nie zachłysł. - Nic nie czuję!

- Oczywiście, że nie - odparł Jacen. - Jak myślisz, ile czasu Objęcia mogłyby cię utrzymać, gdybym pozwolił ci korzystać z usług Mocy?

- Potrafisz zrobić coś takiego? - zapytał wciąż jeszcze oszołomiony chłopak. - Umiesz uniemożliwić mi kontakt z Mocą?

Jacen rozłożył ręce w geście udawanej bezradności.

- Na to wygląda - powiedział.

- Nawet nie mogę wysłać myśli, żeby wezwać pomoc - jęknął Ben. Zaczynał się domyślać, w jaki sposób Jacen usiłuje go wywieść w pole. - Mówisz mi, że tata nie żyje, i nie pozwalasz go odnaleźć w Mocy. Mam uwierzyć ci na słowo, tak?

- Nie o to mi chodziło, ale rozumiem, że mogłeś dojść do takiego wniosku - odparł Solo.

Położył znów dłoń na ramieniu kuzyna i pozwolił, żeby Moc napłynęła do Bena jak wstrząsający, bolesny strumień. Chłopiec poczul mnóstwo rzeczy naraz. Odebrał myśli cioci Leii, która - przepelniona bólem, przerażeniem i współczuciem - cały czas poszukiwała go w Mocy. Wyczul smutek i współczucie swojej kuzynki Jai, która przebywała na Kashyyyku, i jej zdumienie, kiedy odnalazła Mocą Bena na pokładzie „Anakina Solo”. Poczul ulgę Saby Sebatyne i pozostałych mistrzów Jedi, zadowolonych, że znów pojawil się w Mocy. Wszyscy byli zdezorientowani i zaniepokojeni faktem, że Ben przebywa na pokładzie okrętu Jacena.

Przede wszystkim jednak chłopiec wyczul swojego ojca... jego słabą obecność. Był

pokład albo dwa nad nimi. Przemykał między nadbudówkami pod jedną z wieżyczek dalekosiężnych turbolaserów. Wydawał się równie zaskoczony jak wszyscy, kiedy Ben powrócił do Mocy. Od aury Luke'a promieniował jednak spokój i nadzieja, że wkrótce pospieszy synowi na ratunek.

W pierwszej chwili Ben nie potrafił zrozumieć, dlaczego Leia, Jaina i wszyscy pozostali wydają się tacy smutni... ale po chwili zrozumiał. Nie wyczuwali obecności jego ojca w Mocy. Ben był jedyną osobą, do której Luke kierował myśli. Nawet Jacen nie umiał do tego stopnia panować nad swoją obecnością w Mocy.

- Niezła sztuczka - zdecydował chłopiec.

Nie uświadamiał sobie nawet, że wypowiedział te słowa głośno, dopóki nie zobaczył groźnego wzroku Jacena.

- To nie jest żadna sztuczka, Benie - zaprotestował starszy kuzyn. - Nawet ja nie jestem wystarczająco dobry, aby wzbudzać podobne emocje u innych władców Mocy. Wyczuwasz dokładnie to samo co ja. Wszyscy dobrze wiedzą, co się stało.

- I właśnie dlatego ci się wydaje, że mój tata nie żyje? - zapytał ostrożnie Ben. - Dlatego, że inni tak uważają?

- Wiem to, bo poczułem, jak umiera - wyjaśnił Solo. - Cieszę się, że mogłem ci oszczędzić tego cierpienia. Nie pomogłoby ci do pozyskania większej siły.

- Ta-a, wielkie dzięki - burknął cierpko Ben. Uświadamiał sobie, jak dokładnie jego ojciec stara się ukierunkować swoją obecność w Mocy. Odnosił wrażenie, że jest tylko częściowo z nim połączony. To tak, jakby usiłował trzymać w dłoniach ducha albo coś równie ulotnego. - Jak dawno temu to się stało? - zapytał.

Jacen się uśmiechnął.

- Dobrze wiesz, że ci tego nie wyjawię - powiedział.

Ben popatrzył z ukosa, jakby właśnie tego się po nim spodziewał.

- Warto było spróbować - mruknął do siebie. Usiłował odgadnąć, dlaczego jego ojciec wylądował ukradkiem na pokładzie „Anakina Solo”. Na pewno chodziło mu o coś więcej niż tylko o zniszczenie dalekosiężnych turbolaserów. Razem z Jainą mogliby załatwić wszystkie cztery baterie podczas pierwszego przelotu nad kadłubem i wciąż jeszcze mieliby w zanadru dwie ciemne bomby. - Minęła niecała doba - uznał w końcu. - Wszyscy usiłują przyjść do siebie po przeżytych wstrząsach, ale już zaczęli się martwić o mnie.

- Wygląda na to, że martwią się niepotrzebnie - pocieszył go Solo. - A twój umysł działa całkiem sprawnie. - Zerknął na Objęcia i dodał: - Biorąc pod uwagę wszystko, co tu wycierpiałeś.

Widząc uśmiezek na twarzy starszego kuzyna i słysząc jego kpiący głos, Ben miał ochotę go zabić. Doszedł do wniosku, że jego ojciec wyładował na pokładzie „Anakina Solo” w tym samym celu. Benowi nie wydało się to sprawiedliwe, bo uważał, że tylko on ma do tego prawo. Przecież to on odpowiadał za śmierć matki, bo tylko jej opowiedział o konszachtach Jacena z Lumią. Gdyby publicznie się przyznał do popełnionego błędu i gdyby miał dość odwagi, aby przekazać ojcu i pozostałym członkom Rady Mistrzów, co widział i co słyszał, jego matka nie wyruszyłaby sama w pościg za Jacenem. Mistrzowie by jej na to nie pozwolili. Mara by teraz żyła, Jacen byłby martwy, a w galaktyce prawdopodobnie zapanowałby pokój.

- Nie ma nic złego w tym, że mnie nienawidzisz - odezwał się nagle Jacen, jakby wyczuwał tok myśli młodszego kuzyna. - Nie możesz jednak pozwolić nienawiści nad sobą zapanować. Musisz zrobić z niej swoją służbę.

Ben roześmiał się z wysiłkiem, co zabrzmiało gorzko i nienaturalnie.

- Nie darzę cię nienawiścią, Jacenie - stwierdził. - Lituję się nad tobą.

Kuzyn posłał mu groźne spojrzenie.

- Nie wygląda na to, żebym potrzebował twojej litości, Benie - powiedział.

- Jeszcze ci się przyda - zapewnił chłopak. - Mój tata wcale nie zginął. Szuka ciebie.

Jacen spuścił wzrok.

- Nie radzisz sobie z bólem tak dobrze, jak sądziłem - zawyrokował. Podszedł bliżej i poklepał go po ramieniu. - Jeżeli nie przestaniesz z tym walczyć, halucynacje nigdy nie ustąpią.

Nagle rozległ się stłumiony pomruk i kabina się zatrzęsała. Po chwili usłyszeli z góry, z wysokości kilku pokładów, jęk rozdieranego metalu. W hangarze zawyły alarmowe syreny, a w wielu miejscach nad nimi łomotały zatrzasnięte klapy grodzi.

Jacen natychmiast wyciągnął komunikator, połączył się ze swoim doradcą, Orloppem, i zażądał wyjaśnień. Ben usłyszał tylko fragment meldunku Jeneta, który mówił coś o chłodzących uzwojeniach i katastrofalnym uszkodzeniu drugiej wieży baterii dalekosiężnych turbolaserów.

- Wstrzymać ostrzał Kashyyyka i sprawdzić stan uzwojeń chłodzących pozostałych baterii - rozkazał Jacen przez komunikator. - I o wszystkim meldować.

Ben zaczekał, aż kuzyn przerwie połączenie.

- Nadal uważasz, że mam halucynacje? - zapytał.

Jacen popatrzył w sufit i uwolnił myśli. Posługując się Mocą, rozpoczął poszukiwania Luke'a... albo jakiegoś innego sabotażysty. W końcu pokręcił głową i spojrział znów na jeńca.

- Obawiam się, że masz - powiedział. - Nie wyczułem obecności żadnego Jedi, a jeżeli ja tego nie wyczułem, ty też nie mogłeś. Pewnie tylko ci się wydawało.

- Bo mój tata nie chce, żebyś go wyczuł - wyjaśnił chłopak. Już wiedział, że ojciec znajduje się bardzo blisko, na tym samym pokładzie, i spieszy mu na pomoc. - Ale on tu jest.

- I co, pomożesz mi go odnaleźć, jeżeli cię uwolnię, tak? - zadrwił Jacen. - Niezła sztuczka.

Ben zauważył na progu kabiny ciemną postać.

- Chyba nie muszę ci pomagać, Jacenie - powiedział. - Tata stoi za tobą.

Luke poczuł się jak w koszmarnym śnie. Ben siedział na wielkim, kolczastym krześle, oplątany pajęczyną ciemnych macek. Jego skóra odpadała od ciała purpurowymi płatami, a w oczach płonął błysk szaleństwa albo bólu. Mistrz Jedi pomyślał, że to tylko wytwór jego wyobraźni. Nawet Jacen nie mógłby się posłużyć Objęciami, żeby sprawić ból swojemu kuzynowi.

- Musisz się bardziej postarać, Benie. - Nie odwracając się, Jacen wybuchnął śmiechem i uniósł ręce w geście udawanego przerażenia. - Taki podstęp był już wyświechtany, kiedy gwiazdy dopiero się rodziły.

Ben wzruszył ramionami.

- Szykuj się na swój pogrzeb - powiedział.

- Pewnie... gdybym był na tyle naiwny, żeby pozwolić ci przywołać... to.

Wskazał pomrukujący wibrosztylet, leżący na pokładzie mniej więcej dwa metry od stóp kuzyna. Luke nie miał pojęcia, co broń tam robi - czy to Ben zaatakował nią Jacena, czy odwrotnie - ale zaczynał się oswajać z myślą, że to, co widzi, dzieje się naprawdę. Stał na progu pełnej yuuzhańskich narzędzi tortur tajnej kabiny Jacena i przyglądał się, jak obłąkany siostrzeniec dręczy jego syna.

Postanowił, że nie da Jacenowi szansy. Po prostu skoczył na niego.

Ben otworzył usta, a Jacen zaczął się odwracać. Oderwał od pasa rękojeść świetlnego miecza i zapalił klingę. Trzymał ją w taki sposób, żeby szmaragdowe ostrze chroniło jego serce i głowę.

Luke zaatakował jednak niżej. Postanowił zadać cios w nerki, żeby w najbardziej bolesny sposób obezwładnić przeciwnika. Jacen otworzył szeroko oczy i opuścił klingę miecza w tej samej chwili, kiedy ostrze wuja wbijało się w jego ciało.

Zagłębiło się w nie zaledwie na kilka centymetrów, ale Jacen syknął z bólu, kiedy szpic broni zahaczył o nerkę. Ułamek sekundy później odbił na bok klingę miecza Luke'a.

Nawet tak niewielka rana sparaliżowałaby bólem większość istot ludzkich, ale Solo sycił się swoim bólem. Wykorzystywał go, stawał się dzięki niemu szybszy i silniejszy. Dokończył półobrót i kopnął wuja w zębra.

Rozległ się chrzęst i Luke się cofnął, czując dotkliwy ból. Jacen trafił w ledwo zagojoną ranę, odniesioną podczas pierwszej walki z Lumiya. Mistrz Jedi chwycił powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

To dobrze, pomyślał. To powinno boleć.

Jacen uniósł świetlny miecz i ciął z góry. Luke zablokował cios i runął na przeciwnika. Wyrznął go łokciem w skroń tak mocno, że siostrzeniec osunął się na kolana, i od razu trafił kolanem w podbródek Jacena z takim impetem, że usłyszał trzask połamanych zębów. Musiał przyznać, że ten odgłos sprawił mu dużą radość. Sparował wymierzony w udo słaby cios siostrzeńca i ciął klingą na ukos, w miejsce, gdzie powinna być jego klatka piersiowa.

Jacen jednak odpełznął już po śliskich płytach pokładu. Posługując się Mocą, czołgał się w kierunku owiniętego mackami regału w odległym kącie pomieszczenia. Luke skoczył za nim i opuścił klingę, żeby ciąć nisko, na wysokości kolan.

Jacen zatrzymał się i zatoczył wolną ręką szeroki łuk. Luke był jednak przygotowany... spodziewał się tego od początku walki. Lecąc w powietrzu, wyciągnął dłoń, żeby utworzyć przed sobą ochronną tarczę Mocy.

Nie zobaczył jednak lecącej ku sobie błyskawicy Mocy, której się spodziewał. Trafił na ciężki, kolczasty kształt i poczuł w ciele eksplozję bólu. Stwierdził, że przytrzymuje go cierniste łożo, które Jacen posłał w powietrzu przez całą długość kabiny. Czuł gorące ukłucia kolców, wstrzykujących jad do jego ciała. Nic nie słyszał, w głowie mu wirowało. Siostrzeniec uniesioną ręką unieruchamiał wuja. Jacen szczyrzył zęby w złośliwym uśmiechu i nie spieszył się ze wstawaniem.

Poważny błąd.

Luke uniósł klingę świetlnego miecza, przeciął cierniste łożo na dwoje i od razu doskoczył do siostrzeńca. Jacen zerwał się i ledwo zdążył unieść klingę swojego miecza, żeby zablokować silny cios z góry na dół. Mistrz Jedi wylądował na płytach pokładu i kopnął Jacena w brzuch, a kiedy jego przeciwnik pofrunął na metr w górę, postarał się go ciąć w szyję.

Jacen uniknął jednak jego ciosu. Prześlizgnął się pod gardą wuja i trzymając broń jedną ręką, drugą zadał mu wspomagany przez Moc cios w zębra. Mierzył w to samo miejsce, w które dosięgnął kopniakiem na początku pojedynku. W piersi mistrza Jedi znów eksplodował ból. Luke z rżeniem wypuścił z płuc powietrze.

Chwycił jednak miecz oburącz i zadał cios, wkładając w niego całą siłę, jaka mu jeszcze pozostała. Pokonał gardę siostrzeńca, a przy tym odepchnął szmaragdową klingę jego broni tak daleko, że wbiła mu się w ramię. Jacen mocnym kopniakiem trafił wuję w kolano. Rozległ się chrzęst i mistrz Jedi runął na płyty pokładu. Zdążył jeszcze ciąć poziomo klingą miecza.

Jacen wrzasnął z bólu. W powietrzu rozniósł się odór spalenizny. Luke wiedział, że jego przeciwnik zada cios mimo straszliwego cierpienia, jakie musiał odczuwać, więc przetoczył się po pokładzie, starając się oszczędzać uszkodzone kolano. Zaraz jednak się zerwał i machnął klingą świetlnego miecza, aby ostatecznie uwolnić się od siostrzeńca.

Jego ostrze zwarło się z mieczem Jacena i w powietrze trysnęły snopy oślepiających iskier. Luke uwolnił jedną rękę i usztywnił palce, chcąc trafić Jacena w oczy.

Siostrzeniec odwrócił głowę, ale palec mistrza Jedi zdążył jeszcze zadrasnąć coś miękkiego. Jacen ryknął z bólu i cofnął się, kręcąc głową. Luke udał, że chce powtórzyć cios w skaleczone oko, a kiedy przeciwnik wykonał obrót, by je chronić, poraził go falą Mocy.

Jacen poszybował w powietrzu pod przeciwną ścianę, a Luke posłał go lekkim pchnięciem Mocy w kierunku owiniętego mackami regału w odległym kącie. Siostrzeniec runął na mebel z tak głośnym łoskotem, że Luke zaczął się obawiać, czy Jacen nie roztrzaskał delikatnego regału. Zauważył kątem oka, że cienkie macki szybko owijają się wokół siostrzeńca, tworząc sploty pulsującej zielenią siatki.

Mistrz Jedi ruszył na przeciwnika, chociaż przeszkadzało mu uszkodzone kolano. Zauważył, że cienkie macki regału zaciskają się wokół Jacena, przenikają jego ciało i wstrzykują żółtawą ciecz, od której skóra się wydyma i pęka. Na widok wuja Jacen zaczął przecinać macki klingą świetlnego miecza po dwie albo po trzy naraz i mistrz Jedi zrozumiał, że jeżeli chce zakończyć walkę - w której sam tak bardzo ucierpiał - ma na to najwyżej kilka sekund.

Bez słowa zbliżył się do siostrzeńca. Nie miał innego wyjścia. Jacen nie zamierzał się poddać, nawet gdyby wuj mu to zaproponował. Lepiej od razu rzucić się do ataku, dopóki Luke wciąż jeszcze miał przewagę. Uniósł klingę świetlnego miecza do zadania ostatecznego ciosu.

- Zaczekaj! - zawołał Ben za jego plecami. - Pozwól mi to zrobić!

Zaskoczony Luke obciążył nadmiernie uszkodzone kolano i upadł na płyty pokładu. Przetoczył się, żeby Jacen nie mógł go dosięgnąć ostrzem swojego miecza, i spojrzał w drugi kąt kabiny. Ben usiłował wstać z ciemnego krzesła. Przywołał do dłoni wibrosztylet i ciął nim raz po raz, żeby się uwolnić od smagających macek Objęcia.

Luke pokręcił głową.

- To chyba nie jest dobry pomysł, Benie - powiedział.

- Musisz mi na to pozwolić! - krzyknął chłopak. - Mam do tego prawo!

- Masz prawo? - Luke wstał, stwierdzając, że jest teraz jeszcze bardziej wściekły na Jacena. - Masz prawo kogoś zabić?

- Niczego nie rozumiesz - warknął Ben. - To wszystko moja wina. Jeżeli tego nie zrobię...

- Powiedziałem, że nic z tego - uciął mistrz Jedi. Jak Ben mógł wykombinować, że „ma prawo” kogokolwiek zabijać? - Chyba nie myślisz trzeźwo, Benie. Porozmawiamy o tym później.

Nie dając synowi czasu na protesty, Luke odwrócił się znów do siostrzeńca, który zdążył się prawie uwolnić. Jeszcze tylko wokół jednej nogi owijało się kilka macek. Mistrz Jedi pokuśtykał ku Jacenowi i stanął obok uwięzionej nogi.

Siostrzeniec dał spokój mackom i wyciągnął rękę w górę.

- Tato, uważaj! - wrzasnął Ben.

Luke instynktownie padł na pokład. Od strony iluminacyjnego panelu na suficie rozległ się donośny trzask i komnata tortur pograżyła się w ciemności. Mistrz Jedi zaczął się toczyć w przeciwnym kierunku, ale zrobił to za późno. Ciężki panel runął na jego głowę i ramiona i przycisnął twarzą do pokładu. Coś trzasnęło mu w nosie i Luke zakrztusił się własną gęstą krwią.

Klinga świetlnego miecza Jacena zamruczała i kąć wypełnił się migotliwym zielonym blaskiem. Luke posłużył się Mocą, żeby zepchnąć szczątki panela z pleców, i wstał z wysiłkiem.

Jacen też dopomógł sobie Mocą, żeby wykonać salto wysoko nad jego głową. Lecąc w powietrzu, wymienił z wujem kilka niedbałych ciosów, po czym wylądował i zniknął w ciemności. Luke został sam w kącie komnaty tortur. Patrzył, jak zielona kolumna blasku klingi siostrzeńca kieruje się do wyjścia.

Zrozumiał, że Jacen ucieka.

Wypluł krew i pomagając sobie Mocą, skoczył w ślad za siostrzeńcem. Wyciągnął rękę, żeby go unieruchomić i uniemożliwić mu ucieczkę. Znów zaczął się szaleńczy pojedynek. Klingi mieczy zwierzały się raz po raz, we wszystkie strony sypały się snopy iskier. Wypełniając mroczne pomieszczenie barwnymi błyskami, przeciwnicy wymieniali ciosy szybciej, niż nadażało oko. W pewnej chwili Jacen kopnął wuja w zranione kolano i Luke musiał przywołać Moc, żeby zachować równowagę. Sam wymierzył siostrzeńcowi cios

łokciem i poczuł, że złamał mu szczękę.

Jacen jęknął z bólu, zatoczył się i cofnął. Zielony blask klingi jego miecza oświetlił na krótko twarz Bena. Chłopak ciągle zmagał się z mackami, żeby wstać z krzesła. Luke ruszył do ataku. Kierował się w stronę Objęć, żeby uniemożliwić dojście do syna Jacenowi, który wytrwale kierował się w tamtą stronę, aż w końcu stanął między wujem a krzesłem tortur. Trwał tak w miejscu, ukryty za zieloną zasłoną, jaką w ciemności kreśliły błyskawicznie szybkie ruchy klingi jego miecza.

Luke pomógł sobie Mocą i skoczył do niego. Dobrze wiedział, że Jacen - ten Jacen, który torturował jego syna - nie zawaha się wziąć Bena za zakładnika... albo nawet go zabić. Wylądował na płytach pokładu mniej więcej metr przed świetlistą kurtyną i szybko przełamał gardę przeciwnika... za szybko. Kiedy w blasku swojej klingi nie dostrzegł jego twarzy, domyślił się, że dzieje się coś złego, i zrezygnował z ataku.

Ale właśnie tego Jacen się po nim spodziewał.

Kiedy mistrz Jedi zaczął się odwracać, nad jego głową śmignęła długa macka. Owinęła się wokół jego szyi, wbiła kolec głęboko w ciało i zaczęła sączyć truciznę. Rana szybko napuchła i zaczęła palić jak ogień. Luke machnął klingą świetlnego miecza za głowę, żeby przeciąć mackę i zranić trzymającego ją Jacena, ale siostrzeniec to przewidział i odskoczył do tyłu. Nie zapomniał jednak zacisnąć śmiertelnej macki i ustawić się między wujem a klingą jego miecza.

- Powinieneś być mnie wykończyć, kiedy miałeś okazję - warknął pogardliwie. - Teraz przyszedła kolej na ciebie.

Luke wbił łokieć w żebra Jacena, mając wrażenie, że trafił w permabetonowe ścianę. Zrezygnował z dalszej walki, posłużył się Mocą i pchnął siebie i siostrzeńca z całą siłą na najbliższą ścianę.

Jacen uderzył w nią pierwszy, a jego głowa z głuchym hukem wyrznęła w durastal. Luke poczuł, że garota wokół jego szyi się rozluźnia. Upuścił rękojeść świetlnego miecza i złączył dłonie, żeby wykorzystać siłę obu rąk do ataku na podbródek siostrzeńca.

Garota zupełnie zwiotczała. Luke uderzył znów w to samo miejsce nasadą dłoni i wykorzystał siłę ciosu, żeby odbić się od przeciwnika i dać sobie więcej miejsca do manewru.

Jacen zakrztusił się krwią, wydał mrozący krew w żyłach wrzask, potknął się i zniknął niczym rozplywający się w ciemności mroczny upiór.

Oszolomiony i zdezorientowany Luke cofnął się i przywołał do dłoni rękojeść świetlnego miecza. Spodziewał się, że przerażający wrzask Jacena nie był tylko jeszcze jedną próbą wywiedzenia go w pole.

- Wszystko w porządku, tato - odezwał się Ben za jego plecami. - To tylko ja.

Chłopiec odczepił od pasa ojca jarzeniowy pręt i zapalił go. Jacen czołgał się po pokładzie komnaty tortur, a spomiędzy jego łopatek wystawała rękojeść wibrosztyletu. Miał zniekształconą twarz, poszarpany mundur dymił, a na głowie widniał prostokąt spalonej skóry wielkości dłoni. A on cały czas wyciągał rękę w kierunku rękojeści swojego miecza.

Luke zapalił swoją klingę i wskazał synowi wyjście.

- Artoo jest w hangarze, gdzie przygotowuje skiff do startu - powiedział. - Idź mu pomóc, a ja w tym czasie zakończę to, co zacząłem.

- Nie ma mowy. - Ben wyciągnął rękę i przywołał do dłoni rękojeść świetlnego miecza Jacena z zapaloną klingą. - To ja muszę go zabić.

Słowa syna przyprawiły Luke'a o dreszcz zgrozy. Mistrz Jedi wyczuwał płonącą w duszy Bena nienawiść i widział kłębiącą się ciemność w jego aurze w Mocy.

- Powiedziałem, że nic z tego - powtórzył Luke. Pokuśtykał za synem i chwycił go za ramię. - Nie możesz się poddać wściekłości, Benie. Kiedyś ja też jej uległem podczas walki z Lumiya, ale wściekłość tylko mnie osłabiła. Jeżeli teraz uwolnisz swój gniew, pochłonie cię Ciemna Strona. Już w tej chwili wyczuwam ją w tobie.

- Nic mnie nie obchodzi Ciemna Strona. - Ben cały czas trzymał rękojeść świetlnego miecza kuzyna i od niechcienia wymachiwał klingą. - Jacen zabił mamę i to była moja...

- Tak uważasz? - przerwał Luke. Wyznanie syna, choć przygnębiające, pozwoliło mu jednak zrozumieć powód wściekłości, nienawiści i żądzy zemsty. - To nie Jacen zabił Mamę, lecz Alema... przynajmniej w tej chwili wszystko na to wskazuje.

Ben zmarszczył brwi.

- Alema? - zapytał.

- Jaina i Zekk odkryli dowody, z których wynika, że była w tym czasie blisko miejsca zbrodni. - Luke lekko popchnął syna w stronę drzwi. - Wyjaśnię ci to po drodze na Kashyyyka. Musimy stąd uciekać, bo za chwilę eksplodują pozostałe turbolasery.

Ben dał się ojcu wyprowadzić z komnaty tortur i skierować do hangaru.

- Pozostałe turbolasery, tato? - powtórzył. - To w ilu wieżach podłożyłeś ładunki wybuchowe?

- W czterech - odparł mistrz Jedi. - Tylko w dalekosiężnych turbolaserach.

- W takim razie mam dla ciebie dobrą wiadomość - powiedział chłopak. - Wszystkie cztery eksplodowały... kiedy toczyłeś walkę z Jacenem.

Luke spojrzał na sufit. Wcale go nie zdziwiło, że w ferworze walki nie usłyszał stłumionych huków eksplozji.

- Tak czy owak, lepiej się pospieszmy - zdecydował. Uderzył otwartą dłońią w przycisk kontrolnego panelu na ścianie i ciężkie wrota z łoskotem uwięziły Jacena w komnacie tortur. - Za chwilę przybiegną tu funkcjonariusze pokładowej służby bezpieczeństwa w poszukiwaniu sabotażystów.

- Chyba żartujesz - mruknął Ben. Zamiast szybko biec do hangaru, oświetlił jarzeniowym prętem durastalową płytę drzwi komnaty tortur, jakby mógł zobaczyć za nią Jacena, obmyślającego sposób obrony przeciwko atakowi, który nie miał nastąpić... a przynajmniej nie tego dnia. - Alema może i była blisko miejsca zbrodni, ale to jeszcze nie oznacza, że to ona zabiła mamę. Chyba wiesz, że i Jacen tam był.

- Wszyscy o tym wiedzą. - Luke nie starał się wpłynąć na Bena, bo syn musiał sam podjąć decyzję. - Ale jeżeli ja nie mogę być pewny, że to była Alema, czy ty możesz mieć pewność, że to był Jacen?

Zdesperowany Ben westchnął głęboko, a Luke z ulgą wyczuł, że nienawiść w aurze syna łagodnieje i przemienia się w niepewność.

Wyciągnął do niego rękę.

- Daj mi ten świetlny miecz, Benie - powiedział. - Jeszcze nie pora, żeby zakończyć porachunki z Jacenem... nie w ten sposób.

Chłopak wyłączył klingę, ale nie wręczył miecza ojcu.

- Czyli co, pozwalamy, żeby Jacenowi uszło to na sucho, tak? - zapytał. - Spalenie Kashyyka, torturowanie mnie i wszystko inne?

- Z pewnością nie - odparł mistrz Jedi. - Ale załatwimy porachunki, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila... dla nas.

Ben zastanowił się chwilę nad tym, co usłyszał.

- Obiecujesz? - zapytał w końcu.

Luke kiwnął głową.

- Musimy zakończyć to szaleństwo - powiedział. - I zakończymy je... kiedy ból i wściekłość nie będą mąciły jasności naszego osądu.

Ben ciężko westchnął i w końcu oddał ojcu miecz Jacena.

- W takim razie naprawdę musimy się stąd wynosić - powiedział. Odwrócił się i popędził do hangaru. - Jacen wciąż jeszcze ma komunikator.

ROZDZIAŁ 20

W dziobowym szpitalu cuchnęło przypieczonym ciałem i oparami balsamu z bacty, a ofiary poparzeń umieszczano po trzy i po cztery w jednej salce. Tylko Caedus miał dla siebie cały pokój... i wcale nie dlatego, że wymagały tego jego rany. Miał tylko kilka złamanych kości i parę obrażeń organów wewnętrznych. W pokładowym szpitalu przebywały osoby, które straciły połowę kończyn podczas eksplozji podłożonych przez Luke'a ładunków wybuchowych, a także takie, które miały oparzenia trzeciego stopnia na połowie powierzchni ciała.

Mimo to androidy oceniające stan zdrowia rannych umiejętnie kierowały nowych pacjentów do wszystkich innych sal z wyjątkiem tej, którą zajmował Caedus. Moduł androida rozpoznający samopoczucie pacjentów wyczuwał pewnie w ich gniewnych spojrzeniach i skrzywionych ustach to samo, co Caedus rozpoznawał w ich aurach w Mocy: wrogość, gniew i strach. Ranni obwiniali go o to, co się stało, jakby ich dowódca mógł przewidzieć eksplozję wszystkich czterech baterii dalekosiężnych turbolaserów... i jakby to było skutkiem wydania przez niego rozkazu zaatakowania Kashyyyka.

A zresztą mieli rację. Gdyby artylerzyści „Anakina Solo” nie rozpoczęli ostrzału wroshyrów, Luke nigdy by nie postąpił tak nierozważnie. Bothanie nie pospieszyliby Wookiem na ratunek i nie pociągnęliby za sobą flot Korelian, a także - jeśli krążące po szpitalu plotki okażą się prawdziwe - większości pozostałych flot Konfederatów. Caedus poświęcił życie i zdrowie kilku tysięcy członków załóg swoich okrętów, żeby odciągnąć floty nieprzyjaciół z pola bitwy o Kuata.

Co gorsza, zamierzał to zrobić jeszcze raz. Obecnie, kiedy zażegnał niebezpieczeństwo, jakie zagrażało Jądru galaktyki, mieszkańcy Coruscant nie musieli się dłużej obawiać o życie, a Sojusz zyskał więcej czasu na przegrupowanie swoich sił zbrojnych. W tej chwili musiał już tylko się wycofać i pozwolić zdrajcom przypuszczać, że go pokonali.

Caedus usiadł. Rozkoszował się chwilę ognistymi sztychami bólu, które przy tym wysiłku przeszły jego ciało, aż w końcu przełożył nogi przez boczną krawędź repulsorowych noszy.

Jego mundur i płaszcz, pocięte na strzępy przez sanitariuszy, leżały w kącie sali, niedbale przerzucone przez krawędź kosza na odpady, a na oparciu wolnego krzesła wisiał

jego pas z wyposażeniem. Caedus poczuł się dziwnie bezbronny. Nie chodziło tylko o to, że był ubrany w szpitalną piżamę. Sprawiał to widok pustego zaczepu do rękojeści świetlnego miecza.

Luke go jednak pokonał. Mimo ciężkich ran cały czas atakował. Zadał mu więcej ran niż sam odniósł, no i nie dał się udusić organiczną garotą, zanim Ben pospieszył mu z pomocą. Prawdę mówiąc, to prawdopodobnie Ben ocalił życie Caedusa. Nic nie mogłoby wyrwać Luke'a z bitewnego szału oprócz widoku syna, ześlizgującego się w objęcia Ciemnej Strony.

Na wspomnienie tamtych chwil wróciło przerażenie, ale i urażona duma. Caedus musiał się nad wszystkim głęboko zastanowić. Właśnie się dowiedział, czego może się spodziewać, gdy Luke odkryje prawdziwą tożsamość zabójcy żony... Cóż, kiedy mistrz Jedi zaatakuje go jeszcze raz, Caedus będzie gotowy.

Naturalnie pod warunkiem, że ujdzie z życiem z tej bitwy.

- Gdzie jest Orlopp? - zapytał władcym tonem, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Dziesięć minut temu prosiłem, żeby tu przyszedł.

Bithański chirurg i jego asystent rasy Codru-Ji wymienili spojrzenia nad ramieniem Caedusa, ale pacjentowi odpowiedział android medyczny MD o czaszkopodobnej twarzy.

- Nie nadaje się pan jeszcze do pełnienia obowiązków, pułkowniku Solo. - Automat spróbował łagodnie go nakłonić, żeby się położył. - Jeżeli będzie pan nadal ignorować zalecenia doktora Qilqu i ciągle siadać, zamiast leżeć, będziemy musieli podać panu środek usypiający.

- Tylko spróbujcie. - Caedus odwrócił się do Qilqu. - Mam po dziurki w nosie tego narzekania. Nie może mu pan kazać, żeby się zamknął?

W najwyższym stopniu zaniepokojony Qilqu rozpląszczył fałdy policzkowe i spojrzał na androida.

- Pan pułkownik ma niezwykle silny organizm, EmDee - zauważył. - Jeżeli czuje się wystarczająco silny, aby siedzieć, to trzeba mu na to pozwolić.

- Bardzo dobrze. - Android wysunął strzykawkę z czubka palca wskazującego. - W takim razie może porcja środków uśmierzających ból zmniejszy jego zdenerwowanie.

- Żadnych środków przeciwbólowych... muszę mieć jasny umysł - warknął Caedus. W gruncie rzeczy cieszył go ten ból, bo dzięki niemu mógł utrzymywać na wysokim poziomie stężenie hormonów, które pozwalały mu trzeźwo myśleć. - I chcę, żeby tu przyszedł mój doradca!

Qilqu wyjrzał za drzwi sali i skinął głową. Zza przepierzenia wyszedł Orlopp. Pod

pachą trzymał jeden z zapasowych mundurów Caedusa, a w dłoni zawsze obecny notes.

- Nie musi się pan tak złościć, panie pułkowniku - powiedział, wykrzywiając z niesmakiem długi pysk. Pewnie nie podobała mu się woń ran zwierchnika. - Może naprawdę by panu pomogła dawka środka przeciwbólowego.

- Mowy nie ma - burknął Caedus. Wskazał na notes. - Jak wygląda w tej chwili nasza sytuacja taktyczna? - zapytał.

- Jeszcze pan pożałuje, że odzyskał przytomność - zapowiedział doradca. Wcisnął kilka klawiszy i podał notes Caedusowi. - Dobra wiadomość to ta, że pański plan powiódł się ponad wszelkie przypuszczenia.

Orlopp nie przesadzał. Ze schematu taktycznego na ekranie notesu wynikało, że Piąta Flota - pośrodku której unosił się „Anakin Solo” - została całkowicie otoczona przez nieprzyjaciół. Flota Wookiech chroniła Kashyyyka przed dalszym ostrzałem, a Bothanie, Korelianie i resztki flot Commenorian oraz Huttów atakowały Piątkę od strony przestworzy.

- A co się stało z Bwu'atu i Darklighterem? - zainteresował się Caedus. - Do tej pory powinni byli pospieszyć nam z odsieczą.

- Admirał Bwu'atu przesyła wyrazy ubolewania - odparł Orlopp. - Wygląda na to, że on i admirał Darklighter otrzymali rozkaz pozostawienia swoich flot w obrębie Jądra galaktyki.

- Jasne. - Caedus nie musiał pytać, kto wydał taki rozkaz. Cha Niathal była zbyt zręcznym taktykiem, żeby przegapić okazję wyeliminowania swojego rywala... nawet gdyby to oznaczało poświęcenie takiego drobiazgu jak Piąta Flota. - Spodziewałem się tej zdrady.

- Naprawdę? - W głosie Orloppa brzmiała autentyczna ulga. - W takim razie może pan zechce poinformować admirała Atoko o pańskim planie. Wydał rozkaz przygotowania się do ewakuacji z pola bitwy.

- Bez porozumienia się ze mną?

- Był pan... niedostępny - wyjaśnił Jenet.

- Już jestem dostępny.

Caedus ześlizgnął się z repulsorowych noszy i aż jęknął, kiedy po postawieniu stóp na pokładzie poczuł promieniujący z obu ran w plecach dojmujący ból. Kolana załamały się pod ciężarem jego ciała i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymała ręka androida MD.

- W pańskim stanie wstawanie jest wykluczone - poinformował go android. - Nawet jeżeli obrzęk mózgu nie zakłóca poczucia równowagi, to ma pan oparzoną nerkę i przebite płuco. Jest pan po prostu zbyt słaby.

- Jestem mistrzem Mocy, EmDee. - Caedus wyszarpnął rękę z uścisku metalowych

palców androida i wcisnął komputerowy notes z powrotem do dłoni Orloppa. - Nie bywam słaby.

Pomagając sobie Mocą, żeby zachować równowagę, Caedus pokuśtykał do komunikatora na ścianie i skontaktował się z mostkiem. Kiedy usłyszał znajomy głos pani oficer łącznościowiec, poprosił ją o umożliwienie mu rozmowy z Atoko. Czekaając, wziął od Orloppa swój mundur i włożył go, zmagając się z bólem.

W końcu z głośnika komunikatora rozległ się głos zaskoczonego admirała:

- Pułkownik Solo? Jak się pan czuje?

- Na tyle dobrze, żeby przejąć dowodzenie. - Gniew w głosie Caedusa miał uświadomić Atoko, iż jego rozmówca nie jest zachwycony tym, że admirał uzurpuje sobie prawo wydawania rozkazów. - I nie przypominam sobie, żebym wydał rozkaz ucieczki z pola bitwy.

- Ja też sobie tego nie przypominam, panie pułkowniku. - Atoko zupełnie nie był zbity z tropu niezadowoleniem w głosie Caedusa. Prawdopodobnie spodziewał się, że wkrótce już nie będą mieli czym dowodzić. - Problem w tym, że Wookie zaczynają wysyłać jednostki abordażowe. Jeżeli nie chcemy, żeby nasze okręty wpadły w ręce nieprzyjaciół...

- Dlaczego nie spróbuje się pan od nich uwolnić, admirał - przerwał mu Caedus. - Jeżeli Piątka ma zostać unicestwiona, jej artylerzyści mogliby przedtem zniszczyć przynajmniej kilka okrętów floty Bothan.

Atoko umilkł i gdyby nie napływający z oddali stłumiony pomruk strzelających turbolaserów, Caedus mógłby dojść do wniosku, że admirał przerwał połączenie. Czekając na potwierdzenie swojego rozkazu albo na jakąkolwiek inną reakcję, zrozumiał, że nie tylko admirał przeżył wstrząs po usłyszeniu jego słów. Wyczuł w Mocy niedowierzanie i przerażenie Qilqu oraz jego asystenta. Nawet zazwyczaj zrównoważony Orlopp kręcił głową w osłupieniu.

- Admirale Atoko, czyżby miał pan problemy z wykonaniem mojego rozkazu? - odezwał się w końcu Caedus. - Czy jest w nim coś niejasnego?

- Nie, panie pułkowniku - odparł Atoko. - Wszystko jest bardzo jasne. Nawet zbyt jasne.

- Teraz to ja nic nie rozumiem - ciągnął Caedus. - O co chodzi?

- No cóż, o załogi - odparł admirał. - Tylko na okrętach Piątki służy ponad siedemdziesiąt tysięcy osób. Nie możemy skazywać ich na śmierć.

- Ach, tak? - Caedus zamierzał uciec myśliwcem StealthX, gdyby Niathal go zdradziła, więc nie przyszło mu do głowy, że członkowie załóg okrętów Piątki mogą się nie palić do

oddania życia dla dobra Sojuszu. - Przypuszcza pan, że dowódcy okrętów nie wykonają mojego rozkazu?

- Jeżeli nie będą mieli szansy przeżycia ani ucieczki, to... tak, to możliwe - odparł ostrożnie Atoko. - Zniszczenie kilku okrętów nieprzyjaciół nie będzie im się wydawało godną ofiarą, jeżeli alternatywą może być honorowe poddanie.

- Prawdopodobnie ma pan rację - przyznał Caedus. - W takim razie, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, powinien pan im przypomnieć, że na pokładach tych jednostek abordażowych leżą istoty rasy Wookie... i że Piątka osłaniała „Anakina Solo”, kiedy jego artylerzyści palili wroshyry Kashyyyka.

Atoko znów umilkł... ale tylko na chwilę.

- Myślę, że to ich przekona, panie pułkowniku - odezwał się w końcu.

- Też tak przypuszczam - odparł Caedus. - Proszę anulować rozkaz rozpoczęcia przygotowań do odwrotu z pola bitwy i przygotować flotę do ataku. Kiedy zapoznam się z sytuacją, podam panu zestaw współrzędnych...

- Przepraszam, panie pułkowniku - przerwał Orlopp, podając mu komputerowy notes. - Mam nadzieję, że uzna pan te współrzędne za dosyć oczywiste.

Caedus spojrział na ekran urządzenia. Wciąż jeszcze nie widział wyraźnie, ale mimo to zauważył, że pod górną krawędzią ekranu pojawia się gąszcz niemożliwych do rozpoznania symboli. Jeszcze nie rozumiał, co Orlopp mu sugeruje... kiedy wreszcie dostrzegł, że okręty koreliańskiej floty zaczynają się usuwać, żeby zrobić miejsce dla nowych przybyszów, którzy zamierzali się przyłączyć do pierścienia okrążającego Piątą Flotę.

- Bardzo dobrze, Orlopp - powiedział. - Admirale Atoko, przerwiemy kordon w miejscu, w którym flota Korelian styka się z okrętami nowych przybyszów. Jeżeli wszystko dobrze zgramy w czasie, powinniśmy się przedrzeć i ocalić przynajmniej jedną trzecią naszych sił zbrojnych.

Po jego słowach znów zapadła niezręczna cisza.

- Przedrzeć się, panie pułkowniku? - zapytał w końcu Atoko.

- Naturalnie - odparł Caedus. - Chyba się pan nie spodziewa, że pozwolą nam przelecieć bez walki?

- No cóż... właśnie na to liczyłem - stwierdził admirał.

Caedus obrzucił złym spojrzeniem ekran notesu. Z każdą sekundą liczba symboli okrętów nowych przybyszów się zwiększała, a ich kody stawały się mniej czytelne. Caedus zauważył jednak, że okręty Korelian przemieszczają się zbyt szybko, żeby mogło chodzić tylko o zrobienie miejsca dla nowych przybyszów. Ich dowódcy zapewne się obawiali, że

mogą się dostać w krzyżowy ogień.

Caedus przycisnął klawisz i powiększył obraz, a okręty nowych przybyszów zniknęły z ekranu. Przyglądał się w milczeniu szczegółowemu schematowi bojowego rozmieszczenia okrętów Piątej Floty.

W końcu Orlopp wyjął notes z jego ręki.

- To nasi - powiedział cicho. - To okręty klasy Nova i Bitewne Smoki.

- Hapanie? - Caedus o mało się nie zachłysnął z wrażenia.

Android medyczny MD spojrzał na Qilqu.

- Wygląda na to, że pułkownik Solo jest wciąż jeszcze oszołomiony - stwierdził. - Musimy wydać orzeczenie, że jest niezdolny do pełnienia służby.

Caedus poczuł tak wielką ulgę, że dał spokój androidowi. Odwrócił się i znów podszedł do komunikatora na ścianie.

- Przepraszam, panie admirale - powiedział. - Ma pan całkowitą rację. Lecimy do Hapan. Skontaktuję się z panem, kiedy tylko wrócę na mostek i uzyskam dostęp do wiarygodnych informacji wywiadu.

Zdjął pas z saszetkami z oparcia krzesła i dał znak Orloppowi, żeby mu towarzyszył. Ruszył do wyjścia, niezwykle zadowolony. Dawno się tak dobrze nie czuł. Jego rodzice przekonali Wookiech, żeby zwrócili się przeciwko niemu, a jego kolega z czasów nauki w Akademii, Lowbacca, zaatakował ciemną bombą „Anakina Solo”. Własny wuj o mało go nie zabił, a młodszy kuzyn wbił mu w plecy ostrze wibrosztyletu tak blisko serca, że rękojeść drżała w rytm jego uderzeń.

Na szczęście na ratunek pospieszyła mu Tenel Ka. Jeszcze raz udowodniła, że zawsze może na nią liczyć... że jeśli ją poprosi o cokolwiek, ona zrobi nawet więcej. Wierzyła w niego. Rozumiała, co Jacen stara się zrobić dla galaktyki... a także dla niej i dla Allany. Wiedziała, że jego celów nie da się osiągnąć bez ryzyka ani poświęceń. Może któregoś dnia, kiedy w końcu wygra tę wojnę i kiedy w galaktyce zapanuje pokój, on i Tenel Ka nie będą musieli dłużej ukrywać swojego związku. Może nawet będą mogli zamieszkać na tej samej planecie i żyć razem jak normalna rodzina.

Caedus otworzył umysł na przepływ Mocy, żeby przesłać królowej podziękowanie... z zaskoczeniem stwierdził jednak, że Tenel Ka przebywa nie na Hapes, ale na pokładzie jednego z okrętów swojej floty. A więc ona także przyleciała, żeby pospieszyć mu na pomoc. Caedus nie był pewny, czy to dobrze, że królowa matka osobiście chce wziąć udział w bitwie. Gdyby jej się przydarzyło coś złego, kto by zapewnił bezpieczeństwo Allanie? Mimo to był tak wzruszony jej oddaniem, że wypełnił Moc wdzięcznością.

Zaraz wyczuł jej samotność i smutek. Tenel Ka jakby go zachęcała do cierpliwości, ale zarazem wysyłała do niego zapraszające myśli. Caedus zrozumiał, że Hapanka chce z nim porozmawiać. Bojąc się, że coś złego mogło się przydarzyć ich córeczce, wysłał myśli na Hapes i na szczęście odnalazł Allanę tam, gdzie powinna przebywać... daleko, bardzo daleko. Allana była szczęśliwa i prawdopodobnie bezpieczna.

Odpowiadając na zachętę Tenel Ka, Caedus wypełnił swoją obecność w Mocy ciekawością. Odpiął od pasa osobisty komunikator i połączył się ze swoją oficer łącznościowiec, porucznik Krova.

- Królowa matka Tenel Ka musi ze mną porozmawiać - powiedział. - Proszę wybrać bezpieczny kanał, połączyć mnie ze „Smoczą Królową” i dać mi znać, kiedy uzyska pani połączenie.

- Jak pan sobie życzy, panie pułkowniku - odparła Krova. - Dostosowanie naszych protokołów szyfrowania może jednak zająć trochę czasu. Hapanie nie są bardzo skłonni do...

- Rozumiem te trudności - uciął Caedus. - Nie będę pani winił za ewentualne opóźnienie.

- Dziękuję, panie pułkowniku - odparła z ulgą Krova. - Skontaktuję się z panem, kiedy nawiążę łączność z Jej Królewską Wysokością.

Caedus i Orlopp wyszli ze szpitala. Na korytarzu tłoczyli się lżej i ciężiej ranni. Niektórzy mieli umrzeć, choćby nawet zaraz trafili do zbiornika z bactą; inni przeżyją do chwili, kiedy zostaną przetransportowani do innego z wielu szpitali „Anakina Solo”. Tylko niewielu było lekko rannych.

Kiedy Caedus przeciskał się przez tłum, nie kryjąc okaleczonej twarzy i zabandażowanej głowy, wyczuwał podziw członków załogi „Anakina Solo” dla swojego poświęcenia i swojej odwagi. Wyczuwał także lęk przed jego brutalnością, a także gniew z powodu bezlitosnego szafowania ich życiem. Członkowie załogi nie kochali go tak bardzo jak mieszkańcy Coruscant, ale będą go podziwować, dopóki Caedus będzie pewny siebie i przekonany o swoim posłannictwie. Mógł być pewny, że podążą za nim do samego Jądra galaktyki.

Dopiero po minucie dotarli do pustawego korytarza, w którym nie kłębił się tłum rannych i medycznych androidów, i niebawem znaleźli się w stacji wylotowej. Zeszli po krótkiej rampie, wsiedli do wagonika dla członków załogi i wpisali współrzędne celu podróży. Zaczekali, aż pokładowy komputer zeskanuje siatkówki ich oczu i potwierdzi tożsamość. Niebawem wagonik ruszył. Zjechał niebieskim durastalowym szybem do sieci biegnących poziomo repulsorowych tuneli, którymi personel mógł pokonywać całą ogromną

długość „Anakina Solo”.

Caedus rozsiadł się wygodnie i pogрузzył w bólu. Ze zdumieniem zauważył, jak bardzo chce mu się spać. Jego siły nadwątliła walka z Lukiem, ale był także wyczerpany emocjonalnie i duchowo. Opuszczali go przyjaciele i członkowie rodziny, a on z każdą chwilą czuł się bardziej samotny. Jego zwolennicy zaczęli w nim widzieć coś więcej niż tylko istotę ludzką. Nie miał wokół siebie nikogo, komu mógłby się zwierzyć, jak kiedyś Jainie, ani prosić o radę, jak kiedyś Luke'a. Nie miał także nikogo, kto by go bezkrytycznie popierał, jak kiedyś popierali go rodzice.

Teraz pozostała mu tylko Tenel Ka. Była dla niego wszystkim podczas krótkich, ukradkowych schadzek. Dawała mu nadzieję, że któregoś dnia będą mogli już zawsze być razem. Caedus zamknął oczy i pozwolił sobie na marzenia o przyszłości. Nie usiłował jej zobaczyć dzięki Mocy, ale starał się ją dostrzec poprzez podszepty serca.

Z zadumy wyrwał go pisk osobistego komunikatora. Caedus rzucił okiem na ekran i stwierdził, że to Krova nawiązała łączność z Tenel Ka. Od razu zniknęło jego zmęczenie, nawet ból zelżał.

Włączył mikrofon i powiedział:

- Królowo matko, co za miła niespodzianka. Wiedziałem, że Sojusz może na ciebie zawsze liczyć.

- Sojusz może, Jacenie - odezwała się Tenel Ka. Zwróciła się do niego po imieniu, zamiast nazwać go pułkownikiem. Widocznie chciała mu dać do zrozumienia, że ich rozmowa będzie miała charakter osobisty. Caedus nie lubił poprzedniego imienia, bo przypominało mu o jego niezdecydowaniu i bojaźliwości - o wszystkich słabościach z czasów, kiedy był młodzieńcem. Wiedział jednak, że Tenel Ka nie zrozumiałaby, gdyby ją poprosił, aby tytułowała go Darthem Caedusem... jeszcze nie teraz. - Obawiam się, że nie da się tego powiedzieć o tobie.

- Co takiego? - Caedus się nie załamał, nie oburzył ani nie rozgniewał, bo po prostu nie uwierzył w to, co usłyszał. - Chyba są jakieś przekłamania na linii. Niemożliwe, żebyś powiedziała, że już nie mogę na ciebie liczyć.

- Obawiam się, że dobrze usłyszałeś. - Głos Tenel Ka leciutko się załamywał, chociaż trudno było wiedzieć to na pewno przy wąskim paśmie sygnałów przekazywanych przez głośnik komunikatora. W dodatku przeszkadzał im świst powietrza, przecinanego przez mknący rurą wagonik. - Mówiąc krótko, proszę, żebyś się poddał.

- Poddał? - Caedus zaczął podejrzewać, że android MD miał rację, twierdząc, że pacjent jest jeszcze niezdolny do pełnienia służby. - Możesz chwilę poczekać? Muszę coś

sprawdzić. - Nie czekając na odpowiedź, Caedus wyłączył mikrofon komunikatora i odwrócił się do Orloppa: - Siedzimy w wagoniku dla członków załogi i lecimy nim w kierunku mostka, prawda? - zapytał. - A ja rozmawiam w tej chwili przez komunikator z hapańską królową matką, Tenel Ka, tak?

- Siedzimy w wagoniku - pokiwał głową Jenet. - Przykro mi, panie pułkowniku, ale to nie halucynacje.

- Tego się obawiałem. - Nawet teraz Caedus się nie załamał. To musi być nieporozumienie, pomyślał. Był pewny, że kiedy wyjaśni Tenel Ka swoją strategię, Hapanka wycofa swoją prośbę i obdarzy go znów pełnym zaufaniem. Ponownie włączył mikrofon komunikatora. - Posłuchaj, Tenel Ka, nie mogę wyjaśnić ci tego przez komunikator, ale miałem ważne powody, rezygnując z dalszego udziału w Bitwie o Kuata - oznajmił z powagą.

- Nie wątpię w to - odparła Tenel Ka. - Ty zawsze masz ważne powody do łamania swoich obietnic.

Caedus poczuł narastający gniew.

- Staralem się ocalić twoją Flotę Obronną... a także osiągnąć coś więcej, o wiele więcej - powiedział. - Zrozumiesz, kiedy ci to wytłumaczę.

- Możliwe - odparła obojętnie Tenel Ka. - Może nawet będziesz mi mógł wyjaśnić, dlaczego napadłeś na Akademię Jedi na Ossusie tuż po tym, jak mi obiecałeś, że pojednasz się z Mistrzem Skywalkerem. Jak jednak wytłumaczysz to, że wysłałeś Bena, czternastoletniego chłopca, aby zamordował przywódcę Omasa?

- Nigdzie go nie wysyłałem - zaprotestował Caedus. - Ben niewłaściwie zinterpretował pewien raport i doszedł do wniosku...

- Masz do czynienia z hapańską królową - przypomniała mu władczym tonem Tenel Ka. - Nie zwiedzisz mnie takimi wykrętami, Jacenie. Już to, że próbujesz, jest dla mnie zniewagą. W dodatku nie ma usprawiedliwienia tego, co robisz na Kashyyyku, paląc tamtejsze wroshyry. Co ty sobie wyobrażasz?

- Nie zapominaj o tym, że Wookie nas zdradzili - odparł Caedus. - Dostali tylko to, na co zasłużyli. Wszystko inne wyjaśnię ci, kiedy się spotkamy.

- To dobrze. Cieszę się na samą myśl o tym spotkaniu - odparła królowa matka. - Poinformuj admirała Atoko, że ma wykonywać rozkazy twojego ojca, a ja przyślę po ciebie skiff. Na jego pokład masz wejść bez broni.

- Przyślesz po mnie skiff? - obruszył się Caedus. - Tenel Ka, chyba nie przypuszczasz, że się poddam... tobie czy komukolwiek innemu?

- Mam nadzieję, że to zrobisz. - W stanowczym głosie Hapanki brzmiał bezgraniczny

smutek. - Bo gdybym musiała do ciebie strzelać, chyba pękłoby mi serce.

W piersi Caedusa eksplodowała wściekłość, a pełne niedowierzania myśli zaczęły wirować w jego głowie jak szalone. Wysłał je poprzez Moc do Tenel Ka, ale zauważył, że jej aura i jej obecność w Mocy stały się zamknięte dla jego myśli.

- Ty też? - jęknął z żalem. - Myślałem, Tenel Ka, że mnie nie zawiedziesz. Sądziłem, że zrozumiesz, co staram się osiągnąć.

- Ona jest bardzo silna, chłopcze - rozległ się znajomy głos Hana Solo. - Jednak to, co zamierza zrobić, prawie ją zabija... a ja tego zupełnie nie rozumiem. Sam chętnie rozpyliłbym cię na atomy i udawał, że zginąłeś podczas tamtej walki z Onimim.

- Cześć, tato. - Zabrzmiało to dziwnie w ustach Caedusa, zupełnie jakby się zwracał do ojca innej osoby. - Powinienem być wiedzieć, że to twoja sprawka. Mam nadzieję, że mama też tam jest?

- Stoję tuż obok niego - potwierdziła Leia, a w jej głosie brzmiał smutek. - Posłuchaj rady Tenel Ka. Nie chcę widzieć, jak ginie mój drugi syn.

- Możesz się o to nie martwić - warknął Caedus. - Nie zamierzam ginąć, dopóki mi za to nie zapłacicie... oboje.

- Za co, Jacenie? - zapytała Tenel Ka. - Co takiego ci zrobili?

- Zmusili cię do podjęcia takiej decyzji. - Dopiero w tej chwili Caedus zrozumiał. Jedynym sposobem nakłonienia Tenel Ka do zdrady musiała być jakaś forma psychicznego nacisku. - Jak to było? Zagrozili Allanie? Jeżeli wyrządzą jej jakąkolwiek krzywdę...

- To nie w twoim stylu, chłopcze - przerwał Han. - Sam ściągnąłeś to wszystko na swoją głowę. Musieliśmy tylko tu przylecieć.

- Twój ojciec mówi prawdę, Jacenie - dodała Tenel Ka. - Jeżeli zajrzysz w głąb mojego serca, przekonasz się, że sama podjęłam taką decyzję.

Jacen wyczuł, że Tenel Ka wysłała do niego swoje myśli i emocje. Jej obecność w Mocy była wypełniona smutkiem, gniewem i - co go najbardziej zdruzgotało - rozczarowaniem. Znalazł tam także miłość, ale taką, jaką się darzy kogoś, kto umarł albo na zawsze zniknął z czyjegoś życia.

Dopiero wtedy Caedus się załamał. Zapadł się w zimną pustkę własnej duszy. Wydarzyło się coś niewiarygodnego: Tenel Ka go opuściła. Ich miłość również padła ofiarą jego przeznaczenia jako Sitha. Caedus wiedział, że w ostatecznym rozrachunku nawet to poświęcenie go wzmocni, podobnie jak każde poprzednie, ale tym razem nie poczuł się silniejszy. Na razie wyczuwał w sobie tylko gniew, zaskoczenie i pustkę.

- Proszę cię ostatni raz, Jacenie - odezwała się po chwili Tenel Ka. - Nie zmuszaj mnie

do tego.

- Przykro mi, Wasza Królewska Wysokość - odparł Caedus. - Nie mam wyboru.

Przerwał połączenie i odwrócił się do doradcy, który już mówił do mikrofonu swojego komunikatora:

- ...wzmocnić dziobowe pola ochronne! Przygotować się na ostrzał od strony...

Urwał, kiedy pierwsza salwa okrętów hapańskiej floty przecięła osłony „Anakina Solo” i wypełniła elektroniczne systemy okrętu szumem zakłóceń. Całą energię przekazano do krytycznych systemów, więc wagonik zwolnił i zaczął pełznąć jak granitowy ślimak. Kiedy w tunelu zapaliło się awaryjne oświetlenie, Caedus i jego doradca poczuli się jak skąpani w czerwonym blasku zachodzącego słońca.

Alema Rar nigdy nie widziała eksplozji księżyca, ale mogła sobie wyobrazić, że wyglądałaby jak to, co w tej chwili działo się z niegdyś potężną Piątą Flotą. Jej ostrzeliwane ze wszystkich stron okręty zwały szyki i ustawiły się w niewielkie skupiska rozżarzonych kłębow dymu, z których raz po raz strzelały słupy ognia. Zbierająca krwawe żniwo śmierć pochłaniała na razie tylko dziesiątki, nie setki tysięcy ofiar, ale to wkrótce miało ulec zmianie. Przestrzeń między okrętami Bothan i Hapan, dokąd leciała Piąta Flota, szybko się kurczyła. Alema nie musiała być analitykiem ani taktykiem, aby zrozumieć, że wkrótce tamten rejon stanie się pułapką dla dowódcy każdego okrętu, który będzie się chciał tamtędy wymknąć z okrążenia.

A wszystko to było winą Niedoszłych Darthów, którzy zaszyli się na Korribanie. Kazali jej czekać aż trzy dni, żeby nauczyć ją posługiwania się medytacyjną sferą i przygotować swój dar dla Jacena.

A czym okazał się ten „dar”? Holocronem Dartha Vectivusa, wypełnionym takimi perełkami mądrości, jak: „Nigdy nie pożyczaj pieniędzy od kogoś na tyle potężnego, żeby cię mógł zmusić do ich zwrotu” czy „Niech twoi pracownicy wiedzą, że darzysz ich zaufaniem... ale ani na chwilę nie przestawaj ich obserwować”. Kim był ten gość? Księgowym?

Statek przypominał jej, że istnieje wiele form sprawowania władzy. Okazało się, że Darth Vectivus był kierownikiem średniego szczebla w galaktycznej korporacji górniczej. Miał władzę nad życiem dziesiątków tysięcy pracowników i zgromadził fortunę, o wiele większą niż to, co zarobił i co było mu potrzebne do życia.

- I w jaki sposób ma to pomóc Jacenowi w podboju galaktyki? - zapytała Twi'lekanka.
- To w tej chwili i tak bez znaczenia. Spójrz tylko na sytuację, w jaką się uwikłał. Jeżeli nie zginie, stanie się pośmiewiskiem na Coruscant. Będzie równie użyteczny jak... to coś.

Rzuciła holocronem Vectivusa w kierunku toczącej się bitwy. Statek utworzył w przezroczystym kadłubie coś w rodzaju kieszeni, w którą schwytał niewielki przedmiot. Następnie poinformował Alema, że sytuacja wcale nie jest beznadziejna.

- Posłuchaj, jesteśmy pod wielkim wrażeniem twoich strumieni plazmy i kulek antymaterii, ale to wszystko nie wystarczy, żeby pokonać cztery floty - skomentowała to Alema. - Czyś ty oszalał?

Statek sądził, że naprawdę oszalał, skoro zaczął ją lubić, ale to w tej chwili i tak nie miało znaczenia. Przyszły Imperator próbował wydostać się z pułapki, więc on i Uszkodzona musieli mu tylko w tym pomóc.

- My? A oprócz tego jaka flota? - zapytała zgryźliwie Alema.

Wybierz, którą chcesz, zasugerował Statek. Przecież widzisz aż cztery.

Alema uniosła brwi.

- Damy radę opanować całą nieprzyjacielską flotę? - zdziwiła się. - Nie powiedzieli nam, że potrafisz robić takie rzeczy.

Przejąć nad nią kontrolę, nie opanować, wyjaśnił Statek. I tylko dlatego, że ich dowódcy nie mają swoich medytacyjnych sfer. Właściwie są bezbronni.

Alema się uśmiechnęła.

- Na nasze szczęście, prawda? - zapytała.

Caedus nie potrzebował bitewnej medytacji, aby wiedzieć, że Piąta Flota jest skazana na zagładę. Wiedział także, że za kilka minut straci również „Anakina Solo”. Błyskawice turbolaserowych strzałów na czasach ochronnych pól nie wyglądały już jak pojedyncze kwiaty, rozbłyski czy nawet płachty światła. Po prostu wypełniały każdy centymetr kwadratowy obserwacyjnego bąbla nieustanną ognistą obecnością. W zależności od kąta trafienia i natężenia ochronnych pól kolory zmieniały się od czerwonego przez złocisty do niebieskiego, ale intensywność ognia nie malała. Caedus wiedział, że przy tak silnym ostrzale artylerzyści jego okrętu muszą strzelać na oślep, bo z tak wysokim poziomem elektromagnetycznych zakłóceń nie mogłyby sobie poradzić nawet najdoskonalsze filtry sensorów „Anakina Solo”.

Mimo to Caedus w głębi ducha żywił nadzieję. Coś go ciągnęło dzięki Mocy i wzywało, żeby się nie poddawał. W pewnej chwili wezwanie stało się tak silne, że Caedus nie mógł mu się dłużej opierać. Przecisnął się obok medytacyjnego fotela - który stał odwrócony w stronę bąbla, nadal nienaprawiony - prześlizgnął się nad podłokietnikiem i usiadł. Skupił uwagę na równomiernym oddychaniu i oczyścił umysł ze wszystkich zewnętrznych myśli,

żeby rozszerzyć świadomość bitewną.

Za oparciem fotela stanął Orlopp i sapnął, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Nie teraz - burknął Caedus. - Muszę pograć się w medytacji.

- Rozumiem - odparł doradca. - Chciałem tylko zameldować, że pański StealthX jest gotów do startu.

- Dziękuję - mruknął Caedus.

Mimo to Orlopp stał dalej.

- Coś jeszcze? - zapytał Caedus.

- Admirał Atoko nalega, żeby wyraził pan zgodę na rozproszenie floty - oznajmił doradca. - Twierdzi, że sam ma wystarczająco dużą władzę, żeby wydać taki rozkaz bez czekania na pańską aprobatę.

- Czy naprawdę przypuszcza, że Wookiee wędrują się na pokład okrętu przez ogień? - Caedus machnął ręką w kierunku płomienistej nawałnicy w przestworzach za obserwacyjnym bąblem. Kusiło go, żeby wyrazić zgodę, ale wyczuwał dziwną nadzieję, dochodzącą z Mocy. - Proszę mu powiedzieć, żeby zaczekał jeszcze dwie minuty z wydaniem rozkazu. Jeżeli do tej pory się nie odezwę, może zrobić wszystko, co zechce.

- Bardzo dobrze - stwierdził Orlopp... ale wyraźnie nie zamierzał jeszcze wyjść.

- O co chodzi? - zapytał zniecierpliwiony Caedus.

- W pańskim myśliwcu StealthX jest miejsce tylko dla jednej osoby, panie pułkowniku - przypomniał Jenet. - Jak ja stąd ucieknę?

- Właśnie staram się nad tym zastanowić - burknął Caedus. - Ale w tym celu muszę pograć się w medytacji.

Tym razem Orlopp wycofał się szybko i bez słowa.

Caedus zaczął miarowo oddychać. Rozszerzył świadomość Mocy, żeby objąć nią swoją flotę, potem wszystkie floty nieprzyjaciół i w końcu - nie mogąc zlokalizować źródła naglącej nadziei - całe pole bitwy.

Nadzieja przybrała na sile i zaczęła go wzywać w kierunku bothańskiej floty. Zachęcała, żeby skierował okręty Piątki w tamtą stronę. W pierwszej chwili Caedus zareagował zdumieniem. Czyżby Bothanie naprawdę mieli go za głupca, który da się nabrać na tak prymitywną sztuczkę? Widocznie znaleźli gdzieś władcę Mocy i powierzyli mu zadanie zakłócenia medytacji Caedusa, podobnie jak zrobił to Luke w przestworzach Balmorry.

Caedus przerwał bitewną medytację i wstał, żeby - tak jak obiecał - przemyśleć problem ocalenia Orloppa. Jenet był świetnym doradcą i jednym z niewielu podwładnych na

tyle odważnych, żeby mówić szczerze to, co myślą. Taki skarb trudno byłoby zastąpić kimkolwiek innym. Niestety, Orlopp był za duży, żeby się wcisnąć do ciasnego przedziału towarowego myśliwca StealthX - zwłaszcza w pękatym kombinezonie próżniowym. Ale gdyby tak opróżnić przedział dla rakiet...

Nadzieja nadal go przyzywała. Ciągnęła go z niemal fizyczną siłą. Jeżeli Bothanie rzeczywiście mieli na usługach władcę Mocy, musieli znaleźć naprawdę dobrego. Caedus wysłał myśli do źródła, skąd promieniowała nadzieja. Znalazł je daleko poza bothańską flotą. Wyczuł obecność niezrównoważonej psychicznie osoby, która ostatnio stanowczo zbyt często wtrącała się w jego życie.

Alemy Rar.

Tym razem jednak wyczuł coś więcej. Wyglądało na to, że jej potęga bardzo wzrosła. Wydawała się prastara i jeszcze mroczniejsza niż poprzednio.

Alema nadal go przyciągała. Wypełniła swoją obecność obietnicą ratunku i zwycięstwa, a także różnymi innymi obietnicami, do których nie przywiązywał żadnej wagi. Caedus był pewny, że atak na bothańską flotę, co sugerowała mu Alema, to istne szaleństwo. Twi'lekanka nie była osobą, której powierzyłby swoje życie albo przeznaczenie. Taki manewr byłby jednak ostatnią rzeczą, jakiej spodziewaliby się po nim wrogowie... a zresztą co miał do stracenia?

Opadł na siedzenie medytacyjnego fotela.

- Orlopp! - zawołał.

- Tak, panie pułkowniku? - Jenet stanął za jego plecami. - Wymyślił pan, jak stąd ucieknę?

- Wszyscy uciekniemy - oznajmił Caedus. - Niech admirał Atoko skieruje okręty naszej floty w stronę Bothan. Ma ich zaatakować od czoła, z największą możliwą szybkością. Wszystkie jednostki zbyt poważnie uszkodzone, żeby nadażyć, polecają jako straż tylna. Piloci gwiazdnych myśliwców mają przeskoczyć do punktu zbornego Alfa.

- Atakujemy? - zapytał zdumiony doradca.

- Posłuchaj, Orlopp - odparł Caedus. - Jeżeli się nie pośpieszysz, admirał Atoko wyda rozkaz rozproszenia okrętów Piątej Floty, a wtedy nie będzie ci już potrzebny żaden statek do ucieczki.

- Natychmiast, panie pułkowniku - odparł Orlopp i wybiegł z kabiny.

Caedus znów się pograżył w bitewnej medytacji, ale poczuł się dziwnie senny. Jego ciało mówiło mu, że musi odpocząć. Zamiast tego ponownie rozszerzył świadomość Mocy i na chwilę się znalazł w wirze goryczy i strachu, którym emanowała teraz Piąta Flota. Zaczął

badać emocje, poszukując osób, które zachowywały największy spokój i wydawały najrozsądniejsze rozkazy. Wspierał je swoją pewnością siebie i nadzieją.

Wkrótce wyczuł w wirze emocji niewielkie wysepki opanowania i spokoju. W centralnym punkcie floty znalazł buntowniczą obecność admirała Atoko, który wciąż jeszcze się zastanawiał, czy wykonać jego pozornie bezsensowny rozkaz, czy też mimo wszystko polecić podwładnym, żeby ratowali się ucieczką.

Caedus natchnął go przekonaniem, że jeżeli wyda rozkaz ataku, wszystkim uda się uciec... że to jedyny sposób uniknięcia tragedii i zjednoczenia galaktyki. Zaczął wywierać delikatny nacisk na obecność admirała w Mocy. W pierwszej chwili Atoko sprawiał wrażenie zaskoczonego, zaraz potem zdezorientowanego, a w końcu stał się zupełnie uległy. Na wszelki wypadek Caedus nie przerywał nacisku przez Moc.

Po chwili przez Moc przebiegła fala zdumienia. A kiedy okręty floty zmieniły kurs, zdumienie przerodziło się w zdecydowanie. Najpierw świetlisty krąg za obserwacyjnym bąblem Caedusa ześlizgnął się z czaszy ochronnych pól, by zaraz zmienić się w pojedyncze rozbłyśki energii. To artylerzyści nieprzyjacielskich okrętów zaczęli się obawiać, że ich niecelne strzały mogą przypadkiem trafić jednostki zaprzyjaźnionej floty.

Wkrótce Caedus zaczął rozróżniać indywidualne błyskawice turbolaserowych strzałów z baterii okrętów bothańskiej floty. Kiedy artylerzyści Piątki odpowiedzieli ogniem, na tle ciemności pojawiły się barwne błyski. Kiedy krążownik Sojuszu „Redma” stracił osłony i rozpadł się na kawałki, Moc jakby się wzdrygnęła. Opary udreki i paniki otoczyły inne trafione okręty, z których zaczęły wylatywać w próżnię żywe istoty i sprzęt. Na ogół jednak załogi Piątki skupiły całą uwagę na ataku. Wszyscy byli zbyt zajęci wykonywaniem obowiązków, żeby poddać się rezygnacji i strachowi, które paraliżowały ich jeszcze przed chwilą.

Choć trudno było w to uwierzyć, Bothanie się nie wycofali. Pozostali na pozycjach i wymieniali ogień z okrętami Piątki, która, chociaż znacznie osłabiona, nadal przewyższała ich pod każdym względem. Caedus zaczął podejrzewać, że Bothanie zastawiają na niego sprytną pułapkę. Rozszerzył swoją świadomość Mocy na ich flotę... i poczuł ognisty ból.

Otworzył umysł całkowicie na przepływ Mocy i wciągnął ją w siebie nie dzięki potędze swojego gniewu czy strachu - był zbyt wyczerpany, żeby je odczuwać - ale dzięki wierze we własne przeznaczenie i potędze miłości, która dawała mu siłę służenia temu przeznaczeniu. Kochał teraz nie tylko Allaną. Kochał Tenel Ka, Luke'a, Bena i Mare, a nawet Jainę, rodziców i wszystkich innych, którzy zawiedli go i zdradzili. Darzył miłością sojuszników, wrogów i zmarłych mentorów. Wciągnął w siebie Moc dzięki miłości do nich

wszystkich... do całej galaktyki, dla której ocalenia zdobywał się na tyle poświęceń.

Ból wprawdzie pozostał, ale wraz z nim napłynęła siła, której tak bardzo potrzebował, żeby zachować jasność myśli. Kiedy ponownie skupił uwagę na okrętach bothańskiej floty, wyczuł u ich dowódców dziwną niepewność - podszyte ciemną energią Mocy niezdecydowanie. Zrozumiał, że to Alema Rar wywiera na nich wpływ, zachęcając do podjęcia nietypowej decyzji.

Caedus nie wierzył, żeby Bothanie uznali, że on da się nabrać na ich sztuczkę. Wiedział, że powinni się teraz wycofać, dać mu wolną drogę i pozwolić, żeby ich sprzymierzeńcy schwytali Piątkę w krzyżowy ogień. Zaczął wywierać na Bothan nacisk, żeby ich utwierdzić w tym przekonaniu. Na pewno mu się uda.

Niebawem jego wizja ściemniała, a jemu zakręciło się w głowie. Mimo to nadal wywierał nacisk na umysły dowódców okrętów bothańskiej floty. Starał się wykorzystać ich niezdecydowanie, które zasiała Alema. Miał nadzieję, że Bothanie zrozumieją, iż rzeczywiście chce, aby się wycofali.

I to wystarczyło. W obecności Bothan w Mocy pojawiła się stanowczość, a ich okręty zaczęły lecieć szybciej w kierunku jednostek Piątej Floty, poszerzając pole ostrzału. W tej samej chwili wizja Caedusa zniknęła, a on sam pograżył się jeszcze głębiej w bitewną medytację. W końcu znalazł się w nieodległej przyszłości. Wojna dobiegła końca, galaktyka stała się znów spokojna i bezpieczna, a on miał u boku rodzinę i przyjaciół, którzy pomogą mu nią władać w sprawiedliwości i w pokoju.

EPILOG

- To był najgłupszy manewr, jaki w życiu widziałem - oznajmił Han tak donośnie, że usłyszeli go wszyscy w Wielkiej Komnacie Pertraktacji na pokładzie okrętu flagowego Tenel Ka, „Smoczej Królowej”. - A byłem świadkiem kilku naprawdę idiotycznych posunięć. Co, na blask wszystkich gwiazd, skłoniło was do ruszenia naprzód, kiedy Jacen zaatakował?

W oczach admirała Babo pojawiły się żółte, złe błyski, ale Bothanin zareagował na zniewagę Hana uprzejmym uśmiechem, obnażającym tylko czubki kłów. Solo uświadomił sobie, że Babo, z uwagi na otoczenie, stara się panować nad sobą. Oprócz nich wokół konferencyjnego stołu siedziało kilkudziesięciu najwyższych stopniem oficerów zaimprovizowanej koalicji, która dopiero co usiłowała odesłać Jacena na śmietnik historii.

- Przypuszczaliśmy, że to tylko zmyłka Sojuszu - wyjaśnił Babo cierpliwie, chociaż chyba niezbyt szczerze. - Nie przyszło nam do głowy, że po tak nierozważnym ataku zechce się przedrzeć i wymknąć z okrążenia.

- Jego atak wcale nie był taki nierozważny, skoro się udał. - Podobnie jak inni świadkowie cudownej ucieczki Jacena kilka godzin wcześniej, Han wciąż próbował zrozumieć, jakim cudem Bothanie do tego dopuścili. - Musieliście tylko się wycofać, a my schwytalibyśmy go w krzyżowy ogień.

- Nasz nieprzyjaciel na pewno zdawał sobie z tego sprawę - odparł Babo. - Pański syn, kapitanie Solo, to prawdziwy mistrz taktyki. Powinniśmy byli wziąć to pod uwagę w naszych rozważaniach.

Han o mało się nie skrzywił na dźwięk słowa „syn”. Poczuł, że siedząca obok niego Leia napina mięśnie, ale żadne z nich nie poprawiło admirała. Solo postanowili przyjąć, że obaj ich synowie nie żyją, ale to był ich osobisty ból, do którego mogli się przyznać tylko wobec siebie na pokładzie „Sokoła”.

Leia położyła kojącym gestem dłoń na ramieniu męża.

- Jacen miał szczęście - powiedziała. - Zaryzykował, zakładając, że będziecie chcieli go powstrzymać, a wy zrobiliście dokładnie to, czego się spodziewał.

- Możliwe, że użył nacisku Mocy - dodał Luke, siedzący na najmniej poczesnym miejscu przy stole. Miał pokancerowaną twarz, podbite oczy i co najmniej sześć opatrunków, niedokładnie ukrytych pod płaszczem Jedi. Wyglądał, jakby dostał lanie z rąk Leii i Jaina,

które zagroziły, że jeżeli jeszcze raz sfinguje własną śmierć, właśnie tak go potraktują. - Pułkownik może się posługiwać prastarymi technikami bitewnej medytacji dla zmylenia swoich przeciwników.

Babo nadstawił uszu.

- To by wiele wyjaśniało - powiedział. - Gdyby tak wyglądała prawda, Konfederacja miałaby jeszcze jeden powód, żeby zaprosić Kashyyyka, Konsorcjum Hapes i Zakon Jedi do przyłączenia się do naszej koalicji.

Siedząca u szczytu stołu Tenel Ka niespokojnie się poruszyła.

- Mam nadzieję, że Bothawui nie wyciągnęła niewłaściwych wniosków z dzisiejszych działań Konsorcjum Hapes - powiedziała. Posłużyła się Mocą, żeby ukryć ślady łez, które popłynęły z jej oczu, kiedy wydała rozkaz otwarcia ognia do Jacena, ale w jej zachowaniu wciąż jeszcze widać było cierpienie. - W żadnym razie nie popieramy ani nie wybaczymy Konfederacji niedawnej agresji, a Galaktyczny Sojusz cieszy się nadal naszym całkowitym poparciem.

Babo zmarszczył krzaczaste brwi.

- Ale zaatakowaliście pułkownika Solo - przypomniał.

- Pułkownik Solo to nie to samo co Sojusz - odparła po prostu Tenel Ka.

- Dziękuję, Wasza Królewska Wysokość, że zechciałaś mi to wyjaśnić. - Rozczarowany Babo rozpląszczył uszy i zwrócił się do Tojjelnoota, który siedział po prawej stronie Luke'a. - A co na to Kashyyyk? - zapytał. - Wookie mają najlepszy powód do poparcia Konfederacji, bo to Konfederacja pospieszyła im na ratunek.

Tojjelnoot pokiwał głową na znak zgody, wstał i ryczał dobre dziesięć minut, dziękując wszystkim członkom Konfederacji, że pospieszyli na pomoc Kashyyykowi. Zakończył obietnicą pięciokrotnego odwdzięczenia się za wyświadczoną przysługę, ale zaraz wymienił liczne zastrzeżenia co do sposobów, w jakie Konfederacja rzuciła wyzwanie prawom Sojuszu. Zasugerował, że to Korelia i Bothawui są częściowo odpowiedzialne za atak na Kashyyyka, bo same doprowadziły do wybuchu tej wojny.

Pięć następnych minut wychwalał pod niebiosa mądrość decyzji Tenel Ka, zauważając przy tym, że interesy Kashyyyka bardzo się różnią od interesów Konsorcjum Hapes. Zakończył przemówienie peanem na cześć mądrości Mistrza Skywalkera, a wreszcie wyjaśnił, że przed podjęciem ostatecznej decyzji Wookie chcieliby wysłuchać argumentów wszystkich stron.

Babo nic nie zrozumiał z jego przemówienia, więc spojrział na C-3PO, czekając, aż android mu je przetłumaczył.

- Tojjelnoot dziękuje za dzisiejszą pomoc admirałom Babo, Kre'feyowi i For'o, a także ich flotom i całej Marynarce Bothawui - zaczął protokolarny android, odtwarzając z pamięci tekst długiej mowy sędziwego Wookiego. - Dziękuje także królowej matce Tenel Ka i księciu Isolderowi...

Han zauważył, że admirał ma znudzoną minę, i uniósł rękę, żeby uciszyć androida.

- A oto skrócona wersja - powiedział. - Wookie pragną usłyszeć, co ma do powiedzenia na ten temat Luke Skywalker.

Oczy wszystkich zwróciły się na Tojjelnoota, który krótkim warknięciem potwierdził słowa Hana.

- Bardzo dobrze - stwierdził Bothanin. - Sam jestem ciekaw, co o tym wszystkim sądzą Jedi.

Po krótkim namyśle mistrz Jedi pochylił się nad stołem.

- Oto nasze stanowisko - zaczął. - Dopóki władzę nad Galaktycznym Sojuszem sprawuje Jacen, nie istnieje żaden Sojusz.

Po twarzy admirała Babo rozlał się szeroki uśmiech.

- A zatem nasze opinie są zgodne - oznajmił Bothanin.

- Na ten temat? Tak - potwierdził Luke. Napotkał wzrok Hana i Leii i ujrzał w nich ból, jaki wszystkim sprawiły jego słowa. - Jedi mogą jednak poprzeć Konfederację tylko pod warunkiem, że na jakiś czas zrezygnujecie z wrogich poczynań względem Jądra galaktyki. Możemy doprowadzić do upadku Jacena subtelniejszymi sposobami. Kiedy przestanie sprawować władzę w Sojuszu, wszystkie zainteresowane strony przedyskutują różnice zdań w bardziej przyjaznej atmosferze.

Babo spoważniał.

- Czyżbyście zamierzali pozwolić, żeby Sojusz się przegrupował? - Bothanin pokręcił energicznie głową. - Nie możemy tego zaakceptować.

Luke pokiwał ze zrozumieniem głową i wstał.

- Obawiałem się takiej reakcji - powiedział. - Cóż... wybaczcie, ale powinienem być teraz w szpitalu, u boku syna.

Babo wytrzeszczył oczy.

- Opuszcza nas pan? - zapytał. - Rezygnuje pan z uczestnictwa w dalszych rozmowach?

- Przedstawiłem wyraźnie stanowisko Jedi - przypomniał Luke. - O czym jeszcze chciałby pan rozmawiać?

Babo zamknął usta z kłapnięciem, a Han uświadomił sobie, że oto spotkanie kończy

się fiaskiem, które przedłuży wojnę o następne kilka lat. Spojrzał na Leię i wymownie wskazał głową w kierunku Luke'a, dając jej do zrozumienia, żeby coś zrobiła.

W odpowiedzi żona spiorunowała go spojrzeniem.

- Niby co mam powiedzieć? - szepnęła. - Luke jest wielkim mistrzem, a ja tylko zwykłym rycerzem Jedi.

Siedzący po drugiej stronie Babo wstał, a kiedy w jego ślady poszli pozostali oficerowie Konfederacji, w sali zapanował zamęt.

- Może naprawdę ma pan rację, Mistrzu Skywalker - odezwał się Bothanin. - Wygląda na to, że naprawdę nie mamy żadnych wspólnych interesów.

- Czy to oznacza, że musimy pozostać wrogami? - zapytał Han, świadomie nie wstając z krzesła. - A przynajmniej w tej chwili?

Babo spojrział na niego.

- Ma pan jakąś propozycję, kapitanie Solo? - zapytał.

- Jasne - potwierdził Han. - Dlaczego nie moglibyśmy po prostu, uhm... jakiś czas nawzajem się ignorować?

- Ignorować? - powtórzył Babo. - To mało precyzyjne określenie, kapitanie Solo. Kłopot w tym, że brak precyzji bywa źródłem nieporozumień, a nieporozumienia mają brzydki zwyczaj sprzyjania tragediom.

- Moim zdaniem, Han zaproponował, żebyśmy zachowywali wobec siebie neutralność - odezwała się Leia. - Nie przeszkadzajmy nawzajem w swoich operacjach i nie marnujmy sił ani środków na obserwowanie poczynań drugiej strony... skoro moglibyśmy lepiej wykorzystać je przeciwko Jacenowi.

Babo pokiwał głową.

- Jestem pewny, że Konfederacja zaakceptuje takie stanowisko - powiedział. - Sojusz nie powinien się jednak wtrącać do żadnej z naszych operacji, nawet tych, które mogą zostać uznane za... hmm... niezbyt legalne według normalnych standardów toczenia wojen.

- Niezbyt legalne? - zapytał Han. - Co właściwie ma pan na myśli?

- Tylko to, że Bothanie naślą zabójców na Jacena - wyjaśniła Leia, nie odrywając spojrzenia od twarzy bothańskiego admirała. - I chcą, żebyśmy wyrazili na to zgodę.

- Wasz syn wydał rozkaz wymordowania tysięcy Bothan na Coruscant - przypomniał Babo. - Jeżeli rzeczywiście zamierzacie go powstrzymać, nie powinniście mieć problemów z wyrażeniem zgody.

Luke spojrział znów na Hana i Leię. Na jego twarzy malowała się desperacja.

- Jedi mają własne plany względem Jacena, ale jeżeli rzeczywiście uważacie, że wasi

zabójcy zdolają go wyeliminować, nie będziemy wam w tym przeszkadzali - zapowiedział.

Leia pokiwała głową.

- Nie zamierzamy was powstrzymywać przed podjęciem takiej próby - obiecała.

Babo spojrział na Hana.

- A pan, kapitanie Solo? - zapytał.

- Ta-a, naturalnie - mruknął Han. - Tylko upewnijcie się najpierw, czy przypadkiem nie ucierpi nikt inny. - Ujął żonę za rękę i wstał. Czym innym było uważać Jacena za zmarłego, a czym innym wyrazić zgodę, żeby Bothanie dobrali mu się do skóry. - Mam to w nosie.

Dopiero znacznie później, kiedy opuścili komnatę pertraktacji i pospieszyli na pokład „Sokoła”, żeby się wypłakać w samotności, Leia wyciągnęła ręce nad kuchennym stolikiem, chwyciła dłonie męża i zadała mu pytanie, które gnębiło ich oboje od dnia, kiedy postanowili wygłosić przemówienie na Skale Rady Wookiech... Pytanie, które stawało się dla nich coraz trudniejsze, w miarę jak nowe wyczyny Jacena zmuszały ich do zastanowienia się nad tym, w kogo zmienił się ich syn:

- Hanie, co myśmy najlepszego zrobili?

Han obszedł stolik i wziął ją w ramiona.

- To samo, co zawsze, księżniczko - powiedział. - To, co musieliśmy.

PODZIĘKOWANIA

Wiele osób wniosło swój wkład - duży czy choćby niewielki - w powstanie tej książki. Chciałbym podziękować im wszystkim. Na szczególne podziękowania zasługują: Andria Hayday za poparcie, słowa krytyki i wiele cennych sugestii; James Luceno, Leland Chee, Howard Roffman, Amy Gary, Pablo Hidalgo i Keith Clayton za cenne uwagi podczas zażartych dyskusji, zarówno w początkowej fazie, jak i później; Shelly Shapiro i Sue Rostoni za dosłownie wszystko, począwszy od anielskiej cierpliwości, przez wnikliwe redagowanie tekstu, a skończywszy na wspaniałych pomysłach, jakie przychodziły im do głowy nie tylko podczas dyskusji, szczególnie zaś za to, że współpraca z nimi była prawdziwą przyjemnością; Aaron Allston i Karen Traviss za wysiłek włożony w koordynowanie historii i opisywanie ich, a także za miriady uwag pod adresem tej książki i całej serii; Laura Jorstad za przywiązywanie niezwyklej uwagi do szczegółów; wszyscy pracownicy Lucasfilm i Del Rey za to, że dzięki nim pisanie książek sprawia tak wielką radość; no i George Lucas - za to, że pozwolił nam skierować swoją galaktykę w tym zachwycającym, nowym kierunku.